

David Lodge

SKAZANI NA CISZĘ

Tytuł oryginału Deaf Sentence

Copyright © David Lodge 2008 All rights reserved

David Lodge has asserted his right under the Copyright, Designs and Patents Act 1988 to be identified as the author of this work.

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2008

Redaktor Katarzyna Raźniewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce © Pierre Fournier/Sygma/Corbis

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-150-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. ul. Żmigrodzka 41/49,60-171 Poznań tel.

061-867-47-08,061-867-81-40; fa* 061-867-37-74 e-mail: rebis@rebis.com.pl www.rebis.com.pl Skład: AKAPIT, Poznań, tel. 061-879-38-88

Zdając sobie sprawę, że powieść ta, począwszy od jej tytułu, stanowi szczególne wyzwanie dla tłumaczy, dedykuję ją tym wszystkim, którzy na przestrzeni wielu lat trudzili się nad przekładem moich książek na różne języki, zwłaszcza zaś tym, którzy zostali moimi przyjaciółmi. Są nimi: Marc Amfreville, Mary Gislou i Rosetta Palazzi, Maurice i Yvonne Couturier, Armand Eloi i Beatrice Hammer, Luo Yirong, Suzanne Mayoux, Renate Orth-Guttmann i Susumu Takagi.

sentence I s 1. sentencja 2. wyrok; kara; a heavy- wysoki wymiar kary; to be under ~ of death być skazanym na śmierć; to do <serve> a ~ odby-ć/wać <odsi-edzieć/adywać> karę; to pass ~ on sb skaz-ać/ywać kogoś 3. gram zdanie; okres II vi skaz-ać/ywać (to death <x years' imprisonment etc.> na karę śmierci <na x lat więzienia itd.>)

Wielki słownik angielsko-polski, Jan Stanisławski

1

Wysoki, siwowłosy okularnik, który stoi na skraju tłumu w głównej sali galerii tuż przy młodej kobiecie w czerwonej jedwabnej bluzce, z głową opuszczoną i ustawioną pod pewnym kątem do jej twarzy, mądrze przytakując i od czasu do czasu wydając z siebie fatyeczny pomruk, nie jest, jak mogłoby się wydawać, księdzem, który za jej namową wysłuchuje po godzinach spowiedzi, ani psychiatrą wrobionym w bezpłatną konsultację w trakcie bankietu; nie przyjął też tej postawy, żeby mieć lepszy widok na dekolt bluzki, choć tak się składa, że jest to dodatkowa, a właściwie jedyna zaleta tej sytuacji. Powodem takiego ułożenia przezeń ciała jest panujący w sali hałas - gwar rozmów odbija się od twardych powierzchni sufitu, ścian oraz podłogi i krąży nad głowami zebranych, skłaniając ich do jeszcze głośniejszego wykrzykiwania zdań, żeby inni mogli ich usłyszeć. W lingwistyce mówi się o „odruchu Lombarda” od nazwiska Etiennea Lombarda, który na początku dwudziestego wieku odkrył, że mówiący zwiększa wysiłek głosowy w obecności hałasu, żeby zapobiec obniżeniu zrozumiałości swej wypowiedzi. Kiedy wiele osób jednocześnie ulega temu odruchowi, rzecz jasna same stają się źródłem hałasu w najbliższym otoczeniu i doprowadzają do jego stopniowego narastania. Dla mężczyzny, który teraz niemal opiera się nosem o biust kobiety w czerwonej bluzce, gdy stara się zbliżyć prawe ucho do jej ust, hałas już jakiś czas temu osiągnął poziom pozwalający mu jedynie od czasu do czasu wyłowić sło-

7

wo lub wyrażenie z tych, które do niego kieruje kobieta. Wśród nich powtarza się chyba „bój”, a może „strój”. I „włamanie co noc” - a może raczej „wołanie o pomoc”. Widzicie, on źle słyszy, jest „upośledzony słuchowo” albo, mówiąc wprost, głuchy, nie kompletnie głuchy, na tyle jednak, by w większości towarzyskich sytuacji kontakt z otoczeniem stawał się niedoskonały, a w niektórych - takich jak ta - wręcz niemożliwy.

Nosi aparat słuchowy, kosztowne urządzenie cyfrowe z niewielkimi beżowymi słuchawkami, idealnie dopasowanymi do kształtu uszu, jak małe śliniaczki w muszelnikach, i z programem wyciszania odgłosów w tle, choć kosztem wyciszenia także dźwięków z pierwszego planu, a przy pewnym poziomie decybeli te pierwsze całkowicie zagłuszają te drugie, co dzieje się właśnie teraz. Sytuacji w żaden sposób nie poprawia fakt, że kobieta jest najwyraźniej wyjątkiem od reguły i nie ulega „odruchowi Lombarda”. Zamiast mówić wyższym i silniejszym głosem, jak wszyscy inni w tej sali, utrzymuje ton wypowiedzi, który odpowiada raczej pogawędce w cichym salonie lub podczas tête-à-tête w nielicznie uczęszczanej herbaciarni. Rozmawiają, a raczej to ona mówi od jakichś dziesięciu minut, a on, choć wytęża słuch, nie jest w stanie dociec tematu rozmowy. Czy chodzi o obiekty na ścianach - powiększone fotografie ukazujące miejskie pustkowia i wysypiska śmieci? Wątpliwe, kobieta nie spogląda na nie ani ich nie wskazuje, a jej intonacja, którą on ledwo co jest w stanie zarejestrować, nie ma charakterystycznego orzekającego brzmienia typowego dla wypowiedzi znawców sztuki, czyli artystycznego bełkotu, jak je czasem lekceważąco nazywa, gdy droczy się z żoną. Jej ton wskazuje raczej na coś osobistego, anegdotycznego i poufnego. Zerka na twarz kobiety, sprawdzając, czy może w ten sposób uzyskać jakąś podpowiedź. Blondynka wbija w niego żarliwe spojrzenie niebieskich oczu i przerywa nagle, jak gdyby spodziewała się odpowiedzi. „Rozumiem”, mówi więc,

«

przybierając taką minę, by wyrażała zarówno zamyślenie, jak i życzliwość, licząc na to, że jedno lub drugie okaże się stosowne, a przynajmniej nie groteskowo niestosowne wobec tego, co zostało powiedziane. Kobieta wygląda na usatysfakcjonowaną i znów zaczyna mówić. Mężczyzna nie przyjmuje na nowo poprzedniej postawy: naprawdę nie ma sensu nadstawić prawej słuchawki, żeby wyłowić jej słowa, kiedy do lewej wlewa się gwar zebranych, a gdyby spróbował zastonić lewe ucho, efektem byłoby tylko sprzężenie w aparacie, nie mówiąc już o ekscentrycznej pozie. Co robić? Co powiedzieć, kiedy kobieta znowu przerwie? Jest już o wiele za późno, żeby wyznać: „Przepraszam, ale od dziesięciu minut nie słyszę ani słowa z tego, co pani do mnie mówi - (teraz już chyba minął kwadrans) - widzi pani, jestem głuchy, w tym zgiefku nic nie słyszę”. Będzie się dziwić, słusznie zresztą, dlaczego nie poinformował jej o tym wcześniej, dlaczego pozwolił jej się rozgadać, dlaczego kiwał głową i pomrukiwał, jak gdyby ją rozumiał. Będzie zła, zażenowana, urażona, a on nie chce jej się wydać niegrzeczny. Niewykluczone, że jest klientką żony, to jedno, a poza tym sprawia całkiem przyjemne wrażenie, ta młoda, najwyżej dwudziestokilkuletnia kobieta o jasnoniebieskich oczach, bladej i gładkiej cerze, prosto obciętych lnianych włosach do ramion z przedziałką pośrodku i naturalnie kształtnej sylwetce - cieniste wgłębienie między piersiami ledwie widoczne w rozpięciu bluzki wskazuje, że nie są sztucznie powiększone silikonem ani wypchane do przodu i do góry dzięki specjalnej bieliznie, mają natomiast rozedrganą plastyczność prawdziwego, niczym nieskrępowanego ciała, z delikatnym rozświetleniem skóry przywodzącym na myśl dobrą porcelanę - a on nie chciałby robić złego wrażenia na atrakcyjnej młodej kobiecie, która zawraca sobie głowę rozmową ze starym przykiem takim jak on, nawet jeśli jest to przypadkowe spotkanie i mało prawdopodobne, by kiedyś się powtórzyło.

Kobieta przerywa znowu monolog i spogląda na niego wyczekująco.

- Bardzo ciekawe - mówi on. - Bardzo ciekawe.

Grając na zwłokę, sprawdzając, czy te słowa wystarczą, przysuwa kieliszek do ust, a wtedy zauważa, że niewiele w nim zostało, i musi przechylić go niemal do góry nogami i przytrzymać tak przez kilka sekund, żeby resztki chilijskiego char-donnay spłynęły mu do gardła. Kobieta przypatruje mu się z zaciekawieniem, jak gdyby myślała, że zaraz wykona jakąś sztuczkę, na przykład ustawi sobie kieliszek na czubku nosa. Jej kieliszek białego wina jest prawie pełen, nie pociągnęła z niego nawet łyčka, odkąd zaczęła z nim rozmawiać, nie może jej więc zaproponować, żeby razem udali się po wino, natomiast samotne pójście do baru lub propozycja, by poszła tam z nim, wydają się równie niestosowne. Na szczęście kobieta okazuje zrozumienie wobec jego trudnego położenia - nie tego prawdziwego, które wynika z całkowitego niezrozumienia tego, co do niego mówi, ale wobec faktu, że jej rozmówca potrzebuje wina - i z uśmiechem, wskazując jego pusty kieliszek, mówi coś, co on całkiem pewnie interpretuje jako zachętę do pójścia po wino.

- Chyba to zrobię - mówi. - Może pani też przyniosę?

Głupie pytanie, bo co niby miałyby zrobić z dwoma kieliszkami białego wina, po jednym w każdej dłoni? Wyraźnie przecież widać, że nie jest osobą, która łapczywie wyłopie cały kieliszek, zanim on przyniesie jej następny. Uśmiecha się jednak znowu (ładny uśmiech, odsłaniający rząd drobnych, równych, białych zębów), ruchem głowy odmawia, po czym ku jego konsternacji zadaje pytanie. Poznaje, że jest to pytanie, po intonacji, szerszym otwarciu niebieskich oczu i uniesieniu brwi - pytanie, które wyraźnie domaga się odpowiedzi. Postanawia zaryzykować i mówi „tak”, a ponieważ jego rozmówczyni sprawia wrażenie zadowolonej, dodaje śmiało: „Jak najbar-

10

ziej”. Kobieta zadaje mu kolejne pytanie, na które on również odpowiada twierdząco, a następnie, co go trochę zaskakuje, wyciąga do niego rękę. Najwyraźniej zamierza się oddalić.

- Bardzo miło było panią poznać - mówi i ściska jej dłoń. Jest chłodna i lekko wilgotna w dotyku. - Jak pani godność... obawiam się, że w tym gwarze nie dosłyszałem.

Kobieta znowu mówi mu, jak się nazywa, lecz sprawa jest beznadziejna: imię brzmi trochę jak „aks”, wykluczone, żeby miała tak na imię, nazwisko zaś jest całkowicie niesłyszalne, nie może jednak znowu poprosić o jego powtórzenie.

- Aha - mówi, kiwając głową, jak gdyby z zadowoleniem, że zdołał zakonotować tę informację. - Rozmowa z panią była szalenie zajmująca.

- Co to za blondynka, ta dziewczyna, z którą rozmowa tak cię pochłonęła? - Fred zapytała mnie w samochodzie, gdy wracaliśmy do domu. Za kierownicą siedziała ona, ponieważ wypita bardzo mało, ja zaś całkiem sporo.

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Przedstawiła się, nawet dwa razy, ale nic nie zrozumiałem. Nie słyszałem ani słowa z tego, co do mnie mówiła. Ten hałas...

- Wszystko przez ten beton: dźwięki odbijają się od niego.

- Myślałem, że może być jedną z twoich klientek.

- Nie, nigdy jej nie widziałam. Jak ci się podobała wystawa?

- Przygnębiająca. Nudna. Takie zdjęcia mógłby zrobić każdy, kto ma aparat cyfrowy. Tylko po co?

- Uważam, że tchnęły jakimś... smutkiem.

To skrócona wersja naszej rozmowy, która przebiegała mniej więcej następująco:

- Co to za dziewczyna, ta, z którą rozmowa tak cię pochłonęła?

-Co?

u

- Byłeś pochłonięty rozmową z tą młodą blondynką.
- Ktoś przyjechał z Londynu?
- Nie. Ta blondynka, z którą rozmawiałeś, kto to jest?
- Ach, nie mam pojęcia. Przedstawiła się, nawet dwa razy, ale nic nie zrozumiałem. Nie słyszałem ani słowa z tego, co do mnie mówiła. Ten hałas...
- Wszystko przez ten beton.
- Z jakiego Tybetu?
- Nie, mówię, że wszystko przez ten beton. Betonowe ściany, podłoga. Dźwięki odbijają się od nich.
- Ach...

(Przerwa.)

- Jak ci się podobała wystawa?
- Myślałem, że może być jedną z twoich klientek.
- Kto?
- Ta blondynka.
- Ach. Nie, nigdy jej nie widziałam. Jak ci się podobała wystawa?
- Co?
- Wystawa, jak ci się podobała?
- Przygnębiająca, nudna. Takie zdjęcia mógłby zrobić każdy, kto ma aparat cyfrowy.
- Uważam, że tchnęły jakimś... smutkiem.
- Według ciebie były słodkie?
- Smutkiem, tchnęły smutkiem. Założyłeś aparat, kochanie?
- Oczywiście.
- Nie działa chyba zbyt dobrze.

Miała absolutną rację. Stuknąłem paznokciem w słuchawkę w prawym uchu i usłyszałem tylko głuchy, martwy dźwięk. Bateria wysiadła, a ja nawet tego nie zauważyłem. Nie wiem, w którym momencie tego wieczoru to nastąpiło. Może dlatego nie słyszałem, co mówiła do mnie blondynka, chociaż wątpię. To się pewnie stało, kiedy poszedłem do toalety, czyli już po jej

12

odejściu. Było tam cicho, mogłem więc nie zarejestrować utraty głośności albo przypisać ją ciszy panującej w toalecie w porównaniu z kakofonią w galerii, a kiedy wróciłem na bankiet, nie próbowałem nawet z nikim rozmawiać, udawałem tylko zainteresowanie fotografiami, które tak naprawdę w ogóle nie budziły mojego zainteresowania, ani nie tchnęły smutkiem, ani nie były słodkie. Były jedynie banalne.

- Bateria mi wysiadła - oznajmiłem. - Mam wymienić na nową? To nie będzie proste po ciemku.
- Nie, daruj sobie - odpowiedziała Fred.

Ostatnio często tak odpowiada. Wchodzi na przykład do mojego gabinetu, kiedy pracuję przy komputerze bez aparatu słuchowego, który kojący szmer klawiatury zamienia w natarczywy stukot godny staromodnego remingtona, i powie coś, czego nie usłyszę, a ja w ułamku sekundy muszę podjąć decyzję, czy przerwać rozmowę do czasu, aż dobiorę się do futerału z aparatem słuchowym i wsunę słuchawki do uszu, czy spróbować improwizować bez nich - i zazwyczaj próbuję improwizować, a wtedy dialog wygląda mniej więcej tak:

Fred: Mru mru mru

Ja: Co?

Fred: Mru mru mru.

Ja: {grając na zwłokę} Aha.

Fred: Mru mru mru.

Ja: (zgadując treść komunikatu) Dobrze.

Fred: {ze zdziwieniem} Co?

Ja: Co mówiłaś?

Fred: Dlaczego powiedziałaś „dobrze”, skoro nie usłyszałaś, co mówiłam?

Ja: Czekaj, założę aparat.

Fred: Daruj sobie. To nic ważnego.

13

Resztę drogi do domu przejechaliśmy w milczeniu. Udałem się do mojego gabinetu, by zainstalować

nową baterię w prawej słuchawce aparatu. Zużywam jakąś niesamowitą liczbę baterii, ponieważ odkładając go do małego, wyłożonego pianką futerału na suwak, często zapominam wyłączyć aparat, a potem, jeśli Fred nie usłyszy piskliwego dźwięku sprzężenia, który emituje, kiedy jest w ten sposób zamknięty, i nie zwróci mi na to uwagi, baterie stają się bezużyteczne, wyczerpane. Często zdarza się to w nocy, jeśli zdejmę słuchawki w gabinecie albo w łazience przed położeniem się spać i zostawię je tam, gdzie brzęczą do samych siebie jak komary. Zdarza się to już tak często, nawet kiedy szczególnie się staram, by do tego nie dopuścić, że czasem podejrzewam jakiegoś chochlika o włączanie aparatu w nocy po wyłączeniu go przeze mnie. Po prostu nie mogę uwierzyć, kiedy rano otwieram futerał i znajduję włączony aparat, gdy tymczasem tak dobrze pamiętam moment jego wyłączenia. Gdzieś na szlaku moich bodźców nerwowych musi istnieć jakieś zapętlenie, które sprawia, że nieświadomie włączam aparat po świadomym jego wyłączeniu, odruchowo przesuwając kciukiem przełącznik baterii w chwili, gdy układam słuchawki do snu w gniazdkach z syntetycznej pianki. „Odruch Batesa” od nazwiska Desmond Batesa, który odkrył na początku dwudziestego pierwszego wieku, że w użytkownikach rodzi się nieświadomiona nienawiść do aparatów słuchowych, wskutek czego „karcą” te urządzenia, beztrudno doprowadzając do wyczerpania się baterii. Właściwie karcą samych siebie, bo te baterie są strasznie drogie, komplet sześciu kosztuje prawie cztery funty. Sprzedaje się je w okrągłym opakowaniu z przezroczystego plastiku z sześcioma przegródkami, pomysłowo umieszczone na tekturowej podkładce jak na karuzeli, którą obraca się, żeby wydobyć nową baterię przez klapkę z tyłu. Do każdej baterii przytwierdzony jest brązowy plastikowy języczek zapobiegający wytracaniu przez nią mocy,

14

tak przynajmniej mi się wydaje, i należy go usunąć przed włożeniem baterii do słuchawki. Te małe lepkie płatki potem dosyć trudno odklejają się od palców, przez co nie można się ich pozbyć. Często przenoszę je na jakąś powierzchnię w zasięgu ręki, toteż blat mojego biurka, segregatory, teczki i inne pomoce biurowe upstrzone są maleńkimi brązowymi kropkami, które przypominają odchody jakiegoś małego nocnego gryzonia. Instrukcja na opakowaniu każe odczekać co najmniej minutę po zdjęciu plastikowego języczka przed zainstalowaniem baterii w słuchawce (nie pytajcie mnie, dlaczego), często jednak uwolnienie się od języczka zajmuje mi więcej czasu.

Kiedy wymieniłem baterię, przeszedłem do salonu, lecz Fred udała się już do sypialni, żeby poczytać w łóżku. Wiedziałem, że to właśnie robi, chociaż tego nie zapowiedziała, tak jak małżonkowie wiedzą o typowych dla siebie zamiarach bez konieczności informowania o nich partnera, co jest szczególnie przydatne, kiedy się niedosłyszysz; zresztą gdyby werbalnie poinformowała mnie o swym zamiarze, prawdopodobnie coś bym źle zrozumiał. Nie chciałem pójść w jej ślady, bo nie umiem czytać w łóżku i po pięciu minutach odpływam, a na sen było za wcześnie - obudziłbym się tylko nad ranem i przewracał z boku na bok, nie chcąc wstawać w chłodzie i mroku, bez szansy jednak na ponowne zaśnięcie.

Pomyślałem, czy nie obejrzeć wiadomości o dziesiątej, lecz te programy są ostatnio tak przygnębiające - ataki bombowe, morderstwa, zbrodnie, plagi głodu, epidemie, globalne ocieplenie - że człowiek woli ich unikać o tej porze, niech poczekają, myślimy, na poranną gazetę i bardziej zdystansowane prasowe medium. Wróciłem więc do gabinetu i sprawdziłem skrzynkę mailową: „Nie masz nowych wiadomości”, a potem postanowiłem spisać relację z mojej rozmowy (a raczej nie-rozmowy) podczas wernisażu, która

choć stresująca, z perspektywy czasu wydawała się dość zabawna. Najpierw zrobi-

15

łem to w formie typowego wpisu do dziennika, potem przepisałem ją w trzeciej osobie, w czasie teraźniejszym, wykonując w ten sposób ćwiczenie, które zadawałem moim studentom na zajęciach ze stylistyki. Zamiast pierwszej osoby - trzecia, zamiast czasu przeszłego - teraźniejszy i na odwrót. Jak wpływa to na ostateczny efekt? Czy taka, a nie inna metoda jest bliższa pierwotnemu doświadczeniu, czy każda metoda interpretuje, a nie reprezentuje doświadczenie? Rozwiń.

W mowie możliwości są bardziej ograniczone - chociaż mój przyszywany wnuk Daniel, syn Marcii, jeszcze tego nie przyswoił. Ma dwa i pół roku i jak na swój wiek niezły zasób słownictwa, zawsze jednak mówi o sobie w trzeciej osobie, w trybie oznajmującym, w czasie teraźniejszym. Kiedy mówi mu się, że czas do łóżka, odpowiada: „Danielowi nie chce się spać”. Kiedy proszę: „Pocałuj dziadka”, odpowiada: „Daniel nie całuje dziadków”. Dzieciaki mają oczywiście kłopoty z opanowaniem zaimków, ponieważ, jak mawiamy w branży, w grę wchodzi tak zwane przesuwki, ich znaczenie zależy całkowicie od tego, kto ich używa: „ty” odnosi się do ciebie, kiedy mówię ja, lecz do mnie, kiedy mówisz ty. Dlatego prawidłowe postępowanie się zaimkami zawsze następuje dość późno w akwizycji języka przez dziecko, chociaż stosowanie przez Daniela wyłącznie trzeciej osoby w jego wieku jest raczej nietypowe. Marcia niepokoi się tym i zapytała mnie, czy nie jest to przypadkiem symptom czegoś poważnego, na przykład autyzmu. Zadałem jej pytanie, czy kiedy rozmawia z Danielem, mówi czasem o sobie w trzeciej osobie, na przykład „mamusia jest zmęczona” albo „mamusia musi ugotować obiad”, a wtedy przyznała, że od czasu do czasu rzeczywiście tak robi. „Chcesz powiedzieć, że to moja wina?” - zapytała z nutą urazy. „Chcę powiedzieć, że on ciebie naśladuje - odparłem. - Jest to dość powszechne. Niedługo z tego wyrośnie”. Powiedziałem jej, że zdania Daniela są nadzwyczaj poprawne gramatycznie jak na

16

jego wiek, i wyraziłem przekonanie, że jej syn wkrótce nauczy się zaimków. Prawdę mówiąc, uważam, że to czarujące, kiedy tak mówi: „Danielowi chce się pić”, „Daniel nie sprząta”, „Daniel się dzisiaj wstydzi”, z zauważalną chwilą zastanowienia przed każdą wypowiedzią. Jest w nich niemal królewska powaga i oficjalność, jak gdyby był księciem lub następcą tronu. Nazywam go delfinem Danielem. Lecz młodzi rodzice, w każdym razie ci wykształceni przedstawiciele klasy średniej, są teraz bardzo przeczuleni, media bombardują ich tyloma informacjami o tym wszystkim, co może dotknąć ich dzieci - autyzm, dysleksja, zaburzenia uwagi, alergie, otyłość i tak dalej - że znajdują się w stanie ciągłej paniki, jak sępy wypatrując u swych latorośli sygnałów ostrzegawczych. I jest to zaraźliwe: kiedyś nie niepokoiłem się o ciężę Maisie tak bardzo jak teraz, kiedy dziecka spodziewa się Anne. Trzydzieści siedem lat to późny wiek na pierwszy poród.

2

1 listopada 2006. Z dość dużą przyjemnością pisało mi się ten kawałek wczoraj wieczorem i czytało go dziś rano. Im bardziej utrudniony staje się kontakt słuchowo-ustny, tym bardziej kusząca wydaje się

całkowita kontrola, jaką sprawujemy nad dyskursem pisemnym, zwłaszcza kiedy tematem jest głuchota. Trochę więc sobie jeszcze popiszę.

Po raz pierwszy zorientowałem się, że głuchną, ze dwadzieścia lat temu. Wcześniej przez jakiś czas zdawałem sobie sprawę, że coraz trudniej jest mi zrozumieć, co mówią studenci, szczególnie podczas ćwiczeń, gdy wokół stołu siedzi ich od dwunastu do dwudziestu. Wszystko przez to, podejrzewałem, że mamrocą pod nosem - i rzeczywiście wielu mamrocze, bo są nieśmiali, zdenerwowani lub wolą nie okazywać asertywności przy rówieśnikach - tylko dlaczego nie miałem z tym problemu, kiedy byłem młodszy? A może mam uszy zatkane woskowiną, zastanawiałem się, poszedłem więc do lekarza pierwszego kontaktu. Za pomocą chłodnego stalowego przyrządu optycznego zajrzał mi do uszu i stwierdził, że nie widzi nadmiaru woskowiny, lepiej więc będzie, jeśli zbadam słuch na oddziale otolaryngologicznym szpitala uniwersyteckiego.

Sporządzono audiogram: zakłada się słuchawki i bierze do rąk aparacik z guzikiem, który się wciska, usłyszawszy dźwięk. Audiolog obsługujący swoje urządzenie jest niewidoczny dla badanego, nie można więc oszukiwać, zresztą po co ktoś miałby oszukiwać? Te dźwięki to nie słowa, nawet nie fonemy, tyl-

18

ko krótkie piknięcia, które stają się coraz cichsze albo coraz wyższe, aż w końcu przestaje się je słyszeć, jak krzyki ptaka wzbijającego się w przestworza. Philip Larkin odkrył, że głuch-nie, podczas spaceru na Szetlandach z Monicą Jones, kiedy jego towarzyszka wspomniała, jak pięknie śpiewają skowronki. Zatrzymał się, zaczął nasłuchiwać, ale ich nie słyszał. To dość przejmujące, kiedy poeta dowiaduje się w taki sposób, że głuch-nie, zwłaszcza kiedy się pomyśli o Odzie do skowronka Shelleya („Bądź pozdrowiony, duchu beztroski!"), jednym z tych wierszy, których wszyscy w Anglii uczą się na pamięć w szkole, a raczej uczyli, zanim teoria nauczania zwróciła się przeciwko wkuwaniu poezji na pamięć. Do tego nosił takie nazwisko, Larkin* - rzecz niemal śmieszna, czarny humor, jak zawsze głuchota i komizm idą ręką w rękę.

O ile ślepotą jest tragiczna, o tyle głuchota pozostaje komiczna. Weźmy na przykład Edypa: przypuśćmy, że zamiast się oślepić, przebija sobie bębenki. Właściwie byłoby to bardziej logiczne, gdyż straszną prawdę o swej przeszłości usłyszał, nie miałoby to jednak takiego samego katartycznego efektu. Mogłoby wzbudzić litość, ale nie przerażenie. Albo Samson Milтона: „Ciemność, ciemność, w południa blasku ciemność Ta noc na zawsze, wieczyste zaćmienie Bez nadziei na jasność!" Cóż za rozdzierający serce krzyk rozpacz! Cisza, cisza... już jakoś nie ma tego samego patosu. Jak mogłoby to brzmieć dalej? „Cisza, cisza, w południa zgiełku cisza Ta głusza na zawsze, wieczyste milczenie Bez nadziei na dźwięk!" Nie.

Oczywiście można dowodzić, że ślepotą jest większym nieszczęściem niż głuchota. Gdybym miał wybierać, przyznaję, że zdecydowałbym się na głuchotę. Nie różni ich jednak wyłącznie stopień deprywacji sensorycznej. Pod względem kul-

* Lark (ang.) - skowronek (wszystkie przypisy tłumacza).

** Samson Milтона w przekładzie Michała Sprusińskiego.

19

turowym, symbolicznym, leżą na przeciwnych biegunach. Jak tragizm i komizm. Poezja i proza. Wzniosłość i śmieszność. Jedno z najgorszych przekleństw w języku angielskim brzmi *Damn your eyes* - „Ażebyś oślepnął!” (jest dużo mocniejsze niż *Fuck you* i daje nieporównywalnie większą satysfakcję - wypróbujcie je następnym razem, gdy jakiś cham w białej furgonetce o mało was nie przejedzie). *Damn your ears* - „Ażebyś ogłuchł!” to już nie to samo. Albo wyobraźmy sobie, że poeta napisał „Uszami pij do mnie...”^{*} Właściwie prośba ta nie jest bardziej nielogiczna niż: „Pij oczami”. Obydwie metafory są pojęciami równie nieprawdopodobnymi, chociaż szczerze mówiąc, ucho bardziej niż oko przypomina naczynie i można sobie wyobrazić, że pijemy, a przynajmniej próbujemy pić z jakiegoś ucha, choć oczywiście nie z własnego... Poezji w tym wszak nie ma. Podobnie refren „Dym dostaje ci się do uszu”^{**} nie byłby bardzo chwytny. Jeśli dym dostaje ci się do oczu, kiedy gaśnie miłosny płomień, musi też dostać się do uszu, ale nie zauważasz tego i nie zaczynasz ronić łez. „Jest w tym coś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut ucha” - coś takiego mógłby wypowiedzieć inspektor Clouseau, nie Poirot.

Niewidomych otacza nimb tragizmu. Widzący okazują im litość, dokładają wszelkich starań, żeby im pomóc, przeprowadzają ich przez ruchliwą ulicę, ostrzegają o przeszkodach, głaszczą psa przewodnika. Psy, białe laski, ciemne okulary są widocznymi oznakami ich inwalidztwa i wzbudzają natychmiastowy przyływ współczucia. My, głusi, nie dysponujemy podobnymi znakami ostrzegawczymi, które wywołują współczucie. Nasze aparaty słuchowe są prawie niewidoczne, nie posiadamy też uroczych zwierząt opiekujących się nami z oddaniem. (Co byłoby odpowiednikiem psa przewodnika dla głu-

* Nawiązanie do wiersza Bena Jonsona *Do Celii*.

** Parafraza tytułu amerykańskiego standardu *Smoke Gets In Your Eyes*, najbardziej znanego z wykonania zespołu *The Platters*.

20

chych? Skrzecząca do ucha papuga na ramieniu?) Nieznajomi nie uświadamiają sobie, że ktoś jest głuchy, dopóki po pewnym czasie nie powiedzie się próba kontaktu, a wtedy pojawia się raczej nie współczucie, tylko zniecierpliwienie. „Nie będziesz złorzeczył głuchemu. Nie będziesz kładł przeszkody przed niewidomym”, czytamy w Biblii (Księga Kapłańska 19,14)^{*}. Cóż, tylko sadysta celowo podstawiłby nogę niewidomemu, ale nawet mojej żonie od czasu do czasu wymysknie się „Cholera jasna!”, kiedy nie może się ze mną dogadać. Prorocy i wróżbici bywają niewidomi - na przykład Tyrezjasz - ale nigdy głusi. Wyobraźcie sobie, że przychodzicie ze swoim pytaniem do Sybilli, a w odpowiedzi słyszycie pełne irytacji „Co? Co?”

Szanse w rywalizacji między tymi dwoma narządami są bardzo nierówne. Oczy są oknami duszy, wyrażają

uczucia, występują w subtelnych, urzekających kolorach i odcieniach, wypełniają się łzami, lśnią, błyszczą i iskrzą się. Uszy, cóż, tak naprawdę wyglądają śmiesznie, zwłaszcza kiedy odstają, sama skóra i chrząstki, wydzielają woskowinę, wyrastają z nich włoski, nic więc dziwnego, że kobiety, a w pewnych społeczeństwach i epokach także mężczyźni, w płatkach ucha noszą kolczyki, żeby odciągnąć wzrok od włochatych dziurek prowadzących do mózgu. No bo jaką jeszcze funkcję ma płatek ucha? Może ten bezużyteczny w sumie kawałek bezkostnej tkanki wykształcił się następująco: w czasach prehistorycznych ludzie mający więcej miejsca na dolnej krawędzi ucha na kolczyki zyskiwali większą przewagę w procesie łączenia się w pary, cieszyli się większym powodzeniem. Nie byłaby to jednak żadna zaleta, gdyby uszy nie pełniły swej podstawowej funkcji.

Spośród wszyściutkich babin głuchych na oba uszy

Eleonora Spearing żyła w największej głuszy

* Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Warszawa-Poznań 1996.

21

Z boku głowy miała Dwa płatki ciała Na nich kolczyki złote nosić wiecznie chciała Lecz podczas konwersacji te jej małżowiny Słyszały tyle samo co lepione z gliny

Thomas Hood, Historia pewnej trąbki. Nie do końca ta sama klasa co Larkin, lecz Larkin, jeśli dobrze pamiętam, nie napisał wiersza o głuchocie. Może sprawa wydawała mu się zbyt przygnębiająca, by się nad nią rozwodzić, chociaż pisał o wielu innych przygnębiających sprawach. Odszukałem właśnie anegdotę o skowronkach w biografii pióra Andrew Motiona. Rzecz wydarzyła się w roku 1959, więc Larkin miał wtedy zaledwie trzydzieści siedem lat. „W miarę, jak w kolejnych latach pogarszał mu się słuch, czuł się coraz bardziej osamotniony, uwięziony w niedoskonałym ciele, żałosny i śmieszny... Jego głuchota stopniowo pogłębiała jego melancholię”. Tak, wiemy, wiemy. Byłem nieco starszy od niego, kiedy się dowiedziałem, przekroczyłem już czterdziestkę, czekało mnie jednak więcej lat na to, by czuć się żałosnym i śmiesznym.

Po badaniu słuchu udałem się do otolaryngologa, pana Hop-wooda, tęgiego, wąsatego łysielca o nieco udręczonym wyrazie twarzy, niewątpliwie zdającego sobie sprawę z długiej kolejki pacjentów usadowionych w tłoczonych plastikowych fotelach na korytarzu. Dzień był upalny, zdjął więc marynarkę ciemnogrnatowego garnituru w prążki i siedział w kamizelce za zaśmieconym biurkiem. Pokazał mi wykresy, które audiolog wykonał na papierze milimetrycznym, oddzielnie dla każdego ucha. Przypominały nieco schematy konstelacji, z liniami prostymi łączącymi oznaczone krzyżykami piknięcia. Wzór był mniej więcej taki sam dla obojga uszu. Hopwood zakomunikował mi, że cierpię na niedosłuch w zakresie wysokich czę-

22

stotliwości, najczęściej spotykaną formę czegoś, co nazywają „nabytym niedosłuchem” (w odróżnieniu od wrodzonego), spowodowanym przyspieszonym zanikiem w uchu wewnętrznym komórek rzęsatych,

które przetwarzają fale dźwiękowe na sygnały trafiające do mózgu. Wygląda na to, że wszyscy zaczynamy tracić te komórki już w chwili narodzin, mamy ich jednak więcej, niż potrzeba, jakieś siedemnaście tysięcy w jednym uchu, i dopiero kiedy stracimy około trzydziestu procent, nasz słuch zaczyna słabnąć, co większości ludzi przytrafia się mniej więcej w wieku sześćdziesięciu lat, innym zaś, takim jak Philip Larkin i ja, dużo wcześniej.

Przyczyny mogą być różne. Najczęstszym z nich jest trauma: narażenie na zbyt duży hałas - na przykład ognia artyleryjskiego. Wielu artylerzystów cierpi pod koniec życia na niedosłuch w zakresie wysokich częstotliwości, zwłaszcza jeśli nie dbali o to, by nosić ochraniacze na uszy; podobnie robotnicy pracujący w przemyśle w bardzo hałaśliwych warunkach. Ryzyko zawodowe tego typu mnie nie dotyczyło. Unikałem wojska aż do obrony pracy doktorskiej, a wtedy już obowiązkowa służba została zniesiona, w fabryce natomiast nigdy nie pracowałem. Kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych brałem udział w konferencji w San Francisco, poszedłem na koncert rockowy w Fillmore West (moim ulubionym rodzajem muzyki był jazz nowoczesny, Brubeck, Modern Jazz Quartet, Chico Hamilton, Miles Davis) - ktoś na konferencji powiedział mi, że się wybiera do tej słynnej sali koncertowej, poszedłem więc z nim z czystej ciekawości. Nie pamiętam nazwy grupy, lecz nagłośnienie było tak potężne, że aż rozboleły mnie uszy. Odsuwałem się coraz dalej od sceny, a po jakiejś półgodzinie wyszedłem, nie mogąc tego dłużej znieść - do końca wieczoru brzęczało mi w uszach. Zapytałem Hopwooda, czy wtedy mogło dojść do jakiegoś uszkodzenia. Odpowiedział, że jego zdaniem jest bardzo mało prawdopodobne, by tak się stało

23

wskutek jednego kontaktu, chociaż bywalcom klubów i koncertów rockowych grozi takie niebezpieczeństwo od słuchania nadmiernie głośnej muzyki. W grę może wchodzić skłonność genetyczna, chociaż nie pamiętam w rodzinie żadnych przypadków przedwczesnej głuchoty. Tata jest prawie tak głuchy jak ja, ale wobec swoich osiemdziesięciu dziewięciu lat ma do tego prawo. Nie przypominam sobie, by miał jakieś problemy, kiedy był w moim wieku. Co więcej, pracował jeszcze po siedemdziesiątce, grywając sporadycznie w sobotnie wieczory w staromodnych klubach, gdzie wciąż organizowano dansingi z zespołem podstarzałych muzyków, gdy reszta świata podrygiwała i szalała na parkietach dyskotek. Chociaż, jak o tym dłużej pomyśleć, lekki niedosłuch nie był zbyt wielką przeszkodą przy grze w takich zespołach - może był nawet zaletą.

Zatem jeśli nie trauma ani geny, najbardziej prawdopodobną przyczyną mojego niedosłuchu jest jakaś choroba przeżyta w dzieciństwie, wirus albo infekcja ucha, która nieodwracalnie uszkodziła komórki rzęsate. Rzeczywiście jako berbecę cierpiałem na bóle ucha, o czym później dowiedziałem się od mamy. „Miałeś wyrostek sutkowaty”, powiedziała, brzydka i złowroga nazwa, pomyślałem wtedy i wciąż tak myślę. A na początku lat czterdziestych antybiotyków nie było. Zresztą przyczyna mojej głuchoty jest przedmiotem czysto akademickiego zainteresowania (ciekawe, że „akademicki” może znaczyć tyle co „bezcelowy”), ponieważ jest ona nieuleczalna. Hopwood mi powiedział.

- Nie ma na to lekarstwa - oznajmił pogodnie. - Choroba będzie się pogłębiać, ale bardzo powoli, stopniowo. Z wiekiem doświadczy pan też utraty głośności na wszystkich częstotliwościach.
- Tak więc w końcu - zgadywałem - będę głuchy jak pień?

- Nie jak pień - odparł, marszcząc lekko brwi, jakby była to świeżo ukuta i nadmiernie emotywna metafora. - Teoretycznie utrata słuchu może sięgnąć dziewięćdziesięciu procent,

24

ale będzie pan miał dużo szczęścia, jeśli dożyje takiego wieku. Nie przejmowałbym się tym. Trzeba sobie załatwić aparat słuchowy. Przekona się pan, że poprawa będzie olbrzymia.

Pierwszy aparat sprawiła mi publiczna służba zdrowia, było to dosyć niewygodne urządzenie w dwóch częściach - jedną, rozmiarów cząstki mandarynki, zakładało się za ucho, zawierała ona mikrofon, wzmacniacz, baterię i przełączniki, a przezroczystym plastikowym wężykiem dźwięk wędrował do drugiej części, wykonywanej na miarę plastikowej wkładki umieszczanej w uchu. Zainstalowanie tego wszystkiego było uciążliwe, no i aparat taki rzucał się w oczy, chyba że ktoś zapuścił włosy na uszy, co byłoby łatwe w latach sześćdziesiątych, lecz w połowie osiemdziesiątych wyglądałoby nieco ekscentrycznie. Poza tym jeśli ktoś nosi okulary, tak jak ja, robi się ciasno w przestrzeni za małżowinami. Zausznik okularów może naciskać na plastikowy wężyk, odcinając dźwięk, a zdjęcie okularów może spowodować nieumyślne zrzućenie aparatu. Kiedyś ściągnąłem na ulicy zwykłe szkła, żeby założyć okulary przeciwsłoneczne, a wtedy mój aparat poszybował na jezdnię i wpadł pod koła furgonetki firmy kurierskiej. Mogłem go wymienić w ramach ubezpieczenia, postanowiłem jednak wystarać się drogą prywatną o jeden z modeli wewnątrzusznych, będących wówczas pewną nowością, istnym cudem mikroelektroniki, wszystkie komponenty mieszczą się bowiem w dopasowanej słuchawce nie większej od zatyczki do uszu. A jednak one też mogą sprawiać kłopot, właśnie dlatego że są takie małe. Parę lat temu, kiedy Fred prowadziła samochód, chciałem wymienić baterię i aparat spadł mi między fotel a drzwi. Jechaliśmy autostradą, więc Fred nie mogła się zatrzymać. Szukałem aparatu po omacku pod fotelem i już go wyczuwałem palcami, gdy wypadł przez niewielki otwór w metalowych szynach, na któ-

25

rych przesuwają się fotel, i zniknął w przestrzeni pod podłogą. Następnego dnia zabrałem wóz do warsztatu, gdzie mechanicy musieli wyjąć cały fotel i część podłogi, żeby wydobyć aparat z podwozia. Facet za kontuarem szczyrzył zęby od ucha do ucha, gdy podawał mi rachunek i zamkniętą w przezroczystej saszetce małą plastikową słuchawkę z oleistym odciskiem palca mechanika. „Pierwszy raz robiliśmy coś takiego”, oznajmił. Kosztowało mnie to osiemdziesiąt pięć funtów, ale nie miałem wyjścia, bo każdy aparat kosztuje ponad tysiąc. Korzystam teraz z dwóch, po jednym w każdym uchu. W przeszłości potrzebowałem tylko jednego. Moje stosunki z aparatami słuchowymi charakteryzuje stopniowa eskalacja kosztów i technicznego zaawansowania.

Mój pierwszy aparat wewnątrzuszny miał nieporęczny potencjometr głośności, maleńkie kółeczko, które obracało się koniuszkiem palca wskazującego, co wyglądało, jak gdyby ktoś próbował wkręcić sobie do głowy śrubę, z biegiem lat aparaty stawały się jednak coraz bardziej nowoczesne i ten najnowszy ma cyfrowe przetwarzanie dźwięku, trzy programy (do środowiska cichego, głośnego i z funkcją cewki indukcyjnej), ustawia się automatycznie przy dwóch pierwszych albo może być regulowany ręcznie pilotem ukrytym w zegarku (zupełnie jak w Bondzie). Niestety wygląda na to, że technika na razie osiągnęła kres swych możliwości i w najbliższych latach nie można oczekiwać żadnych wielkich

udoskonaleni. Parę lat temu czytałem w gazecie raport, który rozbudził we mnie pewne nadzieje - oto ludzie odzyskiwali słuch dzięki nowej technice implantów chirurgicznych, lecz kiedy zapytałem o tę kurację mojego lekarza, usłyszałem, że sprawdza się ona jedynie w przypadku innego typu niedosłuchu, otosklerozy, w której nieruchomieje jedna z kosteczek ucha środkowego, przenosząca wibracje do ucha wewnętrznego, i można ją sztucznie wymienić. Zrobił wywiad i dowiedział się, że wykonuje się eksperymenty z implantami w uchu wewnętrznym, lecz ich powodzenie jest ograniczone, a żeby się do nich zakwalifikować, trzeba mieć bardzo

26

i

duży ubytek słuchu. Krótko mówiąc, na mój rodzaj niedosłuchu nie ma lekarstwa, o czym Hopwood poinformował mnie dwadzieścia lat temu.

Gdy tylko powiedział o „niedosłuchu w zakresie wysokich częstotliwości”, wiedziałem, że to źle wróży.

- Dlatego umykają mi spółgłoski - powiedziałem.
- Zgadza się - odparł, najwyraźniej pod wrażeniem mojej uwagi. - Jak pan na to wpadł?
- Jestem lingwistą.
- Ach tak? Jakie języki?
- Tylko jeden - odpowiedziałem (ludzie często popełniają ten błąd). - Zajmuję się lingwistyką. Lingwistyką stosowaną, ściśle mówiąc.
- W takim razie rozumie pan problem?

Rozumiałem. Spółgłoski wymawia się z wyższą częstotliwością niż samogłoski. Samogłoski słyszałem doskonale - i wciąż słyszę. Lecz żeby odróżnić jedno słowo od drugiego, jesteśmy uzależnieni od spółgłosek.

- Jaki to był wyraz: „wieprz”, czy też „pieprz”
- Najwyraźniej powiedziałam, że zrobił się z niego mały wieprz.*

Może kot z Alicji w Krainie Czarów był przygłuchy: nie miał pewności, której spółgłoski użyła Alicja, gdy po raz pierwszy wypowiedziała to słowo, a jako dobrze wychowana dziewczynka z wiktoriańskiej klasy średniej musiała artykułować bardzo wyraźnie. „W” nazywa się szczelinową spółgłoską wargowo--zębową, ponieważ tworzy się ją, zbliżając górne zęby do dolnej wargi i przepuszczając między nimi trochę powietrza. Jest też głoską ciągłą, ponieważ można przedłużyć ten dźwięk, dopóki starczy tchu w piersi: wwwwwwwwwww... chociaż nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego komuś mogłoby na tym zależeć,

* Fragment Alicji w Krainie Czarów w przekładzie Marii Morawskiej.

chyba że chciał powiedzieć „won” i się rozmyślił. Liznąłem trochę fonetyki, chociaż nie jest to moja specjalność.

Kilka lat temu byłem na przyjęciu, nie tak głośnym, jak wczorajszy wernisaż, lecz hałas i tak był potworny. Usłyszałem, jak pewien mężczyzna zachwyca się czytaną właśnie książką pod tytułem: Being Deaf. Książka w sam raz dla mnie, jakiś poradnik, jak przypuszczałem, nie chciałem jednak przerywać rozmowy i żądać szczegółów bibliograficznych. Mężczyzna rozmawiał z dziewczyną, która z podziwem spoglądała mu w oczy i kiwała gorliwie głową, później zaś opuścił przyjęcie (z dziewczyną), zanim miałem okazję zamienić z nim słowo. Tak więc następnego dnia udałem się po wspomnianą książkę do księgarni Waterstones.

- Jak brzmi nazwisko autora? - zapytał mnie sprzedawca.

- Zdaje się, że Grace - odparłem.

Okazało się, że Crace, Jim Crace, a ta książka to powieść pod tytułem Being Dead.

Często tylko kontekst pozwala mi rozróżnić między takimi słowami, jak deaf i death lub dead*, czasem zaś te słowa wydają się wymienne. Głuchota jest pewnego rodzaju „przedśmiercią”, rozciągniętym w czasie wprowadzeniem do długiej ciszy, w której wszyscy prędzej czy później skończymy. „Do każdego na tej Ziemi, Głuchota przyjdzie wcześniej czy później”, mógł napisać Macaulay. Ale nie Dylan Thomas, „Po pierwszym ogłuchnięciu nie ma następnego”. Jest wiele etapów słuchowej degradacji, są jak długie schody prowadzące do grobu.

W dole wśród głuchych, w dole wśród głuchych, Tam w dole, tam w dole W dole wśród głuchych niech legnie!**

* Deaf, death, dead - podobnie brzmiące angielskie słowa: głuchy, śmierć, martwy

** Nawiązanie do starej angielskiej piosenki Down Among the Dead Men, do której słowa napisał prawdopodobnie John Dyer.

2 listopada. Dziś rano zdarzyło się coś dziwnego. Ubrany w szlafrok dojadłem śniadanie i czytałem gazetę. To jeden z nielicznych uroków emerytury sprawiający mi niekłamaną przyjemność - leniwe śniadanie, niespieszna lektura „Guardiana” przy trzeciej filiżance herbaty... Później dzień zazwyczaj się trochę dłuży. Fred wpadała co chwila do kuchni, w pełni ubrana, i przygotowywała się do wyjścia. Przed sklepem miała jeszcze umówioną wizytę u manikurzystki. Przyswoiłem sobie tę informację, ponieważ miałem w uszach aparat. Podczas śniadania wolę go nie nosić, gdyż wzmacnia w mojej głowie odgłosy jedzenia płatków kukurydzianych i tostów, przez co brzmią, jakby dinozaury chrupały kości w systemie

Surround, jakoś to jednak znoszę dla dobra małżeńskiej harmonii, kiedy wstajemy o tej samej porze. Fred sporządziła listę rzeczy do kupienia przeze mnie w supermarkecie, kiedy zadzwonił telefon.

- Odbierz, kochanie - poprosiła.

Często dodaje owo „kochanie”, choć niekoniecznie z czułością. Prawdę mówiąc, nie znam nikogo, kto potrafiłby wypowiadać to czułe słówko w tylu różnych tonach podszytych wrogimi nutami, takimi jak zniecierpliwienie, dezaprobatą, litość, ironia, niedowierzanie, rozpacz i znudzenie. Tym razem jednak było to lekko przymilne „kochanie”.

- Wiesz, że to do ciebie - westchnąłem, składając gazetę, i niechętnie wstałem od stołu. Czytałem dość interesujący, acz przygnębiający artykuł o starzejących się społeczeństwach

29

f

krajów rozwiniętych, w których wydłużająca się średnia długość życia łączy się z coraz mniejszą zdolnością do czerpania przyjemności z zyskanych lat ze względu na fizyczne i umysłowe osłabienie. - O tej porze nikt do mnie nie dzwoni - burknąłem. Zresztą odkąd przeszedłem na emeryturę, w ogóle mało kto do mnie dzwoni, niezależnie od pory dnia.

- Jeśli to Jakki, powiedz jej, że nie mam czasu. I przypomnij jej, że się spóźnię, bo idę sobie zrobić paznokcie - powiedziała Fred, marszcząc brwi nad listą zakupów. Jakki jest jej współniczką i jedną z wielu rzeczy, które mnie w Jakki irytują, jest jej wielki talent do zadzwożenia ludzi telefonami. Druga to sposób, w jaki pisze swoje imię.

Zdjąłem słuchawkę z umocowanego na ścianie aparatu i przyłożyłem ją do ucha, natychmiast wywołując pisk sprzężenia. Zawsze albo zapominam, że zwykle telefony wywołują ten efekt, jeśli nosi się aparat słuchowy, albo zapominam, że noszę aparat słuchowy, kiedy podnoszę słuchawkę zwykłego telefonu. Która wersja była prawdziwa tego dnia? Nie pamiętam. Wydobyłem aparat z prawego ucha i w pośpiechu go upuściłem, a gdy spadł na podłogę z winylowych płytek, krzyknąłem „Cholera!” Ostatnim razem, kiedy zrobiłem coś takiego, aparat słuchowy był do wyrzucenia. Moja polisa ubezpieczeniowa pokryła koszty nowego, ale jeśli wystąpię o kolejne tysiąc funtów, firma ubezpieczeniowa może odmówić przedłużenia umowy. Na szczęście tym razem chyba nie doszło do żadnego uszkodzenia: urządzenie gwizdało w mojej dłoni, gdy je podnosiłem, sygnalizując, że wciąż działa. Wyłączyłem je, wsunąłem do kieszeni szlafroka i przyłożyłem słuchawkę do pustego ucha. Zdawałem sobie sprawę, że Fred obserwuje mnie ze zniecierpliwieniem nauczycielki wiecznie niezdarnego ucznia.

- Halo - powiedziałem.

- Zawsze w ten sposób odbiera pan telefon? - zapytał cichy żeński głos. - Najpierw „cholera”, a potem „halo”?

30

-Nie, przepraszam. Upuściłem... upuściłem coś, gdy odbierałem. .. Rozmawiam z Jakki?

- Nie, tu...

Nie dosłyszałem imienia.

- Przepraszam, kto?

Powiedziała coś, co zabrzmiało jak „aks”.

- Proszę posłuchać, połączenie nie jest najlepsze, pójdę do gabinetu. Chwileczkę.

W gabinecie mam telefon specjalnie przystosowany dla osób niedosłyszących. Można z niego korzystać, nosząc aparat słuchowy z funkcją cewki indukcyjnej, i w razie konieczności wzmocnić dźwięk. Odłożyłem słuchawkę na widełki i ruszyłem w stronę drzwi.

- Kto to? - zapytała Fred.

- Nie wiem, ale nie Jakki.

- Przerwałś połączenie, kochanie.

Było to lekko sarkastyczne „kochanie”.

- Wcale nie. - Wyjaśniałem już kiedyś Fred, że aby przerwać połączenie, obie strony muszą odłożyć słuchawkę, ale mi nie wierzy.

- Jeśli to do mnie i jakaś pilna sprawa, jestem pod komórką - rzuciła. - Muszę wyjść w tej sekundzie. Zostawiam listę na blacie. - Dodała coś jeszcze o melonach, czego nie dosłyszałem, bo miałem tylko jedną słuchawkę w uchu i wychodziłem już z kuchni, odwrócony do niej plecami. Miałem tylko nadzieję, że to nic ważnego.

Zasiadłem przy biurku, wsunąłem do ucha prawą słuchawkę aparatu, włączyłem funkcję cewki i podniosłem słuchawkę telefonu.

- Halo.

- O, myślałam już, że się pan rozłączył - rzekł głos. Wciąż był cichy, więc zwiększyłem głośność.

- Nie. Przepraszam za to zamieszanie. Mam kłopoty ze słu-

31

chem, co utrudnia mi rozmowę przez telefon. Obawiam się, że nie dosłyszałem pani imienia.

- Alex. Poznaliśmy się na wernisażu w galerii ARC. - Mówiła z wyczuwalnym zaatlantyckim akcentem.

- Ach, tak, pamiętam.

- Ale nie pamiętał pan o naszym spotkaniu.
 - Jakim spotkaniu? - zapytałem, czując przyptyw paniki.
 - Miał mi pan doradzić w sprawie moich badań.
 - Tak? Gdzie? Kiedy?
- Niczego pan nie pamięta? - zapytała ze zrozumiałym zniecierpliwieniem.
- Mówiąc szczerze, nie słyszałem wtedy zbyt wiele. Było tam potwornie głośno, w tej sali, wszystko przez ten beton, a ja, jak mówiłem, mam kłopoty ze słuchem...
 - Rozumiem.
 - Bardzo przepraszam. Pewnie pomyślała sobie pani, że jestem strasznie niewychowany, ale...
 - W porządku, wybaczam panu. W takim razie kiedy się spotkamy? Jutro?

Powiedziałem, że jutro nie mogę się z nią spotkać, bo jadę do Londynu odwiedzić ojca, a potem jest weekend, w poniedziałek z kolei ona będzie zajęta, więc ostatecznie umówiliśmy się na wtorek, na piętnastą.

- W tym samym miejscu? - zapytała.
- Czyli gdzie?
- W kawiarni przy galerii ARC.
- Tam jest dosyć głośno - zauważyłem. - Podłoga wyłożona płytkami i stoły z blatami z plastikowym laminatem... A może na uniwersytecie? W kawiarni na...
- Nie, na uniwersytecie wolałabym się nie spotykać - powiedziała z naciskiem. - Jeśli chce pan się spotkać gdzieś, gdzie jest cicho, mam mieszkanie kilka minut od ARC.

32

Gdy się zastanawiałem i wahałem, podała mi adres, a ja go zapisałem.

- Jakie badania pani prowadzi? - zapytałem.
- Oj, chyba naprawdę ma pan problemy ze słuchem. Powiem panu jeszcze raz we wtorek - obiecała i rozłączyła się.

Kiedy wróciłem do kuchni, Fred już nie było. Zagotowałem wodę, zaparzyłem świeżą herbatę, nalałem

sobie kolejną filiżankę i znów wziąłem do ręki „Guardiana”, nie mogłem jednak skupić myśli na artykule o starzeniu się społeczeństw ani na niczym innym. Marshall McLuhan napisał gdzieś (McLuhan, jakże mnie to postarza!), że nie czytamy gazet w sposób uporządkowany i systematyczny jak książki, lecz przeglądamy je, przerzucając spojrzenie z jednej kolumny do drugiej i z powrotem, moje jednak skakało po całej gazecie, a dłonie wertowały ją niespokojnie, aż w końcu złapałem się na tym, że wpatruję się w ostatnią stronę, reklamę taniego Internetu, nie pamiętając o tym, co było wcześniej. Ten telefon mnie roz-stroił - z kilku powodów. Zupełnie się go nie spodziewałem; a to, że najwyraźniej umówiłem się z tą kobietą, żeby porozmawiać o jej badaniach, nie mając o tym najmniejszego pojęcia, było nie tylko głęboko żenujące, było też przygnębiającym wskaźnikiem stopnia mojej głuchoty. Cóż to mogły być za badania - przypuszczalnie związane jakoś z lingwistyką. Ale skąd wiedziała, że się w tym specjalizuję? Nie przypominam sobie, bym jej o tym mówił. Nie przypominam sobie nawet, że bym się jej przedstawiał, chociaż musiałem to zrobić, skoro odnalazła mój numer. Figurujemy w książce telefonicznej i jest w niej tylko jeden „Bates D.S., prof.”.

Zdawałem sobie sprawę, że Fred wyszła z domu, nie znając tożsamości mojego rozmówcy, i zdaję sobie sprawę teraz, gdy piszę te słowa późnym wieczorem w moim gabinecie, że wciąż jej nie zna. Gdyby mnie zapytała po powrocie do domu po

południu, oczywiście bym jej powiedział, nie zrobiła tego jednak. Zapytała za to, czy pamiętałem o melonie Galia.

- Nie, wziąłem kantalupy, sprzedawali po dwa w cenie jednego.

To była moja wymówka, wymyślona na poczekaniu. Udawałem, że zlekceważyłem jej polecenie z powodów oszczędnościowych, w rzeczywistości jednak nie usłyszałem jej polecenia, które, jak wywnioskowałem, brzmiało: „Kup melona, ale tylko Galie”.

- Nie potrzebujemy dwóch melonów, kochanie - powiedziała - zepsują się, zanim zdążymy je zjeść, zwłaszcza kantalupy.

Najwyraźniej zupełnie zapomniała o porannym telefonie, a w złym humorze, który mnie ogarnął po tym małym zgrzycie w związku z melonami, nie miałem ochoty jej przypominać ani informować, z kim rozmawiałem. Prawdę mówiąc, wiedziałem, kto dzwoni, gdy tylko usłyszałem w słuchawce głos wypowiadający imię, które brzmiało jak „aks”, kiedy jednak Fred zapytała: „Kto to?”, gdy oddalałem się do gabinetu, odpowiedziałem „Nie wiem”. Dlaczego? Bo tak naprawdę nie miałem całkowitej pewności? A może chciałem się dowiedzieć, z jaką sprawą dzwoni „aks”, i zyskać trochę czasu na zastanowienie, nim o wszystkim powiem Fred? No cóż, na zastanowienie miałem cały dzień i wciąż nic jej nie powiedziałem. Odnoszę wrażenie, że w pewnym sensie się skompromitowałem, wyrażając zgodę na spotkanie z tą kobietą w jej mieszkaniu - nie, że bym przypuszczał, że ma wobec mnie jakieś miłosne plany, nie mam co do tego złudzeń - lecz z jakąkolwiek zwróci się do mnie prośbą, trudniej będzie mi odmówić w jej domu niż na neutralnym, publicznym gruncie, zresztą w kawiarni ARC wczesnym popołudniem prawdopodobnie nie ma zbyt dużego ruchu. Zadzwońbym do niej, żeby zmienić miejsce spotkania, gdybym znał jej numer - ale nie

znam, nie wiem też, jak go znaleźć. Spróbowałem zadzwonić pod 1471, żeby poznać numer ostatniego rozmówcy, ale usłyszałem tylko: „Numer zarezerwowany przez abonenta”.

Poza tym epizodem, który wytrącił mnie lekko z równowagi, był to zwyczajny dzień z życia emeryta. Rano zrobiłem zakupy w Sainsbury's. Po rozpakowaniu siatek i pochowaniu zakupów zjadłem lunch (zupa szparagowa Covent Garden, chleb z serem, sałatka i jabłko), a o pierwszej wysłuchałem wiadomości w Radio Four. Mogę słuchać kuchennego radia tylko wtedy, kiedy jestem w domu sam, tak głośno musi być nastawione. Później rozsiadłem się w salonie z działem G2 „Guardiana”, zwyczajowo zarezerwowanym na tę porę, i zasnąłem nad nim na pół godziny, jak zwykle zresztą. Następnie udałem się na uniwersytet, żeby trochę rozruszać kości, i sprawdziłem swoją skrzynkę w sekretariacie wydziału nauk humanistycznych - znalazłem w niej katalog wydawniczy, zaproszenie na inauguracyjny wykład nowego profesora teologii („O modlitwie błagalnej”) oraz apel o wsparcie od organizacji charytatywnej zbierającej fundusze na pomoc ofiarom trzęsień ziemi. Wypiłem herbatę w klubie i przeczytałem zeszytygodniowy „TLS”, podnosząc wzrok za każdym razem, gdy zaskrzypiały otwierające się drzwi, nie wszedł jednak nikt, kogo bym rozpoznał. Było wczesne popołudnie, kiedy większość osób jest na wykładach i spotkaniach. Jedynie kilku emerytowanych starszków takich jak ja siedziało rozrzuconych po sali, zapadniętych w fotelach, i z irytacją spoglądało znad gazet i czasopism na grupkę sekretarek i techników, którzy gwarzyli wesoło w jednym rogu. W przeszłości nie wpuszczono by ich tutaj, lecz upływ czasu rozpuścił stare podziały kastowe akademickiej społeczności.

Przyszła moja kolej na upichcenie wieczornego posiłku, nie

zabawiłem więc długo w klubie. Była dokładnie czwarta, gdy kierowałem się do wyjścia, i wszędzie dookoła mnie otwierały się drzwi, wyrzucając z siebie salwy ludzkiego gwaru i odgłosy przesuwania krzesel po drewnianych podłogach. Studenci wysypywali się z sal po ćwiczeniach i wykładach, roili się na podestach, spływali falami po schodach, wymachiwali plecakami i teczkami, paplali i nawoływali się, uwalniając całą skumulowaną energię, frustrację i nudę minionej godziny, a może, kto wie, podziw i podniecenie wywołane inspirującym doświadczeniem edukacyjnym. Nieśli mnie jak wezbrana rzeka, obojętni na moją obecność, nieświadomi mojej tożsamości. Płynąłem z ich prądem jak kawałek deski z akademickiego wraka, aż rozlali się w holu na parterze do obrotowych drzwi, które wyrzuciły mnie na wilgotne listopadowe powietrze. Słońce wisiało już nisko na zachodnim niebie, opadając w pomarańczowej mgle zanieczyszczeń za gmach wydziału inżynierskiego i podświetlając sylwetki robotników, którzy naprawiali przeciekający dach nagrodzonego budynku pedagogiki. Czuję, że nadchodzi atak narracji w trzeciej osobie.

Gdy szedł przez teren uniwersytetu w stronę głównej bramy, uzmysłowił sobie, że gdyby postanowił dotrzeć na uniwersytecie do normalnego wieku emerytalnego, czyli sześćdziesięciu pięciu lat, teraz rozpoczynałby się pierwszy semestr jego ostatniego roku akademickiego. Zastanawiał się ostatnio, z coraz większą częstotliwością, czy słusznie postąpił przed czterema laty, decydując się na wcześniejszą emeryturę. Wtedy ta perspektywa wydawała mu się nadzwyczaj atrakcyjna. Ze względu na niedosłuch

coraz trudniej było mu uczyć - nie tylko podczas ćwiczeń, lecz także kiedy prowadził wykłady, był bowiem zwolennikiem nauczania interaktywnego. Zawsze mu się wydawało, że typowy wykład humanistyczny - nie-

36

przerwany potok słów trwający około pięćdziesięciu minut, często odczytywany monotonnym głosem z wbitym w kartkę wzrokiem - jest najmniej efektywną metodą przekazywania wiedzy, jaką kiedykolwiek wymyślono. Przed wynalezieniem druku można było ją jeszcze usprawiedliwiać, ale nawet starożytni Grecy posilkowali się formą dialogu w trakcie nauczania. Eksperymenty dowodzą, że przeciętna długość koncentracji w trakcie słuchania ciągłej wypowiedzi jednego mówcy wynosi dwadzieścia minut i zmniejsza się, im bardziej dyskurs przypomina tekst pisany prozą, z większym zagęszczeniem informacji i ograniczoną redundancją. Konieczne jest zatem przerywanie strumienia informacji, znajdowanie czasu na rekapitulację i utrwalenie wiadomości - i nie miał tutaj na myśli nużącej praktyki, drogiej zwłaszcza autorom biznesowych prezentacji, którzy wyświetlają streszczenie wykładu na ekranie, a potem odczytują je na głos, jak gdyby słuchacze nie umieli sami tego zrobić. Pytania i odpowiedzi - oto właściwa metoda. Zachęcał studentów, żeby podnosili ręce w trakcie wykładu, jeśli czegoś nie rozumieją, a od czasu do czasu sam zadawał im pytania, żeby się nie dekoncentrowali, metoda ta uzależniona jednak była od jego zdolności słyszenia, z biegiem czasu korzystał z niej więc coraz rzadziej. Podczas zajęć zdawał sobie sprawę, że za dużo mówi - tak było łatwiej, niż próbować dosłyszeć wypowiedzi studentów. Zebrania też stawały się stresujące, z tego samego powodu, i w latach dziewięćdziesiątych, gdy biurokratyczna ośmiornica zaciskała macki wokół akademickiego życia, wydawało się, że jest ich coraz więcej - zebrania zakładów, rady wydziału, posiedzenia senatu, podkomisji i zespołów roboczych związanych z nimi wszystkimi. Coraz częściej miał problemy ze zrozumieniem, o czym jest mowa, milkł, obawiając się zabrania głosu w dyskusji, na wypadek gdyby coś źle zrozumiał, a w końcu dawał całkowicie za wygraną i popadał w znudzoną zadumę - chyba

37

że prowadził zebranie. Wtedy czasem dostrzegał cień uśmiechu na czyichś ustach lub wymianę rozbawionych spojrzeń nad stołem i zdawał sobie sprawę, że się przesłyszał albo zrobił nietrafną uwagę - taktownie ratował go jakiś życzliwy kolega albo sekretarka wydziałowa.

Kiedy więc zaproponowano mu przejście na wcześniejszą emeryturę, wydawało mu się, że takiej okazji nie może przepuścić: od razu pełne świadczenie emerytalne i możliwość prowadzenia badań bez obciążenia obowiązkami dydaktycznymi i administracyjnymi. Okazja pojawiła się dzięki jednej z okresowych rewolucji organizacyjnych, od których uzależniło się kierownictwo uniwersytetu. Uznano, że prowadzony przez niego wydział lingwistyki jest za mały, żeby opłacało się go utrzymywać jako oddzielną jednostkę, i że należy go połączyć z anglistyką. Pracownikom dydaktycznym lingwistyki zaproponowano do wyboru: albo przeniesienie na inny wydział, jeśli znajdą taki, który ich przyjmie, albo rozwiązanie umowy na bardzo korzystnych dla nich warunkach, albo przejście na wcześniejszą emeryturę, jeśli się kwalifikują ze względu na wiek. Jego koledzy z lingwistyki oburzali się na tę propozycję, twierdząc, że jest

to cicha próba odchudzenia kadry tudzież przebiegły spisek uknuty przez wydział anglistyki, żeby zwiększyć szanse filologii angielskiej na dodatkowe fundusze z programu Research Assessment Exercise. On stwierdził jednak, że żaden opór nie ma sensu. Dostrzegał logikę tych zmian, ponieważ kilka osób z lingwistycznej kadry wydziału anglistyki zajmowało się pracą bardzo podobną do tej, którą wykonywał on i jego koledzy. Osobiście nie miał nic przeciwko pracy na anglistyce. Ostatecznie zrobił licencjat na filologii i chociaż w trakcie studiów wybierał wszelkie możliwe zajęcia lingwistyczne, a po dyplomie przeniósł się na lingwistykę, zawsze podczas zajęć i badań korzystał szeroko z tekstów literackich i wciąż czytał poezję dla przyjemności, czego nie można po-

38

J

wiedzieć o wielu ludziach, nie wyłączając tych, którzy prowadzą z niej kursy. Z tymi zmianami wiązała się jednak pewna utrata prestiżu i niezależności, co perspektywę pozostania na uczelni czyniło mniej nęcącą. Chociaż obowiązki kierownika wydziału coraz bardziej mu ciążyły, nie był pewien, czy spodoba mu się status szeregowego wykładowcy na anglistyce. Spodziewano by się po nim, jako nowym członku zespołu, że będzie zgodny i elastyczny w kwestii wykładanych przedmiotów, zatem prawdopodobnie nie mógłby już prowadzić kursu dla trzeciego roku ze stylistyki literackiej, ponieważ specjalizował się w niej Butterworth, dość młody profesor, wschodząca gwiazda zespołu lingwistycznego anglistyki. Wziąwszy pod uwagę te wszystkie okoliczności, doszedł do oczywistego wniosku - wcześniejsza emerytura będzie dla niego lepszym rozwiązaniem, skorzystał więc z okazji.

Początkowo czuł się wspaniale, jak na długim urlopie naukowym, lecz po mniej więcej osiemnastu miesiącach wolność od rutynowych zadań i obowiązków zaczynała go nużyć. Tęsknił za kalendarzem roku akademickiego, który od tak dawna nadawał jego życiu kształt, a mijający czas odliczały pokrzepiająco przewidywalne wydarzenia: przybycie każdej jesieni podekscytowanych studentów pierwszego roku; wydziałowa wigilia z tradycyjnymi skeczami w wykonaniu studentów małpujących typowe zachowania i ulubione powiedzonka pedagogów; tygodniowy wiosenny wyjazd drugiego roku do centrum konferencyjnego w Krainie Jezior; zebrania komisji egzaminacyjnych podczas sesji letniej, kiedy to, siedząc wokół długiego stołu za stertami poprawionych prac i esejów, klasyfikowali i podliczali wyniki egzaminów semestralnych niczym bogowie rozdający nagrody i kary śmiertelnikom; i wreszcie uroczystość wręczenia dyplomów, przejście przy muzyce organowej do auli, wysłuchanie mowy rektora wychwalającego dokonania najlepszych absolwentów, ściskanie dłoni dumnym rodzicom

39

i ich przyobleczone w togi dzieciom, sączenie owocowego ponczu pod namiotem wzniesionym na dziedzińcu, a potem rozjechanie się wszystkich na zasłużone długie wakacje. Tęsknił za rytmem roku akademickiego tak, jak rolnik mógłby tęsknić za różnicami między porami roku, gdyby nagle ich zabrakło; okazało się też, że tęskni za rozkładem tygodnia pracy, za kalendarzem pełnym zajęć dydaktycznych, za spotkaniami z doktorantami, poprawianiem esejów, zebraniem wydziałowymi, rozmowami i terminami na napisanie tego czy innego sprawozdania, zadaniami, na które kiedyś zwykł narzekać, lecz których wykonywanie, choć były drobne i błahe, przynosiło mu pewien rodzaj satysfakcji i sprawiało, że nigdy,

przenigdy, nie musiał zadawać sobie pytania: Co ja dzisiaj ze sobą zrobię? Na emeryturze musiał zadawać sobie to pytanie codziennie rano po przebudzeniu.

Oczywiście miał swoją pracę naukową: wyobrażał sobie, że głównie nią będzie wypełniał czas na emeryturze. Z konsternacją zauważył jednak, że nie ma na nią tak naprawdę ochoty. Wciąż uważał lingwistykę za dziedzinę fascynującą - jak można przestać się nią interesować? Przekonywał studentów pierwszego roku podczas powitalnego wykładu: „Język jest tym, co stanowi o naszym człowieczeństwie, co odróżnia nas od zwierząt z jednej strony i maszyn z drugiej, co sprawia, że jesteśmy istotami świadomymi, zdolnymi do tworzenia sztuki, nauki, całej cywilizacji. Jest kluczem do zrozumienia wszystkiego”. Mówiąc najogólniej, dziedziną, w której się specjalizował, był dyskurs: język nad poziomem zdań, język w użyciu, langue badany od strony parole, a nie odwrotnie. Był to prawdopodobnie najbardziej płodny i produktywny obszar tej dyscypliny naukowej w ostatnich czasach: filologia historyczna wyszła z mody, a lingwistyka strukturalna i transformacyjna straciły swój powab, odkąd ludzie zdali sobie sprawę z daremności prób sprowadzania żywego i wiecznie się zmieniającego-

40

go zjawiska, jakim jest język, do zestawu reguł ilustrowanych pozbawionymi kontekstu modelowymi zdaniami często wymyślanymi specjalnie do tego celu. „Każda wypowiedź lub zapisane zdanie zawsze ma swój kontekst, zawsze w jakimś sensie odnosi się do czegoś już wypowiedzianego i zachęca do reakcji, zawsze ma na celu wpłynięcie w jakiś sposób na kogoś, czytelnika bądź słuchacza. Badanie tego zjawiska czasem zwane jest pragmatyką, czasem stylistyką. Komputery umożliwiają nam prowadzenie tych badań w sposób bezprecedensowy, poprzez analizę dyskretyzowanych baz danych wypowiedzi ustnych i pisemnych - tworząc zupełnie nową pod-dyscyplinę, lingwistykę korpusową. Uniwersalnym terminem obejmującym te wszystkie działania jest analiza dyskursu. Jesteśmy otoczeni dyskursem jak ryby wodą. Systemy prawne mają swój dyskurs. Dyplomacja ma swój dyskurs. Wierzenia wielkich religii mają swój dyskurs. A w świecie, w którym zanika analfabetyzm oraz mnożą się media komunikacji werbalnej - nie tylko książki, czasopisma i gazety, ale i radio, telewizja, Internet, reklama, opakowania - dyskurs w coraz większym stopniu dominuje nad niewerbalnymi aspektami naszego życia. Zjadamy dyskurs (przykładem jest apetyczny język jadłospisów: «przyrumieniona na ogniu papryka skropiona olejem truflowym»), pijemy dyskurs («nuty tytoniu, wanilii, czekolady i dojrzałych jagód w tym wyrazistym australijskim winie»); widzimy dyskurs (minimalistyczne obrazy i enigmatyczne instalacje w galeriach, które zawdzięczają swoje istnienie w sztuce wyłącznie opisom kuratorów i krytyków); nawet seks uprawiamy, wprowadzając w życie dyskurs literatury erotycznej i podręczników seksualnych. Żeby zrozumieć kulturę i społeczeństwo, trzeba umieć poddać analizie ich dyskurs”. (W ten sposób profesor Bates, wygłaszając swój inauguracyjny wykład przed pierwszym rokiem, nawiązywał do seksu, żeby przykuć uwagę nawet najbardziej znudzonego

41

i sceptycznie nastawionego studenta, tego ze średnimi wynikami maturalnymi, który tak naprawdę chciał studiować dziennikarstwo, ale ponieważ było zbyt wielu chętnych, pod koniec rekrutacji przeniósł się na lingwistykę).

Nie stracił wiary w wartość analizy dyskursu i od czasu do czasu wciąż miał oryginalne pomysły z nią związane, lecz myśl o przełożeniu ich na formę akademicką, o tym, że trzeba pozyskać dane lub zorganizować eksperymenty, przeczytać całą literaturę na pewien temat, napisać artykuł z przypisami i odniesieniami do prac innych lingwistów, a potem wysłać go do redaktorów pism naukowych i czekać tygodniami, aż go zrecenzują, a potem poprawić tekst w świetle komentarzy recenzentów i go odesłać, zrobić korektę i czekać miesiącami, aż się ukaże drukiem - sama myśl o wysiłku koniecznym do zrealizowania takiego projektu wywoływała pewien rodzaj proleptycznego zmęczenia umysłowego tak przemożnego, że niezmiennie porzucał projekt, zanim jeszcze na dobre się do niego zabrał. Artykuł tego typu przeczytałoby prawdopodobnie zaledwie kilka osób - w najlepszym razie - co byłoby dostatecznym bodźcem, gdyby zależało mu na ich opinii, gdyby wzmacniało jego pozycję wśród kolegów i korzystnie wpływało na notowania jego wydziału w programie RAE (jako kierownik wydziału lingwistyki miał obowiązek świecić przykładem pod tym względem); kiedy jednak przeszedł na emeryturę, motywacja zawodowa zanikła. Nie trzeba dodawać, że finansowej motywacji też nie było: pisma akademickie nie płaciły autorom nadsyłanych artykułów, a jeśli już komuś dopisało szczęście i jego artykuł przedrukowano w książce, honoraria za zgodę na publikację i tak były mizerne. Przez pewien czas dorabiał trochę jako konsultant, ekspert w sprawach sądowych, w których pojawiały się dowody lingwistyczne - należało zinterpretować potajemnie nagrane rozmowy, ustalić autorstwo lub autentyczność dokumentów i tym podobne -

42

t

i ta praca dawała mu nie tylko korzyści finansowe, ale i dużą przyjemność. Lecz od pewnego upokarzającego doświadczenia w sądzie w pierwszym roku emerytury, kiedy miał trudności ze zrozumieniem pytań zadawanych mu przez adwokata z silnym szkockim akcentem, a prokurator wykorzystał okazję, żeby zgłosić wątpliwość, czy jest on kompetentną osobą do wydawania opinii na temat nagranej rozmowy telefonicznej stanowiącej najważniejszy dowód w sprawie - od tamtej sytuacji, która wciąż, kiedy ją wspominał, wywoływała u niego dreszcz i grymas na twarzy, otrzymywał bardzo niewiele propozycji tego typu, a wszystkie odrzucał w obawie przed powtórką tamtego doświadczenia. Oprócz emerytury jego jedyne dochody pochodziły ze stopniowo malejących tantiem za podręcznik, który prywatnie nazywał Analiza dyskursu dla głębów, po raz pierwszy wydany jakieś dwadzieścia pięć lat wcześniej.

Dlatego też dobrze się złożyło, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy on przeszedł na emeryturę, firma Winifred zaczęła przynosić zyski. Kiedy nadszedł termin wykupu pakietu obligacji, które pierwszy mąż sprezentował jej w przypływie szczodrości lub wyrzutów sumienia, a może jako sposób na zmniejszenie podatku dochodowego, uzyskała sporą kwotę i postanowiła ją zainwestować w założenie sklepu z tkaninami dekoracyjnymi i innymi materiałami do wystroju wnętrz. Jej współniczką została przyjaciółka z klubu fitness, Jakki, która na politechnice w Manchesterze zrobiła dyplom z materiałoznawstwa włókienniczego i zdobyła już pewne doświadczenie w zakresie arkuszy kalkulacyjnych i księgowości komputerowej, pracując w biurze swego męża, właściciela salonu samochodowego z japońskimi autami, zanim się z nim rozwiodła (uzyskując w ramach podziału majątku pokaźną sumkę,

która pokryła jej część wkładu). Kwalifikacje Winifred do prowadzenia tego typu działalności były mniej konkretne: dyplom uniwersytecki z historii sztuki oraz amatorski entuzjizm, z jakim

43

remontowała i meblowała własny dom. Z czasem jednak wykazała się smyką do handlu, która zaskoczyła Desmonda. Ujawniła się w stosownym momencie. W latach dziewięćdziesiątych to miasto na północy kraju, które jemu i Maisie wydawało się szare i ponure, kiedy się do niego przeprowadzili, i którego mieszkańcy tradycyjnie szczylic się oszczędnością i gospodarnością, ogarnęło globalne szaleństwo konsumpcji. Swoje sklepy zaczęły tam otwierać znane na całym świecie marki i żeby pomieścić je razem ze sklepami należącymi do krajowych sieci, budowano nowe centra handlowe - mówiąc szczerze, powstało ich zbyt wiele w tym samym czasie. Fred i Jakki zdołały wydzierżawić przestronny lokal w centrum miasta za bardzo rozsądny czynsz od deweloperów rozpaczliwie usiłujących wypełnić wolne przestrzenie (nic nie działa na klientów tak zniechęcająco, jak rząd pustych sklepów). Lokal mieścił się na parterze, toteż każdy, kto wchodził z ulicy do centrum handlowego Rialto, zwabiony lśnieniem nierdzewnej stali, płytek ceramicznych i szklanych tafli albo relaksującym szmerem muzyki i wody w fontannach, musiał minąć wystawę Décor (jak nazwały sklep - szczęśliwie propozycja Jakki Szyk i styl odpadła) w drodze do ruchomych schodów, które niosły klientów na wyższe poziomy gmachu. Pomimo takiej lokalizacji Décor przez pierwsze dwa-trzy lata miał problemy z rentownością, aż na pierwsze piętro Rialto przeniósł swój salon popularny i bardzo drogi fryzjer. Jego klientki - kobiety z zamożnych przedmieść i okolicznych bogatych miejscowości, dysponujące czasem i pieniędzmi na upiększanie siebie oraz własnych domów - były odpowiednią klientelą dla Décor. Winifred i Jakki specjalizowały się w wysokiej jakości importowanych tkaninach na zasłony, rolety, poduszki, narzuty itp., a ponadto eksponowały prace miejscowych artystów - obrazy, grafiki, ceramikę, biżuterię i niewielkie rzeźby - które można było u nich nabyć. Jeśli ktoś je kupił, sklep pobierał

44

czterdzieści procent marży, a jeśli nie, stanowiły przyciągającą wzrok dekorację salonu - za darmo. Elegantki z przedmieść zatrzymywały się i zaglądały z zaciekawieniem do środka, gdy mijały witrynę przed wizytą u fryzjera, a w drodze powrotnej wchodziły, żeby rozejrzeć się wśród tkanin i objętych darte. Winifred i Jakki zainstalowały mały, lecz kształtny włoski ekspres do kawy, żeby częstować klientki darmowymi espresso i latte, bo po ich wypiciu niezmiennie coś kupowały, nawet jeśli było to tylko coś ze sztucznej, acz efektownej biżuterii lub ręcznie wykonana niepowtarzalna karta z życzeniami. Interes kwitł. Miejscowa gazeta zamieściła ekstatyczny artykuł o Decor ilustrowany korzystnymi fotografiami uśmiechniętych właścicielek. Mogły sobie pozwolić na zatrudnienie pomocy, młodej kobiety świeżo po szkole sztuk pięknych, i nawiązały współpracę ze „złotą rączką”, Ronem, żeby zapewnić klientkom także usługi instalacyjne. Krojenie i szycie tkanin zlecano spółdzielni dziewiarskiej szwaczek, które straciły pracę w podupadających w mieście zakładach włókienniczych. Były doskonałe.

Kiedy sam jeszcze był zatrudniony, sukces żony w jej późnej karierze bizneswoman radował Desmonda. Jeśli na skutek jej zapracowania nieco ucierpiał komfort domowego życia - więcej gotowych dań z supermarketu na kolację, sporadyczny deficyt czystych skarpet i wypranych koszul - była to niewielka cena za satysfakcję, którą najwyraźniej czerpała z pracy, a i jego życie towarzyskie ożywiło się za sprawą

poznawanych dzięki niej nowych ludzi i miejsc. Osobowość i pewność siebie Winifred, odziedziczone po przodkach i wyszlifowane w prywatnych szkołach, zostały przygaszone nieudanym pierwszym małżeństwem, teraz zaś, w późniejszych latach życia, rozbłysły na nowo. Chociaż zainwestowały z Jakki po równo, została za obopólną zgodą głównym wspólnikiem w firmie ze względu na swój starszy wiek i towarzyską ogładę; i po pewnym czasie stała się w lokalnej społeczności kimś w rodzaju ważnej

45

figury - zapraszano ją na posiedzenia różnych rad i komisji związanych ze sztuką, co z kolei obrodziło zaproszeniami na wernisaże, premiery, koncerty dobroczynne, otwarcia festiwali oraz rauty i przyjęcia towarzyszące tym wydarzeniom, na które naturalnie zapraszano również jego. Czasem podczas tych uroczystych wieczorów spotykał rektora lub inne ważne osobistości z uniwersyteckiego światka i zauważył, że traktują go teraz z większym poważaniem. Rektor zaczął zwracać się do niego po imieniu, a kiedy spotykali się na uczelni, pytał

0 jego „panią”. Od czasu do czasu proszono ich na prywatne kolacje w posiadłości rektora.

Jednakowoż jego przejście na emeryturę nadało całemu temu zjawisku inny, mniej przyjemny wymiar i zachwiało równowagą w ich małżeństwie. Gdy jego kariera dobiegła końca, kariera Winifred rozwijała się pełną parą, dzięki czemu zasilala teraz domowy budżet w znacznie większym stopniu niż on. Jej dni kipiały wręcz aktywnością, on natomiast z trudem wypełniał godziny rutynowymi czynnościami, takimi jak zakupy

1 inne sprawy podejmowane bardziej dla ruchu niż z potrzeby. Kiedy towarzyszył jej podczas tej czy innej uroczystości, czasem czuł się jak księżę małżonek eskortujący monarchinię, idąc parę kroków za nią z rękami splecionymi na plecach i niewyraźnym uśmiechem błąkającym się po twarzy. Same spotkania towarzyskie zamiast sprawiać mu przyjemność, stawały się dla niego coraz większą mordęgą w związku z pogarszającym się słuchem, bywały więc chwile, kiedy się zastanawiał, czy nie przestać na nie chodzić, kiedy jednak rozważał konsekwencje takiej decyzji, perspektywa ta przepelniała go lękiem: jeszcze więcej pustych godzin do zapełnienia, samotne przesiadywanie w domu z książką lub przed telewizorem. Z determinacją trzymał się zatem tej towarzysko-kulturalnej karuzeli, udając zainteresowanie i entuzjazm, których tak naprawdę nie czuł.

46

Najbardziej boję się przesiadywania w domu, nie książek i telewizji jako takich. Słowo drukowane i telewizja to jedyne media, które wciąż mogą mi dawać nieklamana przyjemność - słowo drukowane z oczywistych powodów, a telewizja dzięki napisom i słuchawkom. Wyprawa do teatru na przykład jest już najeżona licznymi trudnościami. W większości teatrów zainstalowana jest specjalna aparatura umożliwiająca odsłuch przedstawienia przez słuchawki na podczerwień, lecz skuteczność tych systemów bardzo się różni, a nawet kiedy wszystko dobrze działa, głosy aktorów są ciche i odległe, jak gdyby dźwięki dobiegały z odłożonej na scenie słuchawki telefonu. Zazwyczaj lepiej usiąść w pierwszym rzędzie i liczyć na własny aparat słuchowy, wtedy jednak ryzykujemy bolesny kurcz w szyi od trzymania brody pod kątem czterdziestu pięciu stopni przez dwie, trzy godziny oraz skropienie śliną przez aktorów w silnie

naładowanych emocjami scenach. Poza tym Fred narzeka - nie bez racji - że kiedy siedzi tak blisko, gra aktorska wydaje jej się przesadna, rzadko więc to robimy. Jeśli dialogi są zniekształcone nieznanym mi dialektem lub regionalnymi akcentami, nie ma znaczenia, gdzie się siedzi ani jakiego używa sprzętu dla niedosłyszających: jeśli umyka większość spółgłosek, a wszystkie samogłoski brzmią nieznanym, równie dobrze można wtedy słuchać węgierskiego. Teatr ze sceną are-nową jest równie beznadziejnym rozwiązaniem. Nawet kiedy miałem dobry słuch, nie widziałem większego sensu w tym, żeby aktorzy wypowiadali swoje kwestie odwróci plecami do znacznej części widowni, teraz natomiast przypomina to oglądanie sztuki przez drzwi, które otwierają się i zamykają. Tym jednak, co najbardziej mnie irytuje podczas wypadów do teatru, nawet jeśli sztukę wykonuje się po angielsku w jego standardowej wersji i na tradycyjnej scenie, są niezrozumiałe dowcipy. Śledzę dialog bez żadnych trudności, aż tu nagle jeden z bohaterów powie coś, co sprawia, że widownia ryczy

47

ze śmiechu z czegoś, czego ja nie dosłyszałem. Powodem jest to, że kwestie rozśmieszają wyłącznie wtedy, kiedy są nie tylko związane z tematem, ale i nieoczekiwane, nie mogę więc ich przewidzieć ani posiłkować się kontekstem. Taka sytuacja może się powtórzyć wielokrotnie w trakcie jednego przedstawienia, co jest nadzwyczaj frustrujące: rozumiałe, acz banalne dialogi przetykane są dowcipnymi i zabawnymi kwestiami, których nie słyszę. Czasem po takim wieczorze kupuję tekst sztuki i czytam go, żeby sprawdzić, co mi umknęło, dzięki czemu odbieram dzieło w dwóch różnych formach, najpierw jako teatr absurdu i dopiero potem jako dobrze skonstruowaną sztukę. Sporadycznie czytam tekst zawczasu, przed spektaklem: wtedy rozumiem wszystkie dowcipy, ale oczywiście przestają być śmieszne, bo się ich spodziewam.

Wyjścia do kina są nie mniej frustrujące, nie licząc filmów obcojęzycznych, bo te są wyświetlane z napisami; nie ma jednak wśród nich wielu takich, na jakie naprawdę się czeka, zresztą większość prędkiej czy później pokazuje telewizja. Filmy, które chce oglądać Fred, ponieważ wszyscy o nich mówią, są prawie wyłącznie filmami brytyjskimi lub amerykańskimi i szacuję, że w większości z nich umyka mi od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu procent dialogów, ponieważ bohaterowie mówią z miejscowym akcentem (najgorszy jest ten z Glasgow) albo aktorzy mamroczą i bełkoczą zgodnie z metodą Stanisławskiego, albo muzyka lub inne odgłosy ze ścieżki dźwiękowej zagłuszają słowa - albo poprzez połączenie tych wszystkich elementów. Kiedy na przykład oglądaliśmy Tajemnicę Brokeback Mountain, zupełnie nie zrozumiałem doniosłości sceny pod koniec filmu, kiedy kowboj znajduje swoją starą koszulę w pokoju nieżyjącego przyjaciela, ponieważ umknęło mi słowo „koszula” w jego kwestii, kiedy dużo wcześniej w filmie zeszli z góry, a on powiedział, że chyba ją zostawił. Tymczasem ten drugi zabrał mu ją ukradkiem jako sentymentalną pamiątkę

48

po ich homoseksualnej idylli w górach, co kowboj uzmysławia sobie w niemej scenie, kiedy odwiedza rodziców przyjaciela i zauważa we wnętrzu w jego pokoju swoją koszulę. Fred musiała mi to wszystko wyjaśnić w samochodzie, kiedy wracaliśmy do domu. Często musi wyjaśniać mi takie rzeczy, kiedy wracamy z teatru albo kina. Doszło do tego, że niechętnie dzielę się swoimi opiniami na temat tego, co właśnie obejrzelśmy, w obawie przed tym, że popełniłem jakiś niedorzeczny i zenujący błąd w

zrozumieniu podstawowego elementu fabuły.

Niedawno odkryłem, że miejscowe kina czasem organizują pokazy nowych filmów z napisami dla niesłyszących, informacje o nich dostępne są w Internecie, lecz pokazy odbywają się

0 absurdalnych porach, na przykład o jedenastej rano w dzień powszedni, kiedy Fred albo nie może, albo nie ma ochoty mi towarzyszyć. Udałem się o takiej porze na film Woodyego Allena w niemal wyludnionym multipleksie na obrzeżach miasta - siedziałem pośrodku olbrzymiej widowni zupełnie sam

1 potem już nie powtarzałem tego eksperymentu. Puste kino działa na widza deprymująco: lepiej poczekać i obejrzeć film w telewizji.

Zbawieniem dla niesłyszących jest telewizja. Jak oni sobie dawali bez niej radę? Większość programów, łącznie ze starymi filmami, ma napisy dostępne przez telegazetę; nawet transmisje na żywo, takie jak wiadomości, są nadawane z napisami, chociaż jeśli ktoś jeszcze trochę słyszy, mogą nieco rozpraszać, ponieważ tekst pojawia się kilka sekund po dźwięku i często zawiera groteskowe błędy (na przykład prognoza pogody dla „ameryki północnej” wczoraj wieczorem). Ewentualnie można skorzystać ze słuchawek z przewodem lub bez, które są dużo bardziej skuteczne niż słuchawki wypożyczane w teatrze i mają oddzielną regulację głośności, dzięki czemu można wzmocnić dźwięk, nie ogłuszając innych, albo oglądać samotnie z wyłączonymi głośnikami. Takie rozwiązanie niepozba-

49

wionę jest jednak wad. Jeśli partner chce się podzielić komentarzem na temat oglądanego programu albo przekazać jakąś inną wiadomość, musi machnąć ręką, by zwrócić na siebie uwagę, i wtedy trzeba zdjąć słuchawki, założyć aparat, żeby zarejestrować komunikat, a potem wyciągnąć z uszu aparat i znów nałożyć słuchawki. Jeśli często trzeba powtarzać tę całą procedurę, obie strony mogą poczuć irytację.

W przypadku programów, które naprawdę mnie interesują, wolę korzystać zarówno ze słuchawek, jak i z napisów, zabezpieczając się ze wszystkich stron, ponieważ i tak od czasu do czasu umknie mi jakieś słowo lub wyrażenie w słuchawkach, a napisy nie zawsze odzwierciedlają wypowiedzi z pełną dokładnością. Czasem w napisach skraca się dialogi, żeby nie pozostawać w tyle albo nie zabierać za dużo miejsca na ekranie. Zauważyłem w związku z tym pewne ciekawe zjawisko: kiedy oglądam jednocześnie ze słuchawkami i napisami, słyszę wypowiedziane słowa i wyrażenia, których brakuje w napisach, a których na pewno bym nie usłyszał, korzystając tylko ze słuchawek. Przypuszczalnie mój mózg bez przerwy porównuje te dwa kanały komunikacji, a kiedy coś nie pasuje, słowo lub wyrażenie brakujące w napisach zostaje uwypuklone i jakimś sposobem staje się w konsekwencji lepiej słyszalne. Może warto by było napisać o tym do któregoś z pism psycholingwistycznych, gdyby mi się chciało. Ale mi się nie chce.

i

4 listopada. Robi się z tego coś w rodzaju dziennika, notatek do autobiografii, a może po prostu terapii

zajęciowej.

Wczoraj pojechałem odwiedzić tatę - takie wizyty odbywam mniej więcej co cztery tygodnie w poczuciu synowskiego obowiązku. Jeśli podam dość szczegółową relację z tej ostatniej, może ona posłużyć jako opis większości pozostałych, rzadko bowiem zmienia się ich przebieg. Był to długi, wyczerpujący dzień. Kiedy jeszcze żyła mama i do Londynu sprowadzały mnie sprawy akademickie, często zostawałem u nich na noc i podtrzymywałem ten zwyczaj przez kilka lat po jej śmierci, teraz jednak, kiedy wybieram się do taty, wolę wrócić tego samego dnia. Wychodzę z domu wcześniej rano - z legitymacją emerycką kupuję tańszy bilet nawet w godzinach szczytu - żeby po przybyciu do Brickley zdążyć zabrać tatę na lunch, potem spędzam z nim popołudnie i po podwieczorku wracam wieczornym pociągiem do domu. Zawsze mi proponuje:

- A może byś został na noc, synu?

A ja zawsze odpowiadam:

- Nie, nie mogę, tato, mam dużo pracy.

Słyszę wtedy:

- Myślałem, żeś przeszedł na emeryturę.

- Wciąż prowadzę badania - wyjaśniam, a on kiwa głową ulegle, choć też z pewnym rozczarowaniem.

Chociaż na każdy inny temat prowadzi ze mną zaciekle dysputy, moje życie zawodowe jest dla niego tajemnicą i traktuje

51

je z pełnym rezerwy szacunkiem. Nigdy nie zapytał o publikacje z dedykacją, które mu przesałem w ciągu ostatnich lat, ani ich nie skomentował, zajmują wszak honorowe miejsce w oszklonej gablocie w salonie, podsłuchałem też, jak chwali się synem-profesorem przed zupełnie obcymi osobami w sklepach i autobusach. Powołanie się na „badania” jest więc zawsze moją kartą przetargową, kiedy wypływa kwestia przenocowania u niego. Prawda jest taka, że wzdramam się przed spaniem w zapadniętym, nierównym i zawsze lekko wilgotnym łóżku w pokoju od ogrodu, który był w dzieciństwie moją sypialnią, a także przed korzystaniem z ponurej łazienki i śmierdzącej ubikacji (podłoga z linoleum cuchnie moczem, ponieważ tata nie trafia do celu tak dobrze jak kiedyś) i przyrządzaniem śniadania w ciasnej kuchence, gdzie wszystko pokryte jest warstwą brudu - krzesła, stół, talerze, sztućce, filiżanki i spodki, toster, garnki, blaty, wszystko - od codziennego wytrącania się molekuł przypalonego tłuszczu. Dom nigdy tak naprawdę nie wyglądał czysto, odkąd trzynaście lat temu zmarła mama, lecz bardzo szybko podupadł, kiedy zachorowała i odeszła z pracy Irena, pomoc domowa z Polski, a on nie chciał słyszeć o zatrudnieniu nikogo innego. Z opieki społecznej próbowano przysyłać zastępczynię, lecz on wszystkie podejrzewał o próby zrabowania jego „rzeczy” i pieniędzy pochowanych pod klepkami w różnych miejscach i zabraniał im wracać do siebie, toteż w końcu przestano je przysyłać, a mnie tata nie pozwala znaleźć kogoś

prywatnie, choć obiecuję, że za to zapłacę.

Najlepszą częścią dnia była sama podróż do Londynu. Pociąg przyjechał punktualnie, znalazłem miejsce w tak zwanym „wagonie ciszy”, zdjęłem aparat i rozsiadłem się z „Guardianem” i nową biografią Hardyego. Czy i kiedy zakładać aparat podczas podróży publicznymi środkami transportu, jeśli podró-

52

żuję samotnie i nie muszę z nikim rozmawiać, jest sprawą skomplikowaną. Rzecz jasna trzeba go nosić, żeby kupić bilet i usłyszeć ewentualne komunikaty o zmianie peronu na stacji, kiedy jednak wsiadam do pociągu, korci mnie, żeby zdjąć aparat, chociaż wtedy nie usłyszę informacji płynących z głośnika, na przykład dlaczego stoimy od dziesięciu minut w szczerym polu tudzież bardziej istotnych wiadomości, na przykład

0 awarii semaforów, która na czas nieokreślony zatrzymała wszystkie pociągi przejeżdżające przez Kings Cross; mogę też się nie dogadać ze sprzedawcą napojów i przekąsek, kiedy pojawia się z wózkiem, co do ilości mleka i cukru w herbacie albo zawartości kanapek. Oczywiście mógłbym zostawić aparat w uszach, ale wyłączony, i wtedy słuchawki odgrywałyby rolę zatyczek, zauważyłem jednak, że jeśli nie pełnią swojej podstawowej funkcji, natrętna obecność tych małych plastikowych kulek w uszach staje się coraz bardziej wyczuwalna i denerwująca - toteż, nie mogąc zbyt długo znieść tego uczucia, szybko się ich pozbywam. Zazwyczaj więc wyjmuję aparat z uszu, gdy tylko znajdę swoje miejsce i pociąg wyjedzie ze stacji. Jedynym plusem głuchoty jest to, że człowiek niejako w sposób naturalny zostaje odizolowany od mnóstwa irytujących i nieprzyjemnych odgłosów (które stają się o wiele bardziej irytujące i nieprzyjemne, kiedy są wzmocnione przez aparat słuchowy), czemu więc z tego nie skorzystać? Wyjęcie z uszu aparatu słuchowego w pociągu jest jak natychmiastowe przeniesienie z drugiej do pierwszej klasy: metaliczny stukot

1 zgrzyt kół na torach zamienia się w delikatne rytmiczne pukanie, a głosy pasażerów przechodzą w kojący szmerek.

Jedynie telefony komórkowe zachowują moc irytowania nawet niedosłyszących podróżnych zarówno swoimi dzwonekami, jak i szczególnie nieznośnym hałaśliwym rytmem, który charakteryzuje jedną stronę podsłuchiwanej rozmowy telefonicznej, i dlatego właśnie zawsze staram się znaleźć miejsce

53

w „wagonie ciszy”, gdzie korzystanie z tych urządzeń jest zabronione. Zadziwiające jednak, ilu ludzi albo ignoruje napisy informujące o tym, albo ich nie zauważa, i dalej dzwonią i odbierają telefony, cały czas siedząc tuż pod nalepką, gdzie jak wół jest napisane: „Wagon ciszy. Prosimy nie korzystać z telefonów komórkowych”, i oczywiście często to ja muszę napominać winowajcę, gdyż większość pasażerów tchórzliwie ogranicza się do pełnych dezaprobaty spojrzeń, na które rozmawiający przez komórkę, skoncentrowany na odległym rozmówcy, oczywiście nie zwraca najmniejszej uwagi. Zadanie to wcale mi się nie uśmiecha, zakłóca bowiem spokój, który miało mi zapewnić zdjęcie aparatu słuchowego; czasem nawet znowu go zakładam, żeby być w razie konieczności przygotowany na kłótnię. W organizmie musi się znaleźć pewna dawka adrenaliny, żeby zacząć działać i zdecydować, co i jak - czy wkraczam, gdy tylko

telefon zostaje użyty, czy czekam, aż rozmowa dobiegnie końca, a może przerywam ją w połowie, jeśli przeciąga się w nieskończoność? Teraz mam już przygotowane na tego typu okazje zdanie: „Przepraszam, ale czy wiadomo panu/pani, że tu nie wolno rozmawiać przez telefon?” wypowiedziane tonem grzecznym i konfidencjonalnym, z palcem usłużnie wskazującym nalepkę na szybie, lecz reakcje adresatów tej uwagi bywają bardzo różne. Niektórzy, najczęściej kobiety, uśmiechają się, kiwiają głową i wyciągają pojednawczo rękę, jak gdyby przyznawali, że wina leży po ich stronie, lecz błagają o wyrozumiałość i kontynuują rozmowę, jak gdyby nigdy nic; inni, najwyraźniej naprawdę nieświadomi tego, że znajdują się w „wagonie ciszy”, wręcz niezdolni pojąć samej idei „wagonu ciszy” - miejsca, gdzie człowiek rezygnuje z niezbywalnego prawa do prowadzenia głośnej prywatnej rozmowy w miejscu publicznym - gapią się na ciebie nic nierozumiejącym wzrokiem, aż prawda w końcu dociera do ich świadomości, a wtedy rzucają jakąś niepochlebną uwagę na twój temat

54

swemu rozmówcy i posępnie kończą rozmowę bądź wynoszą się do następnego wagonu z miną osoby prześladowanej. Kiedyś pewien facet, który był wstawiony, zagroził, że tak mi kurwa przypierdoli, że jego piącha przebije mi kurwa mordę na wylot. Na szczęście zasnął, nim podjął próbę przearanżowania moich rysów.

Wczorajsza podróż upłynęła jednak bez przygód i z niechęcią zamieniłem względną sielankę „wagonu ciszy” na gwar i hałas dworca Kings Cross, na który dojechałem z jedynie dziesięciominutowym opóźnieniem. Zszedłem w otchłań metra i linią północną dojechałem do stacji London Bridge, a następnie na wpół pustym pociągiem podmiejskim do Brickley, przez Graffitilandię. Wycięte diamentem na oknach wagonów albo nabazgrane na laminowanej melaminowej boazerii kolorowymi markerami graffiti znajduje się zarówno wewnątrz pociągu, jak i na zewnątrz, naniesione sprayem na mijanych stacjach, taborze kolejowym bezczynnym na bocznicach, na budynkach przy torach, na murach, mostach, schodach i drzwiach szeregowych garaży, na każdym centymetrze dostępnej powierzchni. Ta eksplozja liter dodaje, jak sądzę, nieco kolorytu tej smętnej części południowo-wschodniego Londynu, lecz lingwistycznie zawsze wydaje mi się nieco uboga - są to głównie imiona lub pseudonimy autorów, rzadko jakiś dowcipny epigram czy ostry komentarz polityczny. Kiedy ostatnio się śmiałem z graffiti? Wiele lat temu zauważyłem jedno, którego wspomnienie do tej pory wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Pod napisem „Zabrania się rozlepiania ogłoszeń” jakiś dowcipniś napisał: „Zabrania się zabraniać”. Nic równie zabawnego nie rzuciło mi się w oczy, gdy przechodziłem kładką nad stacją Brickley. Tylko imiona, wulgaryzmy i hasła związane głównie z drużynami piłkarskimi.

Brickley to jedno ze starszych londyńskich przedmieść, powstałe jakieś sto lat temu, z ulicami zabudowanymi przysa-

55

dzistymi szeregowcami na płaskim terenie, a na pagórkowatym większymi segmentami, wysokimi willami i bliźniakami. Te budynki, wzniesione ze starej, żółtawej londyńskiej cegły z kamiennymi i tynkowymi

ozdobami, mocno zmodernizowane, przerobione, podzielone i rozbudowane, wciąż dominują w tej okolicy, na przemian z późniejszymi, powojennymi budynkami z czerwonej cegły - mało atrakcyjnymi blokami mieszkalnymi i maleńkimi szeregowcami dla tych, którzy kupują pierwszy dom. Lecz Lime Avenue, gdzie się urodziłem i gdzie wciąż mieszka tata, nie należy do żadnego z tych architektonicznych okresów. Jest delikatnie zakręcającą uliczką z niewielkimi międzywojennymi bliźniakami, wciśniętą na wznoszącym się terenie między główną ulicę i tory kolejowe, i nie prowadzi donikąd prócz głównej ulicy na jednym i drugim końcu. Ogródki domów od strony torów przylegają do wyjątkowo wysokiego i szerokiego nasypu, z drzewami, krzewami i trawiastymi zagłębieniami; dzieciaki, które tam mieszkały w czasach mojego dzieciństwa, miały dostęp do tego nielegalnego placu zabaw, czego im zazdrościłem. Nasz dom, pod numerem 49, jak wszystkie domy po drugiej stronie ulicy, ma niewielki ogródek sztucznie podwyższony odpadkami, ogrodzony wysokim betonowym murem. Za ogrodzeniem na tyłach naszego domu biegnie główna ulica: z piętra widać górną część autobusów i zawsze słychać je w ogrodzie. Nazwa ulicy pochodzi od lip, które w czasach mego dzieciństwa rosły w zróżnicowanych odstępach przy chodniku po obu stronach, lecz od tamtej pory usunięto je i zastąpiono jarzębinami po kampanii właścicieli samochodów, którzy buntowali się przeciwko lepkiej substancji skapującej z lip na karoserię ich pojazdów. Domy podzielone są wąskimi bocznymi alejkami, nie mają garaży ani wiat dla samochodów, toteż uliczka zastawiona jest z obu stron zaparkowanymi zderzak w zderzak autami. Kiedy byłem dzieckiem, graliśmy na ulicy w piłkę i kry-

56

kieta, przerywając grę i schodząc na chodnik, żeby przepuścić przejeżdżający sporadycznie samochód lub furgonetkę, teraz jednak zabawa na ulicy byłaby niemożliwa. Za każdym razem, kiedy odwiedzam Brickley i skręcam z głównej ulicy w Lime Street, doświadczam w myślach nagłego przeskoku do przeszłości, znów jestem uczniem w krótkich spodenkach, który wraca późnym popołudniem do domu, ze skarpetami zsuniętymi wokół kostek, butami sfatygowanymi po grze w nogę, i czeka na kolejny mecz z kolegami, nim zawołają go do domu na podwieczorek lub do odrabiania lekcji. Zawsze miło mi się tu wracało, na tę ulicę, i wciąż wygląda ona bardziej elegancko i ładniej niż starsze ulice burych segmentów w okolicy. Domy pokryte są tynkiem kamyczkowym, z drewnianymi elementami pomalowanymi na przeróżne kontrastujące ze sobą kolory i starannie utrzymanymi przydomowymi ogródkami z krzewami, donicami i ścieżkami z nierównych płyt, chociaż posesja pod numerem 49 obecnie prezentuje się dość żałośnie: żywopłot z ligustru wymaga przycięcia, drewniana furtka butwieje od dołu, a krótka betonowa ścieżka do frontowych drzwi jest popękana, nierówna i ze szczelin wyrastają chwasty. Tata upiera się, żeby wszystkie prace konserwacyjne wykonywać samodzielnie, co znaczy, że większość z nich nie jest wykonywana w ogóle albo jest wykonywana niezbyt dobrze. Dziesięć lat temu, kiedy przychodził do siebie po operacji, niechętnie się zgodził, bym najął kogoś do odmalowania domu, nie śmiem jednak znowu proponować czegoś takiego w obawie przed tym, że powyciąga drabiny i sam się do tego zabierze.

Zadzwoiłem do drzwi i gdy to nie odniosło żadnego skutku, użyłem kołatki, waląc nią mocno w drzwi cztery razy. Tata niedosłyszy - nie jest tak głuchy jak ja, ale ponieważ nie chce nosić aparatu słuchowego, słyszy nie lepiej ode mnie, a właściwie jeszcze gorzej. Pięć lat temu, po długiej i wyczerpującej serii kłótni, w końcu przekonałem go, żeby dał się przebadać

i zaopatrzyć w aparat słuchowy w ramach ubezpieczenia, utyskiwał jednak, że aparat jest niewygodny i nieporęczny, a do tego gwizdże i baterie ciągle się wyładowują. Szybko przestał go nosić. Mieszkając samotnie, nie miał motywacji, żeby się z nim męczyć. Słucha telewizji przez słuchawki, odkąd sąsiedzi zza ściany zaczęli się skarżyć na hałas płynący z głośników, ma też telefon z głośniejszym dzwonkiem i migającą lampką. Często jednak nie wpuszcza dostawców, bo nie słyszy kołatki, a gdyby się mnie nie spodziewał, mógłbym sobie długo poczekać, aż otworzy mi drzwi. Pierwszą oznaką, że zaraz to zrobi, było odsunięcie zasłony za okrągłą matową szybą w drzwiach. Sam powiesił tę grubą, sięgającą do podłogi filcową płachtę, żeby w zimowe miesiące zatrzymywała ciepło w środku, a przeciagi na zewnątrz. Większość okien w domu zasłania, choćby częściowo, z tego samego powodu, przez co i tak już posępne i zaniedbane wnętrza spowijają grobowy mrok. Drzwi otworzyły się i z progu uśmiechnął się do mnie starzec ubrany jak włóczęga.

- Witaj, synu - rzucił. - No to jesteś. - Odsunął się, żeby mnie wpuścić, zanim jednak zamknął drzwi i zaciągnął zasłonę, rozejrzał się podejrzliwie w obie strony, jak gdyby miał obawy, że jestem śledzony przez zbirów planujących napad z bronią w ręku. - Jak podróż? - zapytał, gdy zdjąłem płaszcz i powiesiłem go na wieszaku przy drzwiach.

- Dobrze. Pociąg choć raz przyjechał punktualnie - odparłem.

- Co? - Akurat to słowo często pada podczas naszych rozmów.

- Pociąg przyjechał punktualnie - powtórzyłem głośniej.

- Nie musisz krzyczeć - oznajmił.

Poprowadził mnie korytarzem do pokoju, który zawsze nazywaliśmy jadalnią, przypuszczalnie tak został określony przez agenta nieruchomości, chociaż był to i nadal jest pokój dzienny, do tego bardzo mały, jakieś dwanaście metrów kwadrato-

wych, jak sądzę. Usytuowany jest na tyłach domu, obok małej kuchenki. Pokój od frontu, czyli tak zwany „salon”, jest trochę większy, lecz w czasach mojego dzieciństwa rzadko z niego korzystaliśmy - jedynie w dni wolne od pracy i święta - zwłaszcza zimą, ze względu na kłopot związany z rozpalaniem drugiego kominka. Owszem, w jadalni znajdował się stół, przy którym spożywaliśmy większość posiłków, oraz kredens, ale stały tam też dwa fotele, sekretarzyk i radiola, później jeszcze doszedł telewizor, i głównie tam spędzaliśmy czas jako rodzina. W tamtych czasach salon służył ojcu do gry na saksofonie i klarncie. Ćwiczył codziennie późnym przedpołudniem przez godzinę, czego skrupulatnie pilnował, żeby palce pozostawały giętkie i wyćwiczone, i grał raz po raz coś, co brzmiało jak fragmentaryczna gama lub fraza bez ciągłej melodii. Słuchanie tego mogło doprowadzić do obłędu i zastanawiam się, czy nie z tego właśnie powodu, kiedy byłem młody, nigdy na poważnie nie próbowałem się nauczyć gry na żadnym

instrumencie - wydawało mi się, że nie ma w tym żadnej przyjemności. Dlatego kiedy po raz pierwszy usłyszałem tatę na estradzie, jak gra normalne solo na saksofonie tenorowym, było to istne objawienie. Później zainteresowałem się jazzem dzięki temu, że słucałem jego płyt, i w moich fantazjach grałem na trąbce jak Harry James albo Dizzy Gillespie, wtedy już jednak szykowałem się na studia uniwersyteckie, miałem mnóstwo zadań domowych do odrobienia i nie byłem dość zmotywowany, żeby zrezygnować z nędznych resztek wolnego czasu i przeznaczyć je na lekcje muzyki, tak więc nigdy nie nauczyłem się grać na żadnym instrumencie, a teraz, kiedy mam mnóstwo wolnego czasu, jest już za późno, bo upośledzenie słuchu w znacznym stopniu odebrało mi przyjemność obcowania z muzyką.

Tacie chyba też. Oczywiście już nie gra, kilka lat temu sprzedał instrumenty - stracił zęby i ma artretyzm w palcach - i nie słuca już tyle muzyki co kiedyś. Gramofon i magnetofon

59

kasetowy z zestawu stereofonicznego są zepsute, a on nie chce ich wymienić ani naprawić. Kiedy w ostatnie Boże Narodzenie zaproponowałem, że kupię mu nowy sprzęt z odtwarzaczem CD, skończyło się jednym z jego irracjonalnych napadów złości:

- Zwariowałeś? Na co mi odtwarzacz? Myślisz, że mając taki wspaniały zbiór czarnych płyt, chcę wyrzucać pieniądze na płyty kompaktowe, które kosztują majątek? Straszne naciąganie ludzi, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Wykonał zamaszty gest w stronę półki mieszczącej jego skromną kolekcję longplayów. Dobrze, powiedziałem, kupię wieżę z gramofonem, a on na to:

- Gdzie ja ją postawię? Nie mam tu miejsca na nowe kla-moty.

Powiedziałem, że może ją postawić tam, gdzie teraz stoi stary zestaw.

- Co? Mam wyrzucić stary sprzęt? Dałem za niego stówę.

- Ale nie działa, tato - zauważyłem

- Radio działa - zripostował, chociaż właściwie nigdy z tego radia nie korzysta, ponieważ nie może go nastawić wystarczająco głośno, żeby nie doprowadzić sąsiadów do szewskiej pasji.

Ma jeden odbiornik w kuchni, który nastawia tak głośno, że aż stukają naczynia, oraz drugi, przenośny i jego słuca w jadalni albo w łóżku przez lekkie słuchawki, głównie audycji mówionych. Sporadycznie nastawia Classic FM, ale dawno minęły czasy, kiedy siadał i wysłuchiwał całej symfonii lub koncertu któregoś ze swoich ulubionych kompozytorów, Elgara, Rachmaninowa, Deliusa - muzyki późnego romantyzmu, byle nie Mozarta ani Beethovena („nie znoszę tych cholernych germańców, za ciężkie to) - nagrywał je na kasety, żeby móc posłuchać ich później, i z tej oszczędności czerpał wielką satysfakcję. Jazz nowoczesny chyba już go nie interesuje, chociaż lubi nostalgiczne audycje poświęcone wielkim zespołom swingowym z lat czterdziestych, Bennyego Goodmana, Glen-

60

na Millera, Tommyego Dorsey'a. Nie trzeba dodawać, że gardzi gitarową muzyką rockową i popową, zresztą zawsze nią gardził, ponieważ położyła kres instytucji orkiestr tanecznych, wyjątek robił jedynie dla Beatlesów: „To byli prawdziwi muzycy”, mawiał. „Zręczne melodie i piosenki, które można zrozumieć, z odpowiednim rytmem”. Jego ulubioną była Eleanor Rigby.

- No, to jak się czujesz? - zapytałem, kiedy zasiedliśmy w dwóch fotelach przy kominku, gdzie palił się jeden elektryczny szczebelek. Chociaż zmusiłem go podczas ostatniej choroby mamy, żeby mi pozwolił na zainstalowanie centralnego ogrzewania, nigdy się do niego nie przekonał; z oszczędności zazwyczaj wyłącza kaloryfery i korzysta z elektrycznego kominka w jadalni, ponieważ nie zrobi mu się ciepło, dopóki nie zobaczy pomarańczowego żarzenia i nie poczuje, aż zaczną go piec golenie, jak kiedyś przy tradycyjnym kominku z żywym ogniem.

-Co?

Jestem pewien, że słyszał mnie doskonale, natomiast jak większość osób niedosłyszących przyzwyczył się automatycznie mówić „co?” w każdej niewygodnej dlań sytuacji. Zauważyłem, że sam też tak czasami robię.

- Jak się masz ostatnio? - zapytałem. Głośniej.

Skrzywił się.

- Niezbyt dobrze. Ostatnio w ogóle się nie wysypiam.

- Powinieneś sobie sprawić nowy materac - przypomniałem.

Temat był mu znajomy i rozmowa podążyła utartym szlakiem. Z mnóstwem powtórzeń i krzyków, brzmiała mniej więcej tak:

- A co chcesz od mojego materaca?

- Zapłacę za niego, tato.

- Nie o to chodzi. Mam mnóstwo kasy.

- Na twardszym materacu lepiej by ci się spało.

- Materac nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o moją... ten tego. Jak to się nazywa? - Spojrzał w dół na swoje krocze.

61

- Prostatę.

- O właśnie. Tej nocy wstawałem cztery razy.

- Byłeś w tej sprawie u lekarza?

- U starego Simmondsa? Tak. Mówi, że można to zoperować. Dziękuję bardzo, ale nie.
- Nie dziwię ci się, tato - rzekłem. I spróbowałem zażartować: - Może to mieć wpływ na twoje życie intymne. - Nie usłyszał jednak tej uwagi, a ja nie miałem ochoty jej powtarzać.
- Przepisał mi jakieś tabletki - dodał. - Zdaje się, że to środek ściągający. No wiesz, żeby zmniejszyć tę... jak jej tam... Ale nie widzę żadnej różnicy. - Pokręcił posępnie głową. Po czym jak zwykle znalazł myśl, którą mógł się pocieszyć. - Z drugiej strony, nie mogę narzekać. Weźmy Erica, on miał problem w drugą stronę. W ogóle nie mógł się wysikać. Musieli go zawieźć do szpitala. Wpuścili mu to coś do... - Pokazał na migi założenie cewnika, wykrzywiając przy tym twarz. Po chwili dodał łagodnie: - Nie, kiedyś kupię sobie nowy materac. Nie ma pośpiechu.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie skomentować jego stroju.

- Mam nadzieję, że się przebierzesz przed wyjściem.
- No pewnie, że się przebiorę! - zawołał ze złością. - Chyba nie myślisz, że wyjdę w tym?

Prawdę mówiąc, wcale tak nie myślałem, lecz irytuje mnie, kiedy chodzi po domu jak kloszard, może dlatego że istnieje między nami wyraźne rodzinne podobieństwo. Zupełnie jak gdyby przedstawiał sobą groteskową wersję mojej osoby. Obaj jesteśmy wysocy, mamy kościste sylwetki, przygarbione ramiona i pomarszczone, podłużne twarze, więc kiedy go widzę ubranego jak kukła Guya Fawkesa*, to tak, jakbym widział nędznego

* W Anglii 5 listopada, w rocznicę wykrycia „spisku prochowego”, dzieci palą kukły wyobrażające członka spisku, Guya Fawkesa.

62

siebie za dwadzieścia kilka lat. Miał na sobie potwornie zabrudzone spodnie z kraciastego tweedu, tak grubego i tak sztywnego od brudu i różnego rodzaju plam, że wyobraziłem sobie, iż po zdjęciu stawia je w kącie sypialni, do tego poplamiony beżowy sweter z dziurami na obu łokciach i postrzępioną koszulę w szkocką kratę bez dwóch górnych guzików, spod której wystawały wychudła szyja z jabłkiem Adama i półksiężyc żółtawego podkoszulka. Z ewentualnym wyjątkiem podkoszulka ubrania te nie były, wiedziałem o tym, znoszonymi rzeczami, które miał w swym posiadaniu od lat, lecz zostały zakupione całkiem niedawno, wygrzebane w ciuchlandach i na wyprzedażach. Na nogach miał sfatygowane, przydeptane na piętach kaptcie.

- Zastanawiam się, po co w ogóle wkładasz takie rzeczy - powiedziałem. - Można by pomyśleć, że nie masz porządnego ubrań. - Wiedziałem, że na piętrze stoją dwie szafy wypchane przyzwoitymi ubraniami w dobrym stanie.
- Po co mam się stroić, jak nie wychodzę z domu? - oburzał się. - Całymi dniami nikogo nie widuję.

Był to zawołany apel o litość, i to całkiem skuteczny, czułem się jednak w obowiązku kontynuować ofensywę.

- Wiedziałeś, że dzisiaj zobaczysz się ze mną - przypomniałem.
- To co innego - odburknął. - Zresztą wykonywałem różne prace.
- Jakie prace?
- Czyściłem piecyk.
- I jak ci idzie?

Kuchenka elektryczna jest nowym nabytkiem, choć przy zakupie nowa nie była. Zaproponowałem, że zafunduję mu fabrycznie nową, lecz on oczywiście uparł się, żeby kupić używaną w sklepie na jego ulicy - w jednym z tych, które wystawiają sprzęt na chodnik przed wejściem z okazjnymi cenami wymalowanymi ręcznie na plakatach. Była niewątpliwie tania, lecz nie

63

dołączono do niej instrukcji obsługi, a ja nie mogłem jej nigdzie zdobyć, ponieważ producent zaprzestał sprzedaży tego modelu, ojciec więc od tamtej pory ma kłopoty z jej obsługą. Problemem jest szczególnie piecyk, w związku z czym jedzenie jest czasem przypalone, a czasem w ogóle nie upieczone.

- Nieźle - stwierdził z podejrzanym szerokim uśmiechem. - Już go prawie rozpracowałem. - Jako że za zakup tego nieodpowiedniego sprzętu może winić wyłącznie siebie, wyobraża sobie tę kuchenkę jako sprytnego przeciwnika, który w jakiś sposób wtargnął do jego domu, a on musi go przechytryć. - Ale kiedy już mi się wydaje, że wszystko wiem, pojawia się coś nowego - dodał. - Okazuje się, że nie działa funkcja opiekacza, jeśli opuści się pokrywę.
- Przy opuszczonej klapie opiekacz staje się drugim piecykiem - powiedziałem. - Mówiłem ci o tym, tato.
- Osobom w moim wieku nie wystarczy czegoś powiedzieć, trzeba to zapisać - oznajmił.
- W porządku, spiszę ci kilka podstawowych instrukcji - zgodziłem się. - Może pójdziesz się teraz przebrać?

Kiedy on był na górze, ja udałem się do kuchni, żeby spisać parę słów na temat obsługi kuchenki. Była w opłakanym stanie, podobnie jak całe pomieszczenie, pokryta na zewnątrz i w środku warstwą tłuszczu, którą on próbował w kilku bezskutecznych podejściach zeskrobać. Na plastikowym blacie dostrzegłem kilka okrągłych śladów po przypaleniu pozostawionych przez garnki, które musiały być rozgrzane do czerwoności, kiedy je tam odstawiał, natomiast na ścianie nad płytą kuchni, gdzie podgrzewany tłuszcz musiał najwyraźniej zająć się ogniem, widniał wielki pióropusz sadzy. Otworzyłem lodówkę i znalazłem w niej pełno resztek jedzenia, ugotowanych lub nie, zawiniętych w pergamin lub folię aluminiową, z których te w najgorszym stanie wyrzuciłem do pojemnika na śmieci stojącego przy tylnych drzwiach. Ogarnęło mnie okropne uczucie

64

beznadziei i bezradności. Jest rzeczą oczywistą, że tata nie może mieszkać samotnie w nieskończoność, że prędzej czy później albo się podpali, albo zatruje. Nigdy natomiast nie opuści tego domu z własnej woli - a zresztą dokąd miałby się przenieść?

Zszedł na dół całkiem odmieniony, ubrany we wrzosową twee-dową marynarkę, szare spodnie z wełny chesankowej i czystą koszulę w paski, do tego krawat. Na kłapie marynarki zauważyłem plamkę po jedzeniu, ale - przekonywałem siebie - nie można mieć wszystkiego. Na nogi wsunął wyglancowane brązowe półbuty. Rzadkie, siwe włosy zostały zaczesane do tyłu znad czoła.

- Bardzo ładnie - przyznałem z aprobatą, zdrapując paznokciem z marynarki zaschniętą plamkę pod pozorem, że dotykam materiału.
 - Teraz takiego materiału już nie dostaniesz - powiedział. -Kosztowała mnie pięć funtów w Burtons. Wtedy to była kupa szmalu.
 - Gdzie chcesz zjeść? - zapytałem.
 - Tam, gdzie zwykle - odparł.
 - Nie chciałbyś gdzie indziej?
- Nie.

„Tam, gdzie zwykle”, to bufet w miejscowym supermarkecie Sainsbury s. Zasugerowanie zmiany było jedynie symbolicznym gestem: zrezygnowałem już z prób namawiania go, byśmy pojechali gdzie indziej. Większość okolicznych lokali to albo indyjskie, albo chińskie restauracje, od których on woli „trzymać się jak najdalej”. Kiedyś udało mi się go zwabić do włoskiej trattorii, gdzie zaszokowały go ceny w menu i stwierdził, że nie odpowiada mu smak czosnku i oliwy w potrawach. Przez cały posiłek miał skwaszoną i nieszczęśliwą minę, więc nie powtarzałem tego eksperymentu. Puby uważa za pijalnie piwa, z któ-

65

rego zrezygnował w przekonaniu, że niekorzystnie wpływa na jego prostatę, nie chodzi się więc tam na gorące posiłki, zresztą cóż to byłoby za przyjemność, jedzenie w otoczeniu ludzi raczących się piwem, na które jemu leciałyby ślinka. Tak więc zwykle kończy się na tym, że łądujemy w barze w Sainsburys.

- Dobra, zadzwonię i zarezerwuję stolik - zaproponowałem, lecz była to kolejna żartobliwa uwaga, której on nie usłyszał, a ja nie powtarzałem.

-Co?

- Zadzwonię po taksówkę.

Był czas, kiedy taka rozrzutność wywołałaby z jego strony ostry sprzeciw, ostatnio jednak pozwala mi, acz niechętnie, płacić za kurs do restauracji, pod warunkiem że wrócimy autobusem. Zaproponował jak zwykle: „Napijemy się po kapce sherry?”, a ja jak zwykle się zgodziłem. Nie lubię tej jego taniej, lepkiej, słodkiej sherry, lecz barek w Sainsburys nie ma pozwolenia na sprzedaż alkoholu, a ja, żeby przebrnąć

przez wspólny obiad, muszę łyknąć sobie czegoś mocniejszego. Kiedy już napiliśmy się sherry, zadzwoniłem do miejscowej korporacji taksówkowej i powiedziano mi, że auto przyjedzie za pięć minut, a w tym momencie tata jak zwykle postanowił, że przed wyjściem musi jeszcze raz pójść do łazienki. Skorzystałem z okazji i kiedy był na górze, ja ukradkiem wychyliłem drugi kieliszek, a właściwie szklaneczkę sherry, zanim jednak zdążył włożyć płaszcz i kapelusz - tak jak się obawiałem - taksówka obwieściła swoje przybycie klaksonem. Potem nie mogłem znaleźć kluczy, żeby zamknąć drzwi. Taksówkarz znów zatrąbił ze zniecierpliwieniem. Wyrzałem przez okno i zauważyłem, że blokuje wąski pas między dwoma rzędami zaparkowanych samochodów i uniemożliwia przejazd innemu kierowcy. Wyszedłem i poprosiłem taksówkarza, żeby zrobił objazd i wrócił za dwie minuty. Wymamrotał coś, czego nie zrozumiałem, i szybko odjechał. Wcale nie miałem pewności, czy jeszcze go

66

zobaczymy. Wróciłem do przedpokoju, gdzie tata gorączkowo przeszukiwał kieszenie wiszących tam płaszczy i kurtek.

- Nie wieszasz kluczy na haczyku w kuchni? - zapytałem.
- Tam ich nie ma.

Poszedłem do kuchni i znalazłem je na haczyku.

- Proszę - powiedziałem, podając mu klucze.

Jego twarz rozpromieniła się.

- Dzięki Bogu. Gdzie były?
- Na haczyku w kuchni. No, chodźmy już.

Taksówkarz wrócił i posyłał nam gniewne spojrzenia zza

okna zniszczonej czerwonej hondy, gdy ja pomagałem tacie usiąść z tyłu. Ruszyliśmy z piskiem opon, kołyszając się i ślizgając na krytych skajem siedzeniach.

- Mogłbym przysiąc, że spojrzałem na ten haczyk i nie było ich tam - twierdził tata.
- Nic nie szkodzi, tato.
- A wyłączyłem elektryczny kominek?
- Tak, tak - uspokajałem go, chociaż nie pamiętałem, czy rzeczywiście to zrobił. Nie śmiałem prosić teraz taksówkarza, żeby zawrócił. A gdyby dom spłonął, dumałem posępnie, problem, jak wyciągnąć z niego tatę, zostałby raz na zawsze rozwiązany.

To duży nowy Sainsburys wybudowany na placu niedaleko linii kolejowej. Barek jest czysty i jasno oświetlony, z jednej strony oddzielony od długich alejek z wypełnionymi regałami, z drugiej zaś wychodzi

na olbrzymi parking. Jedzenie, muszę przyznać, jest niezłe i naprawdę niedrogie. Trzeba zająć sobie jeden z numerowanych, krytych laminatem stolików, ustawić się z tacą w kolejce i wybrać zimne dania z gablot, a gorące zamówić przy kasie. Jedna z uśmiechniętych kobiet-cioteczek stanowiących tutaj większość personelu przynosi je do stolika

67

po przerwie, której długość uzależniona jest od tego, jak duży jest ruch. Na ścianie za gablotami wiszą błyszczące kolorowe fotografie oferowanych dań, w które tata wpatruje się przez jakiś czas, nim zajmie miejsce w kolejce: nareszcie może się porządnie najeść i zależy mu, żeby nie zmarnować tej okazji poprzez dokonanie złego wyboru. Zwykle zamawia wołowinę i nerki zapiekane w cieście z dwoma rodzajami warzyw albo smażoną rybę z frytkami, a na deser szarlotkę z sosem waniliowym. Rachunek za cały posiłek dla dwóch osób prawdopodobnie opiewa na sumę mniejszą niż cena jednej przystawki w Savoy Grill.

Innym klientom baru - uczniom miejscowego liceum, młodym matkom z niemowlętami i małymi dziećmi, ekspedientom z supermarketu podczas przerwy na lunch i wiecznym bezrobotnym - musimy się wydawać dziwną parą. Jest to wielorasowa robotnicza dzielnica, gdzie ludzie ubierają się w niechlujnym nowoczesnym stylu: w warstwy syntetyków ozdobione znakami firmowymi i w sportowe buty o barokowym wzornictwie z grubymi, rzeźbionymi podeszwami. Przekornie pożałowałem, że wcześniej poddałem krytyce nędzny strój taty, prowokując go do kontrataku w ubiorze. Sam ubieram się dość elegancko, nie czuję się swobodnie w modnym teraz sportowym stylu, zawsze więc noszę krawat i marynarkę albo granatowy blezer, który miałem na sobie wczoraj. Czułem, że obaj jesteśmy przesadnie wystrojeni; jak gdybyśmy się wybierali do Savoy Grill, ale stwierdziliśmy, że nas nie stać, więc zamiast tego zadowolamy się barem w Sainsbury s.

Tata jadł swój posiłek szybko i łapczywie, a kiedy skończył, rozsiadł się wygodnie z westchnieniem satysfakcji. Przy herbacie zaczął wspominać. Jak wszystkim niedosłyszającym łatwiej mu mówić, niż kogoś słuchać, a ja z chęcią mu na to pozwoliłem. Wszystkie jego anegdoty słyszałem wielokrotnie i dlatego nie muszę się zbytnio koncentrować, żeby je zrozu-

68

mieć i odpowiednio na nie reagować. Coś - prawdopodobnie drobny deszcz, który zaczął padać na zewnątrz, powodując ściemnienie nawierzchni parkingu - musiało mu przypomnieć o powrocie z Indii, kiedy po zakończeniu wojny został zdemobilizowany po dziewięciomiesięcznej służbie w niewielkiej orkiestrze wojskowej. Dzięki licznym powtórzeniom mógł doszlifować formę tej opowieści.

- Przybiliśmy do portu w Southampton i ruszyliśmy pociągiem do Londynu. Padał deszcz, ale nam to nie przeszkadzało. Taki cudowny angielski deszczyk i dookoła było tak zielono! Od miesiący nie widzieliśmy żadnej zieleni. Tylko kurz. „Kurz, plwociny i pająki, całe Indie - mawiał Arthur Lane. - Jeśli Hindusi chcą je odzyskać, to proszę bardzo". Ta zieleń pól i drzew, kiedy jechaliśmy przez Hampshire, była czymś niesamowitym, jak woda dla kogoś, kto umiera z pragnienia. To było tak, jakbyśmy chcieli pić Anglię. I było nam ciągle mało. W trakcie podróży wystawialiśmy głowy przez okna i chociaż padało, nikt sobie z

tego nic nie robił. A Arthur Lane... ten to zawsze musiał coś wymyślić... otworzył drzwi w naszym przedziale... wiesz, wtedy pociągi miały przedziały każdy z oddzielnymi drzwiami... otworzył szeroko drzwi, usiadł na podłodze, zwieszając nogi nad kołami, i powtarzał wpatrzony w pola: „Nie do wiary, kurwa, nie do wiary”.

Tata zachichotał pod wpływem tego wspomnienia. Arthur Lane był perkusistą w orkiestrze, w której tata spędził większość wojny, i występował w wielu jego anegdotach, podziwiany za cięty dowcip i niezależność. Nigdy osobiście nie spotkałem tej legendarnej postaci, widziałem natomiast fotkę z nim i tatą w workowatych szortach khaki, jak szczerzą zęby i mrużą oczy w blasku indyjskiego słońca, tata wysoki i chudy z dłonią na ramieniu przysadzistego i pulchnego Arthura.

Nagle uśmiech zgasł na jego twarzy. Westchnął i pokręcił głową.

69

- Biedaczysko - powiedział. - Już nie żyje. Mówiłem ci?
- Nie - skłamałem.
- Nie żyje. Rak - Ściszył głos, gdy wymawiał to budzące postrach słowo, i pokazał na migi zaciąganie się papierosem. - Płuca. Arthur zawsze dużo kopał. Nawet kiedy grał na perkusji, miał zapalonego peta.
- Utrzymywałeś z nim kontakt po wojnie? - zapytałem jak aktor stanowiący tło dla komika.
- Widywaliśmy się na Archer Street - odpowiedział, wymieniając nazwę nędznej uliczki za Piccadilly Circus, gdzie w poniedziałkowe popołudnia, zanim dyskoteki odebrały im źródło utrzymania, zbierali się muzycy, żeby umówić się na występy, spłacić długi, wymienić plotki. - Ale kiedy skończyły się spotkania na Archer Street, straciłem z nim kontakt. Słyszałem, że rzucił muzykę i wziął normalną robotę, jak wielu innych. Któregoś dnia pomyślałem sobie, że do niego zadzwonię, dowiem się, co u niego. Nie wiem, skąd ten pomysł. Pewnie wspominałem stare czasy i chciałem po prostu usłyszeć jego głos. Odebrała żona. Nigdy jej nie widziałem, ale rozpoznałem jej głos. „Mówi Harry Bates - powiedziałem - zastałem Arthura?” Nastąpiła długa cisza. Pomyślałem najpierw, że przerwało połączenie. W końcu się odezwała: „Arthur nie żyje od ośmiu lat”. Ale mnie wtedy zatkało. Arthur umarł tak dawno, a ja nie miałem o tym pojęcia. Był młodszy ode mnie. - Zasznurował wargi i znów pokręcił głową. - Niewielu już zostało kumpli z branży.
- Na ciebie nie ma mocnych, tato.
- Widzisz, ja o siebie dbałem. Przestałem palić, kiedy pojawił się ten kaszel... pamiętasz? I nigdy nie piłem, pijaczną to mnie nie można było nazwać. Szklaneczka piwa, owszem, ale nic mocniejszego. - Pokazał na migi uchwycenie w palce kieliszka alkoholu i podniesienie go do ust. - Alkohol zabił niejednego dobrego muzyka. Kiedy klient w klubie albo staruszek

70

na żydowskim weselu stawiał zespołowi kolejkę, większość chłopców zamawiała podwójne whisky, a ja zawsze brałem małe piwko. W whisky można się za bardzo rozsmakować. -I dodał surowo: - Mam nadzieję, że ty nie pijesz whisky.

- Bardzo rzadko. Jak wiesz, moim ulubionym trunkiem jest wino.
- Tak, cóż, ja od czasu do czasu lubię sobie wypić kieliszek słodkiego białego wina, ale nie tego czerwonego kwasu, w którym gustujesz.
- Nie martw się, tato, na Boże Narodzenie kupię ci trochę liebfraumilch.

Spojrzał na mnie wilgotnymi oczami.

- Więc przyjeżdżam do was na święta?
- Oczywiście, że tak. Nie możesz samotnie spędzić Bożego Narodzenia. - Prawdę mówiąc, gdybym nie musiał podejmować taty w święta, byłbym w siódmym niebie. Boże Narodzenie samo z siebie jest nieznośne, nawet bez dodatkowego stresu związanego z opieką nad nim i próbami załagodzenia nieuchronnych napięć powstających między nim, Fred i matką Fred, lecz poczucie winy związane z pozostawieniem go samego w Londynie na okres świąt byłoby jeszcze gorsze.
- Nie jestem pewien, czy wytrzymam podróż - powiedział.
- Przyjadę po ciebie samochodem, jak zwykle.
- Ale ja praktycznie co pół godziny muszę się wysikać.
- Wzdłuż autostrady jest mnóstwo zajazdów - uspokajałem go. - Na wszelki wypadek weźmiemy do samochodu butelkę.
- Co takiego?

Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy nikt nie siedzi blisko nas. Na szczęście wzmożony ruch w porze lunchu już minął i większość pozostałych stolików była wolna.

- Możesz w samochodzie mieć butelkę - powiedziałem głośniejszym głosem.
- O, cudownie - odparł z goryczą. - A jeśli utkniemy w kor-

71

ku i wszyscy ludzie z innych samochodów będą się na mnie gapić przez okna?

- Wtedy zrobisz to pod kocem - rzekłem z irytacją. - Zresztą nie jest z tobą tak źle, jak ci się wydaje. Odkąd tu weszliśmy, nie musiałeś jeszcze iść do ubikacji.
- Ale teraz muszę - oznajmił i wstał z krzesła. - Przeleciała przeze mnie ta herbata.

Taki rodzaj uwag działa na nerwy Fred, a jeszcze bardziej na nerwy jej matki.

Po wizycie w toalecie przeszliśmy alejkami supermarketu i zrobiliśmy trochę zakupów dla taty. Chociaż wiedział, że przy kasie zapłacę ja, upierał się, żeby kupować najtańsze produkty - tak tanie, że wiele z nich nie nosiło żadnych nazw firmowych: puszki z fasolą w sosie pomidorowym ze zwykłą białą etykietą obwieszającą bez ogródek czarną czcionką: „Fasola w sosie pomidorowym” albo biały chleb z napisem „Tani biały chleb” wydrukowanym na zwykłym foliowym opakowaniu. Mieli nawet butelki „niemieckiego liebfraumilch” bez żadnych innych informacji na etykiecie prócz kraju pochodzenia - za niecałe dwa funty. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, z paroma pełnymi siatkami, deszczyk był już solidną ulewą, co posłużyło mi za pretekst do złapania taksówki, z której wysiadał właśnie pasażer, i wepchnięcia taty na tylne siedzenie, nim zdąży zaprotestować. Przez cały kurs nie spuszczał wzroku z taksometru, komentując z niedowierzaniem za każdym razem, kiedy zmieniały się cyfry, i odwrócił wzrok, kiedy płaciłem kierowcy, jak gdyby ta transakcja była zbyt wstydliva, by można jej się było przyglądać.

Po powrocie do domu tata zasłonił oczy, położywszy na nie jedwabną chusteczkę, i zasnął w swoim fotelu przed elektrycznym kominkiem. Sam przysnąłem na jakiś czas, lecz obudzi-

72

łem się pierwszy i nie próbowałem przerywać mu snu. Prawdę mówiąc, im dłużej mogę wypełniać swą synowską powinność dotrzymywania mu towarzystwa bez konieczności prowadzenia z nim rozmowy, tym jestem szczęśliwszy. Siedział rozparty w fotelu z głową odchyloną do tyłu i otwartymi ustami, jak gdyby z trudem łapał powietrze. Rzeczywiście, nie ma na niego mocnych. Kiedy wybuchła wojna, miał dość oleju w głowie, żeby się zaciągnąć do RAF-u jako muzyk, nie czekał, żeby go powołano do wojska i przydzielono mu prawdopodobnie jakieś bardziej niebezpieczne i zdecydowanie mniej przyjemne zajęcie. Na lotniskach we wschodniej Anglii maszerował w orkiestrach dętych na pogrzebach młodych lotników, ofiar wypadków podczas ćwiczeń, wieczorami zaś grywał na potańcówkach i koncertach ENSA* dla powracających z nalotów bombowych nad Niemcami bohaterów, którzy z prawdopodobieństwem jak jeden do dwóch ryzykowali, że w przyszłości stamtąd nie wrócą. Stacjonował na Szetlandach, prawdopodobnie w najbezpieczniejszym miejscu na Wyspach Brytyjskich w tym czasie, i przysyłał mi, swemu trzyletniemu synkowi, komiksowe szkice siebie samego, jak łowi ryby i gra w golfa na oczach zaintrygowanych owiec. W ostatnim roku wojny jego orkiestrę wysłano do Indii, kolejnej strefy, gdzie nie prowadzono walk. Zawsze podróżował pociągiem bądź statkiem i odrzucił propozycję powrotu z Bombaju samolotem wojskowym, chociaż to by oznaczało znacznie szybszą demobilizację, zatem przez sześć lat służby w RAF-ie ani razu nie wzbil się w powietrze, samolot był bowiem środkiem transportu, który nie bez powodu uważał za z natury swej niebezpieczny. Nigdy też nie poleciał samolotem w czasach pokoju, chociaż siedział w kilku maszynach stojących na płycie, kiedy grał pasażera

* Powołana w 1939 roku organizacja, której celem było zapewnienie rozrywki brytyjskim żołnierzom.

73

w telewizyjnych reklamach linii lotniczych. Jest człowiekiem nadzwyczaj silnym i zaradnym, który pokonał przeszkody związane ze skromnym pochodzeniem i sprawnie przystosowywał się do zmieniających się okoliczności. Urodzony skrzypek, w gruncie rzeczy samouk, rzucił szkołę w wieku lat czternastu, zatrudnił się jako goniec, uległ fascynacji jazzem, rodzajem muzyki raczej skrzypcom nieprzyjaznym (wyjątkiem jest Stephane Grappelli), nauczył się grać na saksofonie i klarncie, dorabiał wieczorami w orkiestrach tanecznych, zajął się tym zawodowo, zaczął grać w klubach nocnych, orkiestrach, radiowych big-bandach, śpiewał ballady na antenie słodkim wysokim tenorem idealnie dopasowanym do gustów lat trzydziestych, i gdy po powrocie z wojny zorientował się, że piosenkarze w stylu sweet są na topie, zdmuchnął kurz ze skrzypiec, które za sprawą Mantovaniego znów się stały popularne, i grywał lekką spokojną muzykę na bankietach i przyjęciach weselnych, nauczył się szkockich melodii ludowych, żeby grać je na myśliwskich balach, i przez kilka lat regularnie występował z własnym kwartetem w nocnym klubie na West Endzie. Kiedy klub zamknięto i próbował wrócić do koncertów, okazało się, że organizuje się ich bardzo mało, zapisał się więc do związku zawodowego aktorów i agent znalazł mu dzienną pracę statysty w telewizji i filmie. Wciąż sporadycznie widuje siebie w telewizyjnych powtórkach bardzo starych seriali i dzwoni do mnie, żeby zapytać, czy go widziałem, a ja za każdym razem udaję, że tak.

Zawsze był też człowiekiem o rozlicznych zainteresowaniach - występujących fazowo. Na różnych etapach swego życia zawsze miał jakieś hobby, zajęcie, które pochłaniało cały jego wolny czas i energię, aż nagle tracił całe nim zainteresowanie i hobby popadało w zapomnienie, choć czasem powracał doń po latach. Przez dłuższy czas pasjonował go golf - wygodna rozrywka dla człowieka, który pracuje wieczorami

74

i

-

i jest wolny popołudniami w dni powszednie, kiedy na miejskich polach golfowych nie ma tłoku - ale chociaż się starał, ćwiczył godzinami i studiował golfowe podręczniki, nie zdołał nigdy osiągnąć handicapu poniżej dziesięciu uderzeń, a w końcu zaczęły dokuczać mu kolana i zrezygnował z gry. Później zainteresowało go wędkowanie na morzu i wycieczki do Brighton, gdzie łowił z mola West Pier do czasu jego sponięcia - tragedia ta głęboko nim wstrząsnęła i najwyraźniej zniwelowała zapał do tej formy rekreacji. Później przyszedł czas na kolekcjonowanie staroci, buszowanie w miejscowych sklepikach i na pchlich targach w poszukiwaniu drobnych przedmiotów (w domu nie było miejsca na duże) o obiecującym wyglądzie i ślęczenie nad książkami z biblioteki w celu ustalenia ich wieku i wartości. Później było obracanie akcjami i obligacjami. Później kaligrafia. Później malarstwo olejne. Niezmiennie opanowywał te liczne umiejętności, posiłkując się wiadomościami z wypożyczonych książek i pism albo radami wyłudzonymi od bardziej doświadczonych specjalistów. Wstrętą była mu myśl o tym na przykład, żeby zapisać się na zajęcia z malarstwa. Był instynktownym samoukiem. Być może z tego powodu nigdy tak naprawdę nie wybił się jako muzyk ani w żadnej ze swych hobbyistycznych pasji, chylę jednak czoło przed jego zawodową wszechstronnością i wachlarzem zainteresowań, przy których moje życie wydaje się monotonne i ograniczone do wąskiej specjalizacji.

Tym bardziej więc boli serce, kiedy się go widzi teraz, pozbawionego tych wszystkich przyjemniających życie zainteresowań. Pozostało mu teraz tylko jedno hobby: ciułanie pieniędzy, obserwowanie cen, oszczędzanie na jedzeniu, ubraniach i rachunkach. Nie ma sensu pytać go, na co zbiera pieniądze, ani przekonywać, że gdyby głębiej sięgnął do swych zasobów, mało prawdopodobne, by je w całości wyczerpał, a nawet gdyby do tego doszło, dostarczyłbym mu wszelkie niezbędne fun-

75

duze. Jest wręcz skłonny przyjmować takie komentarze jako bezduszne aluzje do tego, że zostało mu niewiele lat życia - co oczywiście w kategoriach aktuarialnych jest prawdą, lecz nie taki komunikat chcę mu przekazać. Jednym z powodów, dla których egoistycznie pozwoliłem mu przysypiać w fotelu, była świadomość, że nie poruszyliśmy jeszcze tej drażliwej kwestii, a im mniej było czasu na zrobienie tego przed moim wyjazdem, tym lepiej. Wiedziałem, że szuflady stojącego za mną sekretarza zapchane są chaotyczną zbieraniną starych rachunków i wyciągów bankowych, formularzy podatkowych, świadectw udziałowych, bonów oszczędnościowych, odcinków z książeczek czekowych, książeczek wpłat i książeczek oszczędnościowych, odcinków kontrolnych obligacji premiowej i Bóg wie, czego jeszcze, i że kiedy się obudzi, niemal na pewno będzie chciał moich rad na temat czegoś, co wydobędzie z tego finansowego stosu śmieci. No i naturalnie kiedy się obudził, bez mojej pomocy, i ocucił filiżanką herbaty, podszedł do sekretarza i wyjął korespondencję mającą coś wspólnego z bonami oszczędnościowymi.

- Ta baba z północy nie przestaje mnie zadręczać, żebym kupił więcej bonów - poskarżył się. - Co się tak uwzięła?
- Nie sądzę, żeby osobiście podpisywała te listy - powiedziałem. - Drukuje je komputer. - Spojrzałem na pisma, na których widniał wydrukowany podpis przedstawiciela centrali państwowej kasy oszczędności w Durham. - Masz kilka bonów, których ważność wygasła. Chcą wiedzieć, co masz zamiar zrobić: spieniężyć je czy kupić nowe.
- A nie mogę ich zostawić tak, jak są? - zapytał.
- Owszem, możesz, ale zarobią mniej odsetek niż te nowe.
- Ale jeśli kupię nowe, będę musiał czekać znowu pięć lat, aż... jak to się mówi...
- Przypadną do zapłaty, tak.

W milczeniu zastanawialiśmy się nad ewentualnością, że

76

może nie doczekać radości z narosłych odsetek od pożyczki udzielonej rządowi.

- Myślę, że zostawię je tak, jak są.
- A gdybyś je spieniężył i coś sobie zafundował?
- Co? - zapytał, ten jeden raz mając na myśli nie „Co powiedziałaś?”, tylko „Co na przykład?”

-Nie wiem... wynajmij limuzynę, żeby zawiozła cię do Brighton.

- Nie bądź taki dowcipny, cholera.

- Zawsze się skarżysz, że brakuje ci morza. Mógłbyś połowić ryby z przystani.

- Próbowałem przez jakiś czas. Ale stare molo było niezrównane. Trzeba przejść szmat drogi, żeby znaleźć dobre miejsce na zarzucenie wędki. A potem jest daleko do kibla.

Najwyraźniej uznał, że jest to rozstrzygający argument przeciwko mojej frywolnej propozycji, a ja nie próbowałem go kwestionować.

- Musi być coś, co chciałbyś zrobić.

- Nie, nie ma - odparł ponuro. - Na wszystko jestem za stary. Jeśli uda mi się przetrwać noc bez wstawania więcej niż trzy razy, jeśli po śniadaniu zrobię, co trzeba w ubikacji, jeśli ugotuję obiad bez przypalenia czegoś, jeśli jest coś ciekawego do obejrzenia w telewizji... to wszystko, na co mogę liczyć. Wtedy dzień mogę uznać za udany.

Nie umiałem odpowiedzieć mu na te słowa czymś podnoszącym na duchu.

- Posłuchaj mojej rady, synu - kontynuował. - Nie zestarzej się.

- Ja już jestem stary, tato - odparłem.

- Ja bym nie nazwał tego starością.

- Jestem emerytem. Pobieram emeryturę. Mam legitymację uprawniającą do zniżki kolejowej i ulgowy bilet autobusowy. Zawsze muszę przynajmniej raz wstawać w nocy. I niedosłyszę.

77

Słaby uśmiech rozświetlił jego oblicze.

- Tak, rzuciło ci się trochę na uszy - przyznał. - Zauważyłem. Ciekawe, skąd się to u ciebie wzięło. Ja w twoim wieku miałem idealny słuch. - Kiedy już zaznaczył swoją przewagę nade mną, poprawił mu się humor. - Co byś chciał na podwieczorek? - zapytał. - Moglibyśmy zjeść tę fasolkę z kawałkiem bekonu.

Zerknąłem na zegarek.

- Niedługo muszę jechać - przypomniałem.

- A nie możesz zostać na noc? Łóżko w twoim pokoju jest pościelone.

- Nie, tato, dziękuję, jutro mam dużo pracy. - Kłamstwo.

- No to najpierw coś przegryź.

Powiedziałem, że zjem, jeśli mi pozwoli coś przygotować i zademonstrować, jak działa opiekacz nad

kuchenką.

- Nie trzeba, powiesiłem już sobie twoje instrukcje.

Upierałem się jednak, chcąc, żeby posiłek był jadalny, i tata zrzędliwie się zgodził.

Wyszedłem od niego około osiemnastej. Patrzył, jak wkładam płaszcz w ciasnym przedpokoju pod słabą żarówką, i odstąpił filcową kurtynę w drzwiach, żeby mnie wypuścić. Poczułem jego chłodne i miękkie palce muzyka, kiedy uścisnęliśmy sobie dłonie.

- To do widzenia, tato - powiedziałem. - Trzymaj się.

- Do widzenia, synu, dzięki, że przyjechałeś.

Posłał mi uśmiech, który był niemal czuły, i odczekał w otwartych drzwiach, aż przejdę przez furtkę. Podniosłem rękę w ostatnim pozdrowieniu i ruszyłem na dworzec z lekkim sercem, acz nie bez poczucia winy. Obowiązek spełniony.

5

5 listopada. Obowiązek opieki nad ojcem tak bardzo mi ciąży, ponieważ nie mam się nim z kim podzielić. Jestem jedynakiem, a rodzice też nie mieli rodzeństwa. Ja i tata praktycznie nie kontaktujemy się z żadnymi krewnymi, a już na pewno z nikim, kto mieszkałby w Londynie. Ma wprawdzie dwie starsze kuzynki ze strony matki, które żyją na emeryturze, jedna w Devonie, druga w Suffolk - wysyłamy do siebie kartki na Boże Narodzenie i to wszystko. Moje dzieci odwiedzają dziadka bardzo rzadko, oboje jednak mieszkają daleko poza Londynem i prowadzą aktywne życie. Ojciec nie ma też prawie żadnych przyjaciół. Ci z branży muzycznej albo nie żyją, albo stracił z nimi kontakt; nigdy zresztą nie miał czegoś, co można by nazwać życiem towarzyskim. Jego życiem towarzyskim była praca, o czym wiedziałem dzięki tym nielicznym okazjom, kiedy go mogłem w niej podpatrywać: dowcipkował z kolegami na estradzie w przerwach między wiązankami muzycznymi, gawędził z klientami w nocnych klubach, zawsze roześmiany, uśmiechnięty, ściskający dłonie, ponieważ tego się oczekuje od muzyka z orkiestry tanecznej, jak mi kiedyś wyjaśnił. „Klienci przychodzą, bo chcą się bawić, i chcieliby, żebyś i ty wyglądał, jakbyś się dobrze bawił, nawet jeśli czujesz się podle”. Tak więc w czasie, kiedy nie pracował, nie zależało mu na życiu towarzyskim, chciał tylko grać w golfa, wędkować albo oddawać się jakiemuś innemu hobby. Pracował w godzinach, w których zwykli ludzie korzystają z wolnego czasu, a jeśli już wieczorem przebywał

79

w domu, to dlatego że nie miał koncertu ani innego regularnego zajęcia, a wtedy nie był w nastroju do wydawania pieniędzy na rozrywki w mieście. Nawet w niedziele często grywał na żydowskich ślubach i bar micwach. Główną ofiarą tego stylu życia padła moja matka, której życie towarzyskie przez jakieś dwadzieścia pięć lat było szczątkowe, a życie zawodowe, na stanowisku słabo opłacanej urzędniczki w

biurze miejscowego dostawcy materiałów budowlanych, mało atrakcyjne. Przyjaźniła się z kilkoma kobietami z naszej ulicy, ale od jej śmierci większość z nich też zmarła albo się przeprowadziła, natomiast kontakty taty z większością sąsiadów ograniczają się do pozdrowień na ulicy, nie licząc Barkerów, sąsiadów z bliźniaka - urzędnika kolejowego, teraz na emeryturze, i jego żony, którzy mieszkają tam od jakichś trzydziestu lat - ale choć im ufa, nie lubi ich. Dom po drugiej stronie ogrodzenia zajmuje rodzina sikhów, z którą utrzymuje uprzejme stosunki na odległość. W gruncie rzeczy żyje więc na Lime Avenue zupełnie sam i ostatnio jestem prawdopodobnie jedyną osobą, która przekracza próg jego domu, z wyjątkiem lekarza i inkasenta z elektrowni. Jest to samotna i krucha egzystencja. Co mam zrobić? Przedyskutowałem tę sprawę z Fred, kiedy przedwczoraj wróciłem wieczorem do domu.

Było tuż po wpół do jedenastej, kiedy moja taksówka skręciła w zwirowy podjazd domu przy Rectory Road 9. Gdy otwierałem frontowe drzwi, jak zawsze, kiedy wracałem z wypraw do Londynu, uderzył mnie kontrast między ciemnym i obskurnym bliźniakiem skromniutkich rozmiarów, z którego wracałem, a subtelnie zmodernizowaną i pięknie utrzymaną willą w stylu regencji będącą teraz moim domem, z lśnieniem elementów pomalowanych olejną farbą, z pasami drewnianej podłogi, z wysokimi sufitami i elegancko zakręcającymi schodami, z kredowobiałymi ścianami obwieszonymi barwnymi

80

współczesnymi obrazami i grafikami, z wygodnymi meblami w dyskretnie nowoczesnym stylu, puszystymi dywanami i supernowoczesnymi zasłonami, które przesuwają się za dotknięciem przycisku. Powietrze było ciepłe i miało słodki zapach.

Fred weszła w posiadanie tego domu w ramach ugody rozwodowej i jego upiększanie uczyniła swym głównym hobby do czasu, aż po otwarciu Decor stał się swoistym przedłużeniem działalności zawodowej, polem doświadczalnym dla nowych pomysłów i reklamą dla potencjalnych klientów. Kiedy się pobraliśmy, z chęcią sprzedawałem utrzymany w dobrym stanie, lecz mało ciekawy pudełkowaty dom jednorodzinny, gdzie razem z Maisie wychowywaliśmy naszą dźiatwę, i przeniósłem się do domu Fred, a dzięki zdobytym w ten sposób środkom można było sfinansować jej ambitne przedsięwzięcia renowacyjne. Na trzech kondygnacjach mieściło się dość sypialni dla dzieci z naszych poprzednich małżeństw, dwojga moich - które zresztą w tym czasie studiowały albo wybierały się na studia - i trojga jej. Teraz, kiedy zostaliśmy sami, dom wydaje się nieprzyzwoicie duży, Fred lubi jednak urządzać wielkie przyjęcia i rodzinne spędy z okazji Bożego Narodzenia i innych świąt. Utrzymuje ponadto, że przestrzeń jest jej jedynym luksusem: niektórzy lubią szybkie samochody albo jachty, mają letnie domy w Dordogne, ona zaś woli wydawać pieniądze na przestrzeń, w której przebywa codziennie.

Powiesiłem płaszcz w przedpokoju, zawołałem: „Fred!”, żeby obwieścić swój powrót, i znalazłem ją, jak się spodziewałem, w salonie. Światła były kojąco przygaszone, a sztuczne węgielki w gazowym kominku żarzyły się i migotały ciepło. Fred spoczywała w pozycji półleżącej na sofie, oglądając wiadomości w telewizji, i nim zgasła obraz pilotem, dostrzegłem tylko żołnierzy w mundurach patrolujących zakurzoną ulicę bliskowschodniego miasta. Podszedłem do sofy, a Fred nadstawiła twarz do pocałunku.

81

- Oglądaj sobie, jak chcesz - powiedziałem.

- Nie, kochanie, to zbyt przygnębiające. Kolejny zamach samobójczy w Bagdadzie.

Zanurzyłem się w fotelu i zdjąłem buty. Fred powiedziała coś, czego nie rozumiałem, przypuszczalnie coś o wiadomościach, o jakichś zniszczeniach.

- Duże zniszczenia? - zapytałem. Po jej minie zorientowałem się, że coś jest nie tak. - Chwileczkę - poprosiłem i wygrzebałem z kieszeni aparat słuchowy, który zdjąłem w pociągu. Gdy wkładałem słuchawki do uszu, odkryłem, że jedna z nich już jest wyłączona. - Co powiedziałaś?

- Mówiłam, że słyszeć piszczanie.

- Pewnie zapomniałem wyłączyć jedną słuchawkę. Albo sama się jakoś wyłączyła. Podejrzewam je, że od czasu do czasu specjalnie mi to robią.

- Jak wizyta?

Ton jej głosu był życzliwy, lecz mikroupokorzenie związane z piszczącym aparatem słuchowym, przypominające o mojej ułomności, pozostawało jak podrażnienie po ukąszeniu owada i ostudziło nieco radość z powrotu do domu. „Gdzież jest, o niesłyszanie, twój oścień?”* Odpowiedź: wszędzie. Może właśnie z tego powodu odmalowałem nieco bardziej mroczny obraz sytuacji taty. Opisałem, w jakim stanie znajduje się jego dom, zwłaszcza kuchenka i lodówka.

- Nie może już dłużej mieszkać sam - zawyrokowałem.

Fred miała poważną minę.

- Cóż, kochanie, nie chciałabym, żeby to zabrzmiało ostro albo bezdusznie, ale muszę to powiedzieć: u nas zamieszkać nie może.

- Wiem.

- Nie dałabym rady. Na Boże Narodzenie i kilka innych okazji w roku, owszem, ale nie mogłabym mieć go tutaj na stałe.

* Desmond cytuje w zmienionej wersji znany angielski hymn Abide with Me.

82

Prawdę mówiąc, ja też nie, czuję jednak wdzięczność wobec Fred, że jest gotowa wziąć na siebie odium tej decyzji.

- Zresztą nie chciałby tego - dorzuciłem.

Co jest prawdą. Tata nigdy nie czuł się swobodnie w domu Fred. Wielkie pokoje i wysokie sufity onieśmialają go; napawają go lękiem przed przeciągami i przerażają wizjami astronomicznych rachunków za prąd. Kiedyś nawet zasugerował Fred, całkowicie poważnie, że w salonie powinna zawiesić wielką

filcową zasłonę, żeby stworzyć przy kominku odgradzony kącik do odpoczynku; myślę, że zainspirowały go zmechanizowane karnisze z aksamitnymi zasłonami w oknach. Naprawdę wygodniej czuje się w swoim zatęchłym zagraconym gniazdku, gdzie trzy lub cztery kroki zawiodą go od drzwi do najdalszego krańca pokoju, niż w tym luksusowo urządzonym salonie

0 idealnych proporcjach.

- No ale co z nim zrobimy? - zapytałem.

- Będziesz musiał poszukać jakiegoś domu opieki.

- Gdzieś w okolicy?

- Będzie chciał się przenieść na północ? - zapytała z powątpiewaniem Fred.

- Z własnej woli nigdzie się nie przeniesie - stwierdziłem. -Chociaż to miałyby sens. Łatwiej byłoby nam mieć go na oku, od czasu do czasu zaprosić na jakiś posiłek.

- Tobie, kochanie, to twój ojciec - przypomniała Fred. -Oczywiście zawsze będzie tu mile widzianym gościem, ale to ty będziesz go musiał zabawiać. Wiesz, jaka jestem zapracowana.

Przez kilka minut zastanawiałem się nad tą perspektywą, tata wpadający codziennie, żeby pogadać, a raczej ponarzekać,

1 nie zachwyciłem się nią zbyt. Z drugiej strony zaczynają mnie już męczyć te regularne pielgrzymki do Londynu, a wizyty w tamtejszym domu opieki, gdybyśmy taki znaleźli, nie byłyby mniejszą mordęgą.

83

- Sprawdzę, jaka jest oferta - obiecałem - i w czasie świąt będę mógł mu już coś pokazać. Nie mam pojęcia, ile kosztuje pobyt w takich miejscach, a ty?

- Te porządne są drogie. Ale jeśli sprzeda swój dom, wystarczy na pokrycie kosztów przez kilka lat.

Próbowałem sobie wyobrazić - bezskutecznie - próby przekonania taty do tego rozwiązania, dostatniej egzystencji finansowanej topniejącym kapitałem.

- A potem, po kilku latach?

- W razie konieczności my się dołożymy. - Najwyraźniej wątpiła, by taka konieczność miała nastąpić. - A propos świąt -dodała - chcę urządzać duże przyjęcie w drugi dzień, dla przyjaciół, sąsiadów i klientów. Stół szwedzki i drinki.

Wyobraziwszy sobie ten przyjemny, cichy pokój pełen ludzi, którzy szczerzą zęby w uśmiechu, poca się i w najlepsze oddają odruchowi Lombarda, jęknąłem w duchu.

- Nie będziesz miała za dużo pracy, po świątecznym obiedzie dzień wcześniej? - zapytałem,

szukając jakiegoś dopuszczalnego argumentu przeciw.

- Jedzenie zamówimy. Jakki zna azjatycką firmę, która pracuje w Boże Narodzenie. Mówi, że robią przepyszne tajskie curry i sałatki. Ludzie z chęcią odpoczną od indyka i babeczek z bakaliami.
- Ale nie tata.
- Może sobie zjeść zimne udo indyka w swoim pokoju - rzuciła lakonicznie Fred - i tyle babeczek, ile zdoła w siebie wcisnąć.

Wyczułem, że gdyby wybrał tę opcję, bardzo by jej to odpowiadało.

Fred zaproponowała, że przyniesie mi coś do jedzenia, ja jednak w pociągu kupiłem kanapkę i nie byłem głodny. Nalałem sobie solidną porcję whisky przed snem - może wskutek edypowego buntu sprowokowanego kazaniem ojca na ten temat, nie mam bowiem takiego zwyczaju - i zabrałem drinka na górę,

84

4w

1

żeby wysączyć go w kąpieli przed pójściem spać. Moczyłem się w parującej ciepłej wodzie, spłukując z siebie stres i zmęczenie całego dnia, a potem włożyłem czystą piżamę i położyłem się do łóżka. Zazwyczaj czytam trochę poezji przed zaśnięciem. Trzymam ulubionych poetów na stoliku nocnym -Hardy, Betjeman, Larkin - i sięgam po któregoś na chybił trafił. Czytałem Beeny Cliff, kiedy do sypialni weszła Fred:

Wędrowne fale zachodnie, opali i szafirów przestrzeń
Wysoko nad nimi kobieta na kucyku, jasne włosy
rozwiane w wietrze Kobieta, którą tak kochałem, która mnie kochała wiernie.*

Podnosząc ukradkiem wzrok znad książki, patrzyłem na Fred, jak przygotowuje się do snu, jak rozbiera się, wchodzi do łazienki i z niej wychodzi, wkłada koszulę nocną - i doczekałem się nagrody w postaci przelotnego widoku jej mocno zaokrąglonej, lecz jędrnej pupy oraz profilu kształtnej piersi. Pupa jest jej dziełem, lecz piersi zawdzięczają co nieco chirurgii plastycznej. Kilka lat temu przeszła operację zmniejszenia biustu. Wtedy byłem jej przeciwny w obawie o zdrowie i bezpieczeństwo Fred (zważywszy na szalejące w szpitalach infekcje jedynie choroba zagrażająca życiu skłoniłaby mnie do zgody na operację), a na widok opatrunków i szwów początkowo robiło mi się słabo, musiałem jednak przyznać, że ostateczny rezultat, kiedy wszystko się zagoiło i poznikało, był olśniewający. Mniej więcej w tym samym czasie zapisała się do klubu fitness i zaczęła poważnie ćwiczyć, chodziła na zajęcia z jogi, zaliczała kilometry na bieżniach i rozciągała się jak średniowieczny męczennik przy maszynach z obciążeniami i blokami, rzeźbiąc swój korpulentny tułów w ponętny kształt klepsydry. Nie robiła tego z myślą o mnie, lecz w ramach ogólnej osobistej

* Beeny C i f Thomasa Hardy ego w przekładzie Zygmunta Kubiaka.

85

transformacji towarzyszącej nowej karierze, obejmującej również dietę, ufarbowanie włosów i zamianę okularów na soczewki kontaktowe. To wszystko jednakowoż miało na mnie pewien wpływ, wywołując niespodziewane nadejście czegoś, co Betjeman nazwał „późnym rozkwitem pożądania”, w jego przypadku cudzołożnym, w moim - prawowitym. Gdy zerkałem na rutynowe czynności Fred i jej całkowicie pozbawione kokieterii przygotowania do snu, poczułem, że coś drgnęło w moich łędźwiach, i musiałem oprzeć się pokusie wsunięcia ręki pod jej koszulę, gdy położyła się w pościeli i odwróciła na bok, wiedziałem bowiem, że przez zmęczenie i lekkie odurzenie alkoholem nie będę w stanie doprowadzić żadnej miłosnej uwertury do satysfakcjonującego finału. Zadowolilem się więc przyjemnym wtuleniem w nią, dopasowując ciało „na łyżeczkę” do łuku jej pupy, i otoczyłem ramieniem jej talię, talię, która jeszcze pięć, sześć lat temu nie istniała. Wyrecytowałem sobie w myślach Beeny Cliffi zasnąłem gdzieś przy ostatniej zwrotce:

Cóż że pięknnością przepastną dziwny z mgieł się wyłania

brzeg zachodni Gdzie indziej jest ta kobieta, którą wtedy niósł wesoly konik, Ona nie zna Beeny, nie dba o nie, nigdy śmiech jej tam nie zadzwoni.

Obudziłem się o wpół do czwartej, prawdopodobnie dlatego że przestał działać alkohol, poszedłem się wysikać, a potem przez jakiś czas przewracałem się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Próbowałem i tym razem przytulić się do Fred, lecz odtrąciła mnie z nieuświadomioną, jak przypuszczam, irytacją - prawdopodobnie w sennym odruchu - lecz pozbawiony jej ciepłego ciała czułem się odrzucony i bezbronny. Moje myśli podjęły wątek sprzed zaśnięcia: seks z Fred, a raczej brak seksu z Fred, i elegia Hardy ego na śmierć pierwszej żony, co sprowadziło przykre wspomnienia o Maisie.

86

Staram się za dużo nie myśleć o Maisie. Tak ciężkie były ostatnie lata jej życia, nie tylko dla niej, dla nas wszystkich. Od chwili, kiedy mi powiedziała, że znalazła guzek pod pachą, wiedziałem z potwornym poczuciem pewności, jak to się skończy, ale nie jak długo to potrwa: niezliczone wizyty w szpitalu, duszne i zatłoczone poczekalnie, nerwowe konsultacje, operacje, chemoterapia i radioterapia, krótkie okresy wytchnienia i nadziei, niewymowna depresja i rozpacz, kiedy następne badania wykazały, że nadzieje były iluzoryczne, stopniowa transformacja domu w hospicjum, najpierw instalacja ruchomego fotela na schodach, a potem, kiedy i to stało się dla niej niewystarczające, zamiana salonu w pokój szpitalny z przyległą łazienką i codziennymi wizytami pielęgniarki. Maisie chciała koniecznie umrzeć w domu. Jej życzenie zostało spełnione, tylko to mogliśmy na koniec dla niej zrobić, ale spełnienie go mocno odbiło się na mnie i dzieciach. Moje rozgoryczenie głuchotą, która mnie dotknęła, wynika chyba między innymi z tego, że po tylu przejściach, kiedy jakoś udało mi się wszystko przetrwać i znaleźć nowe szczęście u boku Fred, byłem przekonany, że swoje już wycierpiałem, mam teraz tak zwane czyste konto i że od tej pory wszystko będzie mi szło jak z płatka. Ale oczywiście tak nigdy nie jest, nigdy.

Jedynym, co pozwalało mu przetrwać ten okres, była praca, każdą godzinę, której nie zajmowała mu opieka nad Maisie i dziećmi, poświęcał więc nauczaniu i badaniom. W początkowej fazie choroby uprawiali seks, na pocieszenie, w miarę jednak, jak pogarszał się stan Maisie, zbliżenia stały się dla niej bolesne, dla niego trudne, zrezygnowali więc z nich przy milczącej zgodzie obu stron. Maisie poruszyła tę kwestię we wzruszający, ale i nieco krępujący sposób jakieś sześć miesięcy przed śmiercią, mówiąc mężowi, że zrozumie, jeśli będzie potrzebował „ukojenia”, jak się wyraziła, w ramionach innej kobiety - pod

87

warunkiem że ani ona, ani żadna z jej przyjaciółek nie będzie o tym wiedzieć. Zapewnił ją całkiem szczerze, że nie odczuwa takiej potrzeby. Powiedziała swojej siostrze, że jej mąż to „święty człowiek”, on jednak zdecydowanie odrzucił ten komplement, kiedy został mu powtórzony. Nie chciał czynić cnoty ze swej wstrzemięźliwości. Sytuacja była tak rozpaczliwa, że wpadł w pewne otępienie. Pomysł, żeby wejść w emocjonalny związek z inną kobietą, kiedy Maisie jest krok od śmierci, wydawał mu się czymś irracjonalnym, a nie był typem mężczyzny, który skorzystałby z usług prostytutki lub domu uciech.

Po śmierci Maisie, to znaczy po około roku - kiedy już się uporał z początkowym poczuciem żalu i straty połączonym z ulgą, że nastąpił kres jej cierpień, a on zrzucił z siebie przytłaczający go ciężar - zrozumiał, że znów jest wolnym człowiekiem i że obserwuje się go z zainteresowaniem, które czasem bywało życzliwe, a czasem nieprzyzwoite, jak gdyby krąg jego znajomych zmówił się, żeby mu pomóc znaleźć kolejną partnerkę, albo potajemnie stawiał zakłady o to, kim ona będzie. Zdawał sobie też sprawę, że Anne i Richard, oboje będący jeszcze nastolatkami i żarliwie czczący pamięć matki, reagują z wyjątkową podejrzliwością za każdym razem, kiedy wraca późno do domu albo pochlebnie się wypowiada o jakiejś koleżance z pracy. Przekonał się, że ma to hamujący wpływ na jego stosunki z poznawanymi przezeń samotnymi kobietami; obawiał się, że każda próba bycia miłym z jego strony może zostać źle zinterpretowana - i prawdopodobnie miało to podobny wpływ na nie. Później w jego życiu pojawiła się Winifred Holt, początkowo jako studentka z indywidualnym programem studiów łączącym historię sztuki i lingwistykę.

Zestawienie nietypowe, niewiele bowiem łączy te dwie dziedziny pod względem treści i metodologii. Właściwie jedynym znanym mu wspólnym mianownikiem, o czym poinformował ją podczas seminariów (na wydziale wciąż jeszcze wtedy funk-

88

cjonował system seminariów), było odniesienie przez Jakobsona słynnej koncepcji metafory/metonimii do surrealizmu i kubizmu. Pogodnie przyznała, że nie ma konkretnego uzasadnienia dla zestawienia tych przedmiotów, po prostu tak się składa, że interesuje się każdą z tych dziedzin z innych powodów. Zawsze uwielbiała chodzić do galerii, oglądać zdjęcia, z kolei jako matka małych dzieci była zafascynowana swobodą, z jaką przyswajały sobie język, chciała więc dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. W zasadzie lingwistyka nie była jej mocną stroną, lecz maksymalnie wykorzystywała swe ograniczone umiejętności i z niewielką pomocą z jego strony uzyskała najwyższą ocenę z historii sztuki za pracę na temat różnic między surrealizmem i kubizmem. Sam zawsze interesował się trochę sztukami wizualnymi i

dzięki związkowi z Winifred zainteresowania te rozkwitły.

Była „dojrzałą” studentką, dobiegała czterdziestki, i wyglądała na jeszcze dojrzałszą - wysoka, grubokoścista, z obfitym biustem i prześwitującą wśród falujących ciemnobrązowych włosów siwizną. Nosiła okulary do czytania w złotych oprawkach i jeśli nie siedziały na mostku nosa, spoczywały na jej imponujących piersiach, zawieszane na złotym łańcuszku na szyi. Pod innymi względami również wyróżniała się z tłumu studentów, kiedy pojawiła się na wydziale. W sposób oczywisty, nieodparty, nie do zignorowania zachowywała się jak „damulka”. Taką miała wymowę, maniery i stroje, intrygująco staromodne: dwuczęściowe kostiumy, tweedowe spódnice i skórzane czółenka. Kiedy zaczynała kurs, wyobrażała sobie, że na zajęcia z profesorami i wykładowcami należy się ubierać tak, jakby się szło na spotkanie z prawnikiem lub lekarzem. Młode studentki z pierwszego roku, w T-shirtach z monogramami, dżinsowych minispódniczkach, pasiastych rajstopach i martensach gapiły się na nią z niedowierzaniem albo przewracały oczami, kiedy wytwornym akcentem zadawała arcy-

89

poprawnie sformułowane pytania. Po pewnym czasie przejęła bardziej swobodny styl i lepiej wtapiała się w otoczenie, akcentu jednak nigdy nie potrafiła ukryć.

Jej opiekunem został dopiero na drugim roku (był wtedy starszym wykładowcą). W tamtych czasach na wydziale opiekun spotykał się co tydzień z grupą dwóch, trzech seminarzystów, żeby omówić jakiś esej lub inną pracę, wykładowcy mieli też swoje dyżury i w tych godzinach seminarzyści mogli przychodzić i prosić o poradę lub konsultację. Winifred korzystała z tej możliwości z dużą regularnością, być może dlatego, że nie miała bliskich przyjaciół wśród innych studentów, a on szybko poznał historię jej życia, którą ubarwiała bardziej osobistymi szczegółami, w miarę jak ich związek nabierał rumieńców. Pochodziła z katolickiej rodziny o korzeniach tkwiących jeszcze w czasach normańskich, oddanej swej wierze nawet w niebezpiecznych latach reformacji - jeden z przodków został nawet jezuickim męczennikiem. Jej matka, nim wyszła za mąż, posiadała tytuł szlachecki, lecz najbliższa rodzina nie dysponowała znacznym majątkiem. Ojciec Winifred służył jako konsul, wychowywała się więc w różnych obcych krajach i w prowadzonej przez zakonnice angielskiej szkole z internatem, odseparowana od kultury młodzieżowej lat sześćdziesiątych. Nie miała wielkich osiągnięć w nauce, a w rodzinie nie było tradycji posyłania dziewcząt na uniwersytet, spędziła więc sześć miesięcy w prywatnej szkole w Genewie, a później ukończyła kurs dla sekretarek w londyńskiej szkole handlowej w nadziei, że nie będzie musiała zarabiać na chleb zbyt długo, nim zdoła wyjść za mąż. Jako że rodzice przebywali poza krajem, dziewczynę przyjęła pod swoje skrzydła jej ulubiona ciotka i zapoznawała ją z katolickimi kawalerami do wzięcia, z których jeden był doradcą inwestycyjnym, nazywał się Andrew Holt i ukończył Downside i Oksford. Powiedziała później:

- Wydawało mi się, że byłem w nim zakochana, kiedy tak na-

90

<

prawdę chciałam z nim seksu, a ponieważ uważałam wówczas, że seks można mieć tylko w małżeństwie, wyszłam za niego.

W ciągu roku doczekali się pierwszego dziecka, Marcii, a po niej dosyć szybko pojawili się Giles i Ben.

- Katolicy i antykoncepcja, wiadomo - powiedziała, krzywiąc się. - Ale po Benie zaczęłam brać pigułki. A potem przyjechaliśmy tutaj.

Firma Andrew rozrastała się i zaproponowano mu awans, jeśli przeniesie się do jednej z nowych filii, którą otwierano w północnej Anglii. Szukali domu w pobliżu uniwersytetu, ponieważ stamtąd łatwo było dojechać do centrum miasta, a poza tym wtedy, przed wielkim boorem na rynku nieruchomości, nie było zbyt drogo w tej dzielnicy podupadłych starszych rezydencji, głównie wielkich wiktoriańskich willi wzniesionych z szarego miejscowego kamienia dla miejskich kupców i przemysłowców, z których wiele podzielono na mniejsze mieszkania popularne wśród studentów. Dom przy Rectory Road, z klasycznymi proporcjami i stiukową fasadą, był bardziej atrakcyjny niż większość sąsiednich budynków, lecz znajdował się w opłakanym stanie, kiedy go kupili, a nie mogli sobie pozwolić na gruntowny remont. Winifred opiekowała się trójką małych dzieci w zimnym i wilgotnym domu z przestarzałą i ciągle się psującą instalacją elektryczną, a mąż przesiadywał całe dni w pracy.

- Tylko że nie zajmował się wyłącznie pracą, miał też romans.

Spróbowali poradnictwa małżeńskiego, żeby uratować swój

związek, lecz Andrew szybko znowu zbłądził i Winifred rozwiodła się z nim. W drodze ugody dostała dom i alimenty, a przez pewien czas uzupełniała dochody, wynajmując pokoje magistrantom. Rozmowy z nimi uświadomiły jej, ile straciła, nie idąc na studia, kiedy więc dzieci poczuły się pewniej w szkole, próbowała dostać się na uczelnię, a ponieważ dawno już ukończyła dwadzieścia pięć lat, zastosowano procedurę omijającą pewne wymagania klasyfikacyjne.

91

- No i jestem, i strasznie mi się podoba.

Musieli zachowywać wielką dyskrecję do czasu, aż uzyskają pewność, że chcą się ujawnić; początkowo wiązało się to z wieloma niezbędnymi wybiegami, dzięki którym romans przysparzał im jeszcze więcej emocji i satysfakcji. On czuł się, jakby wracał do życia po okresie zamrożenia w lodowym bloku. Nigdy nie zapomni ekstazy ich pierwszego wspólnego weekendu na wyjeździe, w hotelu na prowincji, każde z pomysłowym alibi wymyślonym po to, żeby zamydlić oczy dzieciom. Był stremowany, mając się kochać po tak długiej przerwie, lecz dzięki Winifred wszystko poszło gładko. Miała wtedy - tak jak i teraz - nieskomplikowane podejście do miłości fizycznej, traktowała seks jak zdrowe i odprężające ćwiczenie

porównywalne z jazdą konną lub pływaniem na fali. Sprawiał jej przyjemność, ale mogła też obyć się bez niego przez dłuższy czas i nie czuć, że jest czegoś pozbawiona.

- Cudownie - westchnęła po ich pierwszym razie - Zapomniałam, jak może być przyjemnie.

Maisie natomiast zawsze reagowała niepokojem, jeśli nie kochali się regularnie, obawiając się, że jego uczucia do niej gasną, była jednak nieśmiała w sprawach erotyki, co mogło być skutkiem szkockiego prezbiteriańskiego wychowania. Pierwsze lata ich małżeństwa były okresem, kiedy szanujące się młode pary z zapałem uczyły się tego, jak spotęgować seksualną rozkosz, z poradników na ten temat i podobnych źródeł, a Maisie dzielnie zgadzała się na pozycyjne modyfikacje, które proponował; widział jednak, że nie ma do tego serca, i po pewnym czasie wrócili do bardziej konwencjonalnych małżeńskich uścisków. Miała nieodpartą awersję do seksu oralnego w każdej formie. Przeżył więc cudowną niespodziankę, kiedy podczas trzeciego spotkania w łóżku Winifred potraktowała jego penisa, jak gdyby był wyjątkowo smakowitym kawałkiem sopła.

- Podoba ci się? - zapytała, podnosząc głowę ze zmierzwionymi włosami.

92

- Bardzo - odparł.

- Andrew mnie nauczył - wyjaśniła - ale nie odwzajemniał się, drań.

- Ja to nie on.

Właśnie w ten weekend wspomniała, że w szkole z internatem nazywano ją „Fred”, później więc w notatkach i dzienniku posługiwał się tym pseudonimem na czas trwania ich potajemnego romansu. Nigdy specjalnie nie podobały mu się imiona Winifred i Winnie, więc pieśczośliwie zwracał się do niej „Fred”. Oczekali, aż ich rozliczne dzieci pozdają wszelkie egzaminy tamtego lata, po czym wyjawili im, że zamierzają się pobrać. Wtedy już domyślały się, że rodzice są poważnie zaangażowani w jakiś związek, i przyjęły tę wiadomość z rezygnacją, a w niektórych przypadkach z aprobatą. Mniej się cieszyły perspektywą wspólnego zamieszkania, lecz w swoim czasie wyjazdy na różne uczelnie i do pracy rozwiązały ten problem. Wzięli z Winifred cichy ślub podczas wakacji, a ona wznowiła studia w nowym semestrze. Po rozmowie z dziekanem ustalono, że w celu uniknięcia podejrzeń o protekcyjne traktowanie, Winifred na trzecim roku nie wybierze żadnego kursu prowadzonego przez niego, on natomiast nie znajdzie się w jej komisji na egzaminie licencjackim. Dostała najwyższą ocenę, co wtedy nie było tak powszechne, jak się stało później, w ciągu dwóch lat napisała pracę magisterską z XIX-wiecznej historii sztuki i bez entuzjazmu przystąpiła do pisania doktoratu z wiedeńskiej secesji. Zaniechała jednak dalszych prac nad doktoratem, kiedy Decor zaczęła pochłaniać cały jej czas i energię.

Wzięli ślub cywilny, ponieważ w oczach Kościoła katolickiego Fred pozostawała wciąż żoną Andrew. Wtedy jej to nie przeszkadzało, czego nie można powiedzieć o jej rodzicach. W zasadzie straciła wiarę pod wpływem burzliwych przeżyć związanych z pierwszym małżeństwem - winą za pochopny, nierozważny wybór męża i stres związany z tym, że w zbyt

krótkim czasie urodziła za dużo dzieci, obarczała swoje in-doktrynacyjne wychowanie i wykształcenie. Uzgodnili, że nie będą się już starać o dzieci: w jej wieku wiązałoby się to z ryzykiem (kiedy brali ślub, miała trzydzieści osiem lat), uważali zresztą, że dość już wydali potomstwa na ten świat. Pierwsze lata ich małżeństwa przypominały zatem długi i namiętny miesiąc miodowy, podczas którego odkryli na nowo erotyczne rozkosze bez przerw i zakłóceń związanych z posiadaniem małych dzieci, jak w okresie po pierwszych zaślubinach. Zdiagnozowanie u niego niedosłuchu rzuciło lekki cień na ich szczęście, nie wpłynęło natomiast na wzajemne rozkoszowanie się przez nich seksem, dźwięki mu towarzyszące są bowiem zazwyczaj niewerbalne i o niskiej częstotliwości.

Nieuchronnie w miarę upływu lat jego wigor zaczął słabnąć, Fred utyla i stała się mniej ponętna, toteż jak większość małżeństw zadowolili się spokojniejszym życiem intymnym, które, jak przypuszczał, stopniowo będzie zanikać, a wtedy czeka ich oboje łagodna, cnotliwa starość. Lecz kiedy Winifred zdobyła nową, odmładzającą pracę i zadbała o nowy wizerunek, on starzał się, głuchł i padał ofiarą sporadycznych zaburzeń wzroku. Zupełnie nie przejmował się ośmioletnią różnicą wieku między nimi, kiedy się pobierali, z czasem jednak kwestia ta zaczęła go uwierać. I choć różnica nie była wielka, wydawała się coraz bardziej znacząca, gdy jemu przybywało lat, zwłaszcza że Fred zaczęła wyglądać młodziej. Zawsze okazywała wyrozumiałość i życzliwość, jeśli stosunek wygasał bez orgazmu. Istnieją, jak zauważała, inne sposoby dawania i odbierania erotycznej przyjemności, i nie miała oporów przed stosowaniem większości z nich, dla niego jednak stanowiły one jedynie grę wstępną. Za radą lekarza spróbował viagry, która przynosiła pożądany efekt, wywoływała jednak reakcję alergiczną i musiał ją odstawić. Ostatnio więc seks poprzedzony był bardzo starannymi przygotowaniami, między innymi

abstynencją, orzeźwiający prysznicem, który zastąpił wylegiwanie się w gorącej kąpeli, oraz idealnym ustawieniem temperatury i światła w sypialni przed propozycją wcześniejszego położenia się do łóżka. Te przygotowania nie zawsze jednak odnosiły skutek. Seks był więc wyczekiwany przez niego raczej z niepokojem niż z radością, a sytuacji nie poprawiało codzienne przenikanie przez ścianę zaporową jego komputera wiadomości reklamujących viagrę, cialis i szarlatańskie ziołowe leki obiecujące wzmocnienie męskości. „Zaimponuj partnerce przedłużoną erekcją, licznymi eksplozjami i długością stosunku. Podnieś swoją męskość do zadziwiającego poziomu... Wszystko, czego potrzebuje prawdziwy mężczyzna... Witaj, przyjacielu! Masz niespotykaną szansę, żeby zapomnieć na zawsze o swoim zmartwieniu... Extra-Time jest niezrównanym, niehormonalnym preparatem o szerokim zastosowaniu. .. Usłyszałeś kiedyś od niej, że masz za małego? Nie? Może po prostu nie chciała cię urazić? Wyobraź sobie tylko, jak będziesz szczęśliwy, mając większego między nogami, większe uwielbienie kobiet i większą pewność siebie. Kliknij tutaj...”

Przyszło mi do głowy, że gdyby to była powieść, czytelnik mógłby pomyśleć: „Oj, biedny Desmond, widocznie nie zdaje sobie sprawy, że Winifred ma kochankę, to całe odchudzanie i operacje plastyczne były robione z myślą o nim, i Fred za cichym przyzwoleniem Jakki regularnie wymyka się ze sklepu na popołudniowe schadzki, a w domu obciągnie staremu druta od czasu do czasu i to mu wystarczy”. Jestem jednak absolutnie pewien, że sprawy mają się inaczej. Odkładając na bok moją intuicyjną wiarę w

wierność Fred - proces jej upiększania zbiegł się w czasie z jej powrotem do praktyk religijnych, nad czym ja ubolewam ze względów intelektualnych, lecz co uważam również za pewnego rodzaju gwarancję, iż żona nie

95

przyprawia mi rogów. Wszystko się zaczęło, kiedy za mąż wychodziła Marcia, odprawiano mszę ślubną i Fred nie mogła pójść do komunii razem z matką i innymi krewnymi, gdyż, jak powiedziała, „wywołałaby skandal”. Wcześniej chadzała samotnie na msze, jeśli odczuwała taką potrzebę, zwłaszcza kiedy byliśmy na wakacjach w katolickim kraju, ale wtedy przypuszczałem, że jest to jedynie rodzaj nostalgicznego kaprysu. Po ślubie Marcii zaczęła jednak rozmyślać nad swym statusem małżeńskim i w końcu postanowiła się wystarać o kościelne unieważnienie małżeństwa z Andrew, motywując to tym, że oboje byli wtedy emocjonalnie i psychicznie zbyt niedojrzali, żeby zrozumieć, z czym wiąże się małżeństwo. Wydawało mi się, że to samo można powiedzieć o co najmniej pięćdziesięciu procentach tych, którzy wcześniej biorą ślub, łącznie ze mną i Maisie, ale nie wspominałem jej o tym, rozumiejąc, ile dla niej znaczy odzyskanie odpowiedniej pozycji w Kościele. Proces ten trwał długo, wymagał wielu spotkań księży z jej matką i rodzeństwem, które miały potwierdzić emocjonalną i psychiczną niedojrzałość Fred w chwili ślubu. Rodziny, rzecz jasna, nie trzeba było namawiać do współpracy. Andrew, który ponownie się ożenił i nie był już praktykującym katolikiem, początkowo z niechęcią myślał o przyznaniu się do młodzieńczej niedojrzałości, poszedł jej jednak na rękę, chcąc utrzymać dobre stosunki z dziećmi, i wreszcie unieważnienie zostało zatwierdzone. Byłem ciekaw, jak ich dzieci tak naprawdę się z tym czują, i zapytałem o tę sprawę Fred. Czy z racji unieważnienia małżeństwa rodziców nie stały się dziećmi z nieprawego łoża? Odparła, że nie, jako że ślubne pochodzenie dziecka jest terminem świeckim i prawniczym. W oczach prawa doszło do jej ślubu z Andrew, a ich potomstwo było prawowite, natomiast w oczach Boga małżeństwa nie było, choć im wydawało się inaczej, im i wszystkim innym, łącznie z księdzem, który udzielał im ślubu, ponieważ nie został spełniony fundamen-

96

talny wymóg decydujący o ważności małżeństwa. Droczyłem się z nią trochę:

- Więc tak naprawdę Andrew nie popełniał cudzołóstwa, kiedy robił skoki w bok z innymi kobietami, bo właściwie nie byliście małżeństwem?
- Oczywiście, że cudzołożył - odparła cierpko Fred. - Dlatego się z nim rozwiodłam. Nie gadaj głupot, kochanie.
- Cudzołożył w oczach prawa, a w oczach Boga?
- W Jego też - zapewniła mnie ze stalowym spojrzeniem.

Nie drążyłem dłużej tej sprawy. Wydawało mi się czymś

oczywistym, że proces unieważnienia małżeństwa, który niedawno stał się bardziej powszechny i dostępny niż w przeszłości, kiedy uzyskać je mogli jedynie ludzie na tyle bogaci i wpływowi, by pociągnąć

za sznurki w Watykanie, jest sposobem ominięcia historycznego sprzeciwu Kościoła katolickiego wobec rozwodu z zachowaniem pozorów konsekwencji w tej sprawie, nie zamierzałem jednak z tego robić problemu, skoro nowy trend jest bardziej humanitarny. Zgodziłem się nawet na udział w pewnej formie ceremonii ślubnej w kościele parafialnym Fred - na tę dyskretną, intymną uroczystość stawili się jedynie Marcia i jej mąż w roli świadków - chociaż czułem się trochę głupio, znowu składając te same śluby, które były częścią uroczystości w Urzędzie Stanu Cywilnego.

- Czujesz się jakoś inaczej? - zapytałem Fred, kiedy już było po wszystkim.
- Ależ oczywiście, kochanie - odpowiedziała.
- Chcesz przez to powiedzieć, że przedtem nie czułaś tak naprawdę, że jesteśmy małżeństwem?
- Ależ nie, to znaczy oczywiście, że czułam. Tylko że teraz czuję się... w porządku. Jestem spokojniejsza.

Ochrzczono mnie w Kościele anglikańskim, nie wychowywano mnie jednak w duchu religijności. Mama nauczyła mnie odmawiać przed snem pacierz, kiedy byłem dzieckiem, za-

97

bierała mnie do kościoła w Boże Narodzenie i na Wielkanoc, i tyle; tata utrzymywał - wciąż od czasu do czasu to robi - że wierzy w Boga, w kościele bywa jednak tylko podczas ślubów i pogrzebów. Chodziłem do liceum, gdzie organizowano religijne apele i zachęcano uczniów z klas humanistycznych, żeby zdawali egzamin maturalny z religii, większość moich wiadomości na temat chrześcijaństwa pochodzi więc z tamtego okresu oraz z literatury angielskiej, zwłaszcza Milтона i Jamesa Joycea, którą studiowałem na uniwersytecie. Ludziom religijnym zazdroszczę wiary, a jednocześnie drażni mnie ona. Badania pokazują, że mają oni dużo większe szanse na szczęśliwe życie niż ci, których światopogląd jest całkowicie świecki - można zrozumieć, dlaczego. W życiu każdego pojawia się smutek, cierpienie, rozczarowania i dużo łatwiej jest się z nimi pogodzić, jeśli się wierzy, że istnieje kolejne życie, w którym obecne niedoskonałości i niesprawiedliwości zostaną zrekompensowane; dzięki temu perspektywa śmierci również staje się dużo mniej przygnębiająca. Dlatego zazdroszczę ludziom wierzącym. Oczywiście nie ma solidnych przesłanek dla ich wiary, nie można jednak o tym wspomnieć, nie wydając się przy tym osobą niegrzeczną, agresywną i arogancką lub wręcz atakującą ich prawo do szczęścia. Dlatego drażni mnie religijność, nawet wśród moich najbliższych, zwłaszcza wśród nich, gdyż niemożność obiektywnej dyskusji na temat religii jest wtedy najbardziej odczuwalna. Fred wychodzi na mszę co tydzień w niedzielę rano, zostawiając mnie z niedzielnymi gazetami, i wraca dziewięćdziesiąt minut później z miną świę-toszkowatego samozadowolenia. Czasem zapytam ją, o czym było kazanie, i odpowiada mi ogólnikami - szczerze wątpię, czy uważnie słucha księdza - nie przyszłoby mi jednak do głowy zapytać na przykład, czy przyjmuje komunię bez żadnych wątpliwości co do doktryny transsubstancjacji. Nie sądzę, by wiara Fred kiedykolwiek miała mocniejsze podstawy intelek-

98

tualne. Była konsekwencją jej wychowania, wykształcenia i rodzinnej tradycji. Burze seksualności i nieudanego małżeństwa we wczesnych latach dorosłości oddaliły Fred od wiary katolickiej, a kiedy ucichły, powróciła do bezpiecznej przystani religijności. Po tych nielicznych okazjach, kiedy towarzyszyłem jej na mszy ze względów rodzinnych, powiedziałbym, że to dla niej czysty rytuał, rytuał przynoszący otuchę. Siada, wstaje, klęka, odśpiewuje hymny i mamrocze odpowiedzi w pewnego rodzaju transie, zadowolona, że jest częścią ogólnej atmosfery transcendentnej wiary i nadziei, bez konieczności zagłębiania się w racjonalną podstawę tego wszystkiego. I kim jestem ja, by mówić jej, że się oszukuje, pozostawiony sam w domu z moimi wątpliwościami, z moją głuchotą i płytką paplaniną niedzielnych gazet?

Dzisiaj na lunch przyjechała Marcia z rodziną, co w niedzielę zdarza się często. Ze wszystkich naszych dzieci córka Fred, Marcia, mieszka najbliżej, zaledwie kilka kilometrów od nas, widujemy ich więc częściej niż pozostałych. Zawsze się cieszę ze spotkań z delfinem Danielem i jego starszą siostrą Helen -dla bliskich zwaną Leną. Z Marcia i jej mężem Peterem dogaduję się całkiem nieźle, odnoszę jednak wrażenie, że jako nastolatka Marcia była ze wszystkich dzieci Fred nastawiona najbardziej negatywnie do małżeństwa matki ze mną - jej profesorem, starszym od niej, niekatolikiem, mającym własne dzieci - i że nigdy tak do końca nie wyzbyła się tamtej początkowej awersji do naszego związku. Co więcej, podejrzewam, że kiedy Fred kwitła i odnosiła sukcesy zawodowe, a ja wycofałem się na emeryturę i poddałem głuchocie, w coraz większym stopniu wydawałem się Marcii zbędnym dodatkiem do rodziny, żalonym balastem. Jako że Marcia jest dominującym partnerem w ich związku, Peter idzie za jej przykładem

99

i zachowuje się wobec mnie powściągliwie. Gdy któregoś dnia napomknąłem o tym Fred, odparła:

- Bzdura, Marcia ma dla ciebie wiele szacunku, a jeśli Peter wydaje ci się trochę „powściągliwy”, jak mówisz, to dlatego że boi się, że cały czas po cichu oceniasz jego angielszczyznę, skoro jesteś profesorem lingwistyki.

Rozbawiło mnie to wyjaśnienie, ponieważ współczesna lingwistyka jest niemal aż nadto nienormalna, podejrzewam jednak, że może w nim tkwić ziarno prawdy. Peter pochodzi z robotniczej rodziny, mówi z wyraźnym miejscowym akcentem i od czasu do czasu używa jakiegoś gwarowego wyrażenia. Studiował księgowość w wyższej szkole zawodowej i pracuje w przemyśle, kulturalnie jest więc lekko upośledzony i odczuwa pewien respekt wobec rodziny, w którą się wzenił. Podczas naszego następnego spotkania próbowałem sprawić, żeby poczuł się swobodniej, i skrytykowałem bestsellerową książkę Lynne Truss o apostrofie, lecz udało mi się go tylko zdenerwować - okazało się, że jest wielkim wielbicielem Truss, a jej książka jest dla niego czymś w rodzaju biblii. No cóż... Pod wieloma względami są wspianą parą, oboje ciężko pracują, dbają przy tym o dobro swoich dzieci, spędzając z nimi wieczory oraz weekendy i nigdy - z tego, co widzę - nie mając czasu dla siebie, żałuję więc, że nie kocham ich bardziej. Z dziećmi nie mam tego problemu: są śliczne, czarujące i w bardzo interesującym wieku, kiedy zaczynają przyswajać język w zdumiewającym tempie i czasem popełniają błędy w wystawianiu się - gdybym tylko je lepiej słyszał.

Dzisiaj, kiedy powiedziałem Lenie, że ma ładną sukienkę, a ona odparła, że mama kupiła ją w Marksie i Spencerze, wszyscy prócz mnie się roześmiali. Widząc moją konsternację, Fred wyjaśniła mi, że mała powiedziała: „Mama kupiła mi ją w McSpencerze”. Wtedy i ja się roześmiałem, samotnie.

6 listopada. Wstałem dzisiaj wcześniej niż Fred i jadłem właśnie śniadanie, kiedy weszła w szlafroku do kuchni. „Dzień dobry, kochanie”, powiedziała, a potem, przechodząc do kuchenki, dodała coś jeszcze, czego nie dosłyszałem, ponieważ nie miałem założonego aparatu; wyjąłem go zeszłego wieczoru przed pójściem spać w gościnnej łazience, która jest moją łazienką, kiedy w domu nie ma rodziny ani innych gości, i wciąż tam leżał. „Co?” - zapytałem, a ona powtórzyła, wciąż jednak jej nie słyszałem. Otwierała i zamykała szuflady i szafki, co nie ułatwiało mi zadania.

- Przepraszam - powiedziałem - ale nie mam aparatu, został na górze.

Odwrociła się do mnie i powtórzyła głośniejszym głosem, co brzmiało jak „telefon”.

- Szukasz telefonu w kuchni?

Mój umysł rozważał już różne możliwości: zostawiła tam komórkę przez roztargnienie? I teraz ktoś dzwonił, a ja nie słyszałem sygnału? Podeszła bliżej i powiedziała:

- Garnek z telefonu.

- A co to takiego? - zdziwiłem się.

W rozpaczliwym geście podniosła oczy ku niebiosom i wróciła do kuchenki. Zastanowiłem się nad tym, co powiedziała, i w końcu dotarło do mnie.

- A! Chodzi ci o garnek teflonowy! Jest w górnej szafce z prawej strony.

101

Było już jednak za późno: gotowała sobie owsiankę w garnku z nierdzewnej stali, który dużo trudniej będzie potem domyć. I to była moja wina, bo odstawiłem wczoraj ten teflonowy w złe miejsce.

Fred usiadła przy kuchennym stole, oparła plotkarski dodatek „Guardiana” o słoik z dżemem i zaczęła czytać z milczącą koncentracją. Przy śniadaniu zamierzałem wspomnieć jakby od niechcenia, że po południu spotykam się z Alex. Przygotowałem sobie nawet małą przemowę: „Tak, pewnie pamiętasz tę młodą kobietę, z którą rozmawiałem na wystawie w galerii w zeszłym tygodniu? Tę blondynkę? Było tak głośno, że nie usłyszałem ani słowa z tego, co mi powiedziała, ale zdaje się, że robi jakieś badania pod kątem lingwistycznym, bo podobno zgodziłem się udzielić jej konsultacji w tej sprawie. Zadzwoń ze skargą, że się nie zjawiłem na umówione spotkanie, chociaż ja zupełnie nie pamiętam, żebym się z nią umawiał. Ale wstyd. Musiałem więc się zgodzić na to spotkanie...” Ze względu jednak na nieporozumienie wokół garnka teflonowego nie był to sprzyjający moment na tego typu komunikat, dałem więc sobie spokój. Będę musiał jej powiedzieć o tym spotkaniu już po fakcie, kiedy dużo trudniej

będzie to wszystko wyjaśnić.

„Głuchota mojej matki nie jest, jak pan widzi, taka straszna, nie ma o czym mówić. Wystarczy podnieść głos i powtórzyć coś dwa czy trzy razy, a na pewno usłyszysz; co prawda przyzwyczaiła się do mojego głosu”*, mówi panna Bates w Emmie. Jakże subtelnie Jane Austen napomyka o uprzejmie maskowanej frustracji i irytacji towarzystwa zmuszonego powtarzać każdą banalną uwagę coraz głośniejszą i głośniejszą z myślą o starej pani Bates. Ja muszę być w gorszym stanie niż moja lite-

* Emma Jane Austen w przekładzie Jadwigi Dmochowskiej. 102

racka imienniczka, bo choć jestem przyzwyczajony do głosu Fred, bez aparatu nie słyszę, co do mnie mówi. Czy można powiedzieć coś na korzyść głuchoty? Istnieje jakaś jej zaleta? Na przykład uwrażliwienie pozostałych zmysłów? Nie sądzę - w każdym razie nie w moim przypadku. Może w przypadku Goi. Czytałem o nim książkę, w której napisano, że właśnie głuchota uczyniła zeń wybitnego artystę. Do wieku czterdziestu kilku lat był sprawnym, lecz konwencjonalnym malarzem pozbawionym w gruncie rzeczy oryginalności; potem zaraził się jakąś tajemniczą paralityczną chorobą, wskutek czego na kilka tygodni stracił wzrok, mowę i słuch. Kiedy wyzdrowiał, był głuchy jak pień i taki już pozostał do końca swych dni. Wszystkie największe dzieła Goi należą do „głuchego” okresu jego życia, są to cykle: „Kaprysy”, „Okropności wojny”, „Przysłowia”, „Czarne obrazy”. Wszystkie mroczne, jak z sennego koszmaru. Autor napisał, że to było tak, jak gdyby głuchota podniosła w nim jakąś zasłonę: kiedy spojrzał na ludzkie zachowania nierozproszony gwarem rozmów, zobaczył, jakie są naprawdę - gwałtowne, złośliwe, cyniczne i szalone, jak pantomima w domu wariatów. Kilka lat temu obejrzałem „Czarne obrazy”, byłem wtedy w Madrycie na wykładach organizowanych przez British Council i jeszcze dwa razy wróciłem do Prado, żeby im się przyjrzeć. Goya namalował je w formie malowideł ściennych w swym wiejskim domu - nazywanym przez miejscowych La Quinta del Sordo, „domem głuchego” - nakładał farbę prosto na tynk, później jednak przeniesiono je ze ścian na płótno. Teraz znajdują się w Prado, Saturn pożerający jedno z swoich dzieci, Sabat czarownic, Walka na kije i reszta, w przeważającej mierze ciemne kolorystycznie i tematycznie. Lecz obraz, przy którym zawsze zatrzymuje się najwięcej widzów, zaintrygowanych i zaciekawionych, jest jaśniejszy od pozostałych. Nadano mu tytuł Pies tonący w piasku (żaden z tych tytułów nie został wymyślony przez Goyę).

103

Równie dobrze mógłby być abstrakcyjnym obrazem współczesnego ekspresjonisty, skomponowany z trzech wielkich płaszczyzn brązowego koloru, dwóch pionowych i jednej poziomej, gdyby nie główka czarnego pieska na dole obrazu, namalowana niemalże w kreskówkowym stylu - zagrzebanego po szyję w czymś, co mogłoby być piaskiem, i patrzącego żałośnie, z niepokojem na sunącą na niego masę. Istnieje wiele teorii wyjaśniających znaczenie tego obrazu, na przykład „Koniec epoki oświecenia” albo „Narodziny nowoczesności”, wiem jednak, czym jest dla mnie: to obraz głuchoty, głuchoty ukazanej jako rychła, nieuchronna, niepowstrzymana śmierć przez uduszenie.

Zastanawiam się, czy Goya też uważał, że jako artysta zawdzięcza swą wielkość głuchocie. Czy był wdzięczny za chorobę, która pozbawiła go słuchu? Jakoś wątpię. Ale pewnie przemknęło mu przez myśl, że miał szczęście, straciwszy ten zmysł, a nie wzrok. W praktyce głuchota nie jest dla malarza żadną

przeszkodą, można ją wręcz uznać za zaletę, pomaga się bowiem skoncentrować - nie trzeba na przykład wdawać się w rozmowy z modelami. Natomiast dla muzyka jest to najgorsze, co może go spotkać. Wspaniałym przykładem jest Beethoven. O nim też przeczytałem książkę, Life of Beethoven Thayera - moje zainteresowanie wybitnymi osobistościami z przeszłości cierpiącymi na głuchotę jest chyba chorobliwe. Ze zdziwieniem przeczytałem o tym, jak bardzo był młody, kiedy zaczął tracić słuch, miał zaledwie dwadzieścia osiem lat. Złapał przeziębienie, które przerodziło się w poważną chorobę, nie aż tak niebezpieczną jak u Goi, lecz wyszedł z niej z upośledzonym słuchem, prawdopodobnie uszkodzonymi komórkami rzęsatymi, i stan ten pogłębiał się stopniowo przez resztę jego życia. Kiedy zdał sobie sprawę ze swej sytuacji, był znany głównie jako mistrzowski muzyk i dyrygent, a trudno wykonywać te zawody po utracie słuchu, dlatego od tej pory

104

koncentrował się wyłącznie na komponowaniu. Można więc chyba wysnuć hipotezę, że i w jego przypadku, jak u Goi, głuchota była odpowiedzialna za artystyczną wirtuozerię, ale Beethoven z pewnością nie myślał o niej w ten sposób, jak

0 błogosławionym w skutkach nieszczęściu. Był zrozpaczony, kiedy uzmysłowił sobie, że traci słuch, gorączkowo szukał skutecznych terapii (żadna oczywiście nie zadziałała) i dokuczały mu napady głębokiej depresji, kiedy przeklinał swego Stwórcę

1 czasem rozważał samobójstwo. Zobowiązał do dochowania tajemnicy tych przyjaciół, którym zwierzył się ze swego trudnego położenia, w obawie przed utratą zawodowej wiarygodności, gdyby rzecz wyszła na jaw. I przez dłuższy czas udawało mu się nadzwyczaj skutecznie ukrywać swój problem - unikał towarzystwa, to jedno, a drugie: udawał roztargnienie, kiedy nie usłyszał, co ktoś do niego powiedział. Jak wszyscy niedosłyszający wiedział jednak, że te strategie wiążą się z pewnymi konsekwencjami: osoby takie sprawiają wrażenie zamkniętych w sobie, nietowarzyskich, mrukowatych. Sześć lat po tym, gdy zaczął głuchnąć, kiedy stracił już wszelkie nadzieje na wyleczenie, Beethoven napisał list zaadresowany do swych dwóch braci, lecz przeznaczony niejako dla wszystkich, którzy go znali, do odczytania prawdopodobnie dopiero po jego śmierci - wyjaśnia w nim „ukryty powód” swego odpychającego usposobienia i zachowania. List ten znany jest pod nazwą Testamentu heiligenstadzkiego - został napisany w niewielkiej wiosce pod Wiedniem, gdzie za radą lekarza zasztył się na sześć miesięcy odpoczynku w samotności. Przepisałem go z Thayera i przechowuję w pliku. Zaczyna się następująco:

Moi bliźni, którzy mnie uważacie albo i opisujecie jako nieprzyjaznego, opryskliwego, a nawet mizantropa, jakże wielką mi czynicie krzywdę. Nie znacie bowiem ukrytego powodu, dla którego takim się Wam wydaję... Nie mo-

105

głem się jednak zebrać, by powiedzieć ludziom: „Mówcie głośno, krzyczcie, bo ja jestem głuchy!” Niestety, jakże mógłbym się przyznać do przytępienia zmysłu, który w nienem mieć doskonale rozwinięty niż inni ludzie, zmysłu, którym kiedyś władałem doskonale, do takiego stopnia doskonałości, jakim w moim zawodzie włada i kiedykolwiek władało niewielu. - Ach, tego zrobić nie mogę; wybaczcie

mi więc, jeśli zobaczycie kiedy, że uciekam od Waszego towarzystwa, którym zwykłem się cieszyć. Co więcej, cierpię z powodu mego nieszczęścia w dwójnasób o tyle, o ile prowadzi ono do fałszywych o mnie sądów. Nie ma dla mnie wytchnienia w towarzystwie ludzi, wykwintnych rozmów, wzajemnych zwierzeń. Muszę żyć całkiem sam... jak wyrzutek.*

To bardzo wzruszający dokument, wybuch tłumionych emocji, krzyk dobywający się z głębi serca. Czasem, pisze Beethoven, ulegał pragnieniu przebywania w towarzystwie.

Ale jakże czułem się upokorzony, jeżeli ktoś stojący obok dostyszał z oddali dźwięk fletu, a ja nie słyszałem nic, albo jeśli ktoś dostyszał śpiew pastuszka, a ja znów nic nie słyszałem. Takie rzeczy przyprawiają mnie niemal o rozpacz i już chciałem położyć kres swojemu życiu - jedyna rzecz, jaka mnie powstrzymywała, to moja sztuka. Naprawdę bowiem wydawało mi się niemożliwe opuścić ten świat, zanim stworzę wszystkie dzieła, które czuję, że muszę skomponować.

Odniesienia do fletu i pastuszka przypominają mi o Philipie Larkinie, który nie słyszał śpiewu skowronków na niebie, kie-

* Fragmenty testamentu z Heiligenstadt w tłumaczeniu Ewy Życieńskiej. 106

dy spacerował z Monicą Jones na Szetlandach. Przywodzą też na myśl Symfonię pastoralną, skomponowaną przez Beethovena sześć lat później, nadzwyczajne wyczarowanie dźwięków, których sam nie słyszał od ponad dziesięciu lat. Nie słyszał też muzyki, kiedy ją wykonywano. Przypuszczam, że coś słyszał... ale co? Cichą, zniekształconą wersję partytury, jak koncert słuchany z przenośnego radjka ze słabnącą baterią? A może był w stanie, poprzez obserwację muzyków, odtworzyć w wyobraźni pełne bogactwo symfonicznego brzmienia i usłyszeć je w głowie jak dzisiejszy użytkownik iPod'a? Obawiam się, że bardziej prawdopodobna jest ta pierwsza wersja.

Jakie pocieszenie mogę czerpać z tych przypadków? Niewielkie. Tak się składa, że obaj byli geniuszami i odnaleźli w sztuce pewnego rodzaju rekompensatę za nieszczęście, które ich dotknęło. Ja nie jestem ani geniuszem, ani artystą. Podejrzewam, że lingwista, który nie słyszy, co mówią ludzie, bardziej przypomina głuchego muzyka niż głuchego malarza, łatwiej więc jest mi identyfikować się z Beethovenem niż z Goyą. Nie mogę jednak twierdzić, że jedynie moje badania w dziedzinie analizy dyskursu chroniły mnie przed rozpaczą przez ostatnie dwadzieścia lat ani że nie mogę opuścić tego świata, dopóki nie przekażę potomności ostatnich myśli o takich zjawiskach, jak na przykład topic-drift albo skip-connecting, czym mogłem wciąż się zajmować, korzystając z zapisów nagranych wypowiedzi. Prawdę mówiąc, przekazałem moje ostatnie myśli na te i podobne tematy już jakiś czas temu. Zatem jaki cel będzie miało moje życie, kiedy zakończą się także moje kontakty towarzyskie i płciowe? Lepiej nie zgłębiać dalej tej kwestii.

Wczoraj, tak jak się umówiliśmy, byłem na spotkaniu z Alex Loom. Tak brzmi jej nazwisko, Loom, zapisane obok dzwonka do mieszkania numer 36 przy wejściu do Wharfside Court, bloku, w którym mieszka. Nietypowe nazwisko, łatwe do zapamiętania, a ponieważ było zapisane, wiem na pewno, że się nie pomyliłem. Nie jestem już tak pewien reszty informacji, które zebrałem w ciągu tego popołudnia, ponieważ większość z tego, co mi powiedziała, była zaskakująca, a poza tym Alex ma zwyczaj ściszenia głosu w decydujących momentach swych wypowiedzi, toteż nie miałem całkowitej pewności, czy dobrze

ją rozumiałem. Poniżej znajduje się uporządkowany, ujedno-znaczony i nie do końca wiarygodny zapis naszej rozmowy.

Wzorem tylu innych przemysłowych miast nasze również współpracuje w ostatnich latach z British Waterways przy rewitalizacji kanałów, żeby je uatrakcyjnić i przeznaczyć do celów rekreacyjnych: wyremontowano ścieżki holownicze, pomalowano śluzy, wzniesiono drogowskazy i lampy w stylu retro, zachęcając ludzi do spacerów, joggingu i wycieczek rowerowych. Nad kanałem, który płynie zygzakiem przez centrum miasta, wybudowano też dużo nowych budynków mieszkalnych, apartamentowców z mieszkaniami na wynajem. Lokum Alex mieści się w jednym z taniej wyglądających budynków, czteropiętrowym bloku w stylu, który Fred nazywa „postmodernistycznym lego”, zbudowanym z jasnoczerwonej cegły z zielonymi plastikowymi elementami i położonym nad czymś w rodzaju zalewu, na którego obrzeżach zebrał się szpecący kożuch na wpół

108

zatopionych, nie ulegających biodegradacji śmieci. Sporo czasu zajęło mi odnalezienie tego budynku, ponieważ ulica podana mi przez Alex nie figuruje w mojej wysłużonej A-Zetce. Jechałem przez obszar pustych działek, rozlatujących się magazynów i małych warsztatów, zanim dotarłem na parking za Wharfside Court. Byłem zaskoczony tym, jaki zastałem tam spokój: ruch uliczny oddalonego o jakiś kilometr centrum miasta był jedynie szmerem, nie widziałem też żadnych ludzi. Był środek dnia, toteż większość mieszkańców przebywała w pracy, ta niemal idealna cisza wydawała mi się jednak czymś osobliwym w środku ponadpółmilionowego miasta; nawet samo miasto wyglądało obco z tej perspektywy, wszystkie jego charakterystyczne punkty - baszta zamkowa, kampanila ratusza, wieże Hiltona - wydawały się poprzestawiane. Dzień był chłodny, powietrze czyste, widoczność doskonała. Słońce wisiało nisko, rzucając długie, ostre cienie na wyludnione ścieżki nad kanałem jak na jednym z metafizycznych obrazów de Chirico.

Ten nienaturalny spokój, z czego zdałem sobie nagle sprawę, wynikał również z tego, że nie miałem założonego aparatu. Wolę prowadzić samochód bez niego, kiedy jadę sam, bo dzięki temu mój czteroletni ford focus sunie cichutko niczym mercedes. Wsunąwszy małe plastikowe słuchawki do uszu, wcisnąłem dzwonek do mieszkania 36 i usłyszałem przez trzeszczący domofon głos Alex.

- Witam. Trzecie piętro, obawiam się, że będzie pan musiał wejść po schodach, bo winda nie działa.

Wspiąłem się trzy piętra po surowych, zakurzonych betonowych schodach, a ona czekała już w otwartych drzwiach mieszkania, kiedy pojawiłem się pod nimi lekko zdyszany. Miała na sobie czarne spodnie i czarny sweter z dekoltem w serek, a na twarzy lekki makijaż, tylko wokół oczu dla podkreślenia ich intensywnego błękitu. Błękitu jak z pulpitu Microsoft, jasnego, lecz nieprzejrzystego.

109

- Winda często stoi - wyjaśniła z przepraszającym uśmiechem. - Wydzwaniam do administratora, ale nic się nie dzieje. Proszę do środka.

Mieszkanie jest małe: jedna sypialnia, łazienka z ubikacją i kuchnia połączona z salonem. Wzięła ode

mnie płaszcz, powiesiła go na wieszaku w maleńkim przedpokoju i wprowadziła mnie do salonu. Nie większy od salonu taty, jest jedynie jaśniejszy i weselszy. Na stoliku leżał otwarty laptop, którego abstrakcyjny wygaszasz ekranu niezmordowanie się rozpląwał i formował na nowo, a pod jedną ze ścian stał regał z książkami, pudełkami i segregatorami. Pozostałe ściany ozdobiono współczesnymi reprodukcjami i plakatami - rozpoznałem akt Muncha z chudą dziewczyną siedzącą na łożku. Dwa krzesła, mała sofa, fotel, stolik do kawy, biała komoda z dwiema szufladami, odtwarzacz CD z radiem i mały płaski telewizor stanowiły resztę mebli, z których większość wyglądała, jakby całkiem niedawno została przywieziona z Ikei. Uśmiechnęła się i rozłożyła ręce.

- Chez moi - powiedziała.

Podszedłem do okna, które wychodziło na podobny blok po drugiej stronie zalewu.

- Ładny widok - skomentowałem uprzejmie. - Długo pani tu mieszka?

- Niezbyt - odparła.

- Kupiła pani to mieszkanie?

- Boże uchojaj! - Roześmiała się. - Wynajmuję, ale jest całkiem tanie. Właściciele są w rozpaczliwej sytuacji, bo na rynku jest mnóstwo takich mieszkań. W tym bloku większość stoi pusta.

- Nie czuje się pani przez to trochę samotna?

- Nie, podoba mi się tutaj. Jest bardzo cicho. Co sprzyja mojej pracy badawczej.

- Nad czym pani pracuje? - zapytałem.

- Pozwoli pan, że najpierw zaparzę herbatę. Earl Grey czy Assam? A może ziołową?

110

Wybrałem Assam, a ona przeszła do małej kuchni, której nie oddziela od salonu żadna ścianka działowa. Usiadłem w fotelu, nie czułem się jednak swobodnie. Z jakiegoś powodu przyszło mi do głowy, że nikt nie wie o mojej obecności tutaj. Alex powiedziała coś, w czym wydawało mi się, że słyszę słowo „samobójca”. Zerwałem się z miejsca i zrobiłem krok w stronę kuchni.

- Słucham?

Wyszła z kuchni z herbatą na tacy.

- Listy pożegnalne samobójców - powtórzyła, stawiając tacę na stoliku do kawy. Kiedy się pochylała, dekolt jej swetra rozchylił się i dostrzegłem cień wgłębienia między piersiami, jak podczas wystawy w galerii. - To temat mojego doktoratu. Analiza stylistyczna listów pożegnalnych samobójców.

Już miałem zapytać, co sprawiło, że zainteresowała się takim tematem, powstrzymałem się jednak w obawie, że mogę dotknąć spraw osobistych i drażliwych. Zauważyła moje wahanie i roześmiała się.

- Widzę, że się pan zastanawia, dlaczego wybrałam taki upiorny temat. Wszyscy się dziwią. Jakiś czas temu chodziłam z psychologiem klinicznym z Columbii, który badał treść listów pożegnalnych pod kątem oceny ryzyka, porównując listy pozostawione przez niedoszłych samobójców i tych, którym się udało. Zgromadził spory korpus językowy i pomyślałam, że ciekawa byłaby analiza stylistyczna tych listów, wie pan, na przykład, czy stanowią odrębny gatunek. Czy ludzie narażeni na tak wielki stres uciekają się do jakichś formuł retorycznych? Albo czy w rozpaczy przekraczają granice swych dotychczasowych umiejętności werbalnych?

- Jak to można stwierdzić - zapytałem - nie mając dostępu do innych tekstów tych nieszczęśników?

- Nie można oczywiście, mamy jedynie dowody wewnętrzne... od czasu do czasu pojawia się zdanie, które pod wzglę-

111

dem językowym wybija się ponad resztę dyskursu. Ale to tylko jeden aspekt mojej pracy.

Zapytałem ją, gdzie pisze doktorat, i jakież było moje zdziwienie, kiedy usłyszałem, że robi studia doktoranckie na naszym wydziale anglistyki, a jej opiekunem jest Colin Butterworth.

- Dlaczego w Anglii, a nie w Ameryce? - zapytałem. - Przecież jest pani Amerykanką, dobrze rozumiem? - Jej wymowa nie była mocno naznaczona amerykańskim akcentem, lecz nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- Zgadza się. Kiedy Bush ponownie wygrał wybory, poczułam, że po prostu muszę uciekać z tego kraju. Przedtem przez wiele miesięcy pracowałam w Komitecie Wyborczym Kerrygo, byłam więc strasznie przygnębiona...

- Jako wolontariuszka?

- Nie, dostawałam wynagrodzenie. Zamierzałam nawet działać w strukturach rządowych, ale postanowiłam wrócić do szkoły, spróbować sił na uczelni. Anglia mi się podoba, spędziłam tu trochę czasu w dzieciństwie, ojciec był zatrudniony w ambasadzie w Londynie. A robienie doktoratu tutaj kosztuje o wiele mniej niż w Stanach. Dlatego że niczego tutaj nie uczą, z czego nie zdawałam sobie sprawy. - Roześmiała się, gdy zrobiłem zdziwioną minę po tej uwadze. - Chodzi mi o to, że nie ma żadnych kursów, żadnych egzaminów, tylko praca, którą trzeba napisać samodzielnie, od czasu do czasu konsultując się z promotorem.

- Na pewno jest jeszcze jakieś seminarium...

- Kiedy ludzie się spotykają i opowiadają, nad czym aktualnie pracują, i wszyscy są strasznie mili, życzliwi i zadają łatwe pytania? Tak, mamy coś takiego - odparła szyderczo. - Na szczęście lubię pracować samodzielnie. Ten system bardzo mi odpowiada, a raczej odpowiadałby, gdyby konsultacje były do rzeczy.

- Nie układa się pani współpraca z profesorem Butterworthem? - zapytałem. Zaczynało mi świtać,

dlaczego nie chciała się ze mną spotkać na terenie uniwersytetu.

112

- Określiłabym to dosadniej - rzekła. - Przeczytałam jego artykuł o wpływie poczty elektronicznej na styl epistolarny i pomyślałam, że byłby właściwą osobą do współpracy, dlatego zapisałam się na studia tutaj, tylko że on wcale mi nie pomaga.
- Prawdopodobnie ma za mało czasu - wyjaśniłem. - Pewnie jest za bardzo zajęty udziałem w zebraniach, przygotowaniem budżetów, oceną pracy kadry i tymi wszystkimi rzeczami, którymi w tych czasach muszą się zajmować wykładowcy, zamiast myśleć.
- Może, ale też nie poraża intelektem - skostatowała Alex.

Nie mogłem powstrzymać drobnego uśmiešku wynikającego z tego, że zgadzałem się z jej oceną. Zawsze uważałem, że reputacja Butterwortha jest nieco rozdmuchana i urosła tak głównie dzięki temu, że ma nosa do modnych tematów i jest popularny w mediach jako ekspert od języka i jego użycia, mniej zaś dzięki oryginalnym osiągnięciom naukowym. Następna uwaga Alex wprawiła mnie jednak w zakłopotanie.

- Dlatego chciałabym, żeby pan został moim promotorem. - Dodała, że ostatnio czytała wiele moich prac i zrobiły na niej duże wrażenie. - Oczywiście wcześniej już coś czytałam, kiedy jeszcze robiłam magisterium na Columbii, ale kiedy się dowiedziałam, że do niedawna pan tutaj wykładał, strasznie się ucieszyłam... Przeczytałam w bibliotece wszystko, co pan napisał. Myślę, że byłby pan dla mnie idealnym promotorem.
- Ale ja przeszedłem na emeryturę - zauważyłem.
- No tak - powiedziała. - Słyszałam jednak, że niektórzy emerytowani wykładowcy są promotorami doktorantów.
- Tych studentów, których prowadzili, zanim przeszli na emeryturę - wyjaśniłem. - Po prostu opiekują się nimi do ukończenia doktoratu. Nie można jednak brać pod swoje skrzydła nowych studentów po pełnym przejściu na emeryturę.
- Nie? - zdziwiła się z nadąsanym uśmiechem. - Nie można tego jakoś obejść?

113

- Obawiam się, że nie - odparłem. - Niezależnie od kwestii, czy w ogóle zechciałbym...
- A zechciałby pan, tak hipotetycznie? - przerwała mi.
- Abstrahując od tego, profesor Butterworth poczułby się ogromnie urażony, gdyby ściągnięto mnie z emerytury po to, żebym przejął jego studentkę. Nigdy by się na to nie zgodził. Uniwersytet też by tego nie przełknął. To niestety nie wchodzi w grę.

Byłem rad, że mam uzasadniony powód do odrzucenia jej prośby, w przeciwnym wypadku kusiłaby mnie ona nieco. Myśl o tym, żeby znów się zająć jakimiś badaniami, wykorzystać moją specjalistyczną wiedzę w tym dziwacznym, lecz niewątpliwie interesującym temacie, i regularnie spotykać się z tą najwyraźniej inteligentną, elokwentną i, bądźmy szczerzy, bardzo atrakcyjną młodą kobietą, nie była mi wstrętą. Doświadczenie nauczyło mnie jednak, że opieka nad doktorantami może być skomplikowanym i męczącym zajęciem: człowiek szybko zaczyna się czuć odpowiedzialny w jakiś sposób za osiągnięcia studenta, jego poczucie własnej wartości, losy, i trwa to całe lata. Dobrze, że w tym przypadku nie musiałem nawet rozważać wszystkich za i przeciw, bo od razu powiedziałem „nie”.

- Ojej, jestem strasznie zawiedziona - powiedziała ze smutkiem.
- Przykro mi - rzuciłem. Wysączyłem do końca herbatę, która zdążyła ostygnąć, i zerknąłem na zegarek. - Chyba powinienem już sobie pójść.
- Ależ nie, proszę jeszcze zostać - poprosiła. - Niech pan się jeszcze napije herbaty. - Napełniła moją filiżankę.
- Proszę mi opowiedzieć o swoich badaniach. Skąd pani bierze dane?
- Och, wydano różne antologie. Internet też się przydaje. Pokażę panu. - Wstała i zdjęła z półki duży segregator z dźwi-gienką. - To są wszystkie moje dotychczasowe materiały. Mam

114

je oczywiście na twardym dysku, ale trzymam je też tutaj w takim jakby albumie z wycinkami, żeby móc je sobie od czasu do czasu przeglądać.

Segregator zaciążył na moich kolanach, także metaforycznie od ciężaru ludzkich cierpień. Przekartkowałem kopie listów pożegnalnych, część ze źródeł drukowanych, część w formie kopii oryginałów spisanych ręcznie lub na maszynie. Pamiętam tylko kilka zdań i wyrażań, które Alex zaznaczyła i opatrzyła notatkami maciupęńkim, niemal nieczytelnym pismem. „Jestem zmęczony życiem, więc postanowiłem się zabić. Ta zaszrana rodzina tylko cię wykorzystuje”... „Gaz ulatnia się z sykiem, razem z nim wnika we mnie lęk”... „Nie mam w tej sprawie żadnego wyboru. Żeby wszystko się ułożyło, muszę umrzeć”... „Mężczyzna, który leży obok mnie, to niefortunny zbieg okoliczności...” Ostatnie słowa napisała kobieta, która najwyraźniej poderwała jakiegoś pechowca, miała z nim stosunek, po czym włączyła gaz, kiedy jeszcze spał. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Alex bacznie mi się przygląda.

- Ciekawa lektura, prawda?
- Fascynująca... ale nieprzyjemna. Nie przygnębia pani codzienna praca z takim materiałem?

Wzruszyła ramionami.

- A czy patologów przygnębia codzienne wykonywanie sekcji zwłok?
- Zakładam, że poddała pani ten materiał jakiejś analizie statystycznej?

- Tak... wie pan, jakie słowo, prócz tych czysto gramatycznych, najczęściej się powtarza?
- Zabić? Umrzeć?
- Kochać.
- Hmm. A w jakich kolokacjach?
- Och, tu nie ma żadnych niespodzianek: z imionami, zaimkami, jest trochę przeczeń. „Kocham cię, mamo”. „Kocham

115

cię, tato”. „Kocham cię, Jack, nigdy mnie tak naprawdę nie kochałeś, mama i tata nigdy mnie nie kochali, nikt mnie nie kocha...”

Przeczytałem jeszcze kilka listów, z których wiele było naprawdę długich, i skonstatowałem, że często pojawia się pewna niejasność co do ich adresata.

- Pozornie są zaadresowane do partnera lub kogoś z rodziny - zauważyłem - czasem jednak zawierają informacje dobrze znane obu stronom, jest więc tak, jakby adresowali je do całego świata.
- Właśnie, i czasem dorzucą jeszcze coś do Boga. Jakby tymi ostatnimi słowami chcieli się zabezpieczyć na wszystkich frontach - powiedziała. - Widać, że czuje pan ten temat. Jest pan pewien, że nie zostanie moim promotorem?
- Najzupełniej - odparłem. - Jak bardzo zaawansowany jest ten projekt?
- Cóż, zaczęłam kilka lat temu w Stanach, a potem go zarzuciłam. Wiosną zapisałam się tutaj i zaczęłam znowu.
- Nie przypominam sobie, że bym widział panią na uniwersytecie.
- Nie, ale ja widziałam pana... Ktoś pokazał mi pana w bibliotece. Dzięki temu rozpoznałam pana wtedy na wystawie wARC.
- Ach tak - bąknąłem. Myślałem, że tamta rozmowa była wynikiem przypadkowego spotkania, najwyraźniej jednak się myliłem.
- Nie bywam zbyt często na uniwersytecie, chyba że w bibliotece. Wolę pracować w domu. Muszę też zajmować się innymi rzeczami, żeby zarobić na czynsz.
- Jakimi rzeczami?
- Pracuję dorywczo. Jako kelnerka, barmanka. Miałam nadzieję, że dostanę jakąś posadę nauczycielską na wydziale, ale nic z tego nie wyszło.

116

cię, tato". „Kocham cię, Jack, nigdy mnie tak naprawdę nie kochałeś, mama i tata nigdy mnie nie kochali, nikt mnie nie kocha..."

Przeczytałem jeszcze kilka listów, z których wiele było naprawdę długich, i skonstatowałem, że często pojawia się pewna niejasność co do ich adresata.

- Pozornie są zaadresowane do partnera lub kogoś z rodziny - zauważyłem - czasem jednak zawierają informacje dobrze znane obu stronom, jest więc tak, jakby adresowali je do całego świata.
- Właśnie, i czasem dorzucają jeszcze coś do Boga. Jakby tymi ostatnimi słowami chcieli się zabezpieczyć na wszystkich frontach - powiedziała. - Widać, że czuje pan ten temat. Jest pan pewien, że nie zostanie moim promotorem?
- Najzupełniej - odparłem. - Jak bardzo zaawansowany jest ten projekt?
- Cóż, zaczęłam kilka lat temu w Stanach, a potem go zarzuciłam. Wiosną zapisałam się tutaj i zaczęłam znowu.
- Nie przypominam sobie, żebyś widział panią na uniwersytecie.
- Nie, ale ja widziałam pana... Ktoś pokazał mi pana w bibliotece. Dzięki temu rozpoznałam pana wtedy na wystawie wARC.
- Ach tak - bąknąłem. Myślałem, że tamta rozmowa była wynikiem przypadkowego spotkania, najwyraźniej jednak się myliłem.
- Nie bywam zbyt często na uniwersytecie, chyba że w bibliotece. Wolę pracować w domu. Muszę też zajmować się innymi rzeczami, żeby zarobić na czynsz.
- Jakimi rzeczami?
- Pracuję dorywczo. Jako kelnerka, barmanka. Miałam nadzieję, że dostanę jakąś posadę nauczycielską na wydziale, ale nic z tego nie wyszło.

116

- Tak, my tutaj rzadko zatrudniamy doktorantów na uczelni, nie tak jak w Stanach.

Zachichotała i rzuciła coś mimochodem, w czym dosłyszałem słowo „majtki". Kiedy rozwinęła temat, zrozumiałem, że dziewczyna, z którą przez jakiś czas pracowała w barze, opowiedziała jej o facecie płacącym za noszone i nie wyprane majtki. Można je było przesać pocztą, zamknięte w torbie termoizolacyjnej, raz w tygodniu, a trzy dni później przychodził czek. Nie trzeba było się z nim spotykać. Łatwy zarobek. „Najłatwiejszy sposób na zarobienie pieniędzy, o jakim słyszałam", stwierdziła. Ponieważ jednak umknął mi wstęp tej historii, nie wiedziałem, czy Alex też uczestniczyła w tym procederze czy tylko relacjonowała doświadczenia swojej znajomej. Ograniczyłem się więc do potakiwania, uśmiechów i fatyecznych pomruków, kierując się tonem głosu i mimiką Alex, zachowywałem przy tym wyraz uprzejmego rozbawienia osoby, której nic nie jest w stanie zaszokować, aż w końcu zadałem nierozważne

pytanie: „Powiedział wam, w jakim stylu bielizny gustuje?”, co sugerowało, że przynajmniej przemknęło mi przez myśl, iż sama Alex mogła w ten sposób finansować swoje badania naukowe.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie, po czym parsknęła śmiechem.

- Profeszorze Bates! Chyba pan sobie nie wyobraża, że ja też wysyłam temu facetowi majtki?

Zaczerwieniłem się mocno - choć nie rumienię się często - i powiedziałem:

- Nie, nie, oczywiście, że nie.

- A mnie się wydaje, że tak! - powiedziała figlarnie. Nie sprawiała wrażenia urażonej.

- Mówiłem ogólnie - broniłem się.

- Cóż, nie twierdzę, że człowiek nie dałby się skusić, gdyby był naprawdę splekany - odpowiedziała beztrząsko Alex.

Próbowałem rozpaczliwie zmienić temat.

117

- Ciekawe, dlaczego użyła pani słowa „człowiek” zamiast jakiejś bezpodmiotowej konstrukcji, na przykład: „Nie uległoby się pokusie, gdyby się było splekanym”. - Zdałem sobie sprawę, że mój przykład przywiódł nas z powrotem do tematu mojego faux pas.

- Naprawdę nie wiem - odparła, uśmiechając się na widok mojego zażenowania.

Wykorzystała je, żeby raz jeszcze przycisnąć mnie w sprawie doktoratu, i zapytała, czy nie zechciałbym przeczytać tego, co już napisała, i udzielić jej kilku rad - nieoficjalnie i w sposób poufny. Chcąc już jak najszybciej wyjść, obiecałem, że pomyślę o tym. Podała mi wizytówkę z numerem komórki - nie ma telefonu stacjonarnego. Próbowałem wymyślić jakiś powód, który zniechęciłby ją do prób telefonowania do mnie do domu, ale nie chciałem przy tym zabrzmieć zbyt obcesowo lub konspiracyjnie, nic jednak nie wymyśliłem.

Jadąc do domu, uznałem, że muszę powiedzieć Fred o moim spotkaniu z Alex, zanim dowie się o nim za sprawą kolejnego telefonu. Opowiedzenie jednak całej historii od początku - prośba, do której się przychyliłem podczas wernisażu w ARC, chociaż nie usłyszałem z niej ani słowa, telefon Alex po tym, jak się nie zjawiłem, umówienie się w jej mieszkaniu, no i samo spotkanie - byłoby tak długą i skomplikowaną relacją, że na usta cisnęłoby się pytanie, dlaczego do tej pory nie wspominałem o niczym Fred. Przygotowałem więc wersję skondensowaną, która sugerowała, nie stwierdzając tego wprost, że wszystko to wydarzyło się tego popołudnia na uniwersytecie: „Pamiętasz tę blondynkę, z którą niedawno rozmawiałem w galerii? Znowu ją spotkałem dziś po południu i okazuje się, że jest doktorantką na anglistyce, Amerykanką piszącą doktorat pod opieką Butterwortha, wiesz, o czym? O listach pożegnalnych samobójców. Wypiliśmy razem herbatę. Chciała się mnie poradzić - zrobiła dość wyraźną aluzję,

że wolałaby mnie jako promotora. Powiedziałem jej oczywiście, że to wykluczone. Nieoficjalnie mogę jednak trochę jej pomóc. Temat jest intrygujący..."

Wygłosiłem tę przemowę lub coś w tym rodzaju przy kolacji wieczorem i wydawało mi się, że Fred przyjęła ją bez żadnych podejrzeń, zresztą też bez większego zainteresowania. Była zaabsorbowana sprawą jakiegoś drogiego włoskiego materiału zasłonowego, który rano został dostarczony do Decor. Okazało się, że ma skazę w splocie na całej długości beli, trzeba ją więc było odesłać, ale dostawca nie ma już tego materiału w magazynie i trzeba go będzie dopiero wyprodukować w Mediolanie, co potrwa kilka tygodni, tymczasem klientce obiecano dostawę zasłon przed świętami.

- Niewykluczone, że się uda, ale szanse są niewielkie - powiedziała.

- Ta skaza jest bardzo widoczna? - zapytałem.

-Nie.

- No to może klientka przyjmie wadliwy towar, jeśli dacie jej rabat.

- Może - odparła Fred. - Tylko że skaza będzie ją kłuć w oczy tak długo, jak długo te zasłony będą wisieć w salonie. Będzie się jej przypominać za każdym razem, kiedy je zasunie. Zawsze będzie się zastanawiać, czy inni ją zauważyli, i będzie się musiała powstrzymywać, żeby im o niej nie powiedzieć. Zawsze będzie nas kojarzyła z czymś niedoskonałym. Nie mogę do tego dopuścić.

- No to co zrobicie?

- Spróbujemy sprowadzić - odparła z szerokim uśmiechem. - Dostaniemy ten materiał na czas, choćbym miała polecieć do Mediolanu i sama go stamtąd przywieźć.

Co za twarda kobieta z tej mojej żony.

Alex Loom jest postacią intrygującą, a zarazem pewnego rodzaju zagadką. Jest nią już samo jej nazwisko. Nie znalazłem „Loom” w penguinowskim słowniku nazwisk. Możliwe, że jest jedną z amerykańskich mutacji imigranckiego nazwiska. Niemieckiego albo skandynawskiego - Alex ma nordyckie rysy damy z krainy lodu. Z czystej ciekawości sprawdziłem słowo loom w oksfordzkim słowniku angielskiego i okazało się, że ma ono nadzwyczaj szeroką gamę znaczeń, nie tylko to podstawowe, czyli „krosno”, ale i kilka teraz już przestarzałych: na przykład „narzędzie”, „pajęczyna”, „otwarta łódź”, „trzon wiosła”, „gatunek nurkujących ptaków z północnych mórz”, „poświata na niebie od światła latarni morskiej”, „miraż nad wodą lub lodem”, „wiązka równoległych izolowanych kabli elektrycznych” i, co zadziwiło mnie najbardziej, „fallus”. Przykład tego znaczenia brzmi: „I wielki był fallus jego długości jarda” z pięć-nastowiecznego aliteracyjnego romansu rycerskiego o tytule, nomen omen Alexander.

(Przypuszczam, że jej pełne imię i nazwisko brzmi Alexandra Loom.) Niezły byłby z tego slogan internetowej reklamy akcesoriów erotycznych: „Ty też możesz mieć fallusa długości jarda”. Słowo to ma mniej znaczeń jako czasownik - „wyłonić się”, „zamajaczyć”, „wisieć w powietrzu” - o wojnie, kryzysie.

Pomimo żenującej końcówki mojej wizyty nie żałuję, że tam pojechałem. Dawno już nie zrobiłem czegoś, co nie byłoby częścią mojego przewidywalnego rozkładu dnia - nawet ten rejon nad kanałem był częścią miasta, której nigdy jeszcze nie widziałem. A temat pracy doktorskiej Alex jest niewątpliwie interesujący. Myślę, że nieoficjalnie mogę jej trochę pomóc - pomysł, żeby potajemnie uzupełniać jej współpracę z Butterworthem, a nawet doprowadzić do jej zerwania, jest całkiem kuszący. Mogę sobie wyobrazić jego zdziwienie, kiedy Alex przedstawi mu jakiś świetny pomysł, który tak naprawdę będzie zawdzięczać mnie... uśmiecham się na samą myśl o tym.

120

8

9 listopada. Moja wizyta u Alex Loom miała swój przedziwny ciąg dalszy. Dziś po południu, kiedy szykowałem się do wyjścia, planując wizytę w banku i na poczcie na pobliskiej ulicy, postanowiłem włożyć płaszcz. Nie nosiłem go od wtorku, ponieważ wczoraj było ciepło i mokro, a dzisiaj znowu zrobiło się chłodniej. Kiedy zapinałem guziki i przeglądałem się w lustrze, zauważyłem niewielkie wybrzuszenie na piersi, jak gdyby w wewnętrznej kieszeni płaszcza znajdowała się zwinięta chusteczka albo niewielki szalik. Wsunąłem rękę za pazuchę i - niczym iluzjonista wbrew woli - wydobyłem stamtąd damskie majtki. Trzymałem je w wyciągniętej ręce, między palcem wskazującym a kciukiem, i gapiłem się na nie. Uszyte były z białej bawełny, z wąską koronkową lamówką. Od razu sobie uzmysłowiłem, w jaki sposób znalazły się w mojej kieszeni: przed wyjściem od Alex skorzystałem z ubikacji, ponieważ za sprawą wypitej herbaty odczuwałem nieprzyjemny nacisk na pęcherz, musiała skorzystać ze sposobności i wcisnąć mi te majtki do płaszcza jako pewnego rodzaju postscriptum do naszej rozmowy. Ale jaki miała w tym cel?

Nie były nowe, ale świeżo wyprane - nie musiałem ich wachać, żeby się o tym przekonać, prezentowały się bowiem nieskazitelnie, a materiał był miękki i elastyczny w dotyku. Zajrzałem za gumkę i znalazłem wyblakłą metkę Blooming-DALES, co potwierdzało ich przynależność do Alex - nie, żeby w kręgu podejrzanych był jeszcze ktoś, kto w ciągu ostatnich

121

czterdziestu ośmiu godzin mógł mi wywinąć taki numer. Pomyślałem, że niewiele brakowało, a wyciągnąłbym je z kieszeni w obecności Fred. Gdybym na przykład wczoraj wieczorem włożył ten płaszcz zamiast płaszcza przeciwdeszczowego, kiedy wybieraliśmy się na premierę do Playhouse, mogłem to zrobić tutaj, w korytarzu przed wyjściem, albo w teatralnym foyer, kiedy oddawałem płaszcz do szatni, otoczony przez zaciekawionych i rozbawionych widzów. „Co, do diabła..- powiedziałbym, jak sobie wyobrażam, w chwili, gdy wyciągnąłbym zza pazuchy zwinięte majtki i podniósł je do góry, a potem wybałuszał na nie ślepią, podczas gdy ludzie dookoła śmialiby się i tręcali łokciami, Fred zaś zrobiłaby najpierw zdziwioną, a potem wściekłą minę. W każdym z tych scenariuszy zażądałaby wyjaśnień, a ja byłbym zmuszony wyjawić informację o wizycie w mieszkaniu Alex, doprowadzając do tego, że całe

zajście wyglądałoby dużo bardziej kompromitująco niż w rzeczywistości. Zakipiał we mnie gniew na myśl o tak zuchwałym zachowaniu Alex.

Spojrzałem na swoje lustrzane odbicie - wychudłego, siwowłosego mężczyznę w ciemnym płaszczu trzymającego białe majtki niczym detektyw z obciążającym dowodem - i zacząłem się zastanawiać, co z nimi począć. Początkowo pomyślałem, czy nie wyrzucić ich do śmieci, lecz w przeszłości zdarzyło się już kilka razy, że Fred zgubiła klucze albo coś z biżuterii i wtedy drobiazgowo przeszukiwała nasze kosze na śmieci, wysypując ich zawartość na gazety rozłożone w ogrodzie, i los mógł zrządzić, że zrobi coś takiego znowu przed następnym wywozem śmieci. Może je spalić, pomyślałem, ale w domu nie mamy kominka na prawdziwy ogień, a gdybym to zrobił na dworze, powiedzmy na grillu, ryzykowałbym, że podpatrzy mnie jakiś sąsiad, jak szczypcami obracam nadpalone majtki. Zastanawiałem się, czy ich nie pociąć nożyczkami na małe kawałeczki i spuścić w toalecie; niestety instalacja wodno-ka-

122

nalizacyjna nie jest najmocniejszą stroną tego starego domu. Co się stanie, jeśli zapcha się sedes i hydraulik wydobędzie z niego namokniętą zbitkę bawełnianych ścinków, z których jeden będzie nosił metkę z napisem Bloomingdales? Im dłużej rozmyślałem, tym bardziej niedorzeczne i paranoiczne stawały się te scenariusze. Ostatecznie włożyłem powód mojego wzburzenia do koperty z folią bąbelkową, zaadresowałem ją do Alex w Wharfside Court i dołączyłem kartkę z suchą wiadomością: „Przypuszczam, że ta bielizna należy do Pani. Nie rozumiem, w jaki sposób znalazła się w wewnętrznej kieszeni mojego płaszcza, lecz było to bardzo niemądre posunięcie, które mogło postawić mnie w kłopotliwym położeniu. W tej sytuacji nie mogę udzielać pani pomocy i rad w sprawie pracy doktorskiej. DB". Wysłałem przesyłkę na poczcie po drodze do banku. Przesłałem ją priorytetem, chcąc, żeby Alex poczuła moc mojego niezadowolenia jak najszybciej.

10 listopada. Alex Loom zadzwoniła do mnie dziś rano, otrzymawszy właśnie przesyłkę. Na szczęście Fred wyszła już do pracy.

- Przepraszam - powiedziała od razu, nie przedstawivszy się, gdy podniosłem słuchawkę. - Bardzo, bardzo przepraszam. Zachowałam się jak kretynka.
- Owszem - przyznałem chłodno. Wybąkała coś, czego nie zrozumiałem. Podkręciłem głośność w telefonie. - Co?
- To był tylko taki żart.
- Niestety nie rozśmieszył mnie.
- Majtki były czyste. - (Wypowiedziane, jak gdyby ubiegała się o złagodzenie kary.)
- Wiem, że były czyste - odparłem zupełnie niepotrzebnie. W przerwie, która nastąpiła, domyśliłem się, jaki wyciąga wniosek: że uważnie się im przyjrzałem. - Nie w tym rzecz. Znalazł-

123

bym się w wielce kłopotliwej sytuacji, gdybym wyciągnął je z kieszeni przy... przy innych ludziach. - Na linii rozległ się cichy dźwięk, który mógł być tłumionym prychnięciem.

- Na przykład przy pańskiej żonie?
- Właśnie.
- Nie pomyślałam o tym - przyznała. - Byłam pewna, że znajdzie je pan przed dotarciem do domu.
- Ale nie znalazłem.
- Bardzo przepraszam. Obiecuję, że to się nie powtórzy.
- Nie będzie pani miała okazji - powiedziałem.
- Och, chyba nie mówił pan poważnie, że nie będzie mi pomagać w pisaniu pracy? - zaprotestowała.
- Niestety tak - oznajmiłem. - Żegnam panią. - I odłożyłem słuchawkę.

Telefon zadzwonił niemal od razu.

- Proszę mi tego nie robić - poprosiła. - Zaczniemy wszystko od nowa. Umówmy się, że historii z majtkami nie było. Potrzebuję pańskiej pomocy przy pisaniu tej pracy. Obiecał pan.
- Obiecałem tylko, że się zastanowię.
- Ale zainteresował pana, prawda? Ten temat? Widziałam to.

Zdążyłem już pomyśleć o tym, żeby przy najbliższej okazji

zapropozować Fred zmianę i zastrzeżenie numeru telefonu, i zastanawiałem się, jaki podać powód, kiedy zdałem sobie sprawę, że istnieje prostsze rozwiązanie.

- W porządku - powiedziałem. - Zastanowię się. Ale pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Że obieca pani już nigdy nie dzwonić do mnie do domu.

Na drugim końcu linii zaległa krótka cisza, po czym usłyszałem:

- OK. Umowa stoi.

Później uzmysłowiłem sobie, że po cichu zgodziłem się jej pomóc, inaczej bowiem nie miałbym żadnej karty przetargu-

wej przeciwko dalszym telefonom. Albo, jak mówią teoretycy aktu mowy, moja wypowiedź straciłaby swoją skuteczność perlokucyjną.

Jakim aktem mowy jest pożegnalny list samobójcy? To oczywiście zależy od tego, z jakiego systemu klasyfikacyjnego korzystamy. W klasycznym podziale Austina istnieją trzy potencjalne aspekty aktu mowy właściwe każdej wypowiedzi, pisemnej lub ustnej: lokacyjny (czyli wypowiedzenie tego, co się mówi, znaczenie propozycjonalne), illokucyjny (czyli wpływ, jaki dana wypowiedź ma wywrzeć na innych) i perlokucyjny (czyli wpływ, jaki wywiera faktycznie). Istnieje jednak wiele innych podziałów i podkategorii oraz alternatywnych typologii, na przykład koncepcja Searla dzieląca akty mowy na komisywne, deklaratywne, dyrektywne, ekspresywne i reprezentatywne, bezpośrednio, pośrednio i tak dalej. Większość wypowiedzi ma zarówno znaczenie lokacyjne, jaki i moc illokucyjną. Mało wyraźna jest natomiast linia rozgraniczająca aspekt illokucyjny od perlokucyjnego. Czy akt perlokucyjny jest w ogóle, ściśle mówiąc, lingwistycznym aktem mowy? Austin podaje przykład człowieka, który mówi: „Zastrzel ją!” (dość dziwny przykład, jeśli się nad tym zastanowić, być może przejaw męskiego szowinizmu i mizoginii wśród oksfordzkich profesorów). Lokucja: Powiedział do mnie: „Zastrzel ją”, przez „zastrzel” mając na myśli zastrzel, a przez „ją” ją. Illokucja: namawiał mnie (albo radził, rozkazywał), żebym ją zastrzelił. Perlokucja: przekonał mnie, żebym ją zastrzelił. Interesujący jest tu poziom illokucyjny: nawet na tym przykładzie widać, jak te same słowa mogą mieć różną moc illokucyjną w różnych kontekstach. Małe ćwiczenie, które zadawałem kiedyś studentom pierwszego roku, polegało na tym, że mieli wyobrazić sobie te konteksty. „Kazał mi ją zastrzelić”, na przy-

125

kład, może opisywać rozkaz oficera SS skierowany do strażnika obozu koncentracyjnego. „Radził mi ją zastrzelić” wymaga więcej wyobraźni, tak wielka moralna przepaść dzieli bowiem osobową formę czasownika i brutalny bezokolicznik; to mógłby być jakiś mafijny ojciec chrzestny zwracający się do członka rodziny, którego zdradza żona. (Po dłuższym zastanowieniu tylko cztery mniej za tę wersję: żeby strzał był trafny, zazwyczaj obecne muszą być i cel, i broń.)

A co z listem pożegnalnym składającym się wyłącznie ze słów: „Zamierzam się zastrzelić”? Lokucja: wyraził zamiar zastrzelenia się, przez „zamierzam” mając na myśli zamierzam, przez „zastrzelić” zastrzelić, a przez „się” siebie. Illokucja: jest tu kilka możliwości. Może wyjaśniać tym, którzy znajdą go martwego, że zastrzelił się z premedytacją, a nie niechcący, i że nie zastrzelił go ktoś inny. Może wyrażać rozpacz, która pchnęła go do tego ostatecznego kroku. Może zależeć mu na tym, by rodzina i przyjaciele poczuli się paskudnie, bo nie uświadamiali sobie, że może targnąć się na życie, i nie zapobiegli temu. Nie znając kontekstu, trudno wyrokować. Co do skutku perlokucyjnego, podejrzewam, że zależałoby od tego, czy samobójstwo zostało istotnie popełnione. Ale czy na pewno? Nie trzeba wypowiadać ani spisywać słów „Zamierzam się zastrzelić”, żeby osiągnąć skutek zastrzelenia się. Samobójstwa nie dokonuje się słowami tak, jak zawiera się małżeństwo. Poziom perlokucyjny listu pożegnalnego jest nierozzerwalnie związany z poziomem illokucyjnym - zamierzonym wpływem na czytelników. Ten będzie jednak prawdopodobnie zależał od tego, czy samobójca osiągnie swój cel.

W praktyce listy pożegnalne, nawet te krótkie, nigdy nie są tak suche i proste jak mój przykład. Przejrzałem kilka w Internecie i są to akty mowy o różnych rodzajach mocy illoku-cyjnej. Na przykład:

Dlaczego on mi to zrobił? Twierdził, że mnie kocha. Jak może z nią chodzić i mieć w nosie, co ja o tym myślę? Nie poradzę sobie z tym do tego dochodzą jeszcze egzaminy i problem mamy. Jest za dużo nauki, żeby dością-gnąć innych. Obleję egzaminy. Chciałabym umrzeć bo wtedy nie będę już dla nikogo ciężarem.

Mama pije coraz więcej, nie mogę tego znieść. Chowa butelki i wścieka się, jak je znajduję a Gary jest do niczego, bierze jej stronę bo sam też pije. Nie wiem już co mam myśleć, tylko się kłócimy. Jak jestem w domu zawsze wybuchają kłótnie. Chcę od tego uciec. Niech to się skończy proszę. Ten cały bałagan.

Jestem całkiem sam a, nikogo nie obchodzi, czy żyję. Umieję tylko stwarzać wszystkim problemy. Jak mogę go odzyskać. Czyżby nie wiedział, ile dla mnie znaczy, ile znaczy w moim życiu. Bez niego nie mam po co żyć.

Mama i Gary zostawili mnie tu samą. Czy nie widzą, jaka jestem załamana. Nie obchodzi ich to. Boże proszę zrób coś dla mnie i spraw, żebym mogła teraz odejść. Jestem do niczego w szkole i jestem tak brzydka, że nikomu na mnie nie zależy. A ja myślałam, że jemu mogło zależeć, jaka ja jestem głupia.

List ciągnie się dalej w ten sam sposób jeszcze przez dziesięć akapitów, oscylując między skargami, oskarżeniami, auto-krytyką, uzalaniem się nad sobą, prośbami, złością, strachem i rozpaczą; jego autorka zwraca się a to do rodziny, a to do chłopaka, który ją rzucił, a to do Boga albo do samej siebie w zdaniach, które przeskakują z twierdzących do pytających i rozkazujących. Przypomniałem sobie hipotezę Alex Loom, jakoby samobójcza rozpacz mogła poprawić zdolności wysławiania się badanego, lecz tutaj nie dostrzegłem żadnych tego dowodów. Jeśli jednak podda się ów dokument analizie lite-

rackiej, kontekst nadaje temu naiwnemu stylowi pewną poruszającą moc - nawet jej błędy nabierają pozoru elokwencji. „Jestem całkiem sam a” mogłoby pochodzić z wiersza Gerarda Manleya Hopkinsa. A niezdolność „dościągnięcia” innych jest jak freudowska pomyłka wyjawiająca jej skłonność do przepisywania prac od innych. Swobodna interpunkcja odzwierciedla krytyczność jej położenia i umysłowy zamęt, wywołując efekt strumienia świadomości, a w dalszej części listu czas terazniejszy zwiększa narracyjne tempo. „Ciągle myślę o pigułkach w szafce, ale boję się”. List kończy się tak:

Jest mi bardzo zimno proszę zróbcie coś. Nie mogę znieść tej pustki, którą czuję w sobie. Pęka mi głowa. Przerwijcie ten łomot, tak bardzo boli. Nie panuję nad niczym w moim życiu. Rozpadam się na kawałki.

Niech ktoś coś zrobi.

Gdyby to było opowiadanie, można by powiedzieć, że ten ostatni akapit z czterech słów jest mistrzowski w swojej prostocie. Ale oczywiście nie w taki sposób odczytaliby ten list ci, do których przede wszystkim był adresowany, ani ci, którzy go znaleźli; a podchodzenie do niego od strony estetycznej, analizowanie go jak tekstu literackiego wydaje się zabiegiem nieco bezdusznym, nieczułym na ludzkie cierpienie, które opisuje. Z ulgą przeczytałem w przypisie, że w tym akurat przypadku autorka przeżyła przedawkowanie

leków i „rozpoczęła nowy rozdział życia”. Co więcej, list ten jest zamieszczony na stronie internetowej mającej zapobiegać próbom samobójczym.

12 listopada. Zadzwoiłem do taty, jak zawsze w niedzielne wieczory około szóstej. Spodziewa się telefonu, dlatego odbiera natychmiast. Kupiłem mu niedawno nowy telefon z dużymi

128

przyciskami wyglądający jak zabawka edukacyjna, z pokrętłem głośności, które stale ustawione jest w pozycji „Maksimum”. Postarałem się przy okazji o zainstalowanie nowego gniazdka w jadalni. Przedtem, kiedy telefon stał w przedpokoju, mógł dzwonić przez pięć minut, nim tata usłyszał sygnał. Dziś wieczorem musiał chyba siedzieć przy aparacie, bo podnosi słuchawkę i rzuca „Halo!” po zaledwie jednym sygnale.

Początkowo odnoszę wrażenie, że jest w całkiem niezłym nastroju. Przyrządził na obiad kawałek pieczeni jagnięcej, niczego nie paląc ani nie podpalając, i teraz jest z siebie zadowolony.

- Coś mi się zdaje, że rozpracowałem ten piecyk - oznajmia. - A ta pieczeń wystarczy mi na dobrych kilka dni.

Nie mija jednak dużo czasu, nim zaczyna się skarżyć, że nie sypia dobrze i musi wstawać ze cztery, pięć razy w ciągu nocy. Znowu przeprowadzamy rozmowę na temat materaca.

- Powinieneś sobie sprawić nowy materac, tato. Ortopedyczny.
- Że co, jaki?
- Twardy.
- Jaki ma sens wyrzucanie pieniędzy na nowy materac w moim wieku?
- Ja za niego zapłacę, tato.
- Nie chcę, żebyś i ty wyrzucał pieniądze w błoto.

Wzmianka o pieniądzach przypomina mu niestety o niedawnej korespondencji z urzędu skarbowego.

- Ten facet ze Szkocji ciągle pisze do mnie o podatku dochodowym. Co Szkocja ma do mnie?
- Podejrzewam, że tam przeniesiono rozliczanie twoich podatków - informuję go. - No wiesz, żeby zwiększyć zatrudnienie.
- No! Wyobrażam sobie, że to wypisywanie do mnie listów, przysyłanie mi formularzy do wypełnienia to dla kogoś niezła posadka.

129

- Co piszą?

Z tego, co zdołałem się zorientować, urząd skarbowy zawiadamia tatę, że ma prawo do zwrotu części podatku z uwagi na posiadane rachunki w kasie mieszkaniowej, i prosi go o wypełnienie w związku z tym formularza, on jednak podejrzewa, że na zachodnim wybrzeżu Szkocji knują jakiś spisek, żeby go okraść.

- Całą korespondencję zapakuj do koperty i prześlij do mnie - mówię. - Postaram się tym zająć.
- Nie, bo jeszcze się gdzieś zawieruszy. Obejrzyj sobie wszystko następnym razem, jak przyjedziesz. Ci tutejsi listonosze to banda złodziei. I jeszcze jedno. Znalazłem jakieś świadectwa akcyjne British Leyland. Co mam z nimi zrobić? Sprzedać?
- Chyba się spóźniłeś, tato. Ta spółka przestała istnieć wiele lat temu.
- Cholera jasna! Ja to mam szczęście!
- Ile masz tych akcji?
- Dwadzieścia pięć. Po pięć funtów za sztukę.
- No to dużo nie straciłeś.
- Mogły przecież zdrożeć.

Zapewniam go, że nie zdrożały. Następnie porusza kilka innych kwestii finansowych, które go martwią, a ja mówię, jak już wiele razy wcześniej, że gdyby udzielił mi pełnomocnictwa, wszystko bym załatwił z korzyścią dla niego, on jednak natychmiast staje się podejrzliwy i wrogi.

- Następnym razem każesz mi spisać testament - komentuje sarkastycznie.
- Owszem, uważam, że powinieneś spisać testament - odpowiadam. Oczywiście zna moje stanowisko: to kolejna rozmowa, którą już wielokrotnie przeprowadziliśmy.
- Nie ma potrzeby - rzuca ze złością. - I tak wszystko po mnie dostaniesz. Wiesz o tym. Jesteś moim... jak to się mó-

130

wi?... najbliższym krewnym. Po co się bawić w testamenty i nabijać kabzę jakiemuś notariuszowi?

- W porządku, tato, jak sobie życzysz - mówię, wzdychając. Jeśli umrze, nie pozostawiwszy testamentu, sprawi mi to trochę kłopotu, ale dalsze naciskanie go w tej sprawie byłoby niestosowne: wiem, że przesądnie wzbrania się przed spisaniem ostatniej woli, jak gdyby czuł, że tym samym podpisałby na siebie wyrok. Jeszcze przez chwilę paplam z nim o pogodzie i programach telewizyjnych, czekając, aż się uspokoi na tyle, bym mógł zakończyć rozmowę.

Potem dzwonię do Anne. Jest w szóstym miesiącu ciąży i zapewnia mnie, że czuje się dobrze, chwilami tylko dokuczają jej kręgosłup, a poza tym jest w siódmym niebie, bo skończyli łazienkę. Pracuje w opiece społecznej w Derby i mieszka pod miastem ze swym partnerem. Jim jest sympatycznym, choć

niekonwencjonalnym typem, który zarabia na życie w ten sposób, że wykupuje stare nieruchomości, remontuje je, jednocześnie w nich mieszkając, a potem sprzedaje je z zyskiem, żeby kupić coś nowego, wydaje się więc, że zawsze żyją w pewnym nieustabilizowaniu, z jedynie połową metrażu nadającą się do zamieszkania.

- Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości nie będziecie się nigdzie przeprowadzać - powiedziałem.
- Nie, kazałam Jimowi obiecać, że tutaj zatrzymamy się na dłużej. Przynajmniej do czasu, aż maluch skończy dwa lata.
- To dobrze - ucieszyłem się. Potwierdzam, że przyjedzie do nas na święta i zostanie na noc. - Fred urządza wielkie przyjęcie w drugi dzień świąt - informuję ją.
- A ty nie, tato? - pyta. Zawsze robi aluzje do tego, że w naszym związku to Fred gra pierwsze skrzypce.
- No tak, ja też - mówię. - Nie muszę chyba jednak dodawać, że to pomysł Fred.
- Dziadek przyjedzie?

131

- Oczywiście.
- A Rick?
- Nie wiem, jak będzie z twoim bratem. Został zaproszony.

Mój syn Richard jest naukowcem w Cambridge, jego polem

jest fizyka niskich temperatur. Mało rozumiem z tego, co mówi na ten temat, a jeszcze mniej rozumiem jego. Wygląda na to, że zahibernował się w niskiej temperaturze, odkąd zmarła jego matka. Żyje samotnie i z tego, co wiem, w celibacie, mieszka w kwaterze na uniwersytecie, uwielbia wino, muzykę barokową i fizykę niskich temperatur, niewiele ponad to. Czasem się zastanawiam, czy nie jest gejem, ale wątpię. Miałbym coś przeciwko temu? Pewnie tak. Próbuję do niego dzwonić, ale zawsze włącza się automatyczna sekretarka. Pewnie słucha akurat opery Heandla ze swojej supernowoczesnej wieży i nie chce, by mu przeszkadzano. Muszę powiedzieć, że sprawia wrażenie całkiem zadowolonego ze swego życia, choć innym wydaje się ono wyzute z radości.

9

16 listopada. Alex Loom dotrzymała obietnicy i nie dzwoniła do mnie, ale dwa dni później dostałem od niej maila z pytaniem: „Kiedy się spotkamy w celu omówienia mojej pracy?” W odpowiedzi napisałem: „Nie wiem. A tak z ciekawości: w jaki sposób zdobyła Pani mój adres mailowy?” Odpisała: „Domyśliłam się, że korzysta Pan z sieci uniwersyteckiej i ma tę samą końcówkę adresu co reszta kadry”. Miała oczywiście rację. Emerytowani wykładowcy w dalszym ciągu mogą korzystać z sieci uniwersyteckiej, która

umożliwia dostęp do katalogu biblioteki i pozwala zaoszczędzić na opłacie za prowadzenie konta mailowego u dostawcy komercyjnego. Dodała: „Więc kiedy się spotkamy?” Napisałem: „Nie ma sensu się spotykać, skoro nie dostałem jeszcze żadnego tekstu. Może mi Pani coś przestać?” Przesłała mi kopię planu pracy doktorskiej, bardzo ogólnego i abstrakcyjnego. „Chciałbym przeczytać coś konkretnego, na przykład jeden rozdział”. Odpisała: „Nie napisałam nic, co nadawałoby się do pokazania”. „W takim razie zaczekam”, zakomunikowałem. Od tamtej pory cisza.

Łapię się na tym, że częściej niż zwykle zaglądam do skrzynki mailowej, żeby sprawdzić, czy odpowiedziała, i czuję lekkie rozczarowanie, kiedy w skrzynce odbiorczej nie mam od niej wiadomości. Nietypowy temat, który wybrała, rozbudził we mnie na nowo apetyt na prowadzenie badań. Dzisiaj udałem się do biblioteki uniwersyteckiej i poszperałem wśród regałów poświęconych lingwistyce, szukając w indeksach odniesień do

133

listów pożegnalnych samobójców. Niczego nie znalazłem, ale wypożyczyłem kilka książek na temat analizy dokumentów, które moim zdaniem mogą się przydać. Z oburzeniem odkryłem, że w jednej z nich kilka fragmentów zaznaczono turkusowym markerem, nie tylko na marginesach, lecz również same linijki tekstu równoległymi pociągnięciami od lewej do prawej. Zwróciłem bibliotekarzowi uwagę na ten akt wandalizmu.

- Wydaje mi się czymś niesłychanym, że ktoś wyedukowany, kto ma dostęp do biblioteki uniwersyteckiej, w ten sposób obchodzi się z książką - dziwiłem się.

Bibliotekarz skrzywił się i wzruszył ramionami. Wyjaśnił, że odkąd studenci mogą zamawiać książki przez Internet i zwracać je przez coś w rodzaju zsypu w holu wejściowym, biblioteka straciła kontrolę nad tym, w jakim stanie są oddawane.

- Ale musicie mieć w komputerze listę osób, które wypożyczyły tę akurat książkę - powiedziałem. - Nie możecie ich wezwać wszystkich po kolei i przepytać? Winowajca może się nie przyznać, ale więcej tego nie zrobi.

Popatrzył na mnie, jakbym był świrnięty. Może i trochę jestem - w tej kwestii. Dla mnie sposób traktowania książek jest wyznacznikiem kultury osobistej. Przyznaję, że sam na marginesach książek z biblioteki od czasu do czasu napiszę lekko ołówkiem jakieś uwagi, ale skrupulatnie je ścieram, kiedy przewracam strony i spisuję notatki. Wściekam się, gdy widzę fragmenty w wypożyczonych książkach, które zostały mocno podkreślone, zwykle za pomocą linijki, przez jednego z poprzednich czytelników łudzącego się najwyraźniej, że zabieg ten w jakiś sposób wryje te słowa w jego mózgowicę, a przestępstwo to staje się oczywiście jeszcze poważniejsze, jeśli zamiast ołówka używa się długopisu. Zastosowanie markera jest nowym i szczególnie rażącym rodzajem nadużycia, oszpecceniem tekstu pasami jaskrawego koloru, bez zważania na ich rozpraszający wpływ na późniejszych czytelników.

134

Po tym incydencie wpadłem w nastrój z cyklu „do czego zmierza ten świat?”, stan, w który popadam

ostatnio coraz częściej pod wpływem takich zjawisk, jak Big Brother, wulgaryzmy w „Guardianie”, wibrujące nakładki na penisa sprzedawane w Bootsie, imprezowicze rzygający w centrum miasta w sobotnie noce i chemoterapia dla kotów i psów. Jakoś łatwiej jest skupić złość i rozpacz na tych stosunkowo trywialnych wykroczeniach przeciwko rozsądkowi i przyzwoitości niż na większych zagrożeniach dla cywilizacji, takich jak islamski terroryzm, konflikt Izrael/Palestyna, Irak, AIDS, kryzys energetyczny i globalne ocieplenie, które zdają się pozostawać poza czyjąkolwiek kontrolą. Nigdy chyba nie byłem tak pesymistycznie nastawiony do przyszłości rasy ludzkiej, nawet w apogeum zimnej wojny, teraz istnieje bowiem tyle różnych możliwości doprowadzenia cywilizacji do katastrofy, i to w całkiem niedługiej perspektywie. Prawdopodobnie nie za mojego życia, lecz przypuszczalnie za życia nienarodzonego jeszcze dziecka Anne.

17 listopada. Wczoraj wieczorem miałem osobliwe spotkanie z Colinem Butterworthem. Poszedłem na inauguracyjny wykład nowego profesora teologii, bardziej z myślą o paru kieliszkach wina na bankiecie po wykładzie (prodziekan odpowiedzialny za zaopatrzenie w wino ma dobry gust) niż z zainteresowania „Problemem modlitwy błagalnej”, główna aula wydziału nauk humanistycznych jest jednak wyposażona w porządną system odsłuchowy dla niedosłyszących, gdyby więc wykład okazał się ciekawy, nic by mi nie umknęło. Poszedłem sam, ponieważ Fred miała jakieś zebranie zarządu organizacji charytatywnej, w której się udziela, chociaż i tak by nie poszła, „Bo wiem - powiedziała - jakim siedliskiem ateizmu jest ten wasz wydział teologii”. Lekka przesada, ale prawdą jest, że

135

akademyjni teolodzy w ostatnich latach zwykle stanowią dosyć sceptyczne towarzystwo i są wyznawcami religioznawstwa, a nie chrześcijaństwa czy innej religii. Ten prelegent również prezentował podszyty rozbawieniem dystans wobec omawianego tematu. „Modlitwa błagalna jest prośbą do Boga o zrobienie czegoś - wyjaśniał. - Kiedy występujemy z prośbą w imieniu kogoś innego, jest to modlitwa wstawiennicza. Katolicy mają specjalną formę tej modlitwy, która polega na zwróceniu się do Matki Boskiej albo do świętych, żeby się za nimi wstawili i przekazali ich prośbę Bogu”. Publiczność zachichotała zgodnie z oczekiwaniami prelegenta. Dodał, że z koncepcją modlitwy błagalnej wiąże się kilka problemów. Na przykład jeśli modlitwa nie przynosi żadnego skutku. Poza tym w wielu sytuacjach, gdyby miała przynieść spodziewany skutek jednej osobie, wykluczałaby prośbę kogoś innego - choćby w przypadku dwóch wojujących ze sobą narodów albo dwóch drużyn sportowych, które modlą się do tego samego Boga o zwycięstwo. Największy jednak problem stanowi koncepcja, jakoby Istota Najwyższa wpływała na historię człowieka i nagradzała pewnych petentów, odmawiając pomocy innym, nie mniej zasługującym na pomoc. Co zadziwiające, ludzie religijni są tak pomysłowi w racjonalizowaniu tych rozczarowań i godzeniu się z nimi, że nie odchodzą od modlitwy błagalnej. W tym momencie przypomniałem sobie list pożegnalny z Internetu, „Boże proszę zrób coś dla mnie i spraw, żebym mogła teraz odejść”, i byłem ciekaw, czy autorka, kiedy już odzyskała świadomość po przedawkowaniu leków, była wdzięczna czy rozczarowana, że jej modlitwa nie została wysłuchana, i w zamyśleniu, w jakie w związku z tym popadłem, straciłem wątek wykładu i już się nie dowiedziałem, czy rozwiązano problem modlitwy błagalnej.

Bankiet w klubie uniwersyteckim po wykładzie był typowym piekłem napędzanym odruchem Lombarda.

Wśród starszych

136

gości, których tego typu okazje zwykle przyciągają, odnalazłem kilka osób cierpiących podobnie jak ja, i wymieniałem z nimi parę słów w stylu: „Strasznie tu głośno” - „Co?” - „Mówię, że strasznie tu głośno” - „Przepraszam, nie słyszę, okropnie tu głośno...” Później Sylvia Cooper, żona byłego kierownika wydziału historii, wciągnęła mnie w konwersację w rodzaju tych, kiedy interlokutor mówi coś, co brzmi jak cytata z dadaistycznego wiersza albo jednego z niemożliwych zdań Chomskyego, ty mówisz „Co?” albo „Słucham?”, a interlokutor powtarza swoje słowa, które za drugim razem nabierają swego banalnego znaczenia.

- Żyliśmy dostatnio we Francji i było na gorąco pędziliśmy rykszą do lasu w kaszy letników, ryjąc bransoletami.

-Co?

- Powiedziała, że kiedy byliśmy ostatnio we Francji, było tak gorąco, że spędziliśmy większość czasu w naszym letnim domku, kryjąc się za roletami.

- Ach, było gorąco, tak? To musiało być lato dwutysięcznego trzeciego.

- Tak, piliśmy mleko z korniszona i śliwownicę, ale będzie pogrom chórzystów niestety.

- Słucham?

- Byliśmy niedaleko Carcassonne. Śliczna okolica, ale wszędzie ogromne tłumy turystów niestety.

- Ach tak, teraz wszędzie tak jest - przyznałem z mądrą miną.

- Sery do ciasteczka stu piranii chowali i mam w pikach brak. Plecami gardzą.

- Sery? - zapytałem z pewną nieśmiałością.

- Ceret, to miasteczko u stóp Pirenejów - powtórzyła pani Cooper z pewnym zniecierpliwieniem. - Malowali tam Picasso i Braque. Polecam bardzo.

- Ach tak, byłem tam - rzekłem pośpiesznie. - Mają tam całkiem niezłą galerię.

137

- Mużę suki nowoczesnej.

- Nie wątpię - rzekłem. Spojrzałem na swój kieliszek. - Chyba się jeszcze napiję. Przynieść coś pani?

Odetchnąłem z ulgą, kiedy nie przyjęła mojej propozycji. Zdobywszy nowy kieliszek, przeniosłem się na obrzeża tłumy, gdzie całkiem znośnie słyszałem tych, którzy do mnie podchodzili. Na drugim końcu sali dostrzegłem Butterwortha z żoną, trajlującego z autorem wykładu inauguracyjnego i bez wątpienia

obsypującego go, jak to ma w zwyczaju, nieszczerymi komplementami na temat jego wystąpienia. Butterworth -wysoki, atletycznie zbudowany, opalony, z czupryną lśniących ciemnych włosów opadających na kołnierz czarnego jedwabistego garnituru - wygląda z nich dwóch na młodszego i bardziej atrakcyjnego, choć przypuszczam, że obaj mają niewiele ponad czterdzieści lat. Pani Butterworth jest, a raczej była pielęgniarką, co ktoś mi kiedyś powiedział, i ma na sobie dosyć ascetyczny, przypominający uniform bezrękawnik. Stała sztywno wyprostowana i bacznie przyglądała się teologowi, jak gdyby wypatrywała u niego symptomów choroby i mogła w każdej chwili wydobyć zza wykrochmalonej bluzki termometr i wpakować mu go do ust. Z kolei Butterworth cały czas wodził dookoła oczyma, szukając następnej osoby, z którą rozmowa leżałaby w jego interesie. Nasze spojrzenia na chwilę się skrzyżowały, szybko jednak przeniósł wzrok dalej: nigdy nie byliśmy bliskimi znajomymi, a jako emerytowany były członek kadry w żaden sposób nie mógłbym się przyczynić do rozwoju jego kariery. Potem podszedł do mnie rektor, który przed wykładem inauguracyjnym, jak to jest przyjęte, przedstawił prelegenta, i zapytał mnie, jak się miewa moja „pani” i co sądzimy o nowej sztuce w Playhouse, widział nas bowiem na premierze. Większość sztuki wprawdzie mi umknęła, ale udało mi się całkiem przekonująco zaimprovizować rozmowę na jej temat. Kątem oka dostrzegłem Butterwortha, który

138

przeciskał się przez tłum w naszą stronę tak szybko, jak tylko potrafił z kieliszkiem wina w dłoni. Pozdrowił mnie po imieniu, jak gdybym był jego najstarszym kumplem, a następnie przeniósł uwagę na rektora, którego jednak niemal natychmiast porwał dziekan, żeby mu kogoś przedstawić.

- No więc jak ci się podoba na emeryturze? - zapytał Butterworth, żegnając rozczarowanym spojrzeniem plecy oddalającego się rektora. Ludzie wciąż mnie o to pytają na przyjęciach, jakbym przeszedł na emeryturę nie cztery lata, lecz cztery miesiące temu.

- Bardzo - odparłem, nie chcąc dać mu satysfakcji poznania prawdy. - A co u ciebie?

- Jestem potwornie zapracowany - oświadczył. - Nie masz pojęcia, ile mamy teraz papierkowej roboty. Odszedłeś we właściwym momencie.

To kolejna rzecz, którą dawni koledzy często mi mówią na przyjęciach, ponuro sugerując pewną zbieżność między wcześniejszą emeryturą a ewakuacją helikopterem generałów z oblężonego miasta albo ucieczką szczurów z tonącego statku. Wyliczył następnie wszystkie zajęcia, które prowadzi, wszystkie rady, w których zasiada, wszystkie podania o stypendia, które musi rozpatrzyć, wszystkie artykuły, które musi zrecenzować, i wszystkich doktorantów, których jest promotorem.

- Tak - wtrąciłem, gdy zrobił przerwę na zaczerpnięcie powietrza. - Jedną z twoich doktorantek niedawno poznałem.

Zatrzymał na mnie skupione spojrzenie po raz pierwszy od odejścia rektora.

- O? Którą?

- Alex Loom.

Rzucił mi spojrzenie, które najtrafniej mógłbym opisać jako nieufne.

- Jak ją poznałeś? - zapytał.

Powiedziałem mu o wernisażu w galerii ARC, nie wspominając o naszych późniejszych kontaktach.

139

- Opowiedziała mi o swojej pracy doktorskiej - poinformowałem go (co było prawdą, chociaż wtedy nie usłyszałem ani słowa na ten temat). - Wybrała intrygujący temat.

- Tak - przyznał.

- Choć nieco makabryczny - dodałem.

- Tak - zgodził się.

Nigdy nie słyszałem, żeby był tak oszczędny w słowach.

- Dobrze jej idzie? - zapytałem niewinnie.

- To dopiero początek - powiedział. - Gromadzi jeszcze korpus. Dla równowagi potrzebuje więcej listów brytyjskich, bo większość dostępnych materiałów ma amerykański rodowód.

Mówiąc o problemach metodologicznych, rozluźnił się nieco i odzyskał w pewnym stopniu swą normalną płynność wypowiedzi. Udawałem, że wiem o Alex mniej niż w rzeczywistości, żeby jak najwięcej z niego wyciągnąć. Zapytałem, dlaczego przyjechała do Anglii prowadzić badania.

- Chciała pracować ze mną - oświadczył takim tonem, jakby odpowiedź była czymś oczywistym.

- I przypuszczam, że jest taniej niż w Stanach - podpowiedziałem.

- Tak - rzekł, powracając do trybu monosylabowego.

- Gdzie zrobiła licencjat? - zapytałem.

- Nie pamiętam - powiedział. - Studiowała na jakimś wydziale humanistycznym w Nowej Anglii, a magisterium zrobiła w Cornell.

- A mnie się wydawało, że mówiła o Columbii - wtrąciłem.

Znów łypnął na mnie nieufnie.

- Może i tak. Naprawdę mało o niej wiem. Nie pojawia się na uczelni zbyt często. Pracuje samodzielnie, trzyma się na uboczu, nie przyjaźni się z innymi doktorantami.

- Istny sfinks - skomentowałem z uśmiechem.

- Można tak powiedzieć - przyznał, spoglądając za mnie. -Moja żona daje mi znaki, chyba chce już

wracać. Przepraszam.

140

Oddalił się.

Wyraźnie nie chciał powiedzieć o Alex czegoś, co by zdradziło, że nie zachwycił jej jako promotor, i aż się zastanawiam, czy nie napomknęła mu już o tym, że wołałaby, bym ja przejął nad nią opiekę. Patrzyłem, jak podchodzi do żony i mówi coś, co chyba ją zdziwiło, i niedługo potem opuścili przyjęcie.

Zadowolony z siebie, bo wprawilem w zakłopotanie zwykle wygadanego i pewnego siebie Butterwortha, wychyliłem później zbyt wiele kieliszków klubowego beaujolais. Zostawiłem samochód na uniwersyteckim parkingu i na piechotę udałem się do domu, dokąd dotarłem nadal w stanie pewnego upojenia alkoholowego, który zamienił się w stan erotycznego podniecenia, kiedy zastałem Fred w łazience moczącą się w wielkiej wannie na lwich łapach, gdzie wyglądała jak różowa modelka Bonnarda, krągłe sutki lekko wystawały z wody, a włosy łonowe poruszały się pod powierzchnią jak wodorosty. Zdjąłem ubranie, usadowiłem się za nią, namydliłem jej piękne nowe piersi, gdy leżała z głową opartą na moim ramieniu, i opowiedziałem jej o wykładzie i ludziach, z którymi rozmawiałem (poza Butterworthem), a ona opowiedziała mi o swoim zebraniu. Później poszliśmy do łóżka, oboje nadzy, a ja z całkiem obiecującą erekcją, usnąłem jednak w trakcie naszego pierwszego uścisku, i to tak raptownie, że nie pamiętam uczucia senności przed odpięciem. Obudziłem się nad ranem, zmarznięty, bo nie miałem na sobie piżamy, z Fred śpiącą smacznie u mego boku, spowitą w jedną ze swych zimowych nocnych koszul, które zasłaniają wszystko. Rano przy śniadaniu rzuciła jakiś ironiczny komentarz o tym, że wypilem wczoraj za dużo, nie wypomniała mi jednak przedwczesnego zaśnięcia. Szlachetnie z jej strony.

18 listopada. W mojej skrzynce mailowej dziś rano: „Najdłuższe i najmocniejsze orgazmy w twoim życiu... Twarde jak skała

141

erekcje... Erekcje jak stal... Tryskaj jak gwiazda porno... Wielokrotne orgazmy... Spuszczaj się raz za razem... SPUR-M to najnowszy i najbezpieczniejszy środek farmaceutyczny... W 100 procentach naturalny, bez skutków ubocznych... Dostawa na cały świat w ciągu 24 godzin". Nie rozumiem, jak większość tych reklam trafia do mojej skrzynki, bo w polu adresata nie mają prawidłowego nazwiska, jedynie właściwe inicjały, na przykład „D.S. Jones", „D.S. Ford", „D.S. Skopski", i mój ulubiony „D.S. Ludzki". Dzisiejsza wiadomość była zaadresowana do „D.S. Wiotkiego".

19 listopada. Nieco bezładny potok słów ze strony taty, kiedy dzisiaj do niego zadzwoniłem. Skarżył się, że od sześciu miesięcy nie ma żadnych wygranych z obligacji premiowych. Zgromadził je na sumę kilku tysięcy funtów. Jestem całkowicie pewien, że miałby lepsze zyski z oszczędzania w dobrej kasie mieszkaniowej, ale te obligacje sprawiają mu dużo większą frajdę. Zawsze się cieszy, kiedy dostaje pocztą kwit na pięćdziesiąt funtów, czasem dwa jednocześnie, najwyraźniej jednak od jakiegoś czasu

trwa posucha.

- Sześć miesięcy! Co za bezczelność!

Wyjaśniam mu, o czym najwyraźniej zapomniał, że jest to loteria i nikt mu nie zagwarantuje, jak często będzie coś wygrał i czy w ogóle coś wygra, może tylko być pewien, że nie straci wkładu.

- Decyduje o tym program komputerowy, który losuje przypadkowe liczby
- Masz na myśli ERNIE-go? - zapytał. - Ja to wszystko wiem. Ale nie wydaje ci się, że te typy w... gdzie to tam jest, gdzieś na północy, w Blackpool, nie wydaje ci się, że mogą tak zaprogramować komputer, żeby wybrać wskazane przez nich numery?

142

- Po co mieliby robić coś takiego? Sami nie mogą posiadać tych obligacji.
- Oni nie, ale ich krewni? Kumple?
- Tato, gdyby oszukiwali, myślę, że do tej pory zostaliby na tym przyłapani.
- Nie mówię, że wprowadzają do tej maszyny numery swoich krewnych, są na to zbyt sprytni. Ale mogą faworyzować pewne regiony.
- Regiony? - Na chwilę się pogubiłem.
- Tak, regiony, regiony - powtórzył niecierpliwie. - Miejsca, gdzie te obligacje zostały kupione. Przecież wiedzą, które numery są skąd. Mogą zawęzić szanse wygranej do ludzi, których znają. Założę się, że więcej wygranych pada w Blackpool niż gdziekolwiek indziej.

Te jego spekulacje niepozbawione były pewnej szalonej logiki; to imponujące, jak dużo musiał myśleć o tej sprawie.

- Nie sądzę, tato - powiedziałem.
- A ja przeciwnie i zamierzam do nich napisać ze skargą -oświadczył.
- Dobrze, tato - zgodziłem się. Przynajmniej jego mózg nie będzie próżnować.

Zacząłem zbierać katalogi domów opieki w naszej części miasta, zdobywając adresy z książki telefonicznej i od opieki społecznej. Przygnębiające zadanie. Będę musiał wyselekcjonować te najlepsze i sam je obejrzeć, zanim tata przyjedzie na święta. Nie śmiałem poruszyć tego tematu podczas naszej rozmowy przez telefon. Może następnym razem, gdy będę w Londynie - czeka mnie jeszcze jedna wizyta przed Bożym Narodzeniem. Będzie się stanowczo opierał pomysłowi opuszczenia domu - przeniesienie się, jak to nazywa z pewnego rodzaju intonacyjnym wzdrygnięciem się, „na północ”, byłoby dla niego bowiem przykre w dwójnasób. Jego Anglia ogranicza się do Londynu i południowego wschodu: wielka metropolia,

143

nadmorskie miasteczka na południowym wybrzeżu z pomostami i promenadami i kawałek kraju pomiędzy, nic bardziej dzikiego niż wapienne wzgórza South Downs. Wojenną służbę we wschodniej Anglii i na Szetlandach uważał za wygnanie niemal do innego kraju. Kiedy przyjeżdża do nas, wszystko, co leży poza naszą zieloną ulicą na przedmieściach, wydaje mu się dziwne i dosyć groźne: inny kolor autobusów, szerokie trasy szybkiego ruchu i zagadkowe ściągnięte formy miejscowego dialektu, sieć brudnych domów w zabudowie szeregowej otaczających olbrzymie szkielety porzuconych fabryk, które czeka rozbiórka lub przebudowa. Okolice miasta z podziwianymi przez wielu rozległymi wrzosowiskami, bystrzymi rzekami i malowniczymi ruinami opactw jego nie są w stanie oczarować. Pokaże mu się przepiękną panoramę wzgórz i dolin, a on zaraz skomentuje: „Tutaj to chyba herbaty nie uświadczysz, co?”

20 listopada. Dostałem dzisiaj maila od Alex Loom: „Wciąż piszę ten rozdział, a tymczasem mam coś, co może Pana rozbawić”. Podała adres strony internetowej o nazwie Poradnik dla samobójców: jak napisać list pożegnalny. Przejrzałem ją w całości kilka razy i zupełnie nie wiem, co o niej myśleć. Czy to poważny dokument czy jakiś chory żart? Albo sprytny sposób na zniechęcenie potencjalnych samobójców? Z pewnością budzi pewne mroczne zainteresowanie.

W pierwszej kolejności trzeba się zdecydować, jaką zastosować metodę. Napisać list na maszynie czy na komputerze? A może odręcznie? List napisany odręcznie jest bardziej osobisty, w związku z czym powinien wywrzeć mocniejsze wrażenie emocjonalne na czytelnikach. Jeśli natomiast stworzysz list na komputerze, będzie go można na koniec przeczytać i wprowadzić poprawki. W koń-

144

cu jest to ostatnia rzecz, jaką napiszesz, ostatni komunikat przeznaczony dla rodziny, przyjaciół i całego świata. Niewykluczone, że będzie odczytany na policji i cytowany przez media. Może nawet wylądować w antologii listów pożegnalnych! Ważne jest więc, aby był jak najbardziej czytelny i jednoznaczny. Możesz się zastanowić, czy nie napisać listu na komputerze, a potem przepisać ostateczną wersję odręcznie, żeby nadać mu ów indywidualny rys. Niech twój list nie będzie zbyt wymuskany. Wyłącz funkcję sprawdzania pisowni i gramatyki. Kilka błędów w tekście stworzy efekt pośpiechu i autentyczności.

Czytając to ostatnie zdanie, poczułem zimny dotyk niepokoju: zupełnie jakby autor dotarł do wpisu z mojego dziennika sprzed kilku dni i wykradł moją uwagę na temat przekonującej szczerości listu pożegnalnego tamtej dziewczyny.

Przeznacz sporo czasu na ułożenie listu. Nie zostawiaj tego na ostatnią chwilę, kiedy pigułki czy coś innego zaczną już działać. Pod wpływem paniki można zapomnieć

0 wszystkim, co się chciało napisać. Możesz stracić przytomność, zanim skończysz list. Najlepiej zacząć pisać dzień lub dwa przed targnięciem się na życie. Prześpij się z nim

1 rano przeczytaj wszystko od początku, jak to robią zawodowi pisarze. Przyjdą ci wtedy do głowy różne pomysły na poprawienie tekstu.

W tym momencie zacząłem się zastanawiać, czy autor tej strony internetowej nie naśmiewa się

sadystycznie z tych biednych zrozpaczonych stworzeń, które mogły na nią trafić w poszukiwaniu współczucia lub pomocy, czy może poprzez potraktowanie całej sprawy z tak chłodną rzeczowością, zamierza wstrząsnąć nimi, uświadomić im ostateczność śmierci i być

145

może doprowadzić do porzucenia tego sposobu rozwiązywania problemów. A może jest to niesmaczna parodia poradników dla początkujących pisarzy?

Najlepiej napisać list w pierwszej osobie. Używanie form bezosobowych może się wydać pretensjonalne i nieszczerze. Unikaj cytatów literackich z tych samych powodów. Pisz własnym głosem, używając słownictwa, które przychodzi ci w sposób naturalny. Nie wertuj słowników i tezaurusów w poszukiwaniu bardziej imponującego brzmiącego słowa niż to, o którym pomyślałeś na początku. Jednocześnie unikaj komunałów typu „To jest ponad moje siły”, „Moje życie jest nic nie warte”, „Chcę skończyć z tym wszystkim” itd. Użyto ich już tyle razy, że straciły całkowicie swoją moc, a twoi czytelnicy poczują nudę i stracą zainteresowanie.

Twórca tego „poradnika” widocznie przestudiował wiele listów pożegnalnych i dobrze znał charakterystyczne strategie i zasady czyhające na ich autorów.

Można wyrazić życzenie co do preferowanej formy pogrzebu, ale unikaj zbytnich ekstrawagancji (typu dudziarze w kiltach odgrywający pieśń żałobną nad twoim grobem), bo twoim krewnym nie spodoba się, że narażasz ich na takie koszty i kłopot... Nie zostawiaj partnerowi poleceń typu: „Pamiętaj, że w pralni został twój płaszcz i trzeba go odebrać w czwartek”. Może ci się wydawać, że zrobisz dzięki temu wrażenie osoby troskliwej i opiekuńczej, ale partner uzna to za sztuczkę mającą sprawić, żeby poczuł się winny, inni natomiast pomyślą, że to głupota zawracać sobie głowę takimi błahostkami, zamiast skoncentrować się na czekającej cię próbie... Dopilnuj, żeby list leżał w dobrze widocznym miejscu, gdzie na pewno

146

zostanie znaleziony, w przeciwnym razie tylko zmarnujesz czas, pisząc go; nie przesyłaj go pocztą, bo zabicie się może potrwać dłużej, niż się zaplanowało, a wtedy twoja próba może zostać udaremniona.

Alex najwyraźniej uznała ten dokument za dowcipny, coś, co może mnie „rozbawić”, i muszę przyznać, że w niektórych miejscach roześmiałem się na głos, lecz z pewnym poczuciem winy, zbulwersowany, że można wycisnąć komizm nawet z takiego tematu. Ale kto stał za tym wyciskaniem?

22 listopada. Wczoraj wieczorem udaliśmy się na wernisaż do Old Wool Mili, jednego z wielu budynków w tym mieście, które w minionym dziesięcioleciu zmieniły swoją funkcję. Magazyny pozamieniały się w nocne kluby, banki w restauracje, a fabryki w galerie sztuki, ponieważ tradycyjny przemysł, na którym wyrosło to miasto, głównie stalowy i włókienniczy, ustępuje pola postmodernistycznej gospodarce opartej na konsumpcji informacji, rekreacji i stylu. Społeczeństwo ma ogromny apetyt, nieustannie podsycany przez media, na nowe style w modzie, żywieniu, wystroju wnętrz, elektronice, we wszystkim. Artyści, którzy od nastania modernizmu pozostają wierni hasłu „zrób to po nowemu”, ale we własnym

tempie, teraz nie nadążają za dynamiką zmian w kulturze popularnej i mają coraz więcej problemów z wynalezieniem takiego sposobu nanoszenia znaków na papier lub płótno tudzież składania trójwymiarowych obiektów w przestrzeni, na który nikt wcześniej nie wpadł. Wystawa w Old Wool Mili ma tytuł „Przez pomyłkę” i jest kolekcją fotografii, fotokopii, faksów i innych obiektów, które z jakiegoś powodu zostały uszkodzone w procesie reprograficznym, dzięki czemu powstały nowe, nieoczekiwane i rzekomo interesujące dzieła. Były tam zdjęcia

147

r

zostanie znaleziony, w przeciwnym razie tylko zmarnujesz czas, pisząc go; nie przesyłaj go pocztą, bo zabicie się może potrwać dłużej, niż się zaplanowało, a wtedy twoja próba może zostać udaremniiona.

Alex najwyraźniej uznała ten dokument za dowcipny, coś, co może mnie „rozbawić”, i muszę przyznać, że w niektórych miejscach roześmiałem się na głos, lecz z pewnym poczuciem winy, zbulwersowany, że można wycisnąć komizm nawet z takiego tematu. Ale kto stał za tym wyciskaniem?

22 listopada. Wczoraj wieczorem udaliśmy się na wernisaż do Old Wool Mili, jednego z wielu budynków w tym mieście, które w minionym dziesięcioleciu zmieniły swoją funkcję. Magazyny pozamieniały się w nocne kluby, banki w restauracje, a fabryki w galerie sztuki, ponieważ tradycyjny przemysł, na którym wyrosło to miasto, głównie stalowy i włókienniczy, ustępuje pola postmodernistycznej gospodarce opartej na konsumpcji informacji, rekreacji i stylu. Społeczeństwo ma ogromny apetyt, nieustannie podsycany przez media, na nowe style w modzie, żywieniu, wystroju wnętrza, elektronice, we wszystkim. Artyści, którzy od nastania modernizmu pozostają wierni hasłu „zrób to po nowemu”, ale we własnym tempie, teraz nie nadążają za dynamiką zmian w kulturze popularnej i mają coraz więcej problemów z wynalezieniem takiego sposobu nanoszenia znaków na papier lub płótno tudzież składania trójwymiarowych obiektów w przestrzeni, na który nikt wcześniej nie wpadł. Wystawa w Old Wool Mili ma tytuł „Przez pomyłkę” i jest kolekcją fotografii, fotokopii, faksów i innych obiektów, które z jakiegoś powodu zostały uszkodzone w procesie reprograficznym, dzięki czemu powstały nowe, nieoczekiwane i rzekomo interesujące dzieła. Były tam zdjęcia

147

prześwietlone wskutek otwarcia aparatu przed przewinięciem filmu, obrazy fotograficzne celowo lub przypadkowo nałożone na siebie przy zablokowaniu rolki w aparacie, nieokreślone obrazy powstałe w aparatach cyfrowych poprzez zmianę standardowych ustawień, palimpsesty stworzone przy wydruku pięciostronicowych faksów na jednej stronie oraz nieudane fotokopie stron z książek, będące wynikiem zacięcia się maszyny albo przesunięcia książki pod płytą dociskową, co zaowocowało falistymi zawijasami zniekształconego tekstu, surowymi cieniami i białymi plamami. Jednym z eksponatów była czystka kartka formatu A4 wyjęta z kserokopiarki, której operator zapomniał położyć dokument do skopiowania. Nosiła tytuł „Och” i można ją było kupić za sto pięćdziesiąt funtów (sto funtów bez oprawy). Jak przeczytałem w katalogu, artysta, poprzez wprowadzenie lub zaakceptowanie „pomyłek” w procesie reprograficznym, stawia znak zapytania nad przyjętą opozycją między „oryginalnymi” dziełami sztuki a „reprodukcjami”

oraz potrzebą dokładności, jednolitości i powtarzalności przy zastosowaniu techniki w kreacji artystycznej, tym samym wynosząc do nowego poziomu debatę zainicjowaną przez Waltera Benjamina w eseju Dzieło sztuki w dobie reprodukcji technicznej. Nic nie ilustrowało lepiej mojej tezy, że sztuka współczesna w ogromnej mierze wspiera się na olbrzymim rusztowaniu dyskursu, bez którego po prostu zawaliłaby się i nie odróżniała w żaden sposób od śmieci. Kiedy mówiłem o tym Fred pośród tłumu trajkoczących, sączących wino gości, ta podniosła palec do ust, co wziąłem za sygnał, że w pobliżu znajduje się ktoś, kto źle mógłby znieść moje uwagi, prawdopodobnie jakiś artysta, co okazało się prawdą. Kiedy jesteś głuchy i nie słyszysz tego, co mówią inni, nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak głośno sam mówisz.

Jakki, współniczka Fred, przyszła na wernisaż z nowym chłopakiem. „Chłopak” brzmi zbyt młodzieńczo w przypadku Lio-

148

nela, krępego, łysiejącego księgowego w średnim wieku, przy mnie jednak, muszę przyznać, wygląda całkiem młodo, porusza się lekko, potrafi krokiem walca przebić się przez ciżbę gości z czterema kieliszkami wina i nie rozlać przy tym ani kropli. Jakki też jest młodsza od Fred, przypuszczam, że nie przekroczyła jeszcze pięćdziesiątki, jest brunetką o ostrych rysach, szczupłej figurze i ładnych nogach, które eksponuje, wkładając zwykle krótkie spódnice. Ma duże, wiecznie poruszające się usta i na szczęście bardzo ładne zęby, które obnaża w olśniewających uśmiechach, od tych przywilnych po lubieżne, w zależności od nastroju i sytuacji. Ma donośny głos i akcent z Lancashire, który przywodzi mi na myśl radiowe aktorki komediowe z czasów dzieciństwa, chociaż akurat z poczuciem humoru jest u niej kiepsko. Pod każdym charakterologicznym względem Jakki wydaje się przeciwieństwem Fred, lecz dogadują się zaskakująco dobrze.

Wcześniej ustaliliśmy, że po wernisażu zjemy we czwórkę kolację w nowej, położonej w centrum miasta włoskiej restauracji o nazwie Paradiso, o której Jakki wcześniej od kogoś słyszała. Gdy tylko przestąpiliśmy jej próg, wiedziałem już, że jeśli chodzi o mnie, właściwszą nazwą byłoby Inferno. Ściany były obłożone marmurem, podłogi pokryte ceramicznymi płytkami, stoły miały szklane blaty, a krzesła zrobiono z twardego drewna: dźwięki odbijały się rykoszetem od tych powierzchni jak serie z broni maszynowej. Lokal pełen był gości i powietrze rozbrzmiewało zgiełkiem rozmów, zamówieniami wykrzykiwanymi przez kelnerów do otwartej kuchni, brzękiem talerzy, sztućców i szkła, gdy podawano posiłki i zbierano naczynia, oraz kilkoma dodatkowymi odgłosami - których nie byłem w stanie zidentyfikować, i dowiedziałem się o nich dopiero później od moich towarzyszy - takimi jak klimatyzacja i „dyskretna” (co za absurd) muzyka w tle. Nawet dla nich, moich towarzyszy, ta kakofonia stanowiła przeszkodę

149

w prowadzeniu rozmowy i byli zmuszeni pochylać się nad stołem i niemal dotykać nosami, żeby móc się porozumieć. Ale jakoś się porozumiewali, ja natomiast po kilku próbach dałem za wygraną z bezradnym wzruszeniem ramion i zajęłem się wyłącznie jedzeniem, które było całkiem smaczne, choć długo trzeba było na nie czekać, oraz winem, którego wypilem więcej, niż powinienem. Kusiło mnie, żeby zdjąć aparat,

bo tylko wzmagał otaczający mnie harmider, przypomniałem sobie jednak, że Evelyn Waugh podczas przyjęć sygnalizował sąsiadom znudzenie w ten sposób, że odkładał trąbkę akustyczną, a publiczne wyciągnięcie z uszu tych małych plastikowych protez mogłoby przekazać ten sam komunikat.

Weszliśmy do restauracji w szczycie wieczornego ruchu, lecz kiedy zjedliśmy główne danie, hałas zmniejszył się do takiego poziomu, że mogłem dołączyć do rozmowy, którą Lionel naprowadził na temat mojego upośledzenia. Nie jest to coś, co zazwyczaj przyjmuję z radością, niezależnie od tego, ile współczucia i dobrych intencji wykazuje inicjator. Zmęczony jestem tłumaczeniem, że nawet najnowocześniejsze aparaty słuchowe nie przywrócą mojemu mózgowi zdolności odfiltrowywania tych dźwięków, które chce słyszeć, od tych, których słyszeć nie chce, i że mojej wady słuchu nie da się wyleczyć implantami, jest nieuleczalna i stopniowo będzie się pogłębiać, a „jedyną niewiadomą - jak skonstruowałem na zakończenie tym razem - jest to, czy będę całkowicie głuchy, zanim stanę się całkowicie martwy, czy odwrotnie”.

- Próbowałaś nauczyć się czytać z ruchu warg? - zapytał mnie Lionel. Musiałem przyznać, że nigdy o tym nie pomyślałem: czytanie z ruchu warg kojarzę wyłącznie z ludźmi zupełnie głuchymi, zwłaszcza tymi, którzy uczestniczą w życiu publicznym, i uważam, że jest iście cudowną umiejętnością nabywaną zapewne od dziecka przez wiele lat. - Miałem kiedyś klientkę, która tak jak ty ogłuchła w dojrzałym wieku i cho-

150

4 '

dziła na kurs czytania z ruchu warg. Mówiła, że bardzo jej to pomaga.

- Świetny pomysł, kochanie! - zachwyciła się Fred, ściskając moją dłoń i uśmiechając się promiennie do Lionela.

- Pewnie w jakimś stopniu nieświadomie, ale i tak czytam z ruchu warg - stwierdziłem. - Na przykład zawsze dużo lepiej słyszę, co mówi do mnie Fred, kiedy widzę jej twarz.

- Tak, ale to nie to samo, Des - wtrąciła Jakki. (Nigdy nie zachęcałem jej, żeby mówiła do mnie „Des”, ale i tak to robi. Nazywa też Lionela „Lie”, co najwyraźniej mu nie przeszkadza). - Co innego nauczyć się tego.

Jej gumowate wargi zaokrągliły się i wysunęły, gdy wymawiała bezokolicznik, i przyszło mi do głowy, że czytanie z ruchu warg Jakki mogłoby być rozpraszające, a nie pomocne. Fred zapytała, gdzie odbywają się zajęcia, i Lionel obiecał, że się dowie. Niestety owa staruszka zmarła kilka lat temu, miał jednak kontakt z jej synem. Na pewno gdzieś w okolicy, zapewnił nas.

- To brzmi rewelacyjnie. Nie wiem, dlaczego nie pomyśleliśmy o tym wcześniej - powiedziała Fred.

- Lie to kopalnia informacji - oznajmiła Jakki zadowolona z siebie.

- Cóż, jest to jakaś myśl - odparłem ostrożnie. - Będę się musiał tym zainteresować.

Fred skrytykowała mnie później, gdy odwoziła nas do domu:

- Mogłeś okazać trochę więcej entuzjazmu.
- No przecież muszę się dowiedzieć czegoś więcej o tym kursie, jakie są wymagania, kto go prowadzi - broniłem się. -Zresztą wcale nie jestem pewien, czy podoba mi się ten pomysł. Trochę jestem za stary, żeby przesiadywać w klasie.
- Mógłbyś brać prywatne lekcje - zaproponowała Fred.
- Może i tak. Ale będą drogie.
- Drogie! Mój Boże! Gdyby pomogły, warto byłoby wydać sto funtów za lekcję. Nawet więcej.

151

Mówiła z takim uczuciem, że nie wtrąciła tradycyjnego „kochanie”. Poczulem się lekko dotknięty i nic nie powiedziałem.

- Praktycznie nie brałeś dzisiaj udziału w rozmowie, dopóki Lionel cię do niej nie wciągnął - kontynuowała Fred. - Wiem, że było tam bardzo głośno, ale czasem odnoszę wrażenie, że ty właściwie nie chcesz już słuchać, co mówią inni: głuchota jest wygodnym pretekstem, żeby się wyłączyć i zatopić we własnych myślach.
- Nonsens - odparłem. - Głuchota jest zmorą mojego życia.
- W takim razie może byś sprawdził, czy czytanie z ruchu warg ci pomoże?

Przyparła mnie do muru. Wcale mi się nie uśmiechała perspektywa ponownego wejścia w rolę ucznia i nie wierzyłem zbytnio, że w moim wieku zdołam opanować czytanie z ruchu warg, zdawałem sobie jednak sprawę, że będę musiał spróbować, bo inaczej zostanę oskarżony o egoistyczną obojętność wobec wpływu mej dolegliwości na Fred i innych. I zastanawiam się z zażenowaniem, czy nie ma ziarna prawdy w tym, co mówi Fred. Czy istnieje popęd głuchoty analogiczny do freudowskiego popędu śmierci? Nieświadomione dążenie do ośpienia, milczenia i samotności leżące u podłoża przeciwnego mu ludzkiego pragnienia towarzystwa i kontaktów z otoczeniem? Czyżbym był na wpół zakochany w głuchocie kojącej*?

Dziś po południu Alex Loom wreszcie przysłała mi próbkę rozdziału. Krótką, ale całkiem obiecującą. O podziale na akapity w listach samobójców. Przeprowadza rozróżnienie między samobójstwami „depresyjnymi” i „reaktywnymi” - te pierwsze spowodowane są subiektywnymi uczuciami zawodu, porażki, frustracji itd., te drugie zaś okolicznościami obiektywnymi, ta-

* Nawiązanie do „śmierci kojącej” z Ody do słowika Johna Keatsa. 152

kimi jak śmiertelna choroba, bankructwo czy publiczna kompromitacja; według jej teorii krótsze akapity częściej występują w pierwszym typie listów pożegnalnych (to twierdzenie wymaga większej liczby dowodów statystycznych), ponieważ strumień myśli autora charakteryzuje się mniejszą spójnością; list

samobójcy depresyjnego jest serią czegoś, co Alex nazywa „zrywami emotywnymi”, które mogą nie mieć ze sobą żadnego związku, a nawet mogą stać w sprzeczności do siebie, gdy pisząca omawia powody swego samobójczego impulsu i wpływ tego kroku na innych (rodzaj żeński jest stosowany we wszystkich uogólnieniach). Przykłady, które podaje, potwierdzają moje spostrzeżenie, że w listach pożegnalnych mamy do czynienia z częstym występowaniem akapitów jednozdaniowych. Na przykład: „Niech ktoś coś zrobi”.

Przesłałem jej mailem kilka umiarkowanie pozytywnych komentarzy, a ona po wylewnych podziękowaniach od razu wyskoczyła z prośbą o kolejne spotkanie u niej w mieszkaniu celem bardziej szczegółowego omówienia rozdziału. Nie przychodzi mi do głowy żadna dogodna wymówka, żeby się wymigać, zresztą miejsce spotkania nie mogłoby być lepsze: gdyby nas widziano konferujących na uniwersytecie albo w jakimś innym miejscu publicznym typu galeria ARC, mogłyby się zacząć jakieś domysły i plotki, tutaj też oczywiście jej nie mogę zaprosić. Jej mieszkanie ma jedną zaletę - zapewnia całkowitą prywatność. Pytanie tylko, jak powiedzieć o tym Fred, nie wyjawiając jednocześnie, że nie byłem zbyt szczery w sprawie mojego poprzedniego spotkania z Alex.

23 listopada. Lionel odnalazł adres mailowy Bethany Brooks, instruktorki czytania z ruchu warg, i przekazał go Jakki, ona przekazała go Fred, a ta z kolei wręczyła go w domu mnie. Musiałem więc spełnić obietnicę, że się tym „zainteresuję”, po

153

czym nastąpiła wymiana korespondencji elektronicznej. Najpierw zapytałem Bethany Brooks, czy udziela lekcji prywatnych. Odpisała, że nie, ponieważ prowadzi kursy w wielu miejscach w naszym regionie i nie ma czasu na spotkania indywidualne, a zresztą i tak lepiej uczyć się czytania z ruchu warg w grupie. Prowadzi cotygodniowe zajęcia w pobliskim ośrodku kształcenia dorosłych i powiedziała, że chętnie mnie przyjmie na zajęcia. „Prawdę mówiąc, przydałoby się nam więcej mężczyzn w grupie”, napisała, co wcale mnie nie zachęciło. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że kurs jest całkowicie bezpłatny, „nie licząc paru groszy na herbatę i kawę”, finansowany jest bowiem przez organizację charytatywną na rzecz głuchych i upośledzonych słuchowo. Grupa spotyka się w czwartki między 10.30 a 12.30. Zasugerowałem, że skoro dopiero zaczynam, może powinienem poczekać na rozpoczęcie nowego kursu, a nie zapisywać się na już trwający, odpisała mi jednak, że nie ma takiej potrzeby, bo tak naprawdę kurs nie ma początku ani końca, a większość uczestników przychodzi na zajęcia od lat. „To nie to samo co nauka języka obcego - napisała. - Bardziej kwestia wyrobienia sobie pewnych nawyków obserwacyjnych. Rozpoznanie, co jest łatwe, a co trudne. Nauczenia się, jak przewidywać problemy i sobie z nimi radzić. Im więcej pan ćwiczy, tym lepiej”.

- To brzmi rozsądnie - skomentowała Fred, kiedy streściłem jej tę wiadomość. Pomimo moich obaw nie mogłem się z nią nie zgodzić, a poza tym nie przychodził mi do głowy żaden dobry powód, żeby nie dołączyć do grupy w przyszłym tygodniu.

10

24 listopada. Wróciłem właśnie roztrzęsiony z wizyty u Alex Loom. Jest albo całkowicie nieodpowiedzialna, albo niezrównoważona psychicznie, a może jedno i drugie, i głęboko żałuję, że w

ogóle się z nią zadałem.

Przy śniadaniu napomknąłem Fred, starając się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie, że po południu mam na uczelni spotkanie z Alex Loom, której chcę dać trochę rad w sprawie prowadzonych przez nią badań, choć w rzeczywistości zgodziłem się na ponowne spotkanie u niej w mieszkaniu. Planowałem powiedzieć wieczorem Fred, że Alex później do mnie zadzwoniła z prośbą o przyście do niej, ponieważ czekała w domu na przesyłkę. Fred mogła się zdziwić, że jestem gotów zadać sobie tyle trudu, byle tylko pójść na rękę doktorantce, ale wybrnąłbym z tego jakoś, mówiąc na przykład, że zawsze byłem ciekaw, jak wygląda od środka jeden z tych nowych bloków nad kanałem. Potem mogłem opisać Fred to mieszkanie, jak gdybym dzisiaj widział je po raz pierwszy, a wtedy znikłaby potrzeba dalszej konspiracji przy kontaktach z Alex w przyszłości. Teraz gorąco pragnę jednego: żeby moje stosunki z nią nie miały żadnej przyszłości. Gdybym tylko usłyszał, co mówiła, kiedy się poznaliśmy, nigdy by do tego nie doszło. Głuchy i dziewczyna, niebezpieczne połączenie.

Zaparkowałem samochód tak jak poprzednio i doszedłem do jej bloku pod parasolem. Dzień był bezwietrzny, szary, z delikatnym deszczykiem, który siąpił z niskich chmur, niepostrze-

155

żenie nikł w kanale i pokrywał chodnik lśniąca glazurą. Trzymałem parasol nisko, żeby ukryć twarz. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że w tej eskapadzie jest coś grzesznego, i nie chciałem, by ktoś mnie rozpoznał, choć ryzyko było znikome. Wilgoć skapywała z plastikowych listew wykończeniowych na okapie dachu Wharfside Court, a zalew, przy którym stał budynek, wydawał się jeszcze bardziej cichy i opuszczony. Na jego obrzeżach pływało nieco więcej na wpół zatopionych śmieci niż podczas mojej poprzedniej wizyty. Sprawdziwszy, czy mam aparat na miejscu, zadzwoniłem pod numer 36, żeby zasygnalizować swe przybycie, i odpowiedział mi głos Alex:

- Ma pan szczęście. Naprawili windę. Zapraszam.

Ubrana jak poprzednio na czarno, stała w otwartych drzwiach

mieszkania, żeby mnie przywitać, gdy wyszedłem z windy na trzecim piętrze. Odnotowałem mimowolnie, że jej sweter ma wysoki golf, toteż tym razem nie będzie łypania za dekolt, chociaż w ramach rekompensaty obcisły bawełniany sweter uwypuklał zarysy jej piersi. Ukazała w uśmiechu idealne amerykańskie zęby.

- Witam. Proszę mi dać parasol, włożę go do wanny, żeby wysechł. Ale pogoda!

Kiedy ona zajmowała się moim parasolem, ja powiesiłem płaszcz na wieszaku w maleńkim przedpokoju i biłem się przez chwilę z myślami, czy zażartować i wyrazić nadzieję, że po powrocie do domu nie znajdę w kieszeni żadnych obcych przedmiotów, zdecydowałem jednak, że najlepiej będzie udawać, co zaproponowała sama Alex, że „historii z majtkami nie było”.

Wszedłem do salonu, zabierając ze sobą aktówkę, i usiadłem w fotelu. Alex szybko do mnie dołączyła i usiadła na sofie.

-Bardzo dziękuję, że się pan pofatygował! - powiedziała. - I że przeczytał pan, co napisałam. Jestem naprawdę wdzięczna.

- Mam tylko kilka komentarzy - zastrzegłem, wyciągając 156

t

jej rozdział z aktówki. - I rozumie pani, że to wszystko dzieje się nieoficjalnie, tylko między nami?

- Oczywiście. A tak przy okazji, jak się panu podobał Poradnik samobójcy?

- Bardzo pomysłowy - przyznałem, a ona uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Ale nie umiałem rozgryźć intencji autora -dodałem.

- Och, po prostu trochę się zabawiłam.

Wyciągnięcie wniosku z tych słów zajęło mi chwilę.

- To znaczy pani za tym stoi?

- Jasne - potwierdziła. - Sądziłam, że się pan domyśli. Myślał pan, że jestem za głupia?

- Nie, ależ skąd, tylko... po co?

Odrzuciła do tyłu zasłonę jedwabistych blond włosów.

- Oj, wie pan, kiedy całe dni czyta się listy samobójców, ich autorzy zaczynają człowiekowi działać na nerwy, to ich rozczulanie się nad sobą, kiepska gramatyka, zwykła głupota. Chyba chciałam się trochę wyładować w ten sposób.

Zapytałem, jaki wpływ jej zdaniem ta strona mogłaby mieć na tych, którzy naprawdę myślą o popełnieniu samobójstwa.

- Moim zdaniem pozytywny - odpowiedziała. - Myślę, że zadaliby sobie pytanie: „Co za palant robi sobie jaja z mojej tragicznej sytuacji?” A potem tak by się na mnie wściekli, że być może w ogóle nie próbowaliby odbierać sobie życia. Wie pan, jak w filmach, kiedy gliniarz zwraca się do faceta siedzącego na parapecie wieżowca: „Dobra, no już, jeśli masz skakać, to skacz, ale nie każ mi czekać, bo kończę służbę za piętnaście minut”, i facet tak się wścieka, że zamierza się na gliniarza, a ten wciąga go do środka.

- Przypuśćmy, że to są prości ludzie - powiedziałem. - Przypuśćmy, że całą sprawę potraktują poważnie.

- W takim razie zasługują na to, żeby umrzeć - rzuciła nonszalancko. - Nie no, nie uwierzę, że ktoś może przeczytać mój Poradnik i postąpić według jego wskazówek.

- Nie jestem tego taki pewien. Historia literatury mnoży przypadki niezrozumianej ironii.

Zmarszczyła lekko brwi.

- Coś mi się zdaje, że pan tego nie pochwała.
- Cóż, szczerze mówiąc, nie sędzę, by samobójstwo było odpowiednim tematem do parodii.
- Och... - Wyglądała na zakłopotaną.
- Ale jestem starym człowiekiem o staromodnych poglądach - dodałem, żeby rozładować atmosferę.
- Stary? Nie powiedziałabym - zaprotestowała z cieniem kokieterii. - Dojrzałym, owszem, ale nie starym. Zaparzyć herbatę?

Zaproponowałem, że najpierw omówimy jej rozdział. Wydobyła swój wydruk z białego segregatora i przysunęła sofę, żeby móc usiąść naprzeciw mnie, z ołówkiem w ręku. Czułem się jak podczas konsultacji i sądziłem, że o taki efekt jej chodziło, wyznaczyła nam role mistrza i ucznia, stworzyła złudzenie, że łączy nas jakaś umowa. Nakazywałem sobie najwyższą ostrożność, gdy kartkowałem jej rozdział i omawiałem uwagi, które wcześniej naniósłem na marginesach, a ona słuchała uważnie, spisując szybko własne notatki, kiwała głową i mamrotała pod nosem: „Tak, jak najbardziej, ma pan rację, genialne itd., itd.” Wiedziałem, że bierze mnie pod włos, ale jej pochlebstwa wcale nie sprawiały mi przez to mniejszej przyjemności. Zdałem sobie sprawę, że w ostatnich latach brakowało mi satysfakcji wynikającej z budzenia podziwu w umysłach gorzej niż mój wyrobionych, a przyjemność potęgował jeszcze fakt, że ja głównie mówiłem, a Alex słuchała, toteż na jakieś dwadzieścia minut zupełnie zapomniałem o moim niedosłuchu. Przyczyniła się do tego idealna cisza panująca w mieszkaniu, gdzie mieliśmy warunki jak w studiu nagraniowym.

- No, to było naprawdę niesamowite, dziękuję bardzo - powiedziała, kiedy już skończyłem. - I teraz co dalej?

158

Rozbawiła mnie jednoznacznością sugestii zawartej w tym pytaniu.

- Tego nie mogę pani powiedzieć! Nie jestem pani promotorem.

Zrobiła nieszczęśliwą minę.

- Niestety. Powiem ci, Desmondzie... mogę się tak do pana zwracać? „Profesorze Bates” brzmi zbyt oficjalnie.
- Jak pani chce - odparłem z wahaniem.
- No więc, Desmondzie, powiem ci, że rozmowa, którą właśnie odbyliśmy, dała mi dużo więcej niż wszystkie spotkania z Colinem razem wzięte.

- Miło mi to słyszeć - powiedziałem, odnotowując swobodę, z jaką wspomniała o „Colinie”. - Ale zakres pomocy, jakiej mogę udzielić, jest bardzo ograniczony.
- Jak bardzo? - zapytała z uśmiechem.
- Na przykład nie mogę tu więcej przychodzić.
- Czemu nie?
- Moja żona mogłaby nabrać podejrzeń - rzuciłem niefrasobliwie.
- Wie, że tu jesteś?
- Ależ tak - zapewniłem ją, kiedy jednak wypowiadałem te słowa, nie byłem w stanie wytrzymać nieruchomego spojrzenia jej błękitnych oczu, chyba więc zgadła, że kłamię. - Gdyby jednak stało się to zwyczajem, mogłaby zacząć się zastanawiać, nie bez racji, dlaczego tak bardzo pomagam atrakcyjnej młodej doktorantce, i to bezpłatnie.

Wyglądała na zmartwioną.

- Obawiam się, że teraz nie mogę zapłacić, ale...
 - Nie, nie, nie o to mi chodziło - zaprotestowałem.
- Ale jeśli dostanę posadę nauczycielską na wydziale... -kontynuowała.
- Na litość boską, nie chcę żadnych pieniędzy - wyrzuciłem z siebie wytrącony z równowagi. - W ogóle nie o to mi chodzi-

159

ło. Po prostu Fred... - Moje zdanie urwało się. Świetnie potrafiła zbić mnie z tropu w trakcie rozmowy i teraz zapomniałem,

o co tak naprawdę mi chodziło.

- Fred?
- Moja żona. Skrót od Winifred.

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Niemal zarechotała.

- Mówisz do niej Fred? I jej to nie przeszkadza?
- Nie sądzę - odparłem słabo.
- Czym się zajmuje Fred?
- Nie przeszkadza jej, że ja się do niej tak zwracam, ale nie lubi, kiedy inni to robią - zastrzegłem.

- Przepraszam. Czym zajmuje się Winifred... pani Bates? Czy jest po prostu panią profesorową?
- Co to, to nie. Prowadzi ze współniczką sklep i galerię w centrum.

Opowiedziałem jej trochę o Décor.

- Fascynujące, muszę się tam wybrać. Przydałyby mi się zasłony do tych okien. - Ruchem ręki wskazała zachlapanie deszczem okna, na których zainstalowano jedynie żaluzje, zasłon nie było.
- Darowałbym sobie - poradziłem. - Mają bardzo wygórowane ceny.
- Nie musisz się martwić - powiedziała. - Będę dyskretna.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, żeby nie powiedzieć za dużo.

- Pójdę zrobić herbatę - zaproponowała, podnosząc się z miejsca. - Assam, tak?

Kiedy Alex była w kuchni, ja wstałem, żeby rozprostować nogi,

1 podszedłem do regału obejrzeć książki. Kiedy mijalem stół, który służył jej za biurko, moje spojrzenie padło na turkusowy marker na małej tacce pośród innych długopisów i ołówków.

Siedząc teraz przy biurku i pisząc te słowa w stożku światła z przegubowej lampy stołowej, wciąż czuję wstrząs wywołany

160

tamtą obserwacją i zamęt, jaki wytworzyła ona w moich myślach. Udawałem, że realizuję zamiar przejrzenia książek na półkach, ale nie rejestrowałem tytułów na grzbietach. Wmówiłem sobie, że to tylko zbieg okoliczności, że turkusowe markery są wszechobecne i że nie wolno mi wyciągać pochopnych wniosków, instynkt podpowiadał mi jednak, że mam oto przed sobą narzędzie zbrodni pokryte odciskami palców i schlapanie krwią. Nagle mój wzrok przyciągnęła znajoma miękka okładka na jednej z półek, Analiza dyskursu: wstęp Desmonda Batesa. Wziąłem książkę do ręki i otworzyłem. Na wewnętrznej stronie okładki napisano drobnym, starannym pismem „Alex Loom”. Zacząłem przerzucać strony. Na wielu z nich tekst został zaznaczony na turkusowo. Słyszając brzęk filiżanek stawianych na tacy, pośpiesznie odłożyłem książkę na półkę i wróciłem na swoje miejsce.

Chociaż usiłowałem zachować spokój, Alex musiała zauważyć we mnie jakąś zmianę, kiedy wróciła.

- Bardzo spoważniałeś - powiedziała, nalewając herbatę. - Czy ukrywasz przede mną coś w sprawie mojego rozdziału?
- Nie, nie chodzi o rozdział - odparłem. - Ciekaw jestem, czy znasz książkę pod tytułem Analiza dokumentów niejakiego Liverwrighta.
- Czytałam! - zakomunikowała triumfalnie.
- Masz ją tutaj?

- Nie, była wypożyczona. Za droga, żeby ją kupować, zresztą i tak specjalnie mi się nie przydała.
- Wypożyczona z biblioteki uniwersyteckiej?

W tym momencie uzmysłowiła sobie inkwizytorski ton moich pytań i zastanowiła się chwilę, nim odpowiedziała.

- Tak. Dlaczego pytasz?
- Cóż, tak się złożyło, że któregoś dnia sam wypożyczyłem ten egzemplarz i odkryłem, że został zniszczony przez poprzedniego czytelnika. Był cały pomazany turkusowym markerem.

----- 161

- Naprawdę? - Nie zaczerwieniła się, nie dostrzegłem też żadnych innych oznak poczucia winy. Wytrzymała moje spojrzenie bez zmrużenia oka. - Nie była pomazana, kiedy ja ją wypożyczałam.
- W takim razie może to twoje dzieło?

Roześmiała się, był to jednak śmiech wymuszony.

- Dlaczego tak sądzisz?
- Zauważyłem turkusowy marker na twoim biurku.

Znów się roześmiała.

- Są całkiem popularne, panie Holmes - zauważyła.
- Poza tym właśnie przejrzałem twój egzemplarz mojej książki o analizie dyskursu, jest pomazana w ten sam sposób. -Spuściła oczy, nic nie mówiąc. - Oczywiście masz pełne prawo mazać w swoich książkach, jak tylko ci się podoba - ciągnąłem dalej - ale takie traktowanie książek z biblioteki to zwykły wandalizm.
- Zapomniałam, że to wypożyczona książka - usprawiedliwiała się. - Pracowałam do późna, byłam bardzo zmęczona, wertowałam różne książki, własne i wypożyczone...
- Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę.
- Mówię prawdę. Nie zrobiłam tego umyślnie. A zresztą wielka mi rzecz, no przecież nie powyrywałam kartek z tej książki. Można ją czytać.
- Chodzi o zasadę - rzuciłem, wstając.
- Och, nie idź jeszcze! - poprosiła błagalnym tonem, też wstając, choć wyglądała, jakby za chwilę miała paść na kolana. - Nie odchodź, kiedy jesteś na mnie zły.
- Nie czuję złości - sprostowałem. - Najwyżej zażenowanie.

- Powiedz mi, co mam zrobić. Zrobię wszystko, co każesz. Kupię dla biblioteki nowy egzemplarz.
- To na pewno byłby dobry pomysł. Ale ile jeszcze książek zniszczyłaś w ten sposób?
- Żadnej! Zaufaj mi.

162

- Obawiam się, że nie mógłbym nigdy zaufać osobie, która w książkach z biblioteki zostawia po sobie trwałe ślady.
- Och, na litość boską, Desmond! - zawołała z nadąsanym uśmiechem, próbując zmienić taktykę. - Posłuchaj siebie tylko. „W książkach z biblioteki zostawia trwałe ślady...” Wyluzuj trochę!

Nie dałem się rozbroić.

- A po tym głupim numerze z majtkami... mam dosyć -oznajmiłem. - Wychodzę i już tutaj nie wracam. Nie będziemy też współpracować w sprawie doktoratu. - Złapałem aktówkę i zamknąłem ją, zostawiwszy kopię rozdziału na stoliku do kawy.
- O nie! - jęknęła.

O tak - powiedziałem i wyszedłem z pokoju. Usłyszałem za plecami, jak mówi: „Głupia, głupia, głupia!”, a może to było: „Głupi, głupi, głupi!” W przedpokoju zdjąłem z wieszaka płaszcz i wyszedłem z mieszkania. Kiedy zamykałem za sobą drzwi wejściowe, usłyszałem hałas, jak gdyby przez pokój poszybowała taca z całą zawartością. Zamiast czekać na windę, zszedłem po schodach. Na dworze wciąż padał lekki kapuśniaczek i zdałem sobie sprawę, że zapomniałem o parasolu, nie wróciłem jednak.

25 listopada. Nie spodziewałem się, że Alex przyjmie zerwanie naszych kontaktów bez próby pojednania. Myślałem, że zaproponuje mi zwrot parasola, z czego uczyni pretekst do kolejnego spotkania.

Tymczasem dziś rano dostałem od niej takiego oto maila:

Drogi Desmondzie!

Słusznie się na mnie złościś, postąpiłam podle, postąpiłam głupio, prostacko, egoistycznie, kretyńsko

163

i zasługuję na karę. Chcę, żebyś mnie ukarał. Przyjdź do mojego mieszkania o tej samej porze tego samego dnia w przyszłym tygodniu. Jeśli nie możesz, napisz mi, które popołudnia masz wolne, a wtedy coś wybiorę. Przyjdź pod Wharfside Court i dokładnie o piętnastej zadzwoń trzy razy domofonem. Nie odezwę się, ale otworzę drzwi - usłyszysz brzęczyk. Drzwi do mojego mieszkania nie będą zamknięte: wystarczy je pchnąć i się otworzą. Zamknij je za sobą, a same się zatrzasną. Nie wołaj mnie. Nic nie mów. Powieś płaszcz w przedpokoju. Wejdź do salonu. Przy opuszczonych żaluzjach będzie tam panował półmrok. Nie włączaj górnego światła. Będzie się świecić lampa z czerwoną żarówką. Zobaczysz mnie pochyloną nad stołem, z głową na poduszce. Będę naga od pasa w dół. Nic nie mów. Stań za mną i ustaw się tak, żebyś mógł mi spuścić lanie. Zdejmij marynarkę i podwiń rękawy, jeśli chcesz. Nie próbuj mnie

przelecieć. To NIE jest zaproszenie do seksu, tylko do wymierzenia mi kary. Uderzaj płaską dłonią, żadnych kijów ani innych narzędzi, ale bij tak mocno, jak tylko chcesz, jak długo zechcesz. Jeśli będę krzyzczeć albo płakać w poduszkę, nie przerywaj. Daj upust swojej złości. Kiedy będziesz miał już dość, kiedy poczujesz się oczyszczony, po prostu wyjdź, tak cicho jak wszedłeś. Zatrzaśnij za sobą drzwi i wyjdź z bloku.

Kiedy spotkamy się następnym razem, nie wspomnimy ani słowem o tym, co zaszło, ani o książce z biblioteki. Ten rozdział zostanie zamknięty. Będziemy się zachowywać, jak gdyby nic się nie stało. Tak będzie dobrze.

Przeczytałem tego maila chyba z sześć razy i za każdym razem dostawałem erekcji. Nie mam zamiaru korzystać z tego zaproszenia, lecz nie mogę przestać myśleć o tym scenariuszu godnym markiza de Sade. Jakże łatwo jest mi wyobrazić sobie, jak zbliżam się do bloku Alex - jak w filmie - zerkam na zegarek, punktualnie o piętnastej trzykrotnie naciskam dzwonek mieszkania 36, słyszę brzęczyk i kliknięcie, gdy zamek drzwi wejściowych zostaje zwolniony, wspinam się na trzecie piętro, ukradkiem wchodzę do mieszkania, zamykam za sobą drzwi i zdejmuję płaszcz w niemal ciemnym przedpokoju, oświetlonym jedynie czerwoną poświatą z salonu. Kiedy wchodzę do pokoju, jest dokładnie tak, jak opisała: opuszczone żaluzje, pokój w świetle czerwonej lampy w rogu, a ona pochyla się nad stołem, z odwróconą głową na poduszce, toteż nie widzę jej twarzy, ubrana na czarno, lecz od pasa w dół jest naga, nie licząc pary lśniących czarnych szpilek (szczegół dodany przez moją wyobraźnię), z odsłoniętymi różowymi pośladkami. Zdejmuję marynarkę, podwijam prawy rękaw, a potem palcami obydwu dłoni ustawiam kąt jej bioder i lekko pieszczę zaokrąglenie pośladków, jak hodowca psów uspokajający drżące zwierzę przed pokazem. Moja ręka wędruje do góry, a potem opada z plaśnięciem, gdy wchodzi w kontakt z jej pupą. Ten dźwięk i kontakt mojego ciała z jej ciałem eksplodują w mojej głowie. Słyszę jej jęknięcie. Pozwalam dłoni zatrzymać się przez sekundę tam, gdzie wylądowała, a potem znów ją podnoszę i wymierzam kolejne klapsy, jeden po drugim, celowo robiąc przerwę między nimi, wybieram najpierw jeden, potem drugi pośladek, na przemian, i za każdym razem pozwalam palącej dłoni zatrzymać się trochę dłużej tam, gdzie wylądowała...

Nigdy wcześniej nie miałem takich fantazji. Jak ta kobieta wyczuła, że się czały gdzieś w mojej psychice, czego nie podejrzewałem, i czekały tylko na uwolnienie?

165

26 listopada. Wczoraj wieczorem Fred wróciła do domu trochę później, ale w dobrym nastroju, była bowiem z Jakki w pubie w czasie happy hour, żeby oblać sprzedaż dość drogiego obrazu. Przy potrawce z kurczaka, którą dla nas przyrządziłem, i kolejnym kieliszku wina opowiedziała mi, chichocząc, o poufnej relacji Jakki na temat jej pożycia intymnego z Lionelem. Podobno od czasu do czasu urządzają sobie tematyczne wieczory, których on jest inicjatorem. Na przykład wieczór indyjski z płonącym w sypialni kadzidełkiem, ragą z taśmy i ilustrowaną Kamasutrą otwartą na stoliku nocnym, żeby można było do niej w każdej chwili sięgnąć. Albo wieczór japoński: erotyczne harce na macie z poduszkami, w yukatach, z małymi czarkami sake pod ręką dla orzeźwienia. Albo seks włoski, z przysmakami Amoretti do skubania, astpi spumante do sączenia i ariami Pucciniego w tle. Dla żartu wymyślaliśmy dodatkowe tematy, które wystawiłyby na próbę ich wyobraźnię i/lub wytrzymałość: wieczór eskimoski, wieczór a la rzymska orgia,

wieczór D.H. Lawrence'a... Chociaż kpiliśmy sobie z nich, nie robiliśmy tego bez cienia zazdrości z mojej strony i wyczuwałem, że ze strony Fred także.

- Niech tam robią, co chcą - powiedziała, dolewając sobie wina. - Najwyraźniej świetnie się przy tym bawią, i czemu nie?

- A ty miałabyś ochotę na coś takiego? - zaryzykowałem.

- Jesteśmy za starzy na takie szaleństwa, kochanie - powiedziała, wspaniałomyślnie zaliczając siebie do mojej grupy wiekowej. - Poza tym, żeby czerpać z czegoś takiego przyjemność, trzeba podejść do sprawy z całkowitą powagą, a ja obawiam się, że wybuchłabym śmiechem na myśl o absurdalności takiej sytuacji.

- Prawda, śmiech jest wrogiem erotyki - przyznałem z pewnym smutkiem.

- Ale moglibyśmy dziś wieczorem zafundować sobie trochę staromodnego seksu, jeśli masz ochotę - zaproponowała.

166

M.

-

- OK - zgodziłem się, zamykając korkiem butelkę wina. Później, w sypialni, kiedy już wyszliśmy nadzy każde ze

swojej łazienki i objęliśmy się, zapytała:

- Gdybyś miał do wyboru jakiś wieczór tematyczny, co by to było?

- Noc spankingu.

Cofnęła głowę i przyjrzała mi się uważnie.

- Kochanie! Co za pomysł! Kto komu dawałby klapsy?

- Ja chciałbym tobie - oznajmiłem - ale moglibyśmy się wymieniać, gdybyś miała ochotę.

Zaśmiała się niemal histerycznie.

- Chcesz mnie przełożyć przez kolano? Nie byłabym trochę za ciężka?

Rozejrzałem się po pokoju.

- Mogłabyś sprzątnąć rzeczy ze swojej toaletki i pochylić się nad nią.

Całkiem mocno trzasnęła mnie w tyłek, a ja zaskamlałem.

- Widzisz? - powiedziała. - To wcale by ci się nie podobało.
- Zaskoczyłaś mnie - odparłem - ale efekt jest stymulujący. Spójrz tylko.

Uśmiechając się szeroko, dała mi jeszcze jednego, mocniejszego klapsa. Oddałem jej. Mocując się i śmiejąc, runęliśmy na łóżko. Później, już bez śmiechów, zrobiłem z Fred to, co Alex zakazała mi robić ze sobą, z zamkniętymi oczami, widząc w wyobraźni siebie w jej czerwono oświetlonym pokoju.

Dawno już nie mieliśmy tak dobrego seksu.

✓

J,

11

28 listopada. Wczoraj pojechałem do Londynu zobaczyć się z tatą. Ostatnie cztery słowa są zbędne. Czy ja kiedykolwiek jeżdżę do Londynu w innym celu? Dawno minęły czasy, kiedy podróżowałem w sprawach zawodowych (dostając zwrot wszystkich kosztów) na zebranie lub egzamin doktorancki albo spotkanie z wydawcą, płaciłem wtedy za przejazd, ale dostawałem suto zakrapiany lunch, a potem w wolnym czasie mogłem wybrać się do kina, obejrzeć wystawę albo poszperać w księgarniach na Charing Cross Road przed podróżą powrotną do domu. Teraz schodzę w podziemia na dworcu Kings Cross, pędzę przez ciemne krecie tunele metra i wydobywam się znów na powierzchnię pod dźwigarowym sklepieniem stacji London Bridge, tak więc nawet nie widzę West Endu. Ostatni raz widziałem West End siódmego lipca zeszłego roku, kiedy przybyłem do Londynu przed południem i okazało się, że na dworcu roi się od zdezorientowanych podróżnych, a całe miasto jest sparaliżowane w wyniku czegoś, co początkowo relacjonowano jako potężną awarię prądu w metrze, później zaś jako cztery skoordynowane zamachy bombowe. Komunikacja miejska została wstrzymana. Nie miałem możliwości ani dojechać do taty, ani wrócić do domu. Przez pół godziny stałem w kolejce, żeby zadzwonić z budki telefonicznej - ten jeden raz żałowałem, że nie mam komórki, chociaż ich posiadacze narzekali na przeciążenie systemu i brak połączeń - i zatelefonowałem do taty i Fred z zapewnieniem, że jestem bezpieczny,

168

a potem zrobiłem sobie długi spacer przez dziwnie ciche centrum Londynu.

Dookoła mnie nie brakowało przechodniów, zwłaszcza po południu, gdy biura i sklepy zaczęły się zamykać, a ich pracownicy rozpoczynali długie piesze wyprawy do domu na dalekie przedmieścia, ulice były jednak puste, nie licząc sporadycznych wozów policyjnych i karetka pogotowia pędzących z migającymi światłami i niepotrzebnie wyjąłymi syrenami. Wtedy jeszcze nikt nie znał rozmiarów ani charakteru tych eksplozji, panowało jednak ogólne przekonanie, że są dziełem Al-Kaidy bądź jakiegoś podobnego ugrupowania i że od dawna oczekiwany dalszy ciąg nowojorskiego jedenastego września w końcu dotarł do Londynu. Na ulicach nie było paniki, lecz stoicki, flegmatyczny spokój jak w czasach niemieckich nalotów podczas wojny. Jakiś wściekły pijak z czerwoną gębą wykrzykiwał na Leicester

Square „Pierdolone Arabyl", lecz nikt nie zwracał na niego większej uwagi. W domu towarowym John Lewis, ostatnim otwartym jeszcze na Oxford Street, na niemal wyludnionym parterze, mając wyłączność na obsługę całego trzyosobowego personelu, kupiłem Fred na urodziny srebrny długopis. Jedna z ekspedientek powiedziała, że była w dziale sportowym i kupiła sobie buty, żeby wrócić w nich do domu w Chiswick. Jej reakcja w tej nadzwyczajnej sytuacji utkwiła mi w pamięci jako wysoce rozsądna i pragmatyczna.

Wszystkie teatry i duże kina zostały pozamykane w ciągu dnia, ale Curzon Soho było otwarte, spędziłem więc tam kilka przyjemnych godzin, oglądając argentyński film Bonbon - el Perro, wciągającą autorską komedię, której akcja rozgrywa się w Patagonii. Idealna na tę okazję eskapistyczna rozrywka, do tego z napisami. Znalazłem na Dean Street włoską trattorię, która na przekór wszystkiemu funkcjonowała tego dnia, i zjadłem porządną wczesną kolację, po czym przeszedłem się Tottenham Court Road i Huston Road do Kings Cross, gdzie

169

i

wznowiono w minimalnym zakresie komunikację kolejową. Bolały mnie nogi, lecz ogarnęło mnie dziwne zadowolenie. Przytrafiło mi się oto coś w rodzaju niespodziewanego urlopu, wytchnienia od nużącego obowiązku odwiedzin taty, ale przede wszystkim mogłem się napawać niecodzienną miejską ciszą. Paradoksalnie upośledzenie słuchu nie czyni ciszy mniej atrakcyjną, wręcz przeciwnie. Na doznania słuchowe składają się cisza, dźwięki i hałas. Cisza jest stanem neutralnym, trybem czuwania. Dźwięki niosą ze sobą znaczenie, informacje albo są źródłem przyjemności estetycznej. Hałas jest pozbawiony znaczenia i brzydki. Niedosłuch zamienia tyle dźwięków w hałas, że już wolałoby się ciszę - stąd przyjemność czerpana ze spaceru wolnymi od ruchu samochodowego ulicami. Strach chwilowo zamknął dla ruchu kołowego całe centrum Londynu.

Później, gdy ujawniono pełnię grozy tych zamachów - potężną siłę eksplozji w zatłoczonych w godzinach szczytu, uwięzionych w tunelach pociągach, ciemność, dym, krzyki, panikę, rozerwane ciała - moja reakcja z perspektywy czasu wydawała się frywolna, egoistyczna. Przez kilka miesięcy, jak wielu innych, unikałem metra w Londynie i wybierałem zamiast tego drogie taksówki; po pewnym czasie jednak, znów jak wielu innych, wróciłem do niego. Tak naprawdę irracjonalnie: im więcej mija czasu bez poważnych incydentów, tym większe prawdopodobieństwo, że dojdzie do kolejnego, jako że podstawowe przyczyny, islamski fanatyzm, wyobcowanie brytyjskich muzułmanów, palestyńsko-izraelskie prowokacje, Irak itd. nie znikają. Czy sieć metra może kiedykolwiek być bezpieczna? Zamachowiec samobójca zawsze się tam przedostanie. Można tylko się pocieszać, że ryzyko, byśmy znaleźli się w niewłaściwym przedziale, w niewłaściwym pociągu, w niewłaściwym czasie, jest niewielkie. Niedawno czytałem o jednej z ofiar bomby w pociągu na linii Piccadilly siódmego lip-

170

ca, która akurat czytała w czasopiśmie własną relację o tym, jak została zgwałcona i o mało nie straciła

życia w lipcu 2002 roku, dokładnie trzy lata wcześniej, kiedy Germaine Lindsay vel Abdullah Shaheed Jamal wysadził się w powietrze w tym samym przedziale i oszpecił ją na całe życie. Jestem ciekaw, jak duże jest prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności.

Na Lime Avenue przyjeżdżam spóźniony, co i tak nie ma znaczenia, bo tata zapomniał o mojej wizycie. Muszę walić kołatką w drzwi przez jakieś pięć minut, żeby mi otworzył, choć nie zwalnia łańcucha i gapi się na mnie przez szparę.

- Co ty tu robisz?

- Przyjechałem do ciebie, tato. Tak jak się umawialiśmy w niedzielę przez telefon.

- A tak - rzuca szybko, usiłując zamaskować lukę w pamięci. Zatrząskuje drzwi, żeby ściągnąć łańcuch, i otwiera je na oścież. - No, wchodzi - mówi ze zniecierpliwieniem, jak gdyby to ja kazał mu czekać. Dzisiaj jeszcze bardziej niż zwykle wygląda jak kłoszard, zeszywniałe z brudu rurkowate spodnie z tweedu wiszą z jednej strony tam, gdzie odpadł guzik podtrzymujący szelki, jest nieogolony. Prowadzi mnie do salonu. Na opuszczonym blacie sekretarzyka piętrzy się złowrogo sterta papierzysk. - Szukam jednych akcji, ale nie mogę ich znaleźć.

- Nie dziwię się - mówię. - Dlaczego nie korzystasz z segregatora do dokumentów, który ci dałem? - Przed ponad rokiem przywiozłem mu kartonowy segregator podzielony na przegródki oznaczone naklejkami „Rachunki”, „Bank”, „Akcje” itd., stoi jednak nieużywany na podłodze w kącie, pusty, nie licząc kilku ulotek oferujących zniżki na okna z podwójną szybą i meble ogrodowe.

- Nie mogłem się do niego przekonać - twierdzi. Zamyka

171

4 -

klapę sekretarzyka i posyła lawinę dokumentów do środka, demonstrując swój ulubiony system przechowywania dokumentów. - Napijesz się kawy?

- Sam zrobię.

- Tak, sam zrób, nie wiem, ile ci nasypać. - Ma na myśli rozpuszczalną kawę, tani gatunek sprzedawany pod nazwą „Kawa rozpuszczalna”, który najlepiej pić bez mleka i z cukrem. Idzie za mną do kuchni, gdzie panuje przygnębiający brud i nieporządek. - Też się napijesz? - pytam, szukając filiżanki, która nie byłaby pęknięta, wyszczerbiona lub zabrudzona.

- Nie, dzięki, kawa przelatuje przeze mnie.

- Na lunch tam, gdzie zwykle?

Wygląda na zmartwionego.

- Po weekendzie został mi kawałek jagnięcego podgardla, ale nie wystarczy dla dwóch.
- Nie, czy chcesz jechać na lunch do Sainsburys? - mówię, podnosząc głos. Rozpogadza się i w uśmiechu obnaża sztuczne zęby.
- O tak, byłoby świetnie.
- No to idź się ogolić i przebrać.

Kiedy jest na górze, zakładam brudny fartuch w kwiaty, który wisi za drzwiami, oraz żółte gumowe rękawice i próbuję trochę posprzątać kuchnię, począwszy od sterty brudnych naczyń na suszarce, które - zdają sobie sprawę poniewczasie - zostały już umyte, ale nie w sposób zauważalny. Potem szczotką do szorowania i płynem do czyszczenia znalezionymi pod zlewem atakuję blaty. Obok kuchenki zauważam nowy znak po przypaleniu. Nie słyszę, kiedy tata schodzi na dół.

- Nie widziałaś gdzieś moich brązowych zamszowych butów, kochanie? - pyta z progu kuchennych drzwi za moimi plecami. Odwracam się zaskoczony tym, w jaki sposób się do mnie zwraca, i widzę, że jego twarz wyraża po kolei pytanie, zaskoczenie i rozczarowanie. Jest ogolony i całkowicie ubrany,

172

I

nie licząc stóp w grubych wełnianych skarpetach. - Myślałem, że to Norma - wyjaśnia. - W tym fartuchu. I rękawicach.

- Przepraszam, tato - mówię. - Nie chciałem...
- Nie widziałeś jej, co?
- Mamy? - pytam, a on kiwa głową. - Mama nie żyje, tato - przypominam łagodnie. - Zmarła trzynaście lat temu.

-Tak? No przecież. Oczywiście... Ale widzisz, ja ją słyszę, kiedy jestem na dole, jak się krząta na piętrze. Słyszę, jak trzeszcza klepki. A kiedy jestem na górze, słyszę, jak zmywa w kuchni. - Nie wygląda, jakby traktował te doświadczenia jako coś niezwykłego lub niepokojącego, wręcz przeciwnie, wydaje się, że ożywiają jego samotność. Jestem nie tylko zmartwiony, ale i poruszony tą relacją.

Zamawiamy taksówkę i jedziemy do Sainsbury's. Obaj zjadamy w bufecie smażoną rybę z frytkami i z groszkiem, i kiedy kończy deser, szarlotkę z lodami, wyraźnie w dobrym nastroju, wysuwam propozycję, by przeniósł się do domu opieki gdzieś blisko nas. Kąciki jego ust natychmiast opadają i zaczyna kręcić zawzięcie głową.

- Nie, synu. Dziękuję, ale nie.

Wydobynam z kieszeni katalog najbardziej atrakcyjnej ze wszystkich placówek, jakie odwiedziłem w minionym tygodniu, i podaję mu go, wskazując zdjęcia jasnych, ładnie umeblowanych sypialni z

łazienkami, wygodnej świetlicy i jadalni z oddzielnymi stolikami.

- Gotują ci główne posiłki, a w pokoju masz małą kuchenkę i czajnik, żebyś mógł sobie zrobić śniadanie albo jakąś przekąskę.

- Ile to wszystko będzie kosztowało?

- Nie zwracaj sobie teraz tym głowy - mówię. - Stać cię, a w razie konieczności ja pokryję różnicę.

Spogląda na katalog, jak gdyby próbował wyobrazić sobie siebie w takim miejscu. Bezskutecznie.

173

>

- Nie, synu, to nie dla mnie. Ja lubię swój dom. Wiem, gdzie wszystko mam...

- Nieprawda, tato - przerywam mu dość ostro. - Nie wiesz, gdzie są twoje akcje, nie wiesz, gdzie są zamszowe buty. Nie możesz znaleźć rzeczy, których akurat potrzebujesz.

- To dlatego że tyle ich mam. Gdzie bym wszystko trzymał w takiej małej klitce? - Stuka palcem w zdjęcie sypialni w katalogu.

- Oczywiście, będziesz musiał się pozbyć większości tych rzeczy.

- Mam je wyrzucić, tak? - pyta oburzony.

- Sprzedać, oddać organizacji charytatywnej, co tylko chcesz. Możesz zabrać parę mebli, do których jesteś przywiązany.

- Aleś łaskawy!

Przerywam na chwilę, uznawszy, że nie prowadzę tej rozmowy właściwie, dając się wciągać w sprzeczki o trywialne sprawy i coraz bardziej zrażając do siebie staruszka.

- Martwię się o ciebie, tato - mówię. - Kiedyś może ci się przytrafić jakiś wypadek.

- Jaki wypadek?

- Ostatnio miałeś parę wypadków w kuchni, zgadza się? Przypaliłeś coś. - Jego nadąsane milczenie oznacza przyznanie się do winy. - Nie jesteś tak sprawny jak kiedyś. Możesz spaść ze schodów.

- Kto ci o tym powiedział?

Reaguję błyskawicznie.

- Chcesz powiedzieć, że już spadłeś ze schodów? Kiedy?

Ucieka przede mną wzrokiem.

- Kiedyś tam. Było ciemno. Myślałem, że jestem już na dole, a był jeszcze jeden stopień.
- Bo nie zapalasz światła w przedpokoju - mówię. - To tylko pozorna oszczędność.
- Nic mi się nie stało, tylko nabiłem sobie małego siniaka na biodrze.

174

- A mogłeś się poważnie poturbować. A gdybyś tak złamał biodro... nawet byś nie był w stanie dowieść się do telefonu.

- Próbujesz mnie nastraszyć? - pojękuje. - Słuchanie ciebie to jak oglądanie Ostrego dyżuru. - Ma awersję do szpitalnych seriali. Pamiętam, jak kiedyś powiedział: „Ci, co to oglądają, chyba lubią, jak im cierpieć skóra”.

- Próbuję tylko być realistą, tato - mówię. - Dochodzisz do wieku, kiedy nie jesteś już w stanie zadbać o siebie. Teraz jest dobra pora, żeby się przenieść tam, gdzie będziesz miał opiekę, zanim się zrobi za późno. Proszę cię tylko o jedno, żebyś obejrzał to miejsce, kiedy przyjedziesz do nas na święta.

, Znowu potrząsnął głową.

- Obejrzę je, synu, żeby cię zadowolić. Ale nigdzie się nie przenoszę. Nie wiedziałbym, co ze sobą zrobić tam, na północy.

- To znowu nie tak daleko, tato.

- Dla mnie wszystko jedno. Nie rozumiem ludzi w waszych sklepach, jak do mnie mówią. Nie znam tras autobusowych. Nie mógłbym pojechać do Greenwich latem i obejrzeć statków na rzece podczas przyptywu. Poza tym ona by tam nie pojechała. - Przesuwa katalog po stole w moją stronę. Nie muszę pytać, kogo ma na myśli, mówiąc „ona”.

- W porządku, tato - mówię z westchnieniem. - Na razie zostawmy ten temat. Ale pomyśl o tym.

Kiedy wstajemy do wyjścia, kobieta w średnim wieku przy jednym z pobliskich stolików uśmiecha się do mnie współczująco, a kiedy ją mijamy, mówi:

- Potrafią być uparci w tym wieku, prawda?

Zauważam wtedy, że ludzie przy innych stolikach patrzą na

nas z zainteresowaniem i rozbawieniem, i uzmysławiam sobie, że rozmawialiśmy z tatą podniesionymi głosami. Opuszczając bar, mam wrażenie, jakbym schodził ze sceny.

175

30 listopada. Miałem dzisiaj pierwsze zajęcia czytania z ruchu warg. Doświadczenie to przywołało zatarte wspomnienia mojego pierwszego dnia w szkole podstawowej, który przypadł w połowie roku szkolnego ze względu na moją chorobę: towarzyszyło mi to samo wrażenie znalezienia się w grupie, która zdążyła

już żyć się z sobą i zaznajomić z funkcjonującym porządkiem, podczas gdy ja byłem kimś nowym - niepewnym i onieśmiałym. Jak już wcześniej wspominała Bethany Brooks, większość uczestników, w sumie było ich około piętnastu, chodzi na zajęcia regularnie od wielu lat. Są to głównie panie, w średnim lub starszym wieku. Sama Bethany, zwana tutaj „Beth”, jest dorodną kobietą w wieku około, powiedziałbym, pięćdziesięciu lat, o puszystych siwych włosach i okrągłej różowej twarzy - wygląda jak żona farmera z książeczek dla dzieci. Przedstawiła mnie grupie, podając moje imię, na co wszyscy się uśmiechnęli i skinęli głowami. Uczestnicy kursu zwracają się do siebie po imieniu. „Desmond jest emerytowanym nauczycielem”, powiedziała. W ten sposób opisałem siebie w naszej korespondencji, nie chcąc się przechwalać tytułem profesora lingwistyki. Mądre posunięcie.

Siedzimy w plastikowych fotelikach w półkolu wokół Beth, która ma przy boku białą tablicę i aparat przenośnego systemu odsłuchowego (kabel biegnie po podłodze pod fotelikami, trzeba więc uważać, żeby się nie potknąć). Wszyscy uczestnicy - nazywanie ich uczniami wydaje się jakoś nie na miejscu - noszą różnego rodzaju aparaty słuchowe, a niektórzy są naprawdę bardzo głusi. Kiedy podłączyłem system odsłuchowy do mojego aparatu, okazało się, że jest dla mnie zdecydowanie za głośny i doskonale sobie radzę bez niego. Metoda nauczania Beth polega zasadniczo na tym, że mówi coś bezgłośnie, poruszając tylko ustami, i jeśli członkowie grupy wyglądają na skonsternowanych, zapisuje sprawiające problem słowa na tablicy. Potem powtarza wypowiedź na głos. Jej wymowa jest

176

szalenie wyraźna, z jedną, może dwiema lekko zniekształconymi samogłoskami charakterystycznymi dla osób zupełnie głuchych. Podczas przerwy na herbatę powiedziała mi, że straciła całkowicie słuch w wieku dziewięciu lat w następstwie infekcji wirusowej. Powiedziała mi również, że trzydziestu procent języka angielskiego nie można odczytać z ruchu warg - co wzmaga tylko podziw dla ludzi jej podobnych, którzy tak dobrze sobie radzą ze swoim upośledzeniem, a jednocześnie pozbawia mnie złudzeń co do tego, że czytanie z ruchu warg może być cudownym remedium na moją przypadłość.

O szkole podstawowej przypominało mi nie tylko poczucie, że jestem nowy w grupie. Beth wyraźnie próbuje uatrakcyjnić zajęcia poprzez - obok doskonalenia umiejętności czytania z ruchu warg - poszerzanie wiedzy ogólnej kursantów i testowanie ich zdolności umysłowych. Opowiada nam więc różne historyjki lub przekazuje ciekawe fakty na jakiś temat, które przypuszczalnie znajduje w gazetach i czasopiśmie albo encyklopediach, mówiąc na przemian z użyciem i bez użycia głosu, zdanie po zdaniu, a potem zadaje nam powiązane z tematem ćwiczenia w formie kwizu, który musimy uzupełnić w parach, porozumiewając się bez głosu. W tym tygodniu zaczęła od krótkiej historii amerykańskiego Święta Dziękczynienia, które obchodzono w minionym tygodniu. Jak można się spodziewać, stosunkowo łatwo jest ją zrozumieć po ruchu warg. Starannie i powoli, ale nie w sposób sztuczny, formułuje słowa wargami, zębami i językiem, a jeśli ktoś nie zrozumie zdania za pierwszym razem, ma drugą i trzecią szansę, ponieważ Beth powtarza je trzykrotnie poszczególnym segmentom siedzącej w półkolu grupy. Muszę przyznać, że o pielgrzymach z Mayflower dowiedziałem się paru detali, których wcześniej nie znałem albo o nich zapomniałem, na przykład że było ich tylko stu dwóch i że czterdziestu sześciu zmarło podczas pierwszej zimy, co nie było znowu aż tak zaskakujące, skoro wyszli

177

na ląd na północno-wschodnim wybrzeżu Ameryki dwudziestego szóstego grudnia 1620 roku. Ledwo się powstrzymałem, żeby nie podnieść ręki i nie zapytać, dlaczego nie założyli swojej kolonii latem, uznałem jednak, że Beth może się zdenerwować, jeśli przerwę jej prezentację mało istotnym pytaniem, albo zawstydzić, jeśli nie będzie znała odpowiedzi. W pierwszym roku miejscowi Indianie pomagali pielgrzymom przy uprawach i polowaniach, a dziewięćdziesięciu jeden w roku 1621 brało udział w obchodach święta z okazji zakończenia zbiorów, które zapoczątkowało współczesne Święto Dziękczynienia. Nie wiedziałem albo zapomniałem o przyjaznych Indianach. Później Beth rozdała przepisany na maszynie kwiz o ojcach pielgrzymach, który mieliśmy rozwiązać w parach, komunikując się bez głosu z osobą siedzącą obok. „W którym wieku odbyło się pierwsze Święto Dziękczynienia?” „W którym roku ojcowie pielgrzymi wyruszyli do Ameryki?” „Skąd wypłynęli?” „Jak nazywał się ich statek?” I tak dalej. Pracowałem w parze z miłą, lecz dość nieśmiałą panią w średnim wieku o imieniu Marjorie, która nie miała nic przeciwko temu, żebym to ja sugerował wszystkie odpowiedzi, i ograniczała się do kiwania głową na znak zgody i spisywania ich na kartce. Tak czy inaczej, potrafiła czytać z ruchu moich warg. Potem Beth prosiła poszczególne osoby, żeby podały grupie swoje odpowiedzi. Niektórzy radzą sobie lepiej, inni gorzej. Niektórzy, może przez nieśmiałość, ledwie poruszają ustami. Nie było jednak problemu ze zrozumieniem ich, bo mogliśmy łatwo odgadnąć, co powiedzą. To samo dotyczyło gry, uproszczonej wersji „Dwudziestu pytań”. Każdej osobie wręczono karteczkę z nazwą czegoś okrągłego, na przykład pomarańczy, i listą pytań do zadania innym na temat ich przedmiotów. „Czy to jest duże?” „Czy jest małe?” „Czy jest miękkie?” „Czy jest ciężkie?” „Czy można to dotknąć?” „Czy można to zjeść?” itd. Wywołałem pewną konsternację, zadając pytanie spoza listy: „Czy to się produkuje fabrycznie?” Zrobiło się wesoło, kie-

178

dy rozwiano powstałe wątpliwości. W grupie panuje bardzo pogodna, życzliwa atmosfera. Jest dużo śmiechu, tego całkiem niewinnego. Na początku następnej pogadanki Beth napisała na tablicy „Olbrzymia d...” i nikt nie zachichotał ani nawet się nie uśmiechnął. Okazało się, że tematem jest wyhodowana na działce gigantyczna dynia. Po pogadance Beth rozdała wycięte z czasopisma zdjęcia owej dyni, które podawaliśmy sobie z rąk do rąk. Analogia do szkoły podstawowej osiągnęła apogeum, kiedy każdy z nas musiał pomyśleć o jakiejś rymowance i wyrecytować ją bezgłośnie przed grupą. Zacząłem: „Ele mele dudki Gospodarz malutki”, po czym dostałem zaćmienia i nie pamiętałem¹, co było dalej. Nastąpił kolejny wybuch wesołości, kiedy próbowali mi przypomnieć, jeden przez drugiego: „Gospodyni jeszcze mniejsza, ale za to robotniejsza”. Oczywiście! Ale ze mnie głąb. W tym ćwiczeniu interesujące były dwie rzeczy: po pierwsze, rytm wiersza pomagał w odcyfrowaniu wypowiedzi, a po drugie, nawet jeśli komuś nie udało się zrozumieć pierwszych linijek, wcześniej czy później rozpoznawał rymowanekę, ponieważ była mu znana. To pierwsze zjawisko w zwykłej rozmowie nie jest zbyt przydatne, drugie zaś ilustruje jedynie ogólną zasadę, że im bardziej przewidywalny jest komunikat, tym łatwiej będzie go przyswoić w niekompletnej formie.

Po powrocie wieczorem do domu Fred wypytywała mnie z przejęciem o kurs. Rozśmieszyłem ją moim opisem zajęć, zwłaszcza potknięciem w czasie recytacji, wyglądała jednak na rozczarowaną, kiedy oznajmiłem, że według mnie te zajęcia mają ograniczoną przydatność, ponieważ faworyzują odbiorcę.

- Ale chyba nie zrezygnujesz? - zapytała.
- Jeszcze trochę pochodzę - odparłem. - Poczekam, może się przekonam.
- To dobrze, kochanie - powiedziała. - Zuch z ciebie.

Prawda jest taka, że w osobiwy sposób ten powrót do szkoły podstawowej całkiem mi się podobał.

179

1 grudnia. Dzisiaj nadszedł wyznaczony przez Alex dzień jej „kary”. Z coraz większą nerwowością czekałem na godzinę piętnastą. Byłem sam w domu i chodziłem niespokojnie z pokoju do pokoju, zerkając na zegary w każdym z nich. Wcześniej zdecydowałem, że najlepszą odpowiedzią na przedziwną propozycję Alex będzie jej zignorowanie, teraz jednak wydawało mi się, że popełniłem błąd. Poprosiła mnie o odpowiedź tylko w przypadku, gdybym zechciał zmienić dzień, mogła więc spokojnie wziąć moje milczenie za zgodę. Wyobrażałem sobie, jak przygotowuje mieszkanie, opuszcza żaluzje w salonie, ustawia czerwoną lampę w kącie, a potem obnaża dolną część ciała, pochyla się nad stołem, wspierając głowę na poduszce, i czeka na mój sygnał domofonem - nie (zrewidowałem scenariusz), zanim się pochyli nad stołem, musi usłyszeć dzwonek i wpuścić mnie do budynku, będzie jednak naga od pasa w dół i gotowa w każdej chwili zająć pozycję przy stole. Teraz więc może chodzi po mieszkaniu nerwowo jak ja, ale na wpół naga, albo siedzi na sofie ze złączonymi gołymi kolanami, jak dziewczyna z aktu Muncha, i czeka, zastanawiając się, czy przyjdę. Może podejdzie do okna, rozsunie listewki żaluzji i wyjrzy na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy zbliżają się ścieżką nad kanałem. Jak długo będzie czekać od piętnastej, nim zrozumie, że nie przyjdę, i się ubierze? Jak bardzo będzie jej głupio? Czy bardzo się zdenerwuje? Jaki będzie jej następny krok?

Około szesnastej trzydzieści zadzwonił telefon na moim biurku. Aż podskoczyłem i podniosłem słuchawkę, nie założwszy aparatu słuchowego. To była oczywiście Alex.

- Nie przyszedłeś - zaczęła.
- Nie.
- Szkoda. Obojgu nam dobrze by to zrobiło. - Odniosłem wrażenie, że nie dzwoni z mieszkania, tylko z miasta: w tle słychać było hałas, między innymi muzykę.

180

- Chyba uzgodniliśmy, że nie będziesz dzwonić do mnie do domu - powiedziałem.
- Pod warunkiem że mi pomożesz przy pracy doktorskiej - przypomniała. - Zresztą twojej żony nie ma teraz w domu.
- Skąd wiesz? - zapytałem.
- Bo właśnie na nią patrzę.

Ogarnęło mnie nieprzyjemne połączenie konsternacji i strachu.

- Jak to?

Roześmiała się.

- Widzę ją przez wystawę... - Jej głos ucichł, a mój słuch nie był dość dobry, by wyłapać następne słowa.

- Co? Co? - pytałem, szukając po omacku futerału z aparatem. - Nie słyszę cię. - Wcisnąłem aparat do prawego ucha i jej głos stał się słyszalny.

- Zdaje się, że sygnał w tym miejscu nie jest dobry - wyjaśniła.

- Gdzie jesteś? - zapytałem, chociaż już się domyśliłem.

- W centrum handlowym Rialto, przed Decor - poinformowała mnie. - Ładny sklep. Widzę tam twoją żonę, jak pokazuje klientce jakieś piękne poduszki. Ona to ta wysoka, w sztruksowej garsonce, zgadza się? Nie ta brunetka w mini?

- O co ci chodzi? - zapytałem lodowatym tonem.

- O twój składany parasol - odparła - Zostawiłeś go u mnie w zeszłym tygodniu.

- Wiem - powiedziałem. - Ale to stary parasol, mało mnie obchodzi.

- Cóż, tak się składa, że mam go tu ze sobą. Pomyślałam sobie, że skorzystam z okazji i oddam go. - Przez chwilę nic nie mówiłem. - Jesteś tam? Słyszałeś, co powiedziałam? Pomyślałam sobie, że wejdę do sklepu, przedstawię się twojej żonie i powiem: „Pani mąż zostawił to w moim mieszkaniu w zeszłym tygodniu, może mu pani przekazać?”

181

- Proszę cię, Alex, nie rób tego.

- Dlaczego? Przecież wie, że u mnie byłś?

- Nie, nie wie.

- Ach, w takim razie mam na ciebie haka - zachichotała.

- Czego chcesz?

- Chcę kontynuacji naszych spotkań. Są mi bardzo potrzebne.

Biłem się z myślami.

- W porządku, ale nie w twoim mieszkaniu - powiedziałem. Ulżyło mi, kiedy się zgodziła na ten warunek, i umówiliśmy się w kawiarni, którą znam, na drugim końcu miasta. -

1 przynieś parasol - dodałem przed zakończeniem rozmowy.

2 grudnia. Fred zaczęła ostatnio dawać mi klapsa w tyłek, kiedy się tego nie spodziewam, ale jeśli liczyła na rozbudzenie namiętności z tamtej nocy, zawiodła się. Jestem zbyt zaabsorbowany tym, jak się wyplątać z macek Alex, żeby mieć ochotę na seks. Z trudem wręcz hamuję okrzyk protestu, kiedy otrzymuję jeden z tych dowodów miłości, figlarny klapsik w wykonaniu Fred jest bowiem dość silny. Zastanawiam się nawet, czy w ten sposób nie próbuje wyładować swojej frustracji. W ostatnich dniach, od telefonu z Rialto, jestem szczególnie nieobecny duchem i mniej uważnie niż zwykle słucham tego, co do mnie mówi, ku jej zrozumiałemu skądinąd oburzeniu.

- Nosisz aparat, kochanie? - pyta mnie ciągle, a kiedy odpowiadam, że tak, ona podnosi oczy ku niebu w milczącym apelu o litość.

Wielokrotnie podejmowałem decyzję, że opowiem jej całą historię moich kontaktów z Alex, za każdym jednak razem opuszcza mnie odwaga. Dlaczego? Przecież nie byłem niewierny Fred... nie dotknąłem tej dziewczyny, nawet z nią nie flirtowałem. Chyba po prostu boję się śmieszności. Otóż to.

182

Zbłądziłem się. Pozwoliłem, by pozbawiona skrupułów dziewczyna swymi pochwałami owinęła mnie wokół małego palca. Wypowiadanie się z tego pomniejszyłoby mnie w oczach Fred i jeszcze bardziej osłabiło moją pozycję w naszym związku. Jest jeszcze coś. Wiem, że jeśli zacznę mówić, muszę powiedzieć wszystko, inaczej nie odzyskam prawdziwego spokoju ducha, tego szczęśliwego stanu, który Fred ponoć osiągnęła, kiedy na nowo stała się praktykującą katoliczką i poszła do pierwszej po dwudziestu pięciu latach spowiedzi, uczucia będącego -twierdziła - „czymś w rodzaju duchowego prania, jakby twoja dusza została wyprana, wyptukana, odwirowana, wykroch-malona i uprasowana. Albo nie... raczej jakby została wyprana w wodospadzie i rozłożona do suszenia w słońcu na słodko pachnącym krzewie". Żeby osiągnąć choćby namiastkę tego godniego pozazdrośczenia stanu, musiałbym wyznać wszystko, łącznie z zaproszeniem Alex do „ukarania” jej. „I zrobiłeś to?” - zapytałaby Fred, a ja odpowiedziałbym: „Oczywiście, że nie”. Wiedziałaaby jednak, że miałem na to wielką ochotę. Dopuściłem się tego w swoim sercu. Głupie, ale i żenujące. I co gorsza, Fred zdałaby sobie sprawę, że posłużyłem się nią, by odegrać tę erotyczną fantazję.

12

4 grudnia. Święta Bożego Narodzenia, jakże ja ich nie znoszę. Nie tylko świąt, już nawet samej myśli o nich, którą z każdym rokiem wtłaczają nam do mózgowi coraz wcześniej. Od kilku tygodni cała alejka w Sainsbury s poświęcona jest świątecznym ozdobom, świątecznemu papierowi do pakowania prezentów, świątecznym zabawkom, świątecznym serwetkom, gipsowym Mikołajom, plastikowym reniferom i prezentom o paskudnym wyglądzie i wątpliwej przydatności, wyprodukowanym głównie w mało chrześcijańskich Chinach. W gazetach i ich kolorowych dodatkach tyle jest teraz pomysłów na prezenty, przyjęcia, poncz oraz zbereźnych porad dla mężczyzn o kupowaniu bielizny dla partnerek, że trudno znaleźć cokolwiek wartego lektury. Maniacy świątełek współzawodniczą z sobą w przyozdabianiu fasad swych podmiejskich domów i ogródków jak najbardziej wymyślnymi aranżacjami migających kolorowych

lampek i bożonarodzeniowych postaci, doprowadzając do kolizji wśród zapatrzonych w nie kierowców. Restauracje oferują specjalne świąteczne menu przez cały grudzień, jak gdyby jedna porcja indyka z dodatkami raz na rok nie wystarczyła. Nawet maile z akcesoriami erotycznymi uderzyły w świąteczną nutę: otrzymana dziś rano wiadomość ozdobiona była rysunkiem blond laluni ubranej tylko w podkolanówki i buty na wysokich obcasach, rękami i nogami oplatającej śnieżnego bałwana, z podpisem: „Nasze ciaisi rozgrzało go w piętnaście minut!” Chyba w przypadku bałwana nie jest to bezpieczny seks?

184

Czy można jakoś wyjaśnić tę plagę wszechobecnych świąt Bożego Narodzenia? Kiedy byłem dzieckiem, w pierwszy i drugi dzień świąt mieliśmy wolne, a potem życie wracało do normy, teraz natomiast święta rozciągają się aż po Nowy Rok, jeszcze bardziej absurdałne święto, toteż cały kraj jest praktycznie sparaliżowany przez co najmniej dziesięć dni, a ludzie otępiali od zbyt dużej dawki alkoholu, cierpiący na niestrawność od obżarstwa, splukani od kupowania bezużytecznych prezentów, znudzeni i poirytowani od przymusowego zamknięcia w domu z męczącymi krewnymi i marudnymi dzieciakami, z zaczerwienionymi oczyma od oglądania starych filmów w telewizji. A przecież nie ma chyba gorszej pory na przymusowy urlop, pogoda jest wtedy bowiem najbardziej ponura, a dzień najkrótszy. Moim idolem jest Scrooge - a dokładniej niepoprawny Scrooge z pierwszej części Opowieści wigilijnej. „Hm! Bzdura!” Miał rację, oj miał. Jaka szkoda, że zmienił zdanie.

Czuję się lepiej teraz, kiedy wyrzuciłem to z siebie. Fred jest prawdziwą miłośniczką Bożego Narodzenia i denerwuje się, gdy zaczynam marudzić. Oczywiście ma ono dla niej autentyczne znaczenie religijne, ale też dobrze wpływa na obroty w sklepie, toteż całuje je w obydwa policzki. Poza tym lubi spraszać rodzinę, a raczej rodziny, i zupełnie jej nie przeszkadza, że po kilku godzinach zawsze zaczynamy działać sobie na nerwy, a nawet jeśli przeszkadza, to posiada umiejętność usuwania z pamięci wszelkich przykrych zdarzeń na długo przed

nadejściem kolejnych świąt.

✓

7 grudnia. Nie udało mi się uciec przez świątami nawet na zajęciach czytania z ruchu warg. Dzisiaj Beth rozdała nam na kartkach pytania, które mieliśmy sobie wzajemnie zadać i odpowiedzieć na nie bez głosu: „Zrobiłeś/aś już świąteczne zakupy?” „Czy wstajesz wcześnie w święta?” „Czy odwiedzasz ro-

185

dzinę i przyjaciół w święta?” „Jaki prezent chciałbyś dostać na święta?” „Masz indyka na świąteczny obiad?” itd. Potem odczytała nam bezgłośnie artykuł o największym na świecie bożonarodzeniowym puddingu i pokazała zdjęcia tego obrzydliwego, odrażającego obiektu. Podczas przerwy na herbatę Marjorie przypomniała nam, że powinniśmy się wpisać na listę, jeśli chcemy wziąć udział w klasowym świątecznym obiedzie na zakończenie semestru. Zostawiła listę na stole, a ja starannie unikałem zbliżania się do niej.

Na szczęście nie wszystko się kręciło wokół Bożego Narodzenia. W małych grupkach wykonywaliśmy

ćwiczenie związane z homofinami, dla osób niedosłyszących odpowiednikami homofonów, słowami, które po ruchu warg wyglądają tak samo, mają jednak inne znaczenie, na przykład marka, parka, barka albo raj, kraj, jaj i gaj. Musieliśmy zbudować zdania, wykorzystując jedno z tych słów, i przedstawić je grupie bez użycia głosu. Ja zbudowałem zdanie, wykorzystując wszystkie słowa z zestawu: „Kraj bez jaj, roślinny gaj to dla wegan raj”, czego oczywiście nikt nie potrafił zrozumieć i było mnóstwo śmiechu i protestów, kiedy się poddali i wypowiedziałem swoje zdanie na głos. Za popisywanie się w ten sposób spotkała mnie kara przy następnym ćwiczeniu, kwizie, który mieliśmy rozwiązać w parach, a była to lista słów z brakującymi literami tworzącymi nazwę zwierzęcia. Tak więc rozwiązaniem dla

____zczota było słowo pieszczota, dla u____czyć ukończyć,

a dla siano____y - sianokosy. Przypominało mi to łamigłówki z książeczek, które czytałem we wczesnym dzieciństwie, ćwiczenie to okazało się jednak dla mnie zaskakująco trudne, natomiast Gladys, starsza pani, z którą pracowałem w parze, okazała się absolutną mistrzynią i odgadła prawie wszystkie hasła przede mną. Powiedziała mi, że ma osiemdziesiąt sześć lat.

Jest za wcześnie, by mówić, na ile te zajęcia wpłyną na moją umiejętność czytania z ruchu warg podczas zwykłych roz-

186

mów, i wątpię, czy kiedykolwiek będą pomocne w sytuacjach, kiedy w przepływie informacji poziom redundancji i przewidywalności jest niski. Tak czy inaczej odbieram je jako kojącą i odświeżającą przerwę w tygodniu rutynowych zajęć, mile widziane oderwanie od niespokojnych introspekcji, którym emerytura tak bardzo sprzyja, i od problemów mojego obecnego życia osobistego. Przede wszystkim zaś cudownie odpręża przebywanie w środowisku, gdzie nie trzeba się czuć skrzepowanym, nie trzeba się martwić ani przepraszać za to, że jest się głuchym.

8 grudnia. Dzisiaj spotkałem się z Alex, tak jak się umawialiśmy, w Pams Pantry, kawiarni niedaleko głównego kampusu naszego drugiego uniwersytetu, dawnej wyższej szkoły zawodowej. Kiedyś po sąsiedzku znajdował się antykwariat, w którym od czasu do czasu szperałem, zanim Internet sprawił, że stracił rację bytu. Pams Pantry to lokal typu sosnowe meble i domowej roboty ciasto marchewkowe, pełen gości w porze lunchu, lecz po południu robi się tam spokojnie i nie puszczają z głośników żadnej muzyki. Nie zaglądałem tam od dłuższego czasu i nie rozpoznałem znudzonej młodej kobiety za ladą. Przybyłem wcześniej, wziąłem sobie herbatę i usiadłem w końcu sali, skąd miałem dobry widok na drzwi. Nie było zbyt wielu gości prócz prowadzącej szeptaną konwersację parki trzymającej się za ręce i kilku pojedynczych młodych osób wyglądających na studentów, którzy czytali sms-y z komórek i słuchali muzyki z iPodów. Kiedy pojawiła się Alex, nie rozejrzała się ani nie próbowała odnaleźć mnie wzrokiem, podeszła prosto do lady i zamówiła sobie kawę - latte, co wyde-dukowałem z ruchów kelnerki przy ekspresie do kawy. Trwało to chwilę i przez cały ten czas Alex stała odwrócona do mnie plecami. Jak zwykle ubrana była na czarno, w błyszczący czarny pikowany płaszcz przeciwdeszczowy, czarne spodnie i buty,

187

z długim czerwonym wełnianym szalikiem zaplecionym wokół szyi i opasującym jej jasne blond włosy. Później, z filiżanką na spodku w jednej dłoni i pojemną torebką w drugiej, odegrała starannie pantomimę - rozejrzała się, zastanowiła, gdzie usiąść, a potem dostrzegła mnie i z wyrażającym zaskoczenie uśmiechem podeszła i zapytała głośno: „Hej, mogę się przy-siąść?” Pozostali goście kawiarni, którzy do tej pory nie zwracali na żadne z nas uwagi, podnieśli wzrok. Zrozumiałem, że droczy się ze mną tym niepotrzebnym odegraniem scenki niby przypadkowego spotkania, bo efekt był przeciwny do zamierzonego. Zdjęła szalik, zrzuciła płaszcz i usiadła naprzeciwko. Wyjęła z torebki mój parasol i położyła go na siedzeniu wolnego krzesła przy naszym stoliku.

- Nie zabieraj go teraz - poradziła ciszej, gdy chciałem po niego sięgnąć. - Kiedy skończymy, wyjdę pierwsza i zostawię go tutaj. Ty zostaniesz jeszcze kilka minut, a potem go zabierzesz, jak gdyby nigdy nic, gdy będziesz wychodził.

- Czytasz za dużo powieści szpiegowskich - stwierdziłem.

Uśmiechnęła się, potwierdzając, że trafiłem w dziesiątkę ze źródłem inspiracji, po czym zamieszała swoją kawę.

- Wybaczyłeś mi już, Desmondzie? Sprawę z tą wypożyczoną książką i w ogóle?

- Nie ja mam tu wybaczać - odparłem. - Raczej pracownik biblioteki.

- Mam pójść do biblioteki i się przyznać? Wyrzucą mnie! Z uczelni też! Z tego kraju! Będę przymusowo wydalona jak nielegalny imigrant przyłapany na kradzieży w sklepie. - W jej jasnoniebieskich oczach pojawił się figlarny błysk.

- Czego ode mnie chcesz, Alex? - zapytałem. Męczyły mnie te żarty.

- W tym momencie listu pożegnalnego.

Zapytałem ją, co ma na myśli. Powiedziała, że kilka lat temu przeprowadzono w Ameryce eksperyment psychologiczny, któ-

188

ry polegał na tym, że pomieszano autentyczne listy pożegnalne samobójców z „pseudolistami” ułożonymi przez przyjaciół i rodzinę zespołu prowadzącego badania, i poproszono grupę studentów, by spróbowali odróżnić te prawdziwe od fałszywych.

- Odsetek prawidłowych trafień był zaskakująco wysoki. Okazało się, że w ten sposób można określić stylistyczne cechy prawdziwych listów pożegnalnych. Chcę powtórzyć ten eksperyment, proszę więc wszystkich znajomych, a nie mam ich tutaj, w Anglii, zbyt wielu.

- Chcesz, żebym napisał list pożegnalny...

- Tak, i żeby brzmiał jak najbardziej autentycznie.

- Ani mi się śni - odparłem.

- Dlaczego?

Zawahałem się. Przypomniałem sobie, jak mi opowiadała, że kilka lat temu było głośno o sprawie, kiedy pewien mężczyzna podstępem namówił żonę do napisania listu pożegnalnego, a potem ją ukatrupił. Nie mogłem uzasadnić odmowy współpracy powołaniem się na ten przykład, zresztą poważnie rzecz biorąc, nie podejrzewałem jej o mordercze zamiary, miałem jednak pewność, że oddanie w jej nieodpowiedzialne ręce dokumentu potencjalnie nader kompromitującego byłoby posunięciem wyjątkowo nierozsądnym. Szybko wymyśliłem inne uzasadnienie:

- Z tego samego powodu, dla którego nie skorzystałbym ze strony internetowej, gdzie po wprowadzeniu wszystkich danych osobowych wyświetla się data twojej śmierci.

Wyglądała na zaskoczoną.

- To znaczy boisz się, że to się może stać naprawdę?

- Coś w tym rodzaju.

- Czyżby w takim razie kusilo cię kiedyś, żeby popełnić samobójstwo? Dlaczego? - Porzuciła żartobliwy ton. Wbiła we mnie spojrzenie swych błękitnych oczu i czekała na odpowiedź.

- Stopniowo tracę słuch - powiedziałem. - Nie ma na to

189

f

Y,

lekarstwa. W końcu całkowicie ogłuchnę. To bardzo przygnębiające.

- Kurczę, jasne, mogę sobie wyobrazić, ale...

- Ale co?

- Nigdy nie spotkałam się z przypadkiem, żeby ktoś się zabił z powodu głuchoty - powiedziała.

- Beethoven był blisko - odparłem.

- Ale nie zrobił tego.

- Nie. Wciąż miał w sobie tę wspaniałą muzykę, którą chciał przelać na papier. Ja nie mam w sobie wspaniałej muzyki. Nie ma we mnie nic wspaniałego. - Wzruszony swym „tragicznym” położeniem, niemal uwierzyłem we własne słowa. Alex w każdym razie dała się przekonać.

- Hej - rzuciła, kładąc swoją dłoń na mojej. - Co ty wygadujesz? - Jej palce były chłodne i miękkie,

jak palce taty. Zaskoczyła mnie, ale nie cofnąłem ręki. Na środkowym palcu miała szafirowy pierścionek, który był jak odbicie jej oczu. -Masz ogromną wiedzę, Desmondzie, i możesz się nią dzielić z innymi, na przykład ze mną - powiedziała już lżejszym tonem, odsuwając dłoń.

Pomówiliśmy trochę o moich dawnych badaniach - a raczej to ja mówiłem. Ona była czarująca, chętnie mnie słuchała i muszę przyznać, że jej towarzystwo sprawiało mi przyjemność, zapomniałem też o konsternacji i zmartwieniach, których była powodem w minionych tygodniach. Postawiłem jej następną kawę, a sobie jeszcze jedną herbatę, oraz dwie porcje ciasta z marchwi. Ale kiedy zerknąłem na zegarek i powiedziałem, że muszę lecieć, powróciła do maniery z początku naszego spotkania i z konspiracyjnym uśmiechem powiedziała: „Ja wyjdę pierwsza. Nie zapomnij o parasolu”, wskrzeszając wspomnienie maila z opisem „kary” i jego następstw. Żadne z nas nie wspomniało o tym epizodzie i czułem, że poprzez niewyrażenie mojej dezaprobaty wziąłem na siebie część winy

190

za całą tę sytuację. Uśmiechnąłem się słabo i zostałem posłusznie na miejscu, gdy ona zabrała torebkę i szalik, a następnie zapięła płaszcz.

- Dziękuję za kawę i ciacho - powiedziała. - A jeśli zmienisz zdanie w sprawie listu...
- Nie zmienię...
- Dobrze... będziemy w kontakcie.

Po co, byłem ciekaw. Przyszedłem do kawiarni, żeby raz na zawsze zakończyć tę znajomość, i znów mi się nie udało. Patrzyłem, jak odchodzi między stolikami do drzwi; i ku memu przerażeniu zatrzymała się na krótko i przywitała z młodym mężczyzną, który siedział samotnie z otwartym na stoliku laptopem i podniósł wzrok, gdy przechodziła. Pochłonięty naszą rozmową, nie zauważyłem, kiedy wszedł do kawiarni. Po wyjściu Alex spojrzał w moją stronę, a ja zmusiłem go do odwrócenia wzroku. Zastanawiało mnie, czy nas obserwował i czy znalazł się w kawiarni na tyle wcześniej, by zobaczyć, jak Alex kładzie swoją dłoń na mojej.

Dziś wieczorem, po spisaniu przebiegu naszego spotkania, zacząłem układać na brudno list pożegnalny - nie z zamiarem przekazania go Alex, lecz jako ćwiczenie stylistyczne. Jego adresatem była oczywiście Fred, lecz tu od razu pojawiła się pierwsza trudność: Jak zwrócić się do niej? Fred czy Winifred? Najdroższa czy kochanie? Ostatecznie zdecydowałem się na „Najdroższa Winifred”, intymność epitetu równoważy tu bowiem oficjalność pełnego imienia, które w tej sytuacji wydaje się bardziej stosowne niż „Fred”. Łatwiej było sobie wyobrazić, co takiego przywiodło mnie do sytuacji, w której wolałem unicestwienie niż kontynuację świadomości, ponieważ wpadłem na to już podczas rozmowy z Alex: drastyczne przyspieszenie utraty słuchu prowadzące niemal do pełnej głuchoty.

191

Wszystko, co musiałem znosić - frustracje, upokorzenia, izolacja - gwałtownie się nasiliło. Nie słyszący już prawie nic. Nie umiejący się porozumieć przy żadnej wymianie słownej. W domu w najlepszym razie

milczący, zamknięty w sobie, obojętny towarzysz, w najgorszym zaś złośliwy, użalający się nad sobą ponurak. Psujący każdą zabawę, beużyteczny przy każdym wspólnym posiłku. Jako dziadek niezdolny się skomunikować z dorastającymi wnuczętami zmuszonymi tłumić chichoty wobec jego obojętnych spojrzeń i idiotycznych pomyłek. Nie warto tak żyć, napisałbym Winifred - „Moja głuchota jest ciężarem dla Ciebie i reszty rodziny, dla mnie zaś cierpieniem, nieodwracalnym, nieuniknionym. Zamierzam więc położyć temu kres. Proszę, nie dręcz się tym, moja kochana, Ty niczemu nie jesteś winna, nie możesz się obwiniać; nikt nie mógł okazać mi tyle dobroci i zrozumienia. Ale cierpliwość ma swoje granice i moja już się wyczerpała”. Kiedy jednak spisywałem wersję roboczą tego listu, jego nieszczerłość wycierała z każdego słowa, nawet ze znaków przestankowych (czy ktoś użył kiedyś w takim liście średnika?). Tak naprawdę nie wierzę, żeby Fred okazywała tak świątobliwą wyrozumiałość, jak sugerowałem, zresztą nie spodziewałbym się tego. I choć stan, który sobie wyobraziłem, mógł działać przygnębiająco, nie byłby zupełnie nie do wytrzymania. Wciąż pozostałyby mi pewne przyjemności, a poza tym nie cierpiałbym bólu. Mogłem napisać przekonujący list pożegnalny, biorąc za punkt wyjścia bolesną śmiertelną chorobę, lecz sama myśl o tym przywołała smutne wspomnienia

0 Maisie. Zarzuciłem więc to ćwiczenie.

Może to i prawda, że nikt jeszcze nie popełnił samobójstwa z powodu swojej głuchoty. Beethoven był całkiem blisko, ale nie zrobił tego, jak zauważyła Alex. Można powiedzieć, że Testament heiligenstadzki powstał zamiast listu pożegnalnego,

1 miał być znaleziony po naturalnej śmierci Beethovena, lecz jego rola sprowadzała się do tego samego co rola listu samo-

192

bójcy: miał wyjawić rodzinie i przyjaciółom głębię jego rozpacz, wyjaśnić, dlaczego wydawał się otoczeniu zręczliwym nie-towarzyskim draniem, i sprawić, by poczuli wyrzuty sumienia w związku z tym, że nie zdawali sobie sprawy z jego ciężkiego położenia. Może dlatego zacząłem spisywać ten dziennik; może tym właśnie jest - testamentem. Testamentem z Rectory Road.

9 grudnia. Tata zadzwonił rano, cały w skowronkach, bo wygrał trzy razy po pięćdziesiąt funtów w loterii z pożyczki premiowej i otrzymał pieniądze dziś - zaledwie dwa tygodnie po wysłaniu listu ze skargą na brak od pół roku jakichkolwiek wygranych.

- Widzisz? - triumfował. - A nie mówiłem?

- Tato, chyba nie sądzisz, że twój list skłonił ich do przyznania ci wygranej?

-Trzech wygranych! Oczywiście, że tak! Dałem im do wiwatu. Pomyśleli sobie: Ten Harry Bates nie jest głupi. Jeśli nie będziemy ostrożni, ściągnie na nas kłopoty. Sypnijmy mu trochę grosza, to go uciszymy.

Chciałem go przekonać, że to tylko zbieg okoliczności, ale potem pomyślałem: Dlaczego mam go pozbawiać tych kilku chwil triumfu?

- No to gratuluję ci, tato. Dobrze się sprawiłeś.

- Co nie? Bo ty mi nie pomogłeś, odradzałeś mi napisanie tego listu, pamiętasz?
- Muszę przyznać, że nie spodziewałem się tak magicznych rezultatów - rzekłem. - Nie jestem jednak pewien, czy da się to powtórzyć.
- Pożyjemy, zobaczymy. Może ktoś tam w Blackpool dopilnuje, żebym w przyszłości nie miał powodów do narzekań, i nie będę już musiał słać do nich więcej listów.
- Mam taką nadzieję, tato. Na co zamierzasz wydać pieniądze z wygranej?

193

bójcy: miał wyjawić rodzinie i przyjaciółom głębię jego rozpacz, wyjaśnić, dlaczego wydawał się otoczeniu zręcznym nie-towarzystwem, i sprawić, by poczuli wyrzuty sumienia w związku z tym, że nie zdawali sobie sprawy z jego ciężkiego położenia. Może dlatego zacząłem spisywać ten dziennik; może tym właśnie jest - testamentem. Testamentem z Rectory Road.

9 grudnia. Tata zadzwonił rano, cały w skowronkach, bo wygrał trzy razy po pięćdziesiąt funtów w loterii z pożyczki premiowej i otrzymał pieniądze dziś - zaledwie dwa tygodnie po wysłaniu listu ze skargą na brak od pół roku jakichkolwiek wygranych.

- Widzisz? - triumfował. - A nie mówiłem?
- Tato, chyba nie sądzisz, że twój list skłonił ich do przyznania ci wygranej?
- Trzech wygranych! Oczywiście, że tak! Dałem im do wiwatu. Pomyśleli sobie: Ten Harry Bates nie jest głupi. Jeśli nie będziemy ostrożni, ściągnie na nas kłopoty. Sypnijmy mu trochę grosza, to go uciszymy.

Chciałem go przekonać, że to tylko zbieg okoliczności, ale potem pomyślałem: Dlaczego mam go pozbawiać tych kilku chwil triumfu?

- No to gratuluję ci, tato. Dobrze się sprawiłeś.
- Co nie? Bo ty mi nie pomogłeś, odradzałeś mi napisanie tego listu, pamiętasz?
- Muszę przyznać, że nie spodziewałem się tak magicznych rezultatów - rzekłem. - Nie jestem jednak pewien, czy da się to powtórzyć.
- Pożyjemy, zobaczymy. Może ktoś tam w Blackpool dopilnuje, żebym w przyszłości nie miał powodów do narzekań, i nie będę już musiał słać do nich więcej listów.
- Mam taką nadzieję, tato. Na co zamierzasz wydać pieniądze z wygranej?

193

- Co? - spytał, a ja powtórzyłem pytanie. - Oj, nie wiem jeszcze - powiedział, a euforia szybko uleciała z jego głosu. - Nie wiem, czy chcę je w ogóle wydawać. Włożę do banku na czarną godzinę.

-Nie będę sugerował, żebyś sobie kupił nowy materac...

-1 dobrze.

Rozumowałem w ten sposób, że jeśli przeniesie się w najbliższej przyszłości do domu opieki, łóżko już tam będzie albo skorzystamy z okazji i kupimy mu nowe, nie uważałem jednak za roztropne, by mu to wszystko tłumaczyć. Chcąc zmienić temat, poinformowałem go, że zacząłem chodzić na kurs czytania z ruchu warg.

- Jaki kurs?

Po kilku powtórzeniach i wyjaśnieniach nazwy, wreszcie zrozumiał.

- No cóż, dla kogoś z twoim problemem, synu, taki kurs jest jak znalazł - oznajmił.

12 grudnia. Niepokojące spotkanie z Colinem Butterworthem na uniwersytecie. Wychodziłem z biblioteki, gdzie spędziłem trochę czasu w czytelni czasopism, gdy wchodził akurat po schodach do budynku. A właściwie przeskakiwał co kilka stopni - zawsze sprawia wrażenie, jakby się gdzieś spieszył - zatrzymał się jednak na mój widok i poczekał, aż zejść. Wiał silny wiatr, mierzwiąc jego ciemne loki, wśród których w dziennym świetle wyraźnie prześwitywała siwizna. Miał na sobie zamszową kurtkę i rozpiętą pod szyją koszulę.

- Cześć, Desmond - rzucił. - Jak leci?

- W porządku - odpowiedziałem, zastanawiając się, o co mu chodzi tym razem. Zwykle witamy się jedynie skinieniem głowy.

- Masz chwilkę?

194

Powiedziałem, że mam, a on zaproponował, byśmy poszli do jego gabinetu, a do biblioteki zajrzy później.

- To nie może czekać - stwierdził.

Po drodze opowiedział mi o pozycji naszego uniwersytetu w niedawno opublikowanym rankingu opartym na liczbie chętnych na jedno miejsce i anglistyka ponoć wypadła bardzo dobrze, choć rzecz jasna nie o tym chciał ze mną rozmawiać. Intuicja podpowiadała mi, że chodzi o Alex, i się nie pomyliłem. Kiedy zamknął za nami drzwi gabinetu, wskazał mi fotel z wysokim oparciem, sam zaś usiadł za swoim biurkiem w nowoczesnym obrotowym fotelu, nie należącym do standardowego uniwersyteckiego wyposażenia.

- Znasz Alex Loom - powiedział.

- Poznałem ją, owszem, jak już ci raz wspominałem.

- I spotkaliście się więcej niż jeden raz?

- Tak - odparłem, zastanawiając się, czy wie o naszym spotkaniu w Pams Pantry, nie wyobrażałem

bowiem sobie, żeby Alex powiedziała mu o moich wizytach u niej w mieszkaniu. -A czemu pytasz?

Chociaż siedział na miejscu egzaminatora, sprawiał wrażenie skrępowanego, pozbawionego pewności siebie i obrócił się w fotelu, żeby przenieść spojrzenie ze mnie za okno, na ciemne szare chmury mknące po niebie.

- Pewnie sobie pomyślisz, że to nie moja sprawa. Na pewno nie chcę się wtrącać...

Zniżył głos, więc nie dosłyszałem, co powiedział.

- Mam niestety słaby słuch - przypomniałem. - Nie całkiem...

Obrócił się w fotelu i spojrzał prosto na mnie.

- Przepraszam! Powiedziałem... cóż, jednym słowem, radziłbym ci się z nią nie zadawać.

- Spotkałem się z nią tylko kilka razy, żeby porozmawiać, na jej prośbę, o prowadzonych przez nią badaniach. Dałem

195

jej jasno do zrozumienia, że mogę jej pomagać tylko nieoficjalnie, w żaden sposób nie wchodząc w paradyę tobie jako jej promotorowi.

- Nie pomyślałeś o tym, żeby zapytać mnie o zdanie w tej sprawie? - zapytał, teraz już z nutką pretensji w głosie.

Miał pełne prawo zadać mi to pytanie i trochę po omacku szukałem satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Cóż, nie uważałem... nie uważam tego... za stały układ. Myślałem, że to będzie tylko pojedyncza konsultacja. Ona jednak jest strasznie uparta.

- I groźna - dodał. - Wspominała ci coś o mnie?

- Nie - odpowiedziałem z wahaniem.

- No to jeśli będzie coś mówić, nie zważaj na to. Moim zdaniem jest osobą poważnie zaburzoną, klasyczny typ schizoidalny.

- Dlaczego tak mówisz? ,

- Nie zauważyłeś niczego osobliwego, żeby nie powiedzieć dziwnego, w jej zachowaniu?

Wspomniawszy majtki w kieszeni płaszcza, zniszczoną książkę z biblioteki i zaproszenie, bym spuścił jej lanie, mogłem tylko wykrztusić z siebie mało przekonujące: „Nieszczególnie”.

- Pewnie dlatego, że za krótko ją znasz - stwierdził Butterworth. - Ma gwałtowne wahania

nastrojów. Robi coś szokującego, a potem błaga o wybaczenie.

- Co na przykład? - zapytałem.
- Och... coś głupiego... - Najwyraźniej nie chciał określić tego bliżej. - Ale potencjalnie kłopotliwego.
- Może powinna poszukać pomocy - podsunąłem. - Na uczelni jest poradnia psychologiczna.
- Dałem jej do zrozumienia, że mogłaby, ale ona śmieje się i zaprzecza, jakoby było z nią coś nie tak. Potem mówi, że ma dość terapii, i dowiaduję się, że w Ameryce chodziła na nie latami...

196

r

- Sprawia wrażenie całkiem inteligentnej - wtrąciłem.
- Jest bystra, ale nie aż tak, jak się jej wydaje albo chciałaby, żeby myśleli inni. Ma wieczny problem z oddawaniem prac do oceny, na wypadek gdyby ta nie zgadzała się z jej własnym wyobrażeniem.

Pomyślałem, że byłoby mało taktowne, gdybym wspomniał, że pokazała mi niezły rozdział swojej pracy, powiedziałem więc:

- Zamieściła w Internecie coś, co świadczy o dużej dozie dowcipu i inteligencji, bez względu na to, co się sądzi o stronie etycznej tego przedsięwzięcia.
- Masz na myśli poradnik o listach pożegnalnych dla samobójców? Tak, widziałem, wspomniała mi o nim. Bardzo wątpię, czy ona jest jego autorką.

Ta sugestia zaskoczyła mnie, natychmiast jednak dostrzegłem jej racjonalność i poczułem dziwne rozczarowanie.

- Czemu tak mówisz? - spytałem.
- Dokument jest anonimowy, każdy mógłby sobie przypisać jego autorstwo.
- Dlaczego miałyby zrobić coś takiego?
- Żeby zrobić wrażenie. Widzę, że na tobie je zrobiła.

Nie mogłem zaprzeczyć. Przypomniałem sobie też marsową minę Alex, kiedy wyraziłem wątpliwości co do ewentualnych konsekwencji istnienia takiej strony, i jej słowa: „Coś mi się zdaje, że pan tego nie pochwała”. Może zastanawiała się, czy zyska w moich oczach, jeśli wyzna, że tego nie napisała.

- Cóż, może i masz rację - stwierdziłem. - Nie da się tego ustalić.
- Istnieją dowody wewnętrzne. Leksyka tego tekstu jest bardziej brytyjska niż amerykańska. - Pozwolił sobie na chwilę zawodowej złośliwości. - Dziwię się, że tego nie spostrzegłeś.
- Cóż, przez pewien czas kształciła się w Anglii - odparłem zmuszony do obrony. - To może się trwale odbić na czymś stylu.

197

- Prawda - rzekł. - Ale jej naprawdę nie można zaufać. Jedyna próbka tekstu, jaką od niej wydobylem, okazała się w znacznej mierze przepisana z innego źródła.
- Na jaki temat? - zapytałem pełen złych przeczuć.
- Och, coś o podziale na akapity w listach pożegnalnych. Dwa typy, związane z motywacją samobójcy. Pojawił się krótki przypis z odwołaniem do pewnego artykułu z czasopisma psychologicznego, ale kiedy odnalazłem ten artykuł, odkryłem, że pochodziło z niego niemal wszystko, co napisała. Okazało się, że jego autorem był jej dawny chłopak. Powiedziała, że nie miałby nic przeciwko temu... najwyraźniej uważała, że to ją oczyszcza z zarzutu o plagiat.
- Rozumiem - powiedziałem. Czuję się jak skończony frajer i pewnie tak wyglądałem.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Butterworth zerknął na zegarek.

- Mam konsultację - poinformował. - Posłuchaj mnie, Des-mondzie... - Pochylił się w fotelu i spowaźniał. - Ta dziewczyna to same kłopoty i przeklinam dzień, w którym ją przyjąłem. Nie muszę ci mówić o presji, na jaką jesteśmy narażeni, żeby przyjmować doktorantów z zagranicy dla czesnego, i jak sobie pewnie możesz wyobrazić, odegrała przede mną bardzo przekonujące przedstawienie podczas rozmowy kwalifikacyjnej, zresztą referencje też miała w porządku. Sądzę jednak, że ona nie jest w stanie ukończyć pracy doktorskiej z powodów zarówno psychicznych, jak i intelektualnych. Radzę ci więc trzymać się od niej z daleka, w przeciwnym razie zobaczysz, że to ty będziesz pisał jej doktorat. I nie wierz w ani jedno jej słowo.

Podziękowałem mu za radę i zabrałem się do wyjścia. Na korytarzu kręcił się młody mężczyzna z laptopem, którego widziałem w kawiarni.

Muszę znaleźć jakiś sposób zerwania znajomości z Alex bez ściągania sobie na głowę kroków odwetowych. Ale jak to zrobić?

198

13 grudnia. Wczoraj wieczorem wydarzyło się coś, wskutek czego poradzenie sobie z problemem Alex będzie pod pewnymi względami łatwiejsze, pod innymi zaś trudniejsze. Udaliśmy się z Fred na świąteczną premierę Piotrusia Pana w Playhouse. Sztukę wystawiono przyzwoicie, z dbałością o najdrobniejsze

detale z epoki, ale Piotrusia Pana grał Murzyn. Młody aktor w tej roli był naprawdę niezły, lecz jego egzotyczność w edwar-diańskim środowisku ludzi zamożnych, która bez wątpienia wywołałaby jakieś komentarze ze strony dzieci Darlingów, a której tekst nie pozwalał im zauważać, ciągle mi przeszkadzała. Mógłbym zaakceptować społeczno-polityczne racje stojące za obsadą niezależną od koloru skóry, gdyby osoby je wysuwające przyznały, że często trzeba w związku z tym zapłacić pewną cenę estetyczną, nie zrobią tego jednak. Spierałem się na ten temat z Fred w foyer podczas przerwy - należy do stowarzyszenia przyjaciół tego teatru i zajęła odwrotne stanowisko -kiedy ku memu przerażeniu zobaczyłem, że zbliża się do nas Alex, uśmiechnięta, jak gdyby dopiero co mnie rozpoznała. Miała na sobie tę samą czerwoną jedwabną bluzkę, co podczas naszego pierwszego spotkania, lecz błyskawicznym, niemal niedostrzegalnym ruchem dłoni zapięła dolny z dwóch guziczków pod szyją, kiedy do nas podchodziła.

- Witam, panie profesorze - powiedziała.

Wydaje mi się, że w tych okolicznościach całkiem nieźle odegrałem rolę starszego, nieco roztargnionego wykładowcy, umiarkowanie zadowolonego ze spotkania z atrakcyjną znajomą i z możliwości przedstawienia jej żonie, gdyby tylko pamiętał, jak się nazywa.

- O! Witam! - powiedziałem. - Fred, to jest, eee...

- Alex - podpowiedziała uprzejmie, wcielając się w swoją rolę, i uścisnęła wyciągniętą dłoń Fred.

- Tak, Alex Loom, jest doktorantką na wydziale anglistyki, chyba wspominałem ci o jej projekcie badawczym...

199

- Ja już gdzieś panią widziałam - Fred zwróciła się do Alex. -Już wiem, w ARC, rozmawiała pani z Desmondem na bankiecie, podczas ostatniego wernisazu.

- Tak - wtrąciłem. - Zapytałaś mnie później, kto to, a ja nie miałem pojęcia, bo nie usłyszałem ani słowa z tego, co pani powiedziała. - Uśmiechnąłem się smutno, by pokazać, że był to niezamierzony żart.

- Desmond słabo słyszy - wyjaśniła Fred.

- Ojej - powiedziała ze współczuciem Alex. - Jak pan sobie radzi w teatrze? Musi być trudno.

- Owszem. Ale korzystam z tego urządzenia - powiedziałem, wyciągając z kieszeni zestaw słuchawkowy w kształcie kur-częcego mostka, którym potrząsnąłem w powietrzu. - I wiem, gdzie usiąść na widowni, żeby mieć najlepsze warunki do od-słuchu. Zresztą znam tę sztukę całkiem nieźle.

- Ja też, uwielbiam ją - rzekła Alex.

- Co pani sądzi o tej inscenizacji? - zapytała ją Fred.

- Sądzę, że jest genialna. Niezwykle odważna decyzja obsa-dowa. Dzięki temu ta postać, postać outsidera, zyskuje zupełnie nowy wymiar.

Skąd wiedziała, że taka odpowiedź zrobi wrażenie na Fred? A może mówiła zupełnie szczerze? Z Alex nigdy nic nie wiadomo. Gwar rozmów w foyer osiągnął poziom decybeli, który wykluczał mój dalszy udział w konwersacji, widziałem jednak, że panie świetnie się dogadują. Kiedy rozległ się dzwonek wzywający nas do powrotu, Fred znów uściśniła dłoń Alex i usłyszałem, jak mówi:

- Proszę zajrzeć o każdej porze, pracujemy od dziewiętej trzydzieści do osiemnastej, a w czwartki do dziewiętnastej.
- Dziękuję bardzo, na pewno wpadnę - obiecała Alex ze swym najbardziej ujmującym uśmiechem.
- Jaka sympatyczna dziewczyna - skomentowała Fred, kiedy kierowaliśmy się do naszych miejsc w pierwszych rzę-

200

dach. - Powiedziała jej o Décor i bardzo się zainteresowała. Potrzebuje zastół do swojego mieszkania.

- W twoim sklepie na pewno nie będzie jej na nic stać - wyrwało mi się nieroztropnie w rozdrażnieniu.
- Skąd wiesz? - odparowała Fred bez śladu podejrzliwości. - Może ma bogatych rodziców w Ameryce?

Miałem już powiedzieć, że Alex płaci za studia sama, postanowiłem jednak nie wyjawiać, że tak dużo wiem o jej sytuacji.

- Mówiłeś mi o temacie jej pracy doktorskiej, ale zapomniałam już - powiedziała Fred, gdy zajmowaliśmy nasze miejsca. - To było coś dość dziwnego...
- Stylistyczna analiza listów pożegnalnych samobójców.
- Właśnie. Co za przygnębiający temat sobie wybrała. Nigdy byś się nie domyślił, patrząc na nią. Sądzisz, że ma osobiste powody, by się tym interesować?
- Nie wiem - odparłem, gdy zgasły światła przed drugim aktem. - W ogóle mało o niej wiem.

Zwracałem niewiele uwagi na pozostałą część sztuki, rozmyślałem bowiem o konsekwencjach tego spotkania. Cieszyłem się, bo w umyśle Fred zadomowiła się myśl, że moja znajomość z Alex ma całkowicie niewinny charakter. Z drugiej strony ewentualność ich kolejnego spotkania, bez mnie, rodzi wiele niepokojących możliwości.

Tata ostatnio często do mnie dzwoni z zapytaniem, jakie kupić prezenty gwiazdkowe poszczególnym członkom rodziny. Usiłuję go przekonać, że nikt nie oczekuje od niego prezentów, on jednak odrzuca tę sugestię, twierdząc, że czułby się skrępowany, gdyby został obdarowany, a sam nikomu nic nie dał. Sensowny argument, który tylko podkreśla bezsens całego tego prezentowego rytuału. Próbuję go przekonać, żeby każdemu dał coś taniego, symbolicznego, on jednak zapomina, co

201

ma komu kupić, i dzwoni do mnie, żeby znowu o to zapytać. Mówię w końcu z pewnym zniecierpliwieniem, żeby dał każdemu to samo - choćby po małym pudełku czekoladek After Eight.

- Nie opowiadaj głupot - mówi. - Wyobraź sobie, że wszyscy otwierają prezenty ode mnie i znajdują to samo. Zrobiłbym z siebie pośmiewisko.
- W takim razie kup każdemu inne pudełko czekoladek. -Ku mojej ucieśze przyjmuje tę radę. - Z wyjątkiem Daniela i Leny - nie zapominam dodać. - Marcia nie lubi, jak objadają się słodyczami.
- Kto to? - pyta.
- Marcia jest córką Fred. Daniel i Lena to jej dzieci.
- O Boże - powiedział - nie policzyłem ich. Lepiej będzie, jak spiszę sobie ich imiona.
- Nie, daj spokój! Nie musisz im nic dawać - mówię, ale jest już za późno.
- A ty, synku? Tobie nie mogę dać pudełka After Eight.
- Jasne, że możesz - odpowiadam. - Uwielbiam te czekoladki. Mógłbym je wsuwać bez przerwy. U nas Fred zawsze wszystkie wyjada. - Oczywiście jest to czysty wymysł, ale załatwia sprawę.

Omawiamy logistyczną stronę jego wizyty. Dzień przed Wigilią przyjadę samochodem do Londynu i odwiozę go na Lime Avenue dwa dni po drugim dniu świąt.

- Dobrze by było, gdybyś był spakowany i gotowy do drogi, kiedy przyjadę - mówię.
- Będę musiał tego dnia opróżnić zbiornik z wodą. A to potrwa.
- Po co? - pytam.
- Jeśli się ochłodzi, mogą zamarznąć rury - wyjaśnia.
- Zostaw centralne ogrzewanie, to nie zamarzną - proponuję.

202

-Co?- wykrzykuje. - Mam zostawić ogrzewanie, jak mnie nie będzie w domu?

Wywiązuje się długi spór na ten temat i w końcu grożę, że nie przyjadę po niego, jeśli nie zgodzi się zostawić włączonego centralnego ogrzewania. Niechętnie, ale się godzi. Inna sprawa, czy dotrzyma słowa.

Odwiedziłem jeszcze dwa domy opieki dla osób starszych w naszej części miasta. Opłaty są precyzyjnie skorelowane z oferowanymi w nich warunkami, jak w przypadku cen biletów lotniczych. Na jednym końcu skali dostaje się stęchły zapach gotowania w jadalni i mdłego odświeżacza do powietrza w

świetlicy, meble z opalanego dębu i wyblakłą tapetę w kwiaty w sypialniach, na drugim zaś - klimatyzację, eleganckie meble z segmentów i gustowny wystrój. We wszystkich jednak panuje ta sama, dość melancholijna atmosfera samotności i stoickiego oczekiwania na śmierć, pogłębiona, a nie złagodzona przez krzykliwe bożonarodzeniowe ozdoby w świetlicach. Można sobie wyobrazić tych wszystkich starych ludzi, jak za dwa tygodnie będą starannie przeżuwać świąteczne kolacje, w papierowych kapelusikach na siwych i łysych głowach, i rozrywać bożonarodzeniowe tuby z niespodzianką, jeśli starczy im sił. Tata przynajmniej będzie mógł przyjeżdżać na święta do nas, jeśli zdołam go przekonać, żeby się przeniósł do takiego ośrodka. Najbardziej obiecujący wydaje się dom, którego broszurę pokazałem mu podczas ostatniej wizyty w Londynie. Nazywa się Blydale House i mieści w budynku specjalnie do tego celu zbudowanym, toteż panuje tam atmosfera lekkości, nowoczesności i wygody. Do nas jest stamtąd kilka kilometrów, ale leży na trasie autobusu, który mija koniec Rectory Road. Drogi, ale nie niemożliwie drogi. Umówiłem się, że zabiorę tam tatę nazajutrz po drugim dniu świąt.

203

ę

14 grudnia. Dzisiaj ostatnia w tym roku lekcja czytania z ruchu warg. Mieliśmy kolejne ćwiczenia i pogadanki na temat Bożego Narodzenia. Zamawianie świątecznego obiadu w restauracji. Pochodzenie Świętego Mikołaja. Historia jemioły. Największa na świecie tuba z niespodzianką. Po zajęciach wszyscy poszli na świątecznego indyka do pobliskiej restauracji. Nie zapisałem się na ten obiad pod pretekstem innego spotkania, ale ten wykręt rozbudził we mnie lekkie poczucie winy, kiedy się rozstawaliśmy, życząc sobie wzajemnie „Wesołych świąt”. Beth przedstawiła daty rozpoczęcia i zakończenia nowego semestru w przyszłym roku i zapowiedziała wizytę gościa. Okazuje się, że naprawdę istnieją zwierzęta pomagające inwalidom słuchu. Nie są to specjalnie szkolone papugi; nazywane są psami przewodnikami dla osób niedosłyszących i w styczniu mamy mieć pogadankę na ten temat.

Beth przynosi na zajęcia pisma publikowane przez Królewskie Krajowe Stowarzyszenie Osób Głuchych i Niedosłyszących oraz podobne organizacje i zostawia je na stole do przejrzania podczas przerwy. Mój wzrok przykuł artykuł pod tytułem Jak wyleczyć głuchotę o eksperymentalnym wykorzystaniu komórek macierzystych do pobudzania odrostu komórek rząsa-tych. Niestety program ten przyniesie jakies rezultaty dopiero w ciągu dziesięciu lat, a potem potrzebuje kolejnych pięciu na próby kliniczne, jest więc mało prawdopodobne, by mógł pomóc mnie. Artykuł był jednak interesujący i zaczynał się od stwierdzenia, że w Wielkiej Brytanii żyje dziewięć milionów osób głuchych lub niedosłyszących. Nie przypuszczałem, że głuchota zgubiła tak wielu*. Poza tym autor użył drastycznych słów do określenia traumatycznej utraty komórek rząsatych: „szkodliwe narkotyki lub dźwięki sprawiają, że komórki te obumierają w ramach czegoś w rodzaju samobójczej akcji. Zasad-

* W Ziemi jałowej T.S. Eliota „śmierć zgubiła tak wielu”.

204

niczo popełniają one samobójstwo w naszych uszach”. Czyżby więc naprawdę tamten zespół rockowy w Filmore West doprowadził do zbiorowego samobójstwa w moich uszach środkowych? Gdybym pamiętał

nazwę tej grupy, mógłbym ich pozwać do sądu, bez wątpienia jednak miałyby tu zastosowanie przepisy o przedawnieniu. Zresztą oni wszyscy też pewnie są już głusi. Mam taką nadzieję. Jest jeszcze dobra wiadomość: przeciwutleniacze w czerwonym winie mogą zapobiegać utracie komórek rzęsatych.

15 grudnia. Wczoraj wieczorem po powrocie do domu Fred poinformowała mnie, że do sklepu przysłała Alex i zamówiła zastony.

- Dałam jej zniżkę... pomyślałam, że powinnam, skoro i tak mamy wyprzedaż od stycznia, chociaż akurat ten materiał nie zostanie przeceniony. Ma doskonały gust. Jej komentarze na temat prac, które wystawiamy teraz w sklepie, były trafione w dziesiątkę.

Nowa znajoma wyraźnie oczarowała Fred.

- Myślę, że ją zaproszę do nas na drugi dzień świąt - dodała ku memu przerażeniu.

- Czy to aby dobry pomysł? - wyraziłem wątpliwość.

- Czemu nie, kochanie? - zapytała, a mnie nie przychodził do głowy żaden argument, który nadawałby się do przedstawienia Fred. - Ta biedaczka będzie sama, zupełnie sama w święta, tysiące kilometrów od domu - ciągnęła dalej. - Wyślę jej zaproszenie. Wezmę adres z formularza zamówienia na zastony. Ma mieszkanie w jednym z tych nowych bloków nad kanałem.

- Naprawdę? - powiedziałem, starając się przybrać jak najbardziej obojętny ton. Myśl o tym, że Alex zostanie wpuszczona do tego domu, będzie rozmawiać z gośćmi podczas na-

205

#

szego przyjęcia, przypoehlebiać się członkom rodziny, pozna tatę, który zachwyci się jej jasnowłosą urodą i bez wątpienia będzie ją raczył swoimi wojennymi wspomnieniami o występach na potańcówkach w amerykańskich bazach lotniczych, mocno mnie przeraża.

18 grudnia. Obudziłem się rano z drapaniem w gardle, które zapowiadało początek przeziębienia. I rzeczywiście po południu bolało mnie już solidnie przy przełykaniu: tylko tego mi trzeba tuż przed świętami. Poza tym wśród porannej poczty znalazł się list do Fred z adresem Alex na odwrocie koperty, który niewątpliwie zawierał podziękowanie za zaproszenie. Położyłem go na wierzchu małej sterty korespondencji na stoliku w przedpokoju i zerkalem nań z niepokojem za każdym razem, kiedy wchodziłem i schodziłem po schodach. Kiedy wróciła Fred, zabrała listy do kuchni, żeby je otworzyć - jak ma w zwyczaju - przy filiżance herbaty lub kieliszku czegoś mocniejszego, zależnie od pory dnia i kaprysu. Ja już tam na nią czekałem.

- Herbata czy coś mocniejszego?

Poprosiła o kieliszek białego wina, będąc w dobrym humorze, bo wadliwy włoski materiał, który kilka

tygodni temu spowodował drobny kryzys, został wymieniony odpowiednio wcześniej, żeby zdążyć z uszyciem zasłon dla klientki na święta. Ron miał je założyć jutro. Odwróciłem się od niej, żeby wyjąć butelkę aligote z lodówki, a wtedy powiedziała coś, czego nie rozumiałem. Kiedy się odwróciłem, trzymała w ręku list.

- Co? - zapytałem.
- Alex Loom wraca do Stanów.
- Na stałe? - Płonna nadzieja przedostała się z moich myśli na usta. W jednej chwili ucieszyłem się wizją Alex usuniętej z mojego życia w sposób tak nagły i cudowny.

206

- Nie, oczywiście, że nie, kochanie - powiedziała Fred. -Tylko na święta. Po co zamawiałyby zasłony, gdyby wyjeżdżała na stałe do domu?
- Ach, zapomniałem o tym - wybąkałem słabym głosem.
- Zresztą nie skończyła pracy doktorskiej, prawda?
- Nie. Pomyślałem, że może postanowiła ją rzucić. Nie jest zadowolona ze wsparcia, jakie daje jej Butterworth.
- W takim razie ty musisz zrobić, co się da, żeby jej pomóc, kochanie - zaproponowała Fred. - Masz mnóstwo wolnego czasu.
- O, dziękuję ci bardzo - powiedziałem. W mojej uwadze było więcej sarkazmu, niż Fred sobie uzmysławiała. Teraz mam jej pozwolenie na spotkania z Alex tak często, jak zechcę... ale jest to ostatnia rzecz, której bym sobie życzył.
- Bardzo żałuje, że ominie ją nasze przyjęcie, pisze - kontynuowała Fred, przeglądając list - ale ojciec przysłał jej pieniądze na przelot do domu na święta, więc oczywiście musi jechać.
- Cóż, Bóg mi świadkiem, że na to przyjęcie zaproszonych jest już wystarczająco dużo gości - stwierdziłem, kryjąc moje odczucia za zrtajomą maską zrędy. Jeśli nie jest to cudowne ocalenie, o którym przez chwilę marzyłem, to przynajmniej miło jest wiedzieć, że Alex nie będzie tutaj, by mnożyć i tak liczne stresy związane ze świętami.

13

22 grudnia. Ostatnie dwa dni spędziłem w łóżku, chcąc się wy-kurować, zanim będę musiał pojechać do Londynu po tatę -w łóżku w pokoju gościnnym, żeby nie zarazić Fred ani nie przeszkadzać jej w nocy kaszlem i pluciem. Był to też sposób na zapadnięcie się pod ziemię, uniknięcie kontaktu z Alex czy kimkolwiek innym. Leżałem zwinięty w kłębek pod kołdrą z programem Radio Four w słuchawkach i powieścią Trollopea na pociechę.

Dzisiaj poczułem się lepiej i byłem gotów wrócić do normalnego życia. Rano przejrzałem pocztę elektroniczną, spodziewając się wielu wiadomości od Alex, znalazłem wszakże tylko jedną, z informacją, że nie może niestety przyjść na przyjęcie i cieszy się na nasze kolejne spotkanie w nowym roku. Było za to wiele świątecznych reklam viagry - „Daj jej prezent, który naprawdę doceni!” „Naładuj się na przerwę świąteczną”. Ciekawe, co wymyślą na następne duże święto - „Zmartwychwstań na Wielkanoc”? Znalazłem też wygenerowaną komputerowo wiadomość z biblioteki uniwersyteckiej przypominającą o zwrocie książki Liverwrighta o analizie dokumentu. Z braku lepszych zajęć zastanawiałem się, czy Alex znowu ją wypożyczy i będzie próbować usunąć turkusowe znaki jakimś roztworem chemicznym.

23 grudnia. Odyseja dobiegła końca. Operacja o kryptonimie „Przywieźć tatę” zakończona pomyślnie - aczkolwiek nie bez

208

pewnych trudności. Wielokrotnie zastanawiałem się dzisiaj, czy nie rozsądniej byłoby pojechać pociągiem, ale ilekroć w ostatnich latach rozważam tę opcję, zdaje się ona wiązać z tyloma ewentualnymi komplikacjami, że zawsze z niej rezygnuję. Pociągi tuż przed świętami są zatłoczone, musiałbym więc wykupić miejscówki i zamówić taksówkę z Brickley o takiej porze, żebyśmy - uwzględniając możliwe korki w centrum Londynu - dotarli na dworzec Kings Cross odpowiednio wcześniej przed odjazdem naszego pociągu, ale nie tak wcześniej, byśmy musieli bez końca snuć się po peronie w oczekiwaniu na podstawienie pociągu. A potem, nawet gdyby ten etap podróży przebiegł bez zakłóceń, zawsze istniało niebezpieczeństwo, że pociąg nie podjedzie, kiedy my dotrzemy na stację, ponieważ będzie miał opóźnienie albo zostanie odwołany, a wówczas nasze miejscówki straciłyby ważność, my zaś musielibyśmy dołączyć do legionu oszalałych pasażerów w pędzie do wolnych miejsc w następnym pociągu. Biorąc to wszystko pod uwagę, wolałem zaryzykować podróż samochodem. Wiedziałem, że będzie dłuższa, że czekają nas zatory na drogach, ale kiedy już zapakuję tatę do auta, a jego rzeczy do bagażnika, nie muszę się martwić o to, że mam gdzieś dotrzeć o ustalonej porze, i mogę być pewien, że wcześniej czy później, ale w końcu trafimy na Rectory Road.

Wyjechałem w zimowych ciemnościach o 6.30, wypiwszy tylko filiżankę herbaty, śmignąłem przez niemal puste centrum miasta i niedługo potem mknąłem umiarkowanie zatłoczoną autostradą M1, z Radiem Four włączonym tak głośno, że nikt o zdrowym słuchu by tego nie zniósł. Komunikaty drogowe zawierały niepokojące wiadomości o mgle na południu, opóźnieniach na lotniskach itd., ja jednak szybko sunąłem do przodu, aż do stacji benzynowej niedaleko Leicester, gdzie się zatrzymałem na śniadanie. Potem ruch i atmosfera stopniowo się zagęszczały i dopiero przed dziesiątą dotarłem do

209

końca M1. Stamtąd powoli przedzierałem się przez zamglony Londyn, którego ulice zapełniali ludzie gorączkowo zaopatrujący się w jedzenie i napoje na święta, zupełnie jakby zapowiadano jakieś oblężenie, na Lime Avenue pojawiłem się więc dopiero po jedenastej. Tata czekał na mnie w zaciemnionym domu z zaciągniętymi we wszystkich pokojach zasłonami, ubrany w płaszcz i czapkę, ze spakowanymi torbami i laską w ręku. Wyglądał, jak gdyby był gotów od kilku godzin. Przez kilka minut krzyczeliśmy do siebie.

- Co tak długo? - zapytał.
- Mówiłem, że dojadę tu na wpół do jedenastej.
- Myślałem, że na wpół do dziesiątej - odparł.
- Gdybym chciał dojechać na wpół do dziesiątej, musiałbym się przecież obudzić w środku nocy - powiedziałem z irytacją w głosie. - To długa podróż.
- Za długa, jeśli chcesz znać moje zdanie. Po coś się wynosił na północ?
- Znalazłem tam pracę, tato - przypomniałem, nie wiadomo po raz który.

Razem z nim sprawdzam listę rzeczy do zrobienia przed wyjazdem:

- Mleko odwołane?

-Tak.

- Gazety odwołane?

-Tak.

- Centralne włączone?

Ponure „tak”.

W rzeczywistości zakręcił większość kaloryferów, przypuszczam jednak, że gorąca woda krążąca w rurach wystarczy.

- Powiedziałeś Barkerom?

-Co?

- Powiedziałeś Barkerom, sąsiadom? - powtarzam, myśląc, że nie dostyszał.

210

- Co powiedziałem?

- Że wyjeżdżasz.

- A po co? Nie ich interes.

- Nie dajesz im kluczy przed wyjazdem na dłużej? - pytam. Wiem, że tego nie robi, udaję tylko, żeby dać upust swojej irytacji.

- Oczywiście, że nie! - odpowiada z oburzeniem. - Nie chcę, żeby tutaj przyłazili i myszkowali pod moją nieobecność.

- Podejrzewam, że w święta mają lepsze rzeczy do roboty.

Przed wyjazdem pukam do sąsiednich drzwi. Barkerowie

nie są najbardziej charyzmatyczną parą na świecie, liczę jednak na to, że mają tatę na oku i zadzwonią do mnie, jeśli coś wzbudzi ich niepokój. Drzwi otwiera pani Barker.

- O, witam pana! - mówi piskliwym głosem i chichocze. Ten nerwowy chichot rozlega się w jej wypowiedziach regularnie. - Jak się ma tata?

W przedpokoju za nią majaczy zwalista postać pana Bar-kera w koszuli i szelkach, z bezprzewodową wiertarką w ręku. Informuję ich, że zabieram tatę na święta („Och, ale mu się trafiło” - chichot) i że byłbym wdzięczny, gdyby przypilnowali domu.

- Z boku dachu przecieka rynna, trzeba się tym zająć - informuje pan Barker.
- Tak? Dziękuję, że mi pan mówi. Po jego powrocie postaram się tym zająć.

Dom Barkerów jest w idealnym stanie, a jego ulepszanie jest głównym zajęciem pana Barkera po przejściu na emeryturę i wiem, że stosunkowo obskurny wygląd domu taty jest tutaj drażliwą sprawą.

- Dobrze, musimy ruszać w drogę - mówię. - Wesołych świąt.
- Tak, wzajemnie! - odpowiada pani Barker i chichocze. Jej mąż wraca do czynności, którą mu przerwałem, lecz tak jałowe jest życie pani Barker, że stoi w drzwiach skulona z zimna,

211

i patrzy, jak wyprowadzam tatę z domu i umieszczam go na przednim siedzeniu samochodu. Z przyklejonym uśmiechem macha nam na pożegnanie.

Tłok w centrum Londynu był jeszcze gorszy w drodze powrotnej i musieliśmy się zatrzymać na pierwszej stacji benzynowej na M1 na późny lunch, mając wciąż przed sobą dłuższą część trasy. Mgła spowolniła ruch, na autostradzie często tworzyły się korki i zaczynałem sobie uświadamiać, że do domu dotrzemy dopiero późnym wieczorem. Tata początkowo był gadatliwy, doradzał mi, jaką najlepiej obrać trasę przez Londyn: „Pod żadnym pozorem nie przejeżdżaj przez Camberwell i Victoria, to kraina tysiąca sygnalizatorów”; krytykował innych kierowców: „Widziałeś tego idiotę? Nawet nie włączył świateł! Pierun!”; prosił mnie, żebym przeliczał cenę benzyny za litr wyświetlaną na mijanych stacjach na cenę za galon: „Co, cztery funty za galon? Chyba żartujesz?”; wspominał dalekie podróże samochodem na występy na balach myśliwskich na prowincji: „Wzgórza? Nie widziałeś wzgórz, jakie mają w Walii. Wszędzie same wzgórza. Kiedyś Archie Silver... nasz basista... już nie żyje... zapakował pięciu nas do wolseya... instrumenty do przyczepy... i kiedy zjeżdżał ze wzgórz stromego jak zbcze góry, popsuty mu się hamulce”.

O dziwo, mgła najwyraźniej go nie martwiła. Myślę, że mógł ją przypisać zaćmie w lewym oku. Po lunchu

zasnął, prowadziłem więc w niebiańskiej ciszy. Ale kiedy się obudził, chciał siusiu. Minąłem właśnie stację, a od następnej dzieliło nas co najmniej trzydzieści minut.

- Zabrałeś do samochodu tę butelkę? - zapytał, szukając jej po omacku pod siedzeniem.
- Jaką butelkę? - zapytałem ze ściśnięciem w gardle. Zupełnie zapomniałem o mojej propozycji sprzed kilku tygodni,

212

żeby na wypadek tego typu potrzeby mieć przygotowaną butelkę.

- Po mleku, w brązowej papierowej torbie, stała w przedpokoju przy drzwiach. Mówiłem, żebyś ją schował pod moim siedzeniem, jak wynosiłeś torby.

- Nie słyszałem cię, tato.

Do Londynu jechałem bez aparatu i założyłem go dopiero kilka minut po przybyciu - o tej butelce musiał wspomnieć wcześniej. Albo powiedział mi o niej później, kiedy już miałem aparat, ale ściszym głosem, bo był zawstydzony, albo kiedy byłem odwrócony do niego plecami, albo kiedy myślami byłem gdzie indziej i nie zwracałem uwagi na to, co do mnie mówi.

- Świetnie się spisałeś, synu - powiedział z wyrzutem.

Poczułem się okropnie.

- Mogę się zatrzymać na poboczu - zaproponowałem. -Wprawdzie nie jest to dozwolone, chyba że w uzasadnionych przypadkach...

- I co miałbym zrobić? - chciał wiedzieć. - Mam po ciemku przedostać się na pole przez ogrodzenie z drutu kolczastego?

- Oczywiście, że nie. Możesz sikać na tylne koło samochodu, jak taksówkarze, no wiesz, przepisy zezwalają im na to.

Zignorował tę próbę przejścia na lżejszy ton.

- Co? I wszystkie przejeżdżające samochody będą mnie oświetlały? Dziękuję ci bardzo.

Prawdę mówiąc, cieszyłem się, że nie chce się zatrzymać, bo byłoby to niebezpieczne: ściemniało się i widoczność była coraz gorsza.

- To co robimy?

- Wytrzymam do następnej toalety - zadeklarował ponuro.

Trzymał się bardzo dobrze. Dopiero kiedy przecinaliśmy

parking, żeby dostać się na teren jasno oświetlonego kompleksu ze sklepami i kawiarniami, nie był już w stanie utrzymać kontroli nad pęcherzem.

213

I

II

- O Jezu Chryste! - zawołał, schylając się w pół i chwytając za krocze. - Zmoczyłem się.

- W porządku, tato, nie martw się - próbowałem go uspokoić.

-Nie martw się?! - wykrzyknął. - Co ja teraz zrobię? Mam tu siedzieć do końca podróży w mokrych i śmierdzących portkach?

Szybko wymyśliłem pewien plan.

- Pójdziemy do toalety. Wejdiesz do kabiny i zdejmiesz spodnie, podasz mi je pod drzwiami i zostaniesz tam, a ja pójdę w tym czasie do samochodu i wyjmę z twojej torby świeże spodnie... wzięłeś parę na zmianę, prawda? Świetnie. Wsunę ci je pod drzwiami i będziesz się mógł przebrać. Dobrze?

Co powiedziałem, zrobiliśmy. Wszystko poszło całkiem niezłe, tylko że zapomniałem przynieść z samochodu suche majtki razem ze spodniami. Zapytałem, czy chce, żebym się po nie wrócił.

- No chyba nie myślisz, że będę siedział w tym wozie Bóg jeden wie, jak długo jeszcze, w spodniach bez majtek? - zwrócił się do mnie przez drzwi kabiny. - Te spodnie są z czystej wełny, będą mnie gryzły, jak nie włożę majtek.

Ta rozmowa, która musiała być przeprowadzona na wysokim poziomie głośności i z wieloma powtórzeniami przez drzwi WC, stanowiła niezłą rozrywkę dla innych mężczyzn odwiedzających toaletę. Udałem się więc z powrotem do samochodu, żeby wyszperać z jego torby rozepchane majtasy, i wróciłem z nimi do toalety. Kiedy on się przebierał, ja przepłukałem zmoczone spodnie w umywalce i podsuszyłem je pod suszarką do rąk. Kiedy wykonywałem tę czynność, ściągnąłem kilka zaciekawionych spojrzeń, ale wtedy już nie czułem ani wstydu, ani zażenowania; a może uczciwiej byłoby powiedzieć, że przyjąłem je jako słuszną karę za moje niedbalstwo w sprawie butelki.

214

To był długi, wycieńczający dzień, a jedyną rekompensatą była świadomość, że wyprawa po tatę uchroniła mnie przed innymi świątecznymi obowiązkami. Dziś rano Marcia pomogła Fred przy wielkich świątecznych zakupach w Sainsbury's, które dla mnie są prawdziwą mordęgą: przeładowane wózki blokujące ruch w alejkach, długie i powoli przesuujące się kolejki przy kasach, ludzie zachowujący się raczej jak szabrownicy, walczący o najlepsze produkty (w ostatnie święta widziałem, jak pewna kobieta kradnie ostatnie opakowanie organicznych grzybów z wózka osoby, którą akurat się odwróciła). Byłem zadowolony, że tym razem ominęło mnie to wszystko. I nie musiałem odbierać z dworca matki Fred,

która przyjeżdżała pociągiem ze swojego apartamentu w Cheltenham - Fred zrobiła to sama, gdy Jakki wspaniałomyślnie zaproponowała, że zostanie w sklepie, skoro nie ma rodziny, którą musiałyby się zająć.

Kiedy około dziesiętnastej dotarliśmy z tatą do domu, Fred ubierała wielką choinkę w salonie, obserwowana i instruowana przez matkę siedzącą w fotelu przy kominku w ulubionej przez nią pozycji Britannii - wyprostowane plecy, wysoko głowa, lekko rozchylone kolana pod długą spódnicą, a zamiast tarczy przywieziony „Daily Telegraph”. Pod drzewkiem leżał już niewielki stosik zapakowanych prezentów. Małeńka szopka z figurkami wyrzeźbionymi z drzewa oliwkowego, zakupiona w Betlejem i sprezentowana przez rodziców Fred wiele lat temu, zajmowała już swoje miejsce na regale. Z dyskretnie rozstawionych głośników sączyły się kolędy. Widok był przyjemny, jak gdyby specjalnie zainscenizowany, żeby zrobić odpowiednie wrażenie. Muszę przyznać, że Fred jest mistrzynią w organizowaniu świąt. Ale niemal od razu doszło między nami do małej scysji: kiedy poprosiła mnie o pomoc przy opleceniu drzewka lampkami, oznajmiłem, że jestem za bardzo zmęczony, i zapytałem, czy nie można z tym poczekać do jutra, toteż z westchnieniem zniecierpliwienia zrobiła to sama, kiedy ja nalewałem sobie i tacie po

215

drinku. Świąteczka nie chciały się palić, Fred się zdenerwowała i w końcu musiałem rozłożyć cały kabel na podłodze i sprawdzić, czy wszystkie żaróweczki siedzą mocno w oprawkach, aż znalazłem winowajczynię, która przerywała obwód. Mam nadzieję, że nie jest to przedsmak czekających nas kłótni. Problem polega na tym, że gdy tylko dochodzi do najdrobniejszej sprzeczki między mną a Fred, nasi rodzice instynktownie biorą stronę swojego dziecka i czynnik niezgody zostaje podwojony. Tata namawiał mnie, żebym dopił drinka, zanim zajmę się lampkami, a matka Fred napomknęła, że jej świętej pamięci małżonek zawsze uważał zawieszenie bożonarodzeniowych lampek za swój obowiązek. Pan Fairfax zmarł pięć lat temu.

Pani Cecilia Magdalene Fairfax, by podać jej pełne imię i nazwisko, jest wysoką, energiczną, siedemdziesięciosiedmio-letnią wdową o olbrzymim biuście, który daje mi pewne wyobrażenie o tym, jak mogłaby wyglądać Fred w tym samym wieku, gdyby nie poddała się operacji zmniejszenia piersi (nigdy nie powiedziała o tym matce, udając, że się „odchudziła”). Cecilia nie ma z tatą absolutnie nic wspólnego i czasem spogląda na niego z podszytym przerażeniem niesmakiem, niczym dama na włościach, która odkrywa, że z niewiadomego powodu któryś członek rodziny zaprosił do salonu ogrodnika, i teraz nie można go wyprosić. On natomiast uważa ją za „sztywne babsko” i poczytuje sobie za obowiązek rozruszanie jej dowcipami i anegdotami. Nazywa ją „Celią”. Kiedyś go poprawiła, a on oświadczył, że „Cecilia” ma o jedną sylabę za dużo dla starca ze sztuczną szczęką.

- I dlatego zwracam się do ciebie w skrócie „Celia”. Nie przeszkadza ci, co?
- Skoro pan musi - odpowiedziała lodowatym tonem. -Chociaż oczywiście to dwa zupełnie różne imiona. Cecilia była dziewczą, męczennicą Kościoła. A Celia to zwykłe rzymskie imię, pogańskie.

216

Myślę, że tak naprawdę wolałaby, gdyby mówił do niej „pani Fairfax”. Niezmiennie zwraca się do niego „panie Bates”, choć on wielokrotnie ją prosił, by mówiła mu po imieniu.

24 grudnia. Dom zaczyna się zapełniać. Dziś po południu przybył Giles, drugie dziecko Fred, z żoną Nicolą i dziewięciomiesięcznym synkiem Basilem - przyjechali z Hertfordshire czarnym bmw z napędem na cztery koła, ogromnym wysokim pojazdem kupionym niedawno w miejsce porsche, żeby zapewnić ich cennej latorośli maksimum bezpieczeństwa. Ma prawie nieprzejrzyste przyciemniane szyby, by pokrzyżować szyki potencjalnym porywaczom, oraz nalepkę na tylnym oknie z napisem „Dziecko w samochodzie”, odwołującą się do sumień kierowców, którzy chcieliby ewentualnie stuknąć ich od tyłu. Z trójki dzieci Fred Giles jest najzamożniejszy. Andrew opłacał mu studia w Downside, a po uniwersytecie syn poszedł w ślady ojca i znalazł pracę w banku kupieckim w londyńskim City. Dzisiaj ma minę kogoś, kto dostał nadzwyczaj satysfakcjonującą premię świąteczną i z trudem się hamuje, żeby nie podać jej wysokości. Nicola jest specjalistką od prawa handlowego, ale postanowiła na cztery lata wycofać się z zawodu, żeby urodzić dwójkę dzieci - liczba została precyzyjnie określona, jak w zestawieniu bilansowym. Można mieć pewność, że dzieci też się zbilansują - będzie chłopiec i dziewczynka. Nicola to kobieta atrakcyjna, o mało jednak wyrazistej urodzie, elegancko ubrana, elokwentna, ale dość nudna.

Ben, najmłodszy syn Fred, przyjechał ze swoją dziewczyną Maxine wieczorem, później niż oczekiwano, a powodem opóźnienia nie była mgła, tylko świąteczny bankiet w siedzibie telewizyjnej firmy produkcyjnej, w której pracuje: „Potem musieliśmy trochę dojechać do siebie na wypadek, gdyby zatrzymała nas po drodze policja”. Ben zawsze wydawał mi się najsym-

217

patyczniejszy ze wszystkich dzieci Fred: wesoły, rozluźniony, ekstrawertyczny młody chłopak, który odrzucił ojcowską propozycję wysłania go w ślad za bratem do Downside i wybrał miejscową szkołę państwową. Pracuje przy jednym z tych programów telewizyjnych o kupowaniu, sprzedawaniu, zamienianiu, remontowaniu i odnawianiu domów, od których brytyjscy widzowie są chyba uzależnieni, bo jest ich tyle na każdym kanale. Ten gatunek programów nazywa lekceważąco „mieszkaniowym porno”, uważa jednak, że w ten sposób może się nauczyć co nieco o kręceniu filmów dokumentalnych. Maxine, jego partnerka od dwóch lat, jest telewizyjną charakteryzatorką, ładną, długonogą i sympatyczną, mówiącą z akcentem Estuary i wyjąłową z wszelkich myśli, które nie są związane z telewizją, modą i kosmetykami. Zmusza Bena, by chodził z nią na tandetne horrory, bo chce zobaczyć charakterystykę. W rodzinie Fred panuje zgodna opinia, że jest osobą dość pospolitą, i Cecilia jest boleśnie rozdarta pomiędzy strachem, że Ben się z nią ożeni, a moralnym potępianiem konkubinat. Maxine świetnie natomiast dogaduje się z tatą, który jest w niej zadurzony i kupił jej największe pudełko czekoladek.

Fred, Cecilia, Giles, Ben i Maxine udali się do kościoła parafialnego na pasterkę, która zaczyna się o 22.30 od kolęd. Ben nie jest praktykującym katolikiem, Giles jest nim tylko z nazwy, a Maxine nie praktykuje niczego, co nie miałooby związku z kosmetykami, towarzyszą jednak Fred i jej matce w duchu świątecznej solidarności. W przeszłości czasem wybierałem się na pasterkę z nimi, ponieważ jest to chyba jedyne nabożeństwo kościelne, które zdecydowanie lubię, przynajmniej śpiewanie kolęd, nie chciałem jednak zostawiać taty na głowie Nicoli, która udała się na spoczynek z dzieckiem. On wprawdzie też się położył, lecz wczoraj w nocy zastałem go w piżamie na podeście schodów, gdy oszołomiony i dezorientowany szukał łazienki, z emaliowanym dzbankiem w ręku,

»

który dałem mu na wypadek, gdyby nagle zachciało mu się siusiu. Wbił sobie do głowy, że natychmiast musi opróżnić ten dzbanek w łazience, bez wątplenia pod wpływem tabletek an-tyhistaminy przepisanych mu na sen: są bezpieczne, ale mieszają mu w starej głowie. Nie sądzę, żeby Nicola wiedziała, co zrobić, gdyby natknęła się na niego na schodach w podobnych okolicznościach.

Jutro rano z Derbyshire przyjeżdżają Anne i Jim, a z Cambridge - Richard, w samą porę na świąteczną kolację, która jest właściwie późnym obiadem. Dołączą do nas Marcia i Peter z dwójką dzieci, więc będzie nas sporo. Wiadomość o przyjeździe Richarda jest całkiem świeżą niespodzianką. Zadzwonił dziś rano i powiedział, że chciałby do nas dołączyć, będzie musiał jednak wrócić do Cambridge jeszcze tego samego wieczoru. Spróbuję go namówić do przenocowania. Na drogach są mgły - podobno najgorzej sytuacja wygląda nad Tamizą. Heathrow jest sparaliżowane, odwołano loty, podróżni śpią w terminalach. Wskutek tego pociągi są zatłoczone, a drogi zakorkowane. Ta masowa migracja we wszystkich kierunkach w środku zimy jest czymś szalonym. Wszystkie nasze sypialnie są zajęte, ale mogę rozłożyć Richardowi połówkę w gabinecie. Nie widziałem go od kilku miesięcy.

25 grudnia. Kolejny dzień świąt prawie już dobiegł końca. Jest dziesięć po jedenastej. Richard nie skorzystał z mojego zaproszenia - zaproponowałem, że przygotuję mu posłanie tutaj, w gabinecie - i odjechał z powrotem do Cambridge, mogę więc wynotować parę uwag na temat tego dnia, nim sam się położę spać. Wielu gości, wyczerpanych godzinami przymusowego świętowania i wzajemnym towarzystwem, oddało się już: Fred (która bez wątplenia zasłużyła na długi odpoczynek) zapoczątkowała ten odwrót o dziesiątej w towarzystwie matki, w jej ślady

i

poszli Giles z Nicolą (która tłumaczyła, że zeszłej nocy obudziło ich ząbkujące dziecko) oraz Anne, która nie potrzebowała żadnej wymówki, bo jest w zaawansowanej ciąży - aż trudno uwierzyć, że poród jest planowany dopiero za dwa miesiące. Marcia i Peter odjechali do domu kilka godzin temu. O dziesiątej trzydzieści Ben, Maxine i Jim zasiedli przed telewizorem, żeby obejrzeć stary hollywoodzki film noir. Tata, który zasnął - i chrapał - w salonie po obiedzie z gazetą na twarzy, był dziś wieczorem nieznośnie ożywiony. Film nie przypadł mu do gustu i po kilku krytycznych komentarzach o przygnębiającym działaniu czarno-białych zdjęć i melodramatycznym stylu gry aktorskiej, które miały przekonać innych do przetrącenia filmó na coś lżejszego i pogodniejszego, lecz nie odniosły pożądanego rezultatu, przeniósł uwagę na moją osobę i rozpoczął serię rozwlekłych anegdot o życiu muzyka orkiestry tanecznej. Liczba wypalanych w filmie papierosów rozbudziła wspomnienia o nałogu Arthura Lanea, jego sztuczce polegającej na gaszeniu petów między talerzami zestawu perkusyjnego i słynnym epizodzie, kiedy podpalił bęben basowy, gdy orkiestra grała *Smoke Gets In Your Eyes*.

- A opowiadałem ci o peruce Sammyego Blacka? Świetnym był puzonistą, ten Sammy, ale nosił straszną perukę...

Gdyby Maxine nie była zajęta czym innym, mogłaby się zainteresować jego opowieściami, ja jednak słyszałem je wszystkie po kilka razy. Rozpaczliwie potrzebowałem ciszy i spokoju, chciałem wyciągnąć z rozpalonych, spoconych uszu aparat, który nosiłem przez cały dzień, i napawać się przez jakiś czas ciszą. Toteż po jakimś kwadransie udałem, że idę się położyć, i przekonałem tatę, żeby zrobił podobnie, po czym odprowadziwszy go do jego pokoju, pożegnałem się z nim i przemknąłem chyłkiem do mojego gabinetu na dole.

Jak upłynął ten dzień? Pewnie mogło być gorzej, ale nie obyło się bez paru śpięć, sprzeczek, kłótni i narzekań. Tata obudził

220

I

się z samego rana, zszedł na dół, żeby sobie zrobić herbatę, i uruchomił alarm przeciw włamaniowy. Poprzedniej nocy położyłem się, zanim reszta wróciła z pasterki, i Fred aktywowała alarm, zakładając, że przypomniałem o nim tacie, ja tymczasem myślałem, że przy domu pełnym gości postanowiliśmy nie aktywować alarmu i ograniczyć się do zamykania na klucz i ryglowania zewnętrznych drzwi - nieporozumienie bez wątplenia spowodowane moim niedosłuchem. Z tego samego powodu nie usłyszałem wycia alarmu i z porannego snu wyrwał mnie łokieć Fred między żebrami i jej burknięcie, żebym coś zrobił. Zastałem tatę na dole schodów, w szlafroku i kapciach, z ręką przystawioną do ucha i skonsternowaną miną.

- Witaj, synu - powiedział. - Słyszysz ten dziwny hałas?

Wyłączyłem alarm i zadzwoniłem do firmy ochroniarskiej

z wiadomością, że to fałszywy alarm.

- Miłego dnia - powiedział mężczyzna, który przyjmował moje zgłoszenie, kiedy już spisał wszystkie dane.

- Oj, początek był feralny.

Roześmiał się niepewnie. Chyba nie miał pewności, co znaczy „feralny”. Podejrzewam, że nie był zachwycony dyżurem w pierwszy dzień świąt, ja jednak wyobraziłem go sobie, jak siedzi zupełnie sam w cichym, ciepłym pokoju, z książką lub przenośnym radjkiem pod ręką, a telefony tylko sporadycznie zakłócają mu spokój - i pozazdrościłem mu.

Zrobiłem tacie herbatę i dałem mu do niej pełnoziarnistego herbatnika.

- Co, nie jesz śniadania? - zapytał, przyglądając się ciastku pełnym rozczarowania spojrzeniem.

- Za wcześnie - odpowiedziałem.

Spojrzał na wiszący zegar.

- O rety! Za piętnaście szósta! Naprawdę?

Nie miał włożonej sztucznej szczęki, zamoczył więc ciastko w herbacie, nim wsunął je między dziąsła.

221

- Wracam do łóżka - oznajmiłem. - C.o będziesz robić?
- Chyba łyknę pół pigułki - odparł. - Pośpię sobie jeszcze parę godzin.

Pochwaliłem ten plan i odprowadziłem go na górę. Wsunąłem się do naszej sypialni i do naszego łóżka. Fred wymamrotała coś, czego nie usłyszałem, podejrzewałem jednak, że było to oskarżycielskie pytanie o alarm i tatę.

- Nie rozmawiajmy o tym teraz - powiedziałem, wtulając się w nią, nie pod wpływem jakiegoś czułego lub miłosnego odruchu, lecz ze zwierzęcej potrzeby ciepła. Odkryłem, że jest to najlepszy sposób na ponowne zaśnięcie, kietły obudzę się zbyt wcześnie. Zadziałał, niedługo potem jednak Fred wstała i zeszła przygotować indyka i wstawić go do pieca. Kupiła olbrzymiego ptaka, a poza tym jest zwolenniczką długiego pieczenia.

Mijał ranek, a zapach pieczonego indyka wypełnił kuchnię, przedostał się do holu, jadalni i wyczuwałem go lekko nawet w moim gabinecie. „Mmm, co za cudowny zapach!” - wołali schodzący się goście, kiedy zdejmowali kurtki i pozbywali się brzemienia zapakowanych prezentów, chociaż osobiście uważam, że na zapachowej skali niewiele mu brakuje do lekko mdlącej woni. Mimo to ranek upłynął przyjemnie, ogólnie rzecz biorąc. Tata spał do po dziewiątej, co oznaczało, że mogłem przeczytać przy śniadaniu wczorajsze gazety, zanim trzeba mu było zrobić śniadanie i posiedzieć przy nim, kiedy jadł w szlafroku, wystarczyło też czasu, żeby przed przybyciem gości usunąć go z pola widzenia na górę, umyć i ubrać. Anne i Jim stawili się pierwsi. Z zadowoleniem spostrzegłem, że córka wygląda dobrze. Jim sprawiał takie samo wrażenie jak zawsze - sympatyczny, lecz zdystansowany, trochę półprzytomny, chociaż kiedyś mnie zapewnił, że nigdy nie pali trawki przed obiadem. Wprawdzie w latach sześćdziesiątych był tylko dzieckiem, wygląda i zachowuje się jednak jak relikwiny tamtej epoki,

222

z włosami do ramion, ubrany zawsze w dżins, z długimi krzaczastymi wąsami, które były modne na Zachodnim Wybrzeżu w „lato miłości”. Cecilia z trudem się powstrzymuje, żeby się nie wzdrygnąć, kiedy na niego patrzy. Są ze sobą z Anne już od ośmiu lat. Muszę przyznać, że gdybym miał wybierać partnera dla córki, pierwszy wybór nie padłby na niego, i czasem odnoszę wrażenie, że zamiast ją wspierać finansowo, jest na jej utrzymaniu, ona jednak wydaje się szczęśliwa w tym związku, zatrzymuję więc swoje wątpliwości dla siebie.

Zabrałem Anne do gabinetu i zapytałem ją, jak się ma.

- Dobrze, trochę mi tylko dokucza kręgosłup - powiedziała.
- A dziecko?

- Kopie. Wszystko z nim w porządku.
- Skąd wiesz, że to „on”?
- Miałam robione USG. Wiedziałam, że będziesz zadowolony. - Zorientowała się po mojej minie.
- No wiesz... mój pierwszy wnuk. Może jedyny. Nic nie wskazuje na to, żeby Richard miał splotzić potomka... a nie podejrzewam, byś chciała ryzykować kolejną ciążę w twoim wieku, prawda?
- Zobaczymy, jak z tą mi pójdzie - odpowiedziała.

W tym momencie wyglądała zupełnie jak jej matka, kiedy Maisie sama była w ciąży z Anne, z tym że Maisie nosiła przypominające namiot koszule, a Anne hołduje współczesnej modzie i obnosi się ze swym powiększonym brzuchem w obcisłej bluzeczce nad dopasowanymi spodniami. Puszyste rude włosy, okrągła twarz, nieśmiały uśmiech i dwie poziome zmarszczki na czole były takie same. Zawsze się mówiło, że Anne jest podobna do matki, a Richard do mnie.

- A co u ciebie, tato? - zapytała.
- Och, w porządku. Głuchnę coraz bardziej.
- Teraz nieźle dajesz sobie radę.
- Bo tutaj jest cicho.

223

- A co z Rickiem? Przyjeżdża dzisiaj?
- Tak, przyjeżdża. - W tym momencie zabrzmiał dzwonek do drzwi. - To może być on - powiedziałem.

To była Marcia i Peter z dziećmi. Truizmem jest oczywiście stwierdzenie, że maluchy są niezbędnym elementem każdego obchodu świąt Bożego Narodzenia, lecz jak większość truizmów, i ten jest prawdziwy. Dorośli, ąawet tak zgorzkniali i cyniczni jak ja, mogą przynajmniej przez chwilę spojrzeć na święta ich niewinnymi oczami i przypomnieć sobie ten zachwyty i to podniecenie sprzed lat. Lena wkroczyła do kuchni z błogim uśmiechem jaśniejącym jak odbity promień słońca na wszystkich i na wszystkich, których spotykała, Daniel natomiast pod wpływem świątecznej atmosfery stał się jeszcze bardziej poważny i dostoyny niż zwykle, choć w jego oczach widać było marzycielski błysk.

- No więc co ci przyniósł Mikołaj, delfinie Danielu? - zapytałem go, kucnąwszy, żeby się znaleźć na jego poziomie.
- Święty Mikołaj przyniósł mi rowerka - odpowiedział.
- Ratlerka? Dostałeś pieska? - zdziwiłem się.
- Rowerek, Desmondzie - powiedziała Marcia i wszyscy

dookoła się roześmiali.

Jedno, co potrafimy podczas przyjęć my, głusi, to rozbawić towarzystwo naszymi pomyłkami, lecz tym razem nie miałem tego nikomu za złe. Daniel nie roześmiał się, tylko zwrócił szeroko otwarte oczy ku rozbawionym twarzom dorosłych ze zdziwioną i lekko zdegustowaną miną.

-1 mówi się „przyniósł mi rowerek”, nie „rowerka”, Danielu -dodała jego matka. - Święty Mikołaj przyniósł ci rowerek.

Będąc nauczycielką (wprawdzie matematyki, nie angielskiego), Marcia uważa za swój obowiązek poprawianie dzieci przy każdej okazji. Oczywiście pomyłka Daniela była całkiem logiczna i wskazuje, że opanował odmianę rzeczowników, nie zna jednak wszystkich zasad.

224

i

Rozgorzała dyskusja, która niemal przerodziła się w kłótnię, o to, kiedy powinniśmy otworzyć prezenty, przed obiadem czy po nim, i ostatecznie wypracowano kompromis, zgodnie z którym każda osoba miała otworzyć po jednym prezencie od razu (żeby złagodzić katusze oczekiwania w szczególności małej Leny), pozostałe zaś postanowiliśmy rozdać po obiedzie, kiedy Fred i inne osoby zaangażowane w przygotowanie posiłku będą miały wolniejszą głowę. Nadszedł czas na drinki - szampana i koktajl bucks fizz, Giles przywiózł bowiem w prezencie skrzynkę bollingera (wskaźnik wysokości jego świątecznej premii) - co poprawiło wszystkim nastrój, jak to zwykle bywa z pierwszym drinkiem dnia.

W tym momencie przyjechał Richard, jakimś sposobem dostał się do domu bez użycia dzwonka i tak dyskretnie wślizgnął się do salonu, że go nie zauważyłem, dopóki Fred nie pokazała mi go palcem. Stał niedaleko drzwi i przyglądał się obrazowi na ścianie jak gość na przyjęciu, który nikogo nie zna. Przywołałem go skinieniem ręki do kredensu, skąd wydawałem drinki.

- Richard! Wesołych świąt! - zawołałem, nalewając mu kieliszek szampana.

- Wzajemnie, tato - odpowiedział. Podniósł kieliszek pod światło i obejrzał go krytycznie, po czym powąchał eksplodujące bąbelki, wysączył trochę i pokiwał głową z aprobatą. -Dobrze schłodzone - skomentował. - Przywiozłem ci parę butelek savigny-les-beaune, premier cru. Są w holu. Nie powinienem ich otwierać przy obiedzie, nie zostaną odpowiednio docenione. *

Był ubrany dokładnie tak, jak ubierałem się ja czterdzieści lat temu, w tweedową sportową marynarkę i szare flanelowe spodnie, koszulę w delikatną kratkę i ciemny jednolity krawat. Był w tym towarzystwie jedynym mężczyzną pod krawatem -nawet ja miałem na sobie sportową, rozpiętą pod szyją koszulę

225

i, dla uczczenia okazji, dość wytworną zamszową kamizelkę, którą dostałem od Fred w poprzednie święta. Zauważyłem, że przerzedzają mu się włosy - coś, co musiał odziedziczyć po ojcu Maisie, który na naszym ślubie był już prawie łysy.

- I co tam u ciebie? - zapytałem.
- Wszystko dobrze, dobrze.
- Jak się miewa fizyka niskich temperatur?

Uśmiechnął się.

- Nadal fascynuje - odpowiedział.

Kiedys próbował mi ją wyjaśniać. Chodzi ponoć o to, żeby obniżyć temperaturę pewnych substancji do poziomu jak najbliższego zera absolutnemu, co sprawia, że cząsteczki zaczynają się zachowywać inaczej. Pamiętam, jak powiedział: „Trzeba w danej substancji określić energię, a potem opracować sposób jej usunięcia”. Misja ta wydawała mi się czymś dziwnym i obsesyjnym, jak pewien rodzaj odwróconej alchemii. Przez chwilę rozmawialiśmy o tym, jak mu się jechało. Mała Lena pociągnęła mnie za rękaw.

- Babcia mówi, żeby dziadziuś sprawdził stół.

Udałem się do jadalni, gdzie razem z Fred, poprzez połączenie rozsuniętego stołu ze stolikiem do kart i przykrycie ich nachodzącymi na siebie obrusami, stworzyliśmy powierzchnię

o nieregularnym kształcie, przy której można posadzić trzynaścioro dorosłych i dwoje dzieci.

W kuchni chyba zbyt wiele kobiet usiłowało pomagać Fred, wygłaszając sprzeczne opinie o tym, jak należy przyrządzać

1 podawać poszczególne dania, przy czym kilka pań było już lekko wstawionych szampanem, w rezultacie niektóre potrawy podano rozgotowane, inne niedogotowane, a mnie poinstruowano, bym zaczął kroić indyka, gdy nie były jeszcze gotowe wszystkie dodatki, poza tym Fred zapomniała albo ja zapomniałem (nie było zgody co do tego, kogo należy obarczyć winą) podgrzać talerze w urządzeniu, które trzymamy specjal-

226

nie na takie okazje. Kiedy już wszyscy zajęli miejsca, pojawiła się realna groźba, że główne danie będzie letnie, nie gorące, zaproponowałem więc, żeby zacząć jeść od razu po podaniu posiłku, a w tym momencie Cecilia poprosiła zawodzącym głosem, byśmy najpierw odmówili modlitwę dziękczynną, musieliśmy w związku z tym przerwać podawanie jedzenia i przyjąć odpowiednie miny i pozycje, kiedy Cecilia zamknęła oczy, złączyła dłonie i zaintonowała modlitwę - wszyscy prócz taty, który nie zauważył jej interwencji i nie przestawał zajadać. To samo dzieje się co roku: zapominamy, że Cecilia chce odmówić modlitwę przed świątecznym obiadem, a ona celowo nam o tym nie przypomina do ostatniej chwili, żeby

każdy poczuł się przez nią skarcony, pouczony i generalnie przywołany do porządku.

- Moim zdaniem to wielka szkoda, że zwyczaj odmawiania modlitwy przed posiłkiem zanika, nawet wśród praktykujących katolików - oświadczyła Cecilia, rozkładając serwetkę przed przystąpieniem do jedzenia. - Mój świętej pamięci małżonek odmawiał modlitwę przed każdym posiłkiem, nawet jeśli przy stole siedzieliśmy tylko my dwoje.

Zerknąłem na Jima i mrugnąłem do niego. W zeszłym roku założyliśmy się, kto zgadnie, ile razy w ciągu dnia Cecilia wypowie słowa „mój świętej pamięci małżonek” (dziewięć - i ja wygrałem). Modlitwa dała indykowi kolejną okazję do ostygnięcia i tata nietaktownie nawiązał do tego stanu rzeczy, pytając, czy można mu podgrzać jego porcję na patelni, zaproponował nawet, że sam wykona tę operację. Jego manieri przy stole są niewyczerpanym źródłem wesołości, irytacji i zażenowania - zależnie od punktu widzenia. Uważa, że talerz jest przystosowany do pełnienia swojej funkcji dopiero wtedy, kiedy na jego brzegu znajdzie się solidna plama musztardy i kopczyk soli, niezależnie od składników posiłku, i nie ma sensu powtarzać mu, że musztarda nie pasuje do indyka ani że sól w nadmiarze szkodzi (choć i tak co roku mu to powtarzamy).

227

Nie ma też sensu podawać mu młynka do soli - albo kręci nim w złą stronę, przez co młynek rozpada się i kryształki soli morskiej rozsypują się po całym stole, albo z rosnącą irytacją mozoli się, żeby zemleć wystarczająco dużo maleńkich kryształków, by stworzyć widoczny kopczyk na brzegu talerza. Jego zachowanie tak kiedyś rozeźliło Fred, że przy następnym posiłku postawiła mu przy talerzu plastikowy pojemnik mieszczący pół kilo soli kuchennej, on jednak nie pojął aluzji ani się nie obraził, lecz podziękował jej za troskę. Pamiętałem dzisiaj, żeby umieścić na stole w zasięgu jego ręki staromodną podstawkę na przyprawy z solniczką i słoikiem musztardy, zapomniałem jednak, że będzie też potrzebował pajdy białego chleba, wzgardziwszy ciepłymi ciabattami, mają bowiem zbyt grubą skórkę jak na jego sztuczne zęby i są skażone kawałkami ciężkostrawnych oliwek, poczułem więc, że muszę mu przynieść z kuchni kawałek białego chleba pomimo napomnienia Fred, żebym przestał robić zamieszanie i usiadł.

I tak dzień toczył się przewidywalnym torem, był świąteczny pudding i babeczki bakaliowe, było rozrywanie bożonarodzeniowych tub, wkładanie papierowych kapeluszy, odczytywanie beznadziejnych zagadek (których beznadziejność uwypuklało ponowne ich odczytanie bardziej donośnym głosem na mój użytek) oraz odpakowywanie prezentów, po którym salon został zasypyany podartymi kawałkami ozdobnego papieru.

- Historia się powtarza raz jako tragedia, a raz jako farsa, natomiast Boże Narodzenie powtarza się w formie przesytu - zauważyłem, rozglądając się po salonie i widząc ludzi w różnych fazach otępienia, upojenia alkoholowego, niestrawności i znudzenia, jak ściskają w rękach nowe książki, których nigdy nie przeczytają, gadżety, których nigdy nie użyją, i ubrania, których nigdy nie włożą.

- Mów za siebie, kochanie - zareagowała ostro Fred. - Nam i tak się podoba. Prawda, Leno?

228

V

■m

(

Przytuliła wnuczkę, która siedziała jej na kolanach.

- Prawda, babciu - odpowiedziała posłusznie Lena.
- Dziadek jest Kłapouchym - dodała Fred.
- Tak, jesteś Kłapouchym! - zawołała z zachwytem Lena. Fred czytała jej Kubusia Puchatka, kiedy się nią zajmowała. Może i jestem. W końcu Kłapouchy też niedosłyszał. Dowiadujemy się o tym w rozdziale o jego urodzinach. Kiedy Prosiaczek mówi „Moje najlepsze życzenia w dniu twoich urodzin”, Kłapouchy prosi go, żeby powtórzył. „I chwiejąc się na trzech nogach, zaczął bardzo powoli podnosić swą czwartą nogę do ucha. -Udało mi się zrobić to wczoraj - wyjaśnił Prosiaczekowi, gdy wyrócił się po raz trzeci - i przyszło mi to z łatwością, a w ten sposób mogę lepiej słyszeć... Więc coś ty takiego powiedział? - I przyłożywszy kopyto do ucha, nastawił je, by lepiej usłyszeć Prosiaczka”*.

Głuchota jest zawsze komiczna.

Przed wyjazdem Richarda odbyłem z nim zaskakującą rozmowę. Cały dzień był jak zawsze uprzejmie nieprzenikniony, zbywając wszelkie, nawet najbardziej subtelne i zawołowane pytania na temat jego życia prywatnego. I potem, kiedy odjeżdżał - był już przed domem, a ja odprowadzałem go do samochodu, który musiał zaparkować na ulicy - odbyliśmy najbardziej od wielu lat osobistą rozmowę. Rozmawialiśmy właśnie o ciąży Anne.

- Wygląda zupełnie jak wasza matka, kiedy była z wami w ciąży - powiedziałem.

Jego odpowiedź pozornie wydawała się nielogiczna:

- Pewnie dlatego nie znośisz świąt, prawda?
- Co masz na myśli?

* Fragment Kubusia Puchatka w przekładzie Ireny Tuwim.

229

- Przypominają ci o śmierci mamy.
- Może - odparłem. - Chociaż i tak nigdy nie byłem ich wielkim entuzjastą.

Maisie zmarła tydzień po pierwszym dniu Świąt Bożego Narodzenia. Z pomocą dzieci przyrządziłem obiad, który zjedliśmy usadowieni dookoła jej łóżka. Udało jej się nawet przełknąć odrobinę. Wszyscy bardzo się staraliśmy być pogodni, ale nastroje podczas posiłku nie były zbyt świąteczne.

- To jedno z moich ostatnich wspomnień mamy - wyznał Richard. - Jak siedzimy przy jej łóżku, z talerzami na kolanach. Zaraz potem wyjechaliśmy z Anne na narty.

- Tak, pamiętam - Uzgodniłem to z przyjaciółmi, Ryderami, którzy zabierali swoje nastoletnie dzieci do Austrii, uznawszy, że dzieciakom należy się odpoczynek od panującej w domu atmosfery choroby.

- Nie chciałem jechać - wspominał Richard. - Miałem przeczucie, że mama niedługo umrze.

- Nie powiedziałeś mi tego - odparłem zaskoczony tym wyznaniem.

- Nie, nie chciałem tego wyjaśniać. Nie chciałem wypowiadać tych słów.

Doszliśmy do jego samochodu. Przycisnął breloczek, mrugnęły światła i zamek w drzwiach kierowcy posłusznie się otworzył z cichym kliknięciem.

- Nie było powodu sądzić, że koniec nadejdzie tak szybko - powiedziałem. - Wydawało nam się, że ty i Anne potrzebujecie odpoczynku.

- Wiem. Ale zawsze żałowałem, że nie było mnie przy mamie, kiedy zmarła. Jak pani Ryder przekazała nam wiadomość po telefonie od ciebie, gdy wróciliśmy z nart, Anne nie wytrzymała i zaczęła ryczeć, a ja pomyślałem: „Ja nie mogę. Anne wolno się tak zachowywać, ale ja nie mogę płakać, nie teraz, nie przy ludziach”. W końcu nigdy nie opłakałem śmierci

230

ci mamy. Próbowałem później, ale nie potrafiłem. Żle się z tym czułem.

- Przykro mi, synu.

- To nie twoja wina, tato. Chciałeś dobrze. Uśmiechnął się smutno i wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją.

W tym momencie powinniśmy byli się objąć, taki gest nie należy jednak do naszego słownika mowy ciała. Silniejsze, dłuższe uściśnięcie dłoni to maksimum tego, na co było nas stać.

- Do widzenia, tato - rzucił, wsiadając do auta.

- Do widzenia, dzięki, że przyjechałeś. Zamknął drzwi i opuścił szybę w oknie.

- Przepraszam, że nie zostaję na jutrzejsze przyjęcie.

- O Boże... nie wiesz, jakim jesteś szczęściarzem! - zażartowałem.

Nasza chwila wzruszenia minęła. Roześmiał się i odjechał, machnąwszy ręką.

14

Wysoki, siwowłosy okularnik w dość wytwornej musztardowej kamizelce z zamszu, który mówi coś z ożywieniem do speszonej kobiety w średnim wieku stojącej przy choince w zatłoczonym salonie, wypił

już, z czego zdaje sobie sprawę, wystarczająco dużo na półmetku tego przyjęcia, nie może się jednak powstrzymać, by od czasu do czasu nie pociągnąć z kieliszka łyżka czerwonego wina - na tyle szybkiego, żeby uniemożliwić owej damie wtrącenie więcej niż paru słów, nim wznowi swój monolog. Kobieta nazywa się Norfolk, co ustalił kilka minut temu, zmuszając ją, żeby mu zapisała swoje nazwisko, a on jest pochłonięty wyjaśnianiem jej, dlaczego słynna kwestia z filmu *Private Lives* Noela Howarda: „Bardzo płaskie, Norfolk”, jest zabawna.

- Pamięta pani, że Elyot mówi swojej byłej żonie Amandzie, że nową żonę Sybil poznał podczas spotkania towarzyskiego w Norfolk, na co Amanda odpowiada: „Bardzo płaskie, Norfolk” i wszyscy na widowni wybuchają śmiechem. Zawsze tak się dzieje. Ale gdyby powiedziała: „Norfolk jest bardzo płaskie”, co byłoby najbardziej logicznym sposobem przekazania tej informacji, to już nie byłoby takie śmieszne. Amanda poddała to banalne stwierdzenie faktu pewnej manipulacji, zmieniając normalny szyk zdania z podmiotem na początku i opuszczając orzeczenie, dzięki czemu z „Norfolk jest bardzo płaskie” powstało „Bardzo płaskie, Norfolk”. Ten zabieg wysuwa na pierwszy plan słowo „płaskie”, zarówno pozycjo-

232

nalnie, jak i emocjonalnie. Intonacja w „Norfolk jest bardzo płaskie” jest niemal całkowicie płaska, natomiast kiedy mówię: „Bardzo płaskie, Norfolk”, ton głosu podnosi się i opada, osiągając najwyższy poziom przy „płaskie”. I następuje krótka pauza, pewnego rodzaju cezura po „Bardzo płaskie”, co dla widowni wytwarza krótki moment suspensu. Cóż takiego określa ta uroczyście wysunięta na pierwszy plan fraza przymiotnikowa „Bardzo płaskie”? Odpowiedzią jest przeskok do czegoś przyziemnego: „Norfolk”. Między innymi dlatego właśnie ta kwestia jest zabawna - jak gdyby pomimo prób Amandy, by jej uwaga wydała się interesująca i oryginalna, udaremniła je zawartość semantyczna tych słów. Pozostaje nieodwracalnie, definitywnie płaska. Jak Norfolk.

Wypija szybko łyk wina. Pani Norfolk gapi się na niego i wydaje się nagle, że zaraz przemówi. On jednak nie dopuszcza jej do głosu.

- Ale pojawia się jeszcze jedno dno, ponieważ natychmiast dostrzegamy kolejną możliwość, która też jest zabawna - że „płaskie Norfolk” jest metonimią nudnych przyjęć w wiejskich rezydencjach, gdzie spotyka się banalne kobiety pokroju Sybil. Kiedy kilka kwestii później Amanda narzeka na niegrzeczne uwagi Elyota o jej nowym mężu, Victorze, i mówi: „Przynajmniej wystarcza mi dobrego smaku, żeby powstrzymać się przed robieniem głupich żartów z Sybil”, on ripostuje oskarżycielsko: „Powiedziałas, że Norfolk jest płaskie”. Na co ona odpowiada: „Ta uwaga nie była na jej temat, chyba że przez nią Norfolk spłaszczyło się jeszcze bardziej”. Albo nie jest szczerą i udaje, że nie miała tego na myśli, mówiąc: „Bardzo płaskie, Norfolk”, albo - kolejna zabawna możliwość - Elyot przyznał, że uważa Sybil za „płaską”, czyli banalną poprzez niesłuszne oskarżenie Amandy o zasugerowanie tegoż. W każdym razie, gdyby Elyot poznał ją gdzie indziej, na przykład w Walii, i kwestia Amandy brzmiała: „Bardzo pofałdowana, Walia”, wcale nie

233

byłaby śmieszna. „Walia jest bardzo pofałdowana” czy „Bardzo pofałdowana, Walia” - efekt jest taki sam,

ponieważ w słowie „pofałdowana” nie ma tej samej dwuznaczności, nie ma metaforycznej ani referencyjnej równoważności, które są obecne w słowie „płaskie” ...

Podchodzi do niego żona, piorunuje go wzrokiem, uśmiecha się uroczo do pani Norfolk, mówi coś do niej i odprowadza ją do jadalni, gdzie po sączących się do salonu aromatach palczatki cytrynowej, kokosa, kardamonu i innych przypraw zorientował się, że zaczyna być serwowany obiad w formie szwedzkiego stołu. Pójście za nimi i zjedzenie czegoś, co wchłonęłyby wypite przezeń wino, byłoby prawdopodobnie dobrym pomysłem, wie jednak, że do tej pory uformowała się już kolejka, a byłoby nie na miejscu, gdyby gospodarz próbował się wepchnąć poza kolejnością. Zamiast tego idzie więc do gabinetu, gdzie ukrył jedną z butelek savigny-les-beaune sprezentowanych mu przez syna poprzedniego dnia, i napełnia kieliszek. Wizualne wspomnienie groźnego spojrzenia żony trochę go martwi. Należy do całej serii marsowych min, pełnych dezaprobaty spojrzeń i wysycanych mu do ucha uwag (które niosły ze sobą tyleż sensu co powietrze uciekające przez wentyl opony), skierowanych do niego w ciągu minionej godziny, które, jak podejrzewa, mają mu zakomunikować, że jej zdaniem albo pije za dużo, albo mówi za dużo, a prawdopodobnie jedno i drugie. No ale przecież obie te rzeczy są powiązane: bez zastrzyku alkoholowego paliwa nie byłby w stanie utrzymywać tak wartkiego strumienia dyskursu z tak różnymi ludźmi. Wydaje mu się, że radzi sobie całkiem nieźle w nadzwyczaj trudnych warunkach.

Około dwudziestu minut przed planowanym przyjazdem pierwszych tego dnia gości zdarzyło się coś niezwykłego - obie baterie w jego aparacie słuchowym padły niemal jednocześnie.

234

Zdał sobie sprawę, że jedna z nich przestała działać, kiedy miał trudności ze zrozumieniem tego, co mówiła do niego w kuchni Jakki (przyjechała wcześniej z parą ubranych w białe fartuchy azjatyckich dostawców dźwigających pojemniki z nierdzewnej stali wypełnione wonnym curry z ryżem na popołudniowy posiłek przy szwedzkim stole), i nim znalazł okazję w gorączce przygotowań, żeby ją wymienić, druga słuchawka też zamilkła. Kiedy otworzył szufladę w swoim gabinecie, gdzie trzyma wszystkie akcesoria do aparatu, odkrył, że choć spodziewał się je tam znaleźć, nie ma już zapasowych baterii. A raczej, mówiąc precyzyjnie, miał je, lecz nie pasowały do jego aparatu. Te małe płytki różnią się nieco grubością i średnicą w zależności od typu urządzenia, do jakiego są przeznaczone, lecz małe opakowania z plastikowym zabezpieczeniem, w których się je sprzedaje, są identyczne prócz wydrukowanych na nich numerycznych kodów. Przyzwyczał się brać po sześć opakowań naraz - ściąga je ze stelażu w aptece; kiedy ostatnio robił zakupy, nie sprawdził pewnie, czy wszystkie opakowania są właściwego typu, i nie zauważył, że jakiś roztargniony ekspedient powiesił na tym samym stelażu dwa różne typy baterii, sądził więc, że włożył do szuflady trzydzieści sześć zapasowych baterii, tyle by starczyło mu do Nowego Roku, gdy w rzeczywistości przechowywał jedynie osiemnaście takich, które mógł wykorzystać, a ostatnie dwie spośród nich właśnie padły.

Co tu robić? Jest drugi dzień świąt, w okolicy nie ma otwartych sklepów, i choć możliwe, że gdzieś w centrum miasta będzie rano otwarta apteka, szukając jej, mógłby się spóźnić na pierwszą godzinę przyjęcia Fred, a poza tym wychylił już dwa kieliszki wina, żeby dodać sobie animuszu przed nadciągającym towarzyskim koszmarem, nie jest więc pewien, czy prowadzenie samochodu w tej sytuacji byłoby roztropne, i chociaż mógłby wysłać kogoś z rodziny, żeby załatwił tę sprawę, jest

bardziej niż prawdopodobne, że apteka zostanie zamknięta przed jej zlokalizowaniem, bo w dni świąteczne otwierają tylko na kilka godzin rano, a nawet jeśli będzie otwarta, całkiem możliwe, że odmówią sprzedaży baterii, ponieważ w takie dni ich usługi ograniczają się do wydawania leków. Jego mózg analizuje te wszystkie opcje i obiekcje wobec nich z prędkością światła, podczas gdy on wpatruje się z przerażeniem w trzy opakowania nieprzydatnych baterii w dłoni. Wyrzuca je do kosza. Tak naprawdę nie ma wyjścia - musi spróbować dać sobie radę podczas przyjęcia bez aparatu słuchowego.

Kiedy nie słyszysz, co ludzie do ciebie mówią, masz dwa wyjścia: możesz albo nic nie mówić, tylko kiwać głową, pomrukiwać i uśmiechać się, udając, że słyszysz rozmówcę, i rzucając od czasu do czasu jakieś słowo na dowód, że się zgadzasz, zawsze jednak istnieje niebezpieczeństwo, że coś źle zrozumiesz, co grozi potencjalnie krępującymi konsekwencjami; albo możesz przejąć inicjatywę i ignorując przyjęte zasady konwersacji, mówić nieprzerwanie na wybrany temat, nie dopuszczając drugiej osoby do głosu, a wtedy problem zrozumienia tego, co mówi, w ogóle nie wchodzi w rachubę. I właśnie tę drugą strategię stosuje od mniej więcej godziny.

Niezbędne było znalezienie tematów, na które mógł się długo rozwodzić bez konieczności robienia przerw na zastanowienie. Jego metoda polegała na sięganiu do pewnych pomysłów, które nosił w sobie od dawna i nie miał sposobności ich przedstawienia albo które przyszły mu do głowy, kiedy ta sposobność już minęła, owoców *lesprit de lescalier*, a potem jak najszybszym wprowadzeniu do konwersacji jednego z tych tematów, który akurat wydawał się najbardziej odpowiedni. Swoją metodę zastosował najpierw wobec lewicowego dramaturga, którego agitacyjną sztukę o strajku górników widział kilka lat wcześniej w Playhouse Studio. Nie rozumiał większości dialogów wypowiedzianych w dialekcie z okolic Newcastle,

lecz wymowa ideologiczna sztuki była jednoznaczna, a ostatecznie potwierdziło ją odśpiewanie w finałowej scenie przez cały zespół aktorski Czerwonego sztandaru. Z ogromną satysfakcją przedstawił autorowi sztuki powód niepowodzenia strajku górników: powód ten w zagadkowy sposób nie został dostrzeżony przez licznych komentatorów wypowiadających się na ten temat, łącznie z samym dramaturgiem. Otóż strajk upadł nie dlatego, że rząd Thatcher chciał za wszelką cenę złamać potęgę związków zawodowych, chociaż rzeczywiście miał takie zakusy, lecz ponieważ strajk nie zyskał powszechnego poparcia, nie licząc zainteresowanych górniczych społeczności, wojujących związkowców i lewicujących inteligentów, którzy z zasady popierali wszystkie strajki. Nie zyskał szerokiego poparcia, ponieważ Brytyjczycy jako naród zostali uwarunkowani kulturowo w taki sposób, by uważać górnictwo za najbardziej niehumanitarne i oparty na wyzysku rodzaj przemysłowego niewolnictwa, i skrycie czuli się winni, że zaspokajanie ich potrzeb energetycznych zależy od ludzi harujących godzinami za dnia w ciemnych, wąskich, klaustrofobicznych tunelach pod ziemią, gdzie fedrują węgiel, pocąc się, krztusząc i pokrywając czarnym pyłem. Literatura opisująca kopalnie i życie górników, od szkolnych podręczników historii o rewolucji przemysłowej z przerażającymi ilustracjami ukazującymi ciężarne kobiety ciągnące na czworakach wózki z węglem niskimi korytarzami, po *Germinal* Zoli, *Synów* i *kochanków* Lawrence'a i *Drogę na molo* w Wigan Orwella oraz regularne doniesienia prasowe o tragicznych wypadkach i

katastrofach w kopalniach, wszystko to wzmacniało ten sam przekaz - że górnictwo jest okrutnym i eksploatującym rodzajem pracy, bez którego świat byłby lepszym i bardziej cywilizowanym miejscem. I chociaż było zrozumiałe, że sami górnicy i ich rodziny chcą utrzymać miejsca pracy i boją się bezrobocia, to wydawało się mimo wszystko, że problem jest stosunkowo

237

niewielki i przejściowy i że da się rozwiązać poprzez zastosowanie dobroczynnej polityki społecznej (przekwalifikowanie, korzystne warunki zwalniania itd., itd.), nie zaś utrzymywanie nierentownych kopalń po to tylko, by zapewnić górnikom niebezpieczną, brudną i dehumanizującą pracę. Strajk górników nie powiódł się, ponieważ większość społeczeństwa uważała, świadomie lub nie, że jeśli wskutek zmian w sytuacji gospodarczej i na rynku energetycznym Wielka Brytania nie potrzebuje już większości swoich kopalń, jest to raczej powód do radości niż sprzeciwu. Ów dramaturg, który początkowo aż pokraśniał z zachwytu, gdy wspomniano o jego sztuce, stawał się coraz bardziej niespokojny, przysłuchując się jego wykładowi, i otwierał kilka razy usta w płonnej nadziei przemówienia i przerwania tego potoku słów, lecz kiedy on sam nie wiedział już, co dodać, oznajmił, jaką przyjemność sprawiło mu omówienie tej sztuki, po czym przeprosił i oddalił się, tłumacząc to koniecznością zajęcia się winem.

Zajęcie się winem oznaczało przejście do gabinetu po do-lewkę savigny. Później znów wtopił się w tłum w salonie, gdzie przywitała się z nim kobieta w fioletowym spodnim bez rękawów, której imienia nie pamiętał, lecz która - tego nie zapomniał - pracowała w reklamie.

- Co słychać? - zapytał. - Jak minął pierwszy dzień świąt?

Powiedziała mu coś w odpowiedzi, czego nie usłyszał, i cały

czas łamał sobie głowę, jaki podjąć temat. Reklama, reklama... a tak, wiedział już, o czym mówić.

- No wie pani, kiedy widzi pani reklamę i tak naprawdę nie rozumie jej... pani pewnie nie ma takich doświadczeń, ale mnie się to zdarza dosyć często. Widzę reklamę na billboardzie i albo nie rozumiem, co takiego reklamuje, albo nie rozumiem komunikatu, a im bardziej jest wszechobecna, tym bardziej mnie zastanawia i tym trudniej jest mi przyznać się komukolwiek, że nie wiem, o co w niej chodzi. Myślę sobie, że

238

musi istnieć jakieś proste wyjaśnienie, tak oczywiste, że wyszedłbym na kretyna, gdybym o nie zapytał. Z drugiej strony zastanawiam się, czy wszyscy po prostu nie udają, że ją rozumieją, albo czy nie przeoczą jakiejś sprzeczności lub anomalii, którą dostrzegłem tylko ja. Ale po pewnym czasie kampania reklamowa dobiega końca, plakaty znikają i nie ma już okazji, żeby od niechcenia kogoś zapytać, co według niego oznacza dana reklama, i człowiek musi przeżyć resztę życia z tą nierozwiązaną zagadką. Na przykład nigdy nie rozumiałem - i pierwszy raz przyznaję się komuś do tego - nigdy nie rozumiałem tej słynnej reklamy biustonoszy Wonderbra, tej z blondynką w bieliźnie, która mówi: „Cześć, chłopaki!” ... słowa te wypowiada na głos albo w myślach, to nie jest do końca jasne... wie pani, o której mówię?

Kobieta kiwa głową dość oszczędnie i przyklejony uśmiech znika z jej twarzy, a jego miejsce zajmuje coś w rodzaju skrzywionej miny. Czy rzeczywiście jest to odpowiedni temat do zgłębiania w towarzystwie kobiety, której prawie nie zna i która - teraz rzuciło mu się to w oczy - pod fioletową tuniką posiada dość wydatny biust, jest już jednak za późno, żeby zboczyć z obranego kursu, ciągnie więc dalej:

- No więc nigdy nie rozgryłem, do kogo albo do czego właściwie się zwraca. Kim lub czym są te „chłopaki”? Używa tego zwrotu w sposób dosłowny czy metaforyczny? Jeśli dobrze się przyjrzymy zdjęciu, widać, że kobieta patrzy w dół, pod takim kątem, że właściwie w ogóle nie widzimy jej oczu, tylko powieki z dużą ilością tuszu do rzęs. Albo patrzy w dół i podziwia swoje piersi, na nowo ukształtowane i wypchnięte do góry biustonoszem Wonderbra, z pełnym zachwytem zdziwieniem, w tym przypadku więc „chłopaki” są użyte w przenośni... tylko czy kobieta do swoich piersi będzie się zwracać „chłopaki”? Wydaje się to mało naturalne... no chyba w tej personifikacji użyłaby rodzaju żeńskiego? Powiedziałaaby: „Cześć,

239

X

dziewczyny!” Ewentualnie zwraca się do prawdziwych chłopców i mamy sobie wyobrazić, że spogląda na jakichś młodych mężczyzn, którzy są niżej, poza kadrem tego zdjęcia. Ale gdzie... gdzie rozgrywa się ta scena? Może na przykład rozlega się pukanie do drzwi i blondynka otwiera w bieliźnie, w końcu jest kobietą wyzwoloną, patrzy w dół i widzi tych chłopców, których zwabił jej cudny biust, i teraz padli do jej stóp? Mało prawdopodobne. Zresztą w tej sytuacji byłiby w najgorszej możliwej pozycji do podziwiania jej piersi. Leżąc, nie widzą jej dekoltu. Rozumie pani? Spróbowałem zgooglować tę frazę, ale akurat w tym przypadku nie wyjaśniło to zbyt wiele. Wskoczył zbiór patriotycznych wierszy Elli Wheeler Wilcox z czasów pierwszej wojny światowej pod tytułem Cześć, chłopaki!, co nie ma chyba związku ze sprawą, podobno też w środowisku gimnastyków sportowych frazę „Cześć, chłopaki” potocznie stosuje się w odniesieniu do pewnej wykonywanej przez nich ewolucji, kiedy rozkładają nogi w trakcie stójki na rękach, a to dlatego że pozycja ta odsłania kształt ich jąder pod trykotem, co potwierdza mój argument o personifikacji, ale nie wyjaśnia, do czego słowo „chłopaki” odnosi się w reklamie Wonderbra...

Przyszło mu do głowy, że jego rozmówczyni, u której zauważył oznaki zniecierpliwienia, może znać odpowiedź na tę zagadkę i zaraz mu ją wyjawia, a wówczas będzie musiał udawać, że ją zrozumiał, na szczęście jednak jej uwagę zaabsorbował jeden z gości, najwyraźniej bliski przyjaciel, którego ucałowała w oba policzki na powitanie, w dogodnym momencie kładąc kres ich rozmowie.

Później objaśniał muzykologowi z uniwersytetu teorię, którą wymyślił dawno temu, mianowicie że kompozytorzy amerykańskiej muzyki popularnej posiadają wielką przewagę wynikającą z tego, że wiele nazw geograficznych w Ameryce, o hiszpańskich lub indiańskich korzeniach, ma charakter ana-pestyczny i akcent pada na trzecią sylabę: Kalifornia, Indiana,

240

Massachusetts, Karolina, San Francisco, albo jambiczny: Chicago, Atlanta, Missouri, słowa, które łatwo dopasować do syn-kopowanej muzyki, natomiast angielskie nazwy geograficzne są zwykle daktyliczne: Birmingham i Manchester albo trocheiczne: Brighton i Leicester, z natury swojej niemuzyczne. Żeby zilustrować swoje stanowisko, zanucił Kiedy będziesz w Birmingham, Wepnij kwiaty we włosy* oraz wiarygodnie naśladując Franka Sinatrę - Leicester, Leicester, to miasto odurzone, Leicester, Leicester, oprowadzę cię po nim**. W jego stronę odwracały się rozbawione twarze. Muzykolog, który wcześniej wydawał się gotów podważyć jego argument, wyglądał, jakby ta demonstracja zrobiła na nim wrażenie, a już na pewno go uciszyła.

W sumie czuje, że całkiem nieźle idzie mu wynajdowanie odpowiednich tematów, które może rozwinąć w rozmowach z przygodnymi gośćmi. Wywód na temat „Bardzo płaskie, Norfolk” był, musi to przyznać, gdy dolewa sobie wina w cichej oazie własnego gabinetu, nieco wymuszony, sprowokowany jedynie nazwiskiem rozmówczyni, ma jednak nadzieję, że błyskotliwość jego eksplikacji była dla niej wystarczającą rekompensatą. W tym momencie do pokoju wchodzi jego żona, zatrząskuje za sobą drzwi i coś mówi.

- Co? - pyta ją.

Mówi coś znowu, głośniej i wyraźniej, a on odczytuje z ruchu jej warg bez żadnych trudności:

- Co. Ty. Najlepszego. Wyprawiasz?

Fred była wściekła. I to bardzo. Wpieniła się jeszcze bardziej, kiedy w odpowiedzi na jej pytanie oznajmiłem, że nalewam

* Nawiązanie do piosenki San Francisco z refrenem: When you go to San Francisco, Be sure to wear a flower in your hair.

** Sinatra śpiewał o Chicago: Chicago, Chicago, that toddling town, Chicago, Chicago, I'll show you around.

241

sobie właśnie wina z jednej z butelek, które Richard sprezentował mi na święta. Zaczęła wygłaszać tyradę, w której rozpoznawałem tylko fragmenty: „za dużo alkoholu... obrażasz moich gości... ty i twój ojciec... rozwalacie mi przyjęcie”... Podniosłem rękę uspokajająco.

- To na nic, Fred, nie słyszę, co do mnie mówisz.

Przerwała swoją perorę i powiedziała coś, co wziąłem za pytanie o mój aparat słuchowy.

- Obydwie baterie padły jednocześnie, tuż przed przyjęciem. Nie mówiłem ci, bo wydawało mi się, że masz już dość na głowie.

Powiedziała coś, z czego po ruchu warg zrozumiałem słowa „zapasowe baterie”.

- Nie mam, chociaż myślałem, że jeszcze mi zostały. Te, które miałem w szufladzie, nie pasują.

Przewróciła oczami i podniosła je do sufitu.

- Kupiłem je przez pomyłkę. Łatwo się pomylić.

Powiedziała coś w rodzaju:

- Która to szuflada?

- Ta tutaj. - Wskazałem górną szufladę stalowej komody, w której trzymam akcesoria do aparatu. Poczułem w żołądku lekkie ściśnięcie niepokoju. Szok wywołany znalezieniem złych baterii w miejscu, gdzie spodziewałem się znaleźć właściwe, być może powstrzymał mnie przed dokładnym przeszukaniem szuflady.

Fred wyciągnęła szufladę i jednym ruchem wyrzuciła jej zawartość na blat biurka. Zaczęła grzebać w stercie ulotek, instrukcji obsługi, opakowań, pudełek i etui należących do minionych generacji aparatów słuchowych, wyposażonych w małe szczoteczki, wihajsterki i nasączone szmatki do czyszczenia i konserwacji, starych zausznych aparatów z wystającymi z nich kawałkami plastikowych rurek oraz wyczerpanych, wyrzuconych baterii różnych rozmiarów, i z tego śmietniska wydobyła

242

opakowanie z czterema pustymi okrągłymi komorami i dwiema bateriami. Podała mi je z pytaniem kończącym się słowami „dobry rozmiar”. Były to baterie typu 312ZA, z brązowymi języczkami na miejscu i w stanie nienaruszonym.

- Tak - powiedziałem.

Czekała i patrzyła z pogardliwym milczeniem, podczas gdy ja włożyłem baterie do aparatu, wsunąłem słuchawki do uszu i potwierdziłem, że działają. Wtedy szczegółowo skrytykowała moje prostackie zachowanie. Wypiłem za dużo wina i mówiłem za głośno... nie rozmawiałem, tylko zagadywałem tych, którzy mieli to nieszczęście, że nawiązali ze mną rozmowę - nie robiąc przerw na zaczerpnięcie oddechu i nie pozwalając im wtrącić choćby słowa - na tematy, które albo zupełnie ich nie interesowały, albo były dla nich wyjątkowo przykre. Okazało się, że kobieta w fioletowym spodnim wcale nie zajmuje się reklamą, jest natomiast dyrektorką szkoły podstawowej Leny, która przeszła amputację piersi i nosi biustonosz protetyczny, nie zachwyciłem jej zatem moją swawolną dekonstrukcją reklamy Wonderbra; z kolei pani Norfolk, jedna z najbardziej cenionych klientek Decor, która jest w trakcie zamawiania zasłon do wszystkich pomieszczeń w niedawno zakupionym drugim domu, czuła się ponoć skonsternowana i lekko urażona moją maniacką analizą negatywnych konotacji związanych z jej nazwiskiem; natomiast ten lewicowy dramaturg zasiadający w zarządzie Playhouse, którego Fred zapraszała na przyjęcia i

uroczyste kolacje już wiele razy, ale dopiero dzisiaj udało jej się namówić go do przyjścia, odkąd się do niego odezwałem, rozmawia w kącie ze swoją przyjaciółką, odwrócony plecami do reszty towarzystwa. I co to za pomysł, żeby śpiewać w salonie? Wystarczy, że mój ojciec śpiewał w kuchni po tym, jak przyłapano go na sikaniu w ogrodzie przed domem.

- Co mówiłaś? - zapytałem. - O tacie?

Dopiero kilka godzin później złożyłem tę historię w jedną

243

całość, na podstawie wypowiedzi różnych świadków i samego taty. Nie posłuchał wczorajszej rady Fred, że wolno mu nie schodzić na przyjęcie, hałaśliwe, tłoczne zgromadzenie ludzi w większości mu obcych, jak to przedstawiła, zjadających egzotyczne potrawy, które jemu prawdopodobnie nie będą smakować, może więc wolałby zjeść zimnego indyka z pikla-mi w swoim pokoju, w towarzystwie przenośnego telewizora, który może sobie ustawić tak głośno, jak tylko zechce, nikomu nie przeszkadzając. Tata poświęcił porannej toalecie mnóstwo czasu, włożył najlepsze ubranie - tweedową sportową marynarkę, zaprasowane w ostry kancik spodnie z wełny czesankowej, czystą koszulę i krawat z tylko jedną, małą widoczną plamką po sosie - zszedł na dół jakieś pół godziny przed planowanym przyjęciem i oświadczył, że wybiera się na spacer. Stało się to tuż przed padnięciem mojego aparatu. Zapytałem go, gdzież to się wypuszcza. Powiedział, że na naszą główną ulicę. Przypomniałem mu, że wszystkie sklepy będą zamknięte, on jednak miał nadzieję, że znajdzie jakiś kiosk, gdzie uda mu się kupić kupon lotto, a poza tym musiał się przewietrzyć. Pomyślałem, że nic mu nie grozi podczas takiej wyprawy, więc go puściłem i poprosiłem Anne i Jima, żeby zaopiekowali się nim po powrocie, jeśli ja będę zajęty czym innym, i dopilnowali, żeby coś zjadł i wypił. Muszę przyznać, że później w stresie wywołanym kryzysem z aparatem słuchowym i w fałszywej euforii konwersacyjnych wyczynów, którymi próbowałem go zatuszować, zupełnie o tacie zapomniałem.

Zdaje się, że w trakcie tego spaceru wstąpił do pubu na małe piwko z beczki - coś, czego nie robił w Londynie od lat. Do tego wybryku mogło go skłonić jakieś atawistyczne wspomnienie świąt z dawnych lat, może nawet z czasów kawalerskich, kiedy wszyscy mężczyźni z rodziny w drugi dzień świąt szli się napić zaraz po otwarciu pubów, a potem wybierali się na mecz piłkarski. Poza tym świadomość, że na przyjęciu bę-

244

dzie tylko wino i puszkowane jasne piwo, też mogła zrobić swoje. Tak czy inaczej, ze smakiem wypił małe piwo, a potem nierozważnie zamówił następne. W drodze powrotnej parcie na pęcherz stało się nie do wytrzymania. Gdy zbliżał się do naszego domu, zaczął wątpić, czy uda mu się nie zmoczyć przed dotarciem do frontowych drzwi, był też pewien, że jeśli toaleta na dole będzie akurat zajęta, nie zdąży wejść po schodach do łazienki na piętrze. Wykazując się więc pewną przytomnością umysłu, wpakował się w gęste krzewy wawrzynu rosnące przy bramie i nasiusiał na wewnętrzną stronę ogrodu. Zauważył go spóźniony gość i kiedy zdejmował płaszcz, doniósł, że jakiś włóczęga załatwia się w naszym ogrodzie. Cecilia, podstuchawszy te słowa, zawołała Fred i poradziła jej wezwać policję. „To pewnie

dziadka przypiliło", wtrąciła Anne i wysłała Jima, żeby go przyprowadził, co też się stało. Zabrali dziadka do kuchni, posadzili przy kuchennym stole i nie wiedząc, że wytrąbił już dwa piwa, dali mu duży kieliszek słodkiego białego wina, po czym namówili do skosztowania tajskiego curry, które ku własnemu zdziwieniu uznał za bardzo smaczne i zjadł z apetytem. Ben i Maxine zmienili potem Anne i Jima i ucięli sobie z nim pogawędkę, a Ben nalał mu drugi kieliszek wina. Tata zaczynał się wczuwać w zabawowy nastrój i poprosił Maxine, żeby usiadła mu na kolanach, co też wspaniałomyślnie uczyniła, zaraz jednak się poskarżył, że drętwieje mu noga. Opowiedział im o swej karierze muzyka przedwojennej orkiestry tanecznej oraz o swym jedynym nagraniu wokalnym, piosence The Night, the Stars and the Music, z orkiestrą Arthura Roseberryego, który skomponował muzykę i napisał słowa; a kiedy Maxine powiedziała, że bardzo chciałaby ją usłyszeć, zaczął śpiewać. W branży takie utwory zalicza się do ballad, a melodia tej piosenki wryła mi się w pamięć po niezliczonych odtworzeniach na domowej radioli płyty gramofonowej, którą tata później przegrał na kasetę. Dał mi kopię, mam

245

ją gdzieś u siebie. Noc, gwiazdy i muzyka/Magia czegoś tam... Podobno wstał i odśpiewał dwie zwrotki, nie gubiąc tempa ani żadnego słowa, dostał brawa od osób zebranych w kuchni, usiadł, pierdnął głośno po curry, spojrzął przez ramię i zawołał: „Taksówka!” (co tak rozśmieszyło Bena, że zakrzuszył się piwem), po czym oświadczył, że lepiej będzie, jeśli się pójdzie trochę położyć, podjął próbę wyjścia z kuchni bez niczyjej pomocy, potknął się na progu i odzyskał równowagę, zarzucając ramiona wokół Cecylii, która w tym momencie wchodziła do kuchni z tacą pełną brudnych kieliszków, co sprawiło, że potłukły się na podłogowych płytkach, a potem Jim i Ben musieli pomóc mu dojść do pokoju na górze.

- Jego nie oskarżam - oznajmiła Fred. - To starszy człowiek. Winien jesteś ty. To ty byłeś za niego odpowiedzialny.

- Przepraszam - bąknąłem. - Nic o tym nie wiedziałem. -Bo i rzeczywiście nie rozpoznałem żadnego z licznych odgłosów związanych z tym epizodem w stłumionym gwarze przyjęcia.

Rozległo się pukanie do drzwi gabinetu i do pokoju wsunęła się głowa Marcii.

- Mamo, Jessopowie wychodzą. Chcesz się z nimi pożegnać?

- Już? - zawołała Fred. Odwróciła się gwałtownie do mnie. -Widzisz? Odstraszaście gości. Ty i twój ojciec. - Wypadła z pokoju, mijając Marcję, która rzuciła mi wrogie spojrzenie i pośpieszyła za nią. Ja wyszedłem wolniejszym krokiem.

Jessopowie, jak się okazało, mieli zaproszenie na jeszcze jedno przyjęcie tego dnia i przepraszali gorąco za to, że wychodzą tak wcześnie. Większość pozostałych gości zajadała ze smakiem desery i nie okazywała zamiaru opuszczenia imprezy, a poza tym wielu z nich wypilo za dużo, by przejmować się czymś potknięciem albo potłuczonym szkłem w kuchni. Fred jednak miała dokładne wyobrażenie o tym, jak powinno przebiegać przyjęcie, godnie i elegancko, i w jej mniemaniu

wespół z tatą wszystko zepsuliśmy. Kiedy już pożegnała się z Jessopami, wróciła do salonu i widziałem z holu, gdzie czaiłem się z ponurą miną, jak rozmawia i uśmiecha się pogodnie, nie miałem jednak wątpliwości, że wciąż wszystko w niej kipi i że porządnie jej się naraziłem.

Zabrzmiał dzwonek u drzwi. Kogo licha niesie, pomyślałem, o tej porze?

- Ja otworzę - zawałem do tych, którzy mogli mnie usłyszeć. Poszedłem otworzyć i na progu ujrzałem Alex Loom. Stała w swym lśniącym czarnym płaszczu z pikowanego materiału i czerwonej spiczastej czapce z wełny, trzymając w ręku bukiet ciętych kwiatów zawiniętych w celofan.
- Cześć! - przywitała się z uśmiechem. - Pewnie jesteś zdziwiony, że mnie widzisz.
- Myślałem, że jesteś w Ameryce.
- Takie miałam plany - odpowiedziała. - Ale na Heathrow była mgła. Czekałam dwa dni na mój lot i w końcu zrezygnowałam. Mogę wejść? Zostałam zaproszona.
- Przyjęcie już się prawie kończy - powiedziałem kretyńsko, jak gdybym liczył na to, że pójdzie sobie po usłyszeniu tej informacji.
- Kto to, kochanie? - usłyszałem za plecami głos Fred. „Kochanie”, wiedziałem o tym, pojawiło się wyłącznie dla zachowania pozorów i nie oznaczało wcale, że jej złość na mnie wyparowała. - Ojej, to ty, Alex! - zawałała. - Wpuść tę bidul-kę, na litość boską. Wchodź, wchodź! Co ty tu w ogóle robisz? Myślałam, że wybierasz się na święta do domu.

Alex wyjaśniła, że jej lot kilka razy został przesunięty i w końcu odwołany, a ponieważ nie zdołała znaleźć następnego, który pozwoliłby jej dostać się na święta do domu, dała za wygraną, wsiadła do autobusu, chyba jedynego kursującego tego dnia publicznego środka transportu, i wróciła do swojego mieszkania w pierwszy dzień świąt.

J

- Pomyślałam więc, że się nie obrazicie, jeśli skorzystam jednak z waszego zaproszenia - zakończyła.
- Oczywiście, że nie, jesteśmy zachwyceni, prawda, kochanie? - Na pytanie Fred odpowiedziałem wymuszonym uśmiechem i skinieniem głowy. - Ale dlaczego tak późno?
- Chciałam kupić kwiaty, ale sprawa okazała się dużo trudniejsza, niż mi się wydawało - odparła Alex, wręczając Fred bukiet. - Nie jestem przyzwyczajona do angielskich świąt, kiedy wszystko jest pozamykane. Jeździłam taksówką po mieście i w końcu znaleźliśmy stragan z kwiatami pod cmentarzem.

- Och, nie trzeba było sobie robić kłopotu, ale dziękuję bardzo, są śliczne - powiedziała Fred.
- Pod którym cmentarzem? - zaciekałem się.
- Nie mam pojęcia - odparła Alex z uśmiechem.
- Przestań zadawać Alex idiotyczne pytania, kochanie, i zabierz jej płaszcz. - Fred wcisnęła mi do rąk śliski nylonowy płaszcz i zaprowadziła Alex do jadalni ze słowami: - Chodź, zjesz coś, zostało jeszcze mnóstwo jedzenia.

Sam też trochę już zgłodniałem, pomiędzy moimi monologami skubnąłem bowiem tylko trochę orzeszków i przegryzłem coś małego, więc po powieszeniu płaszcza ruszyłem za nimi do jadalni. Alex, z kieliszkiem białego wina w ręku, zabawiła małą grupkę gości opowieściami o dantejskich scenach rozgrywających się na Heathrow - kolejkach wijących się aż na zewnątrz terminali, ludziach śpiących na torbach albo wprost na podłodze, zrozpaczonych rodzicach z płaczącymi maluchami... widzieliśmy to wszystko rzecz jasna w telewizyjnych wiadomościach, nie ma to jednak jak osobista relacja z linii frontu, żeby w pełni uświadomić sobie tamtejsze okropności i poczuć głęboką wdzięczność, że się tam nie trafiło. Fred przy-

248

niosła Alex parujące tajskie curry z kurczakiem z przenośnego barku z podgrzewanymi potrawami. Udałem się na żer.

Nie jestem pewien, czy wierzę w opowieść Alex o krążeniu po mieście w poszukiwaniu kwiatów. Jeśli zdobyła je pod cmentarzem, jest bardziej prawdopodobne, że zwinęła je z jakiegoś grobu przy kościele na końcu Rectory Road, a nie że zapłaciła za nie. Myślę, że celowo przyjechała później. Przybywszy jako ostatni gość, mogła też wyjść jako ostatnia. I rzeczywiście pozostała jeszcze długo po wyjściu wszystkich prócz rodziny, pomagała też przy sprzątanii, zbierała brudne kieliszki i talerze, a potem wkładała je do zmywarki. Fred zaproponowała, żeby została na herbatę, a ona skwapliwie z zaproszenia skorzystała. Nim popołudnie dobiegło końca, ku memu przerażeniu zadomowiła się już na dobre i bez żadnych oporów zwracała się do wszystkich po imieniu. Trudno nie podziwiać jej towarzyskiej zaradności. Potrafiła prowadzić rozmowy o pieniądzach z Gilesem, o dzieciach z Nicolą, o nieruchomościach z Jimem i Benem, o makijażu z Maxine. Udało jej się nawet oczarować Bena, nie wzbudzając przy tym zazdrości Maxine, a Marcia, która prawdopodobnie byłaby bardziej odporna na jej urok, odjechała z Peterem i dziećmi niedługo po obiedzie. Z całej rodziny jedynie Anne, jak mi się zdawało, traktowała Alex z pewną podejrzliwością.

W końcu stwierdziła, że chyba musi już lecieć, i zapytała, czy moglibyśmy wezwać taksówkę.

- Po co masz jeszcze wydawać pieniądze na taksówki - powiedziała Fred - a poza tym w święta mogłabyś czekać całą wieczność. Desmond cię odwiezie, prawda, kochanie? - Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodała już bez uśmiechu: - Czy może za dużo wypiteś?
- Wcale nie - zaprzeczyłem chłodno. Minęły już prawie trzy godziny, odkąd wysączyłem ostatni

kieliszek savigny-les--beaune, i czułem się całkiem trzeźwy, nawet jeśli w katego-

249

È>

riach alkomatowych zupełnie trzeźwy nie byłem. Ben powiedział, że on wypił na pewno powyżej dozwolonej normy, w przeciwnym razie chętnie by ją podwiózł, Giles zaś udał się na górę z Nicolą wykąpać dziecko, toteż żeby Fred przypadkiem sama nie zaoferowała jej podwózki, twierdziłem uparcie, że mogę odegrać rolę szofera Alex. Z surowym: „Jeśli jesteś tego pewien..Fred wyraziła zgodę.

Znalazłem się więc sam na sam z Alex. Jak na kogoś, kto właśnie spędził dwa dni na lotnisku, próbując bezskutecznie dotrzeć do rodziny na święta, była w zadziwiająco dobrym nastroju. Nie przestawała trąkotać w samochodzie o tym, jak świetne było przyjęcie, jaką cudowną mam rodzinę, ja natomiast odpowiadałem na te uwagi w sposób minimalistyczny. Kiedy zatrzymałem się na parkingu przy Wharfside Court, powiedziała:

- Nie pytałeś, jak mi idą badania.
- Jak ci idą?
- Bardzo dobrze. Dokonałam właśnie bardzo ciekawego odkrycia. We wszystkich próbkach listów pożegnalnych, jakie zebrałam, samo słowo „samobójstwo” pojawia się rzadko. Niespełna dwa procent. Trochę więcej osób mówi o zabiciu się. Mniej więcej połowa wspomina o śmierci, o tym, że chce umrzeć, reszta natomiast kluczy wokół tematu, daje do zrozumienia, co zamierza zrobić, „żegnając się” albo pisząc „nie będę już dla was ciężarem” i tak dalej. Albo używają eufemizmów typu „odejść”. Ale prawie nikt nie pisze, że popełnia samobójstwo. Co ty na to?
- To mi przychodzi na myśl pewne powiedzenie Borgesa -odparłem. - W zagadce, w której odpowiedzią są szachy, jedynym zabronionym słowem są „szachy”.
- Świetne! - przyznała. - Mogłabym to wykorzystać. No ale co o tym sądzisz?

Zastanowiłem się.

250

i

- Może słowo „samobójstwo” brzmi zbyt bezosobowo, zbyt obojętnie, zbyt sucho, żeby wyrazić intensywność ich emocji w tym czasie, zwłaszcza kiedy trzeba je połączyć z brzęczącym bardzo prawniczo „popełnić”, żeby stworzyć wyrażenie czasownikowe. Nie można zamienić tego słowa na czasownik. „Samobójstwo” jest tylko rzeczownikiem. „Umrzec” to prosty podstawowy czasownik, który musi mieć swój odpowiednik w każdym znanym języku. Określa niemal kondycję człowieka, podczas gdy „samobójstwo” kategoryzuje sam czyn jako coś marginalnego, dewiacyjnego, dziwaczego. Może to jest

część wytłumaczenia.

- Hej, to niesamowite! Jesteś naprawdę świetny, Desmondzie. Mogę to wykorzystać? - Kiedy się zawałałem, zastanawiając się, czy powiedzieć: „I tak to zrobisz”, dodała: - Oczywiście z podziękowaniem.
- Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś nie wspominała o pomocy z mojej strony - powiedziałem.
- Jak sobie życzysz - odparła pogodnie.

Raz jeszcze odniosłem wrażenie, że próbując wymazać wszelkie oznaki porozumienia między nami, w jakiś sposób potwierdziłem jego kontynuację.

- Wejdiesz na kawę?
- Nie - odparłem.
- No to dziękuję za podwiezienie. I za przyjęcie. - Wychyliła się z fotela pasażera i pocałowała mnie w policzek. Poczułem jej rękę na udzie. - Na pewno nie wejdiesz? - wydyszała mi do ucha.
- Nie, dziękuję - odpowiedziałem.

Szybko wysiadła z samochodu, a ja patrzyłem, jak przechodzi przez parking w swoim długim, lśniącym, czarnym płaszczu, i zastanawiałem się, co mogłoby się wydarzyć, gdybym przyjął jej zaproszenie. Kiedy doszła do rogu budynku, odwróciła się, pomachała i zniknęła z pola widzenia.

251

15

27 grudnia. Tata dziś rano nie był w najlepszej formie. Skarżył się, że spał kiepsko i musiał w nocy wstawać pięć razy „przez to, co zwykle”, natomiast „to drugie” dokucza mu w inny sposób.

- Chyba przez to curry mam zaparcie - wyznał Cecilii przy porannej kawie. Siedzieliśmy wokół kuchennego stołu, ponieważ Fred czyściła plamy po winie i curry na dywanach w pozostałych pokojach i nikomu nie wolno było tam wchodzić, dopóki wilgotne plamy nie wyschną. Zostały zaznaczone kwadratami kuchennego ręcznika jak pole minowe. - Można by pomyśleć, że podziąła odwrotnie, prawda? - dodał.
- Nie mam pojęcia, panie Bates - odparła Cecilia, ostentacyjnie wycierając usta chusteczką, na próżno dając mu do zrozumienia, że powinien zrobić to samo: od przygotowanej mu przez Fred cappuccino zrobił mu się wąż z białej pianki.
- Tato, usta - podpowiedziałem, pokazując mu na migi wymaganą czynność.
- Co? Aha. Dobra kawka, Winifred, ale te bąbelki idą mi do nosa. - Wyciągnął z kieszeni dużą, wymiętą, niezbyt czystą bawełnianą chusteczkę, wytarł usta i hałaśliwie wydmuchał nos. - Przydałaby mi się odrobina ciekłej parafiny - powiedział. - Masz może?

- Czy parafina nie jest zawsze ciekła? - zapytała Fred. - Chyba mamy trochę w szklarni.
- Co? Masz na myśli różową parafinę do kuchenek? Boże,

252

to by mnie wykończyło. Nie, moja droga, chodzi mi o ciekłą parafinę, którą się dostaje w aptece. Najlepsze na świecie lekarstwo na zatwardzenie.

- Ach - powiedziała Fred.
- Kupimy, jak wyjdziemy z domu po południu, tato - obiecałem, próbując odciągnąć go od tego tematu.
- A po co mamy wychodzić?
- Żeby obejrzyć Blydale House. Pamiętasz... pokazałem ci broszurę w Londynie ostatnim razem, jak jedliśmy obiad.

Jego twarz spochmurniała.

- Ja się nie przeniosę w takie miejsce - oznajmił.
- Obiecałeś, że obejrzysz Blydale House - przypomniałem. - Jesteśmy umówieni na trzecią.

Przez chwilę się spieraliśmy. Żeby oddać sprawiedliwość Fred i jej matce, wsparły mnie, przedstawiając mu zalety przeniesienia się do Blydale House lub podobnej instytucji, chociaż jestem pewien, że żadna z nich nie przyjmowała z entuzjazmem perspektywy jego bliskiego sąsiedztwa i częstych wizyt w naszym domu.

- Już dobrze, obejrzę - ustąpił w końcu. - Ale to strata czasu.

Towarzyszył mi i kierownicze Blydale House podczas obchodu po budynku, demonstrując cichą, sardoniczną obojętność, kiedy szedł parę kroków za nami, mnie pozostawiając zadawanie wszystkich pytań i prawie nie słuchając odpowiedzi pani Wilson, sympatycznej kobiety w średnim wieku, najwyraźniej przyzwyczajonej do kontaktów z krnąbrnymi starcami. Aktualnie nie mają wolnych miejsc, uzyskała jednak zgodę jednego z pensjonariuszy na obejrzenie przez nas jego sypialni, kiedy on będzie na podwieczorku w świetlicy. Otworzyła przed nami drzwi. Stałem na progu i zawołałem tatę udającego zainteresowanie akwarelą na ścianie korytarza, żeby przyszedł i obejrzał pokój. Był mniejszy, niż sugerowało zdjęcie w broszurze, ale czysty i zadbane. Stała tam sofa z podusz-

253

, -

kami, fotel, wbudowana w ścianę szafa i komoda, okolicznościowy stolik z jednym krzesłem i telewizor w kącie.

- Przytulnie, prawda? - powiedziałem.

Prychnął i nic nie powiedział.

Pani Wilson wskazała drzwi do przyległej łazienki.

- Jest prysznic, bez wanny. I oczywiście sedes.

- Znaczy się, nie ma wanny? - zdziwił się tata. Był to pierwszy szczegół, który go skłonił do zabrania głosu.

- Uważamy, że prysznice są bezpieczniejsze - wyjaśniła pani Wilson. - Są wyposażone w uchwyt, którego można się przytrzymać, i składany fotelik, jeśli ktoś woli usiąść.

Tata pokręcił głową.

- Prysznic to nie wanna - stwierdził. Na starość wrócił do zwyczaju cotygodniowej kąpieli z czasów dzieciństwa, która zamienia się w epickie wydarzenie trwające godziny, nie minuty, i wytwarza olbrzymie ilości pary w łazience.

- Mamy jedną łazienkę z wanną - poinformowała pani Wilson - choć przystosowana jest głównie dla osób na wózkach inwalidzkich.

- Nie jestem jeszcze takim przypadkiem - zachnął się tata.

Pani Wilson uśmiechnęła się i powiedziała, że zauważyła.

Obejrzelśmy wspólną stołówkę, gdzie dwie kobiety w niebieskich fartuchach nakrywały do stołu przed wieczornym posiłkiem, i świetlicę, gdzie z wózka na kółkach wydawano siedzącym sztywno w fotelach pensjonariuszom popołudniową herbatę i ciasteczka. Kilka osób ucięło sobie pogawędkę. W większości siedzieli jednak samotnie w milczeniu, zaabsorbowani... czym? Myślami? Wspomnieniami? Zmartwieniami? Czy po prostu czuli się zagubieni? Na ich twarzach pojawił się cień zainteresowania, gdy weszliśmy do sali, lecz po chwili zgasł. Spojrzeliśmy na tablicę ogłoszeń, na której wywieszono godziny turniejów wista, sesji bingo i zajęć gimnastycznych.

254

\

m

- No więc jak się panu podoba w Blydale, panie Bates? - zapytała go pani Wilson, kiedy wróciliśmy do jej gabinetu.

- To bardzo przyjemne miejsce... - przyznał i pozwolił, by na moje usta wyłynął uśmiech zadowolenia, nim dodał: -...dla starych ludzi, którzy nie mają własnego domu.

- Och, wielu naszych pensjonariuszy miało piękne domy przed zamieszkaniem tutaj - powiedziała. -

Wszyscy jednak dożywamy chwili, kiedy prowadzenie domu przerasta nasze siły.

- No cóż, ja jeszcze nie dożyłem tej chwili - stwierdził, po czym odwrócił się do mnie: - Możemy już iść, synu?

Przed odjazdem przeprosiłem panią Wilson za grubiańskie zachowanie taty.

- Niech się pan tym nie przejmuj, starsi ludzie nie lubią opuszczać swoich domów, to całkiem naturalne.

Zapytałem, czy mogę umieścić tatę na liście oczekujących.

- Nie prowadzimy takiej listy - powiedziała. - Proszę się z nami skontaktować, jeśli zmieni zdanie. Miejsca zwalniają się dosyć często.

W pewnym sensie rozumiałem jego opór. Blydale House jest porządnym, dobrze zarządzanym domem opieki, czystym i jasnym, oglądałem jednak tamtejszą świetlicę z silnym pragnieniem jak najszybszego opuszczenia jej, a mały pokój, do którego zajrzeliśmy, choć wygodnie umeblowany, bardziej przypominał celę niż dom. Z drugiej strony, o czym wspomniałem w drodze powrotnej na Rectory Road (zatrzymaliśmy się jeszcze po drodze w aptecce, żeby kupić jemu ciekłą parafinę, a mnie baterie), mieszkając blisko nas, nie byłby tam uwięziony na cały dzień, mógłby zawsze wskoczyć do autobusu i nas odwiedzić.

- Szybko mielibyście dosyć tych wizyt - powiedział z krępującą otwartością.

255

>

Ma oczywiście rację. Odczuwam podszytą poczuciem winy ulgę, że nie chce się przenieść do Blydale House od razu. Domyślałem się, że Fred i Cecilia miały podobne odczucia, kiedy opowiedziałem im o wyniku naszej wizyty, obawiam się jednak, że my wszyscy, altruistycznie wykonawszy swą powinność, jaką było namawianie go do przenosin, teraz oskarżaliśmy go o upartą niewdzięczność, kiedy nie chce tego zrobić.

- Tylko odkładasz w czasie to, co nieuchronne, Harry - powiedziała Fred. - Jeśli nie przeniesiesz się do takiego domu gdzieś tutaj, będziesz to musiał zrobić w Londynie.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle muszę się gdziekolwiek przenieść - odparł obrażonym tonem.

- Bo sobie nie radzisz, tato - perswadowałem mu. - W domu stanowisz zagrożenie dla samego siebie. Nawet nie chcesz nosić alarmu.

- Jakiego alarmu?

- Mówiłem ci. Takiego urządzenia, które nosi się na szyi.

- Ach, tego. Nie muszę. Mógłbym coś przycisnąć przez pomyłkę i w środku nocy policja i straż pożarna rozwaliby mi drzwi.

- Rezydując w miejscu, gdzie miałby pan stałą opiekę, nie musiałby pan nosić tego urządzenia, panie Bates - wtrąciła Cecilia, która zajmuje luksusowy apartament przystosowany dla osób starszych w Cheltenham. - W moim mieszkaniu w każdym pokoju jest przycisk, którym mogę wezwać pomoc.

Tata przeniósł obronę na swe ulubione pozycje.

- A tak w ogóle, ile kosztuje pobyt tam? - zapytał mnie.

- Nie powiem ci tak z głowy - próbowałem wykręcić się od odpowiedzi. - Sporo, ale mógłbyś sobie na to pozwolić, a jeśli nie, to my...

- Dwieście siedemdziesiąt pięć funtów tygodniowo - wtrąciła Fred.

256

- Co? - wykrzyknął tata. - Skąd ja mam wytrzasnąć tyle pieniędzy?

- To bardzo proste. Wystarczy sprzedać dom - wyjaśniła Fred. - Zważywszy na ceny nieruchomości w Londynie, dostaniesz tyle pieniędzy, że wystarczy na pobyt w Blydale tak długo, jak...

Fred zawahała się i tata dokończył za nią.

- Tak długo, jak to będzie konieczne? A więc niezbyt długo, gdybym zamieszkał w tych stronach, mówię wam. Wtedy byście odziedziczyli wszystkie moje pieniądze.

- Och, na litość boską, Harry! - zdenerwowała się Fred. - Nie bądź śmieszny.

- Mogę pana zapewnić, że ja nie mam żadnych zakusów na pańskie pieniądze, panie Bates - oznajmiła Cecilia. - Mój świętej pamięci małżonek dobrze mnie zabezpieczył.

- No tak, nie wątpię - wymamrotał ponuro tata.

Później, kiedy zostaliśmy sami, powiedziałem Fred, że moim zdaniem była dla taty zbyt surowa, strasząc go kosztami pobytu w Blydale.

- Nie ma co owijać w bawełnę - stwierdziła. - Musi się pogodzić z faktami. Jeśli go zabiorą do państwowego domu opieki, skonfiskują dom, żeby pokryć koszty.

- Teraz już całkowicie zniechęciłaś go do wyniesienia się z Londynu - zarzuciłem jej. - Ale może o to właśnie ci chodziło.

Co za złośliwa uwaga. Dlaczego powiedziałem coś takiego? Nie wiem. Przypisuję to zwarzonej atmosferze świąt Bożego Narodzenia.

- Nie wierzę, że mogłeś nie tylko powiedzieć, ale i pomyśleć coś takiego. Zawsze starałam się, żeby

twój ojciec czuł się u nas dobrze, nawet jeśli uważam jego ciągłe komunikaty o stanie pęcherza i kiszek za trudne do zniesienia. Nie mówiąc już o mamie.

257

- Lepiej będzie, jak zabiorę go jutro z powrotem do Londynu - zaproponowałem.
- Jeśli chcesz, proszę bardzo - powiedziała Fred. - Ale nie wmawiaj mi, że to ja go stąd wyrzucam.

Kiedy napomknąłem tacie, że może byłoby dobrym pomysłem, gdybym zabrał go do Londynu jutro, kiedy ruch na MI, pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, będzie w miarę znośny, zgodził się bez szemrania.

- Cokolwiek rozkażesz, synu. Jak ci tam pasuje.

Do końca dnia roztaczał wokół siebie atmosferę męczeństwa, jak gdybyśmy go dręczyli, a on nie zamierzał się skarżyć. Być może wyczuł wibracje niezgody między mną a Fred i domyślił się, że to przez niego. W sumie wieczór był nerwowy i nieprzyjemny. Po kolacji, którą zjadł w milczeniu, nie przyjął mojej propozycji skorzystania ze słuchawek, żeby mógł oglądać telewizję, nie przeszkadzając nam (wszyscy chcieliśmy czytać), postanowił natomiast posłuchać swojego radjka przez jedną słuchawkę, siedząc w fotelu z przymkniętymi oczami.

- Nie możesz mu powiedzieć, żeby przestał? - zwróciła się do mnie z irytacją Fred, podnosząc wzrok znad książki.
- Co przestał? - zapytałem.

Westchnęła i podniosła oczy do sufitu.

- No tak, oczywiście, ty tego nie słyszysz. Mamo, ty słyszysz?

Cecilia, która czytała naszego „Guardiana” i od czasu do

czasu porównywała go krytycznie z „Telegraphem”, powiedziała:

- Co słyszę, kochanie?
- Boże, daj mi cierpliwość! Czy ja jestem jedyną osobą w tym domu, która słyszy normalnie? - zawołała Fred. - Z tego radia dobywa się metaliczne brzęczenie. Doprowadza mnie do szału.
- Pewnie ze słuchawki, prawdopodobnie słucha za głośno - wytłumaczyłem. - Poproszę, żeby ściszył.

258

- *

- Nie, daruj sobie, na pewno i tak będę słyszała - rzekła. - Poczytam w łóżku. Zajmij się nim i mamą

do czasu, aż się położą.

- Ja nie będę długo siedzieć - powiedziała do niej Cecilia, a do mnie, kiedy Fred wyszła z pokoju: - Mój świętej pamięci małżonek miał doskonały słuch do końca swych dni. Mój słuch, muszę przyznać, nie jest już taki jak kiedyś.

- Ale nie jest najgorzej, biorąc pod uwagę mamy wiek - rzekłem. - Nie wie mama, jakie ma szczęście.

- Nie, nie musiałam się jeszcze modlić do świętego Franciszka Salezego - oznajmiła z pewnym zadowoleniem. - Wiesz, że jest patronem głuchych?

Przyznałem, że o tym nie wiedziałem.

- Sam był zatem głuchy?

- Nie, ale katechizował głuchego, żeby mógł przyjąć komunię świętą. Przypuszczam, że wynalazł jakiś rodzaj języka migowego. Gdybyś był katolikiem, Desmondzie, mógłbyś się pomodlić do świętego Franciszka Salezego. - Wypowiedziała tę ostatnią uwagę z lekko szelmowskim uśmieszkiem. Lubi od czasu do czasu zrobić przytyk pod moim adresem w związku z moją bezbożnością.

- Żeby mnie wyleczył?

- Znane są takie przypadki. Ale oczywiście to nie sami święci dokonują cudu. Jest to powszechne nieporozumienie.

- Przekazują modlitwę Bogu, prawda? - zapytałem, przypominając sobie wykład o modlitwie błagalnej.

- Wstawiają się za nas u Pana Boga - poprawiła mnie Cecilia.

- Po co ich angażować, skoro można pomodlić się samemu bezpośrednio do Boga? - zapytałem.

Cecilia przez chwilę zastanawiała się nad tym pytaniem, jak gdyby nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy.

- Może trochę się krępujemy zanosić nasze problemy bezpo-

259

średnio do Najwyższego. Czujemy się pewniej, mogąc to zrobić za pośrednictwem świętego albo Najświętszej Pani.

- Wyobrażam sobie niebo jako renesansowy dwór - powiedziałem - gdzie wszyscy święci tłoczą się wokół tronu Pana Boga jak dworzanie z petycjami w rękach.

Cecilia się uśmiechnęła.

- Nikt nie może ci zakazać modlić się bezpośrednio do Boga - powiedziała. - Nasz Pan uzdrowił wielu głuchych, kiedy chodził po tej ziemi.
- Ale oni byli chyba zupełnie głusi, do tego zwykle niemi.
- Widzę, że dobrze pamiętasz Nowy Testament - rzekła Cecilia z pełnym aprobaty skinieniem głową.
- Rozumiem, że to całkiem spektakularny cud: sprawić, by głuchy usłyszał, a niemy przemówił - powiedziałem. - Ale upośledzenie słuchu jest dużo mniej interesującą przypadłością. Nie warto nią zawracać głowy świętemu, nie mówiąc już o Bogu.
- Zawsze możesz się pomodlić o cierpliwość, byś mógł dźwigać swój krzyż - zaproponowała Cecilia.
- Fred właśnie to zrobiła - powiedziałem - ale najwyraźniej nie poskutkowało. - Cecilia wyglądała na zbitą z tropu, wyjaśniłem więc: - Powiedziała: „Boże, daj mi cierpliwość!”, nim poszła spać.
- Ach, przecież to nie była prawdziwa modlitwa. Winifred nigdy nie uważała cierpliwości za zaletę wartą pielęgnowania. Urodziła się niecierpliwa... najkrótszy poród ze wszystkich czterech.

To była najbardziej interesująca rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyłem z moją teściową. W jej trakcie tato się poruszył, dźwignął swe długie ciało, wyłączył radio i wyszedł z pokoju, nic nie mówiąc ani nie patrząc nawet w moją stronę. Podejrzywałem, że udał się tylko do toalety, ale nie wrócił, a kiedy poszedłem sprawdzić, okazało się, że już się położył.

260

-

28 grudnia. Odwiozłem dzisiaj tatę do domu. Rano był w lepszym humorze, wczoraj wieczorem bowiem tyknął - z dobrym skutkiem - trochę ciekłej parafiny.

- Zadziałało - powiadomił mnie przy śniadaniu ochrypłym teatralnym szeptem.

Cecilia udała, że go nie słyszy. Przed dziesiątą był już spakowany i gotów do odjazdu. Fred, być może odczuwając pewne wyrzuty sumienia w związku z tym, że wczoraj była wobec niego tak szorstka, dała mu do domu paczkę z jedzeniem: plastry piersi indyka i szynki, kawałki sera, nadziewane babeczki, jabłka, pomarańcze, wszystko oddzielnie zapakowane. Podziękował jej serdecznie i pocałował ją w policzek.

- Dziękuję za wszystko, moja droga - powiedział. - Do widzenia, Celio - rzekł, ściskając jej dłoń.
- Do widzenia, panie Bates - odparła. - Szerokiej drogi. I szczęśliwego Nowego Roku.
- Właśnie, szczęśliwego Nowego Roku, Harry - zawtórowała Fred.

Skrzywił się.

- Zapewniam was, że nie zamierzam zarywać nocy. Nowy Rok nic już dla mnie nie znaczy.

Szczęśliwy nowy tydzień to wszystko, na co liczę.

- Tak - powiedział z rozrzewnieniem, kiedy odjeżdżaliśmy spod domu - sylwester to była jedyna noc w roku, kiedy wszyscy z Archer Street mieli robotę, nieważne, czy byli jednorękami perkusistami czy saksofonistami bez słuchu, pracowali za podwójną stawkę. Na sylwestra byłeś zaklepywany na wiele miesięcy do przodu. To się skończyło. - I podjął znajomy temat upadku orkiestr tanecznych. Na autostradzie zamilkł i myślałem, że się zdrzemnął, nagle jednak zaskoczył mnie pytaniem: - Co się stało z tym facetem, który był u ciebie wczoraj wieczorem?

261

- Jakim facetem, tato?
- Wczoraj wieczorem w salonie rozmawiał z Celią.
- To byłem ja, tato. Prócz ciebie w salonie byłem tylko ja.
- Nie, to był ktoś inny. Nie pożegnałem się z nim, bo zapomniałem, jak się nazywa. Chciałem go przeprosić dziś rano, ale pewnie już odjechał.

To urojenie zmartwiło mnie, ale nie próbowałem go do niczego przekonywać.

Podróż przebiegła nie najgorzej. Na wszelki wypadek pod fotelem pasażera schowałem karafkę do wina z szeroką szyjką, nie była jednak potrzebna. Po drodze zatrzymaliśmy się na trzech stacjach benzynowych w dokładnie wyliczonych odstępach i dojechalśmy na Lime Avenue około piętnastej, gdy gaśło już zimowe światło dnia. Dom, z zaciągniętymi zasłonami, wydawał się w środku mroczny i ponury, a ja miałem wyrzuty sumienia, że zostawiam tatę w tak przygnębiającym siedlisku, chociaż taki był jego wybór. Pocieszało mnie tylko to, że w domu jest dość ciepło.

- Boże, zostawiłem włączony kaloryfer w przedpokoju! -zawołał tata, kładąc na nim dłoń. - Mógłbym przysiąc, że go wyłączałem.

I tak się stało, włączenie go bowiem było ostatnią rzeczą, którą zrobiłem przed wyjściem. Ale kuchnia z tłustą ceratą i wyszczerbionym blatem z formiki oraz jadalnia z wytartym dywanem i zapadniętymi fotelami przypominały mi dekoracje z wczesnych sztuk Pintera.

- Nie wolałbyś mieszkać w tym czystym, jasnym domu, który wczoraj odwiedziliśmy? - zapytałem. - Gdzie ktoś gotowałby ci gorące posiłki?
- Nie - odparł. - Cieszę się, że jestem w domu. I mam tyle pyszności od twojej żonki.

262

f

Na jednej ze stacji kupiliśmy chleb i mleko, na jakiś czas był więc rzeczywiście dobrze zaopatrzony. Wypiłem z nim herbatę i pożegnałem się.

Wracałem z nastawionym głośno radiem - Jazz FM w okolicach Londynu, potem Radio Four i Classic FM na autostradzie. Zatrzymałem się tylko raz na posiłek i krótką drzemkę w samochodzie, toteż w domu byłem z powrotem około dwudziestej pierwszej trzydzieści. Fred wyszła z salonu, kiedy usłyszała mnie w holu, i powiedziała coś. Bez uśmiechu.

- Co? Chwileczkę - poprosiłem i założyłem aparat.

- Twój ojciec dzwonił kilka razy. Nie wiem, o co chodzi, ale wydaje się zdenerwowany.

Poszedłem do gabinetu i zadzwoniłem do niego. Odebrał natychmiast, jak gdyby czuwał przy aparacie.

- Halo? Kto tam? - zapytał głośno ze złością.

- Desmond, tato - odpowiedziałem. - Co się dzieje?

- Co się dzieje? To ja chcę wiedzieć, co się dzieje - pieklił się. - Porzucono mnie tutaj zupełnie samego. Ten facet, co to mnie tutaj przywiózł, po prostu się ulotnił bez słowa.

- To byłem ja, tato - powiedziałem. - I przed wyjazdem wypiliśmy z tobą herbatę.

- Jak to: ty? Ja mówię o tym facecie, który mieszka na północy. Ma wielką chałupę z czterema wucetami i zasłonami, które rozsuwają się same jak w kinie. I żonę damulkę, którą nie wiadomo dlaczego nazywają Fred, i całą hordę krewnych. Przywiózł mnie tutaj i przez całą drogę prawie w ogóle się nie odzywał.

- To ja, tato. Ja mieszkam na północy, ja mam wielką chałupę i żonę o imieniu Fred. Skrót od Winifred. Dała ci indyka i szynkę do domu.

- Faktycznie - odezwał się po przerwie. - Właśnie zjadłem trochę na podwieczorek. - Sprawiał wrażenie zatroskanego. - A więc to byłeś ty.

-Tak.

263

- Co się ze mną dzieje?

- Byłeś kilka dni poza domem, a teraz wróciłeś i jesteś trochę zdezorientowany. Nie ma się czym przejmować.

Ale jest.

29 grudnia. Dzisiaj wyjechała Cecilia. Razem z Fred odwieźliśmy ją na dworzec i wsadziliśmy do pociągu

do Durham. Pojechała do najstarszego syna i jego żony, którzy tam mieszkają; zwykle spędza Boże Narodzenie z nami, a Nowy Rok z nimi. Wreszcie jesteśmy więc z Fred sami. Cieszyłem się na spokojny weekend, nie licząc kilku godzin ogłuszającego przyjęcia sylwestrowego u sąsiadów, na które zawsze chodzimy, zjawiamy się późno, a potem wymykamy tuż po obowiązkowych całusach i toastach noworocznych, lecz Jakki i Lionel zaprosili nas, byśmy dołączyli do nich w miejscu o nazwie Gladeworld. Podobno jest to ekskluzywny ośrodek wypoczynkowy w lesie, jakieś sto kilometrów od nas. Planowali spędzić tam sylwestra z bratem Lionela i jego żoną, lecz brat Lionela zachorował na zapalenie oskrzeli i leży w łóżku z temperaturą, musieli się więc wycofać w ostatniej chwili i Jakki zapytała Fred, czy nie zechcielibyśmy wskoczyć na ich miejsce. Fred przekazała mi opis podany jej przez Jakki:

- Mieszka się w domkach wypoczynkowych rozrzuconych wśród drzew. Mówi, że są bardzo wygodne, a oni zarezerwowali domek, który należy do tych najbardziej luksusowych. Z łazienkami i tak dalej. Jedzenie można przygotowywać samemu albo stołować się w jednej z restauracji. Jest podgrzewany kryty basen pod olbrzymią plastikową kopułą ze sztucznymi falami, rwącymi strumieniami i palmami, jest też ośrodek spa, hala sportowa i tak dalej. Nie ma samochodów; auto zostawia się na parkingu i wszyscy wypożyczają rowery albo chodzą pieszo.

264

- Co za koszmarnie miejsce - stwierdziłem.

- A mnie się nawet podoba - oświadczyła Fred. - Cieszy się ogromnym powodzeniem. Jakki mówi, że rezerwację trzeba robić z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Bardzo miło z ich strony, że nas zaprosili.

- Będziemy za siebie płacić?

- No oczywiście, że pokryjemy naszą część.

Zapytałem ile, i podała sumę, która wydawała mi się dość wysoka.

- Tak więc to raczej my będziemy wyświadczać im przysługę, lub bratu Lionela, a nie odwrotnie?

Fred zbyła ten komentarz pogardliwym odrzuceniem głowy.

- Wiecznie narzekasz, jak bardzo nie znosisz Nowego Roku, niemal tak bardzo jak Bożego Narodzenia... no to proszę, masz okazję tym razem wyjechać, zrobić coś innego. Trochę ruchu, świeżego powietrza, relaks dobrze nam zrobi.

- Będziemy skazani na Jakki i Lionela przez trzy dni?

- Jakki jest moją przyjaciółką, a Lionel jest strasznie sympatyczny. Zresztą nie musimy wszystkiego robić razem. I to tylko dwa pełne dni. Jeśli nie pojedziesz - zakomunikowała na koniec - pojedę sama.

Zrozumiałem, że muszę się poddać, nie mogłem bowiem ryzykować trzeciej w tygodniu kłótni z Fred. Drogę do zgody przetarłem żartem.

- Skąd wiesz, czy nie planują jednego z tych swoich tematycznych wieczorków? Na przykład orgietki z wymianą żon. Z kluczykami samochodowymi w misce i pornosami w telewizji.

Fred parsknęła śmiechem.

- Masz ochotę na Jakki, kochanie?

- Ależ skąd!

- Ja też nie mam ochoty na Lionela. Zresztą nie byłoby zbyt dużo kluczyków samochodowych do wyboru. Mógłbyś wylosować mnie.

265

- Albo Lionela - zauważyłem.

Zachichotała.

- No to jedziesz?

- Chyba powinienem - powiedziałem - bo jeszcze zaproponują ci seks w trójkącie.

- Świetnie, powiem Jakki, że się zgodziłeś, nie powiem jej tylko, dlaczego. - Oddaliła się w dobrym humorze, żeby zadzwonić do Jakki.

„Mógłbyś wylosować mnie”. Słowa te pobrzmiwały jeszcze przez jakiś czas sugestywnie w mojej głowie i zrodziła się z nich myśl, że być może Gladeworld pomoże poprawić stosunki między nami. Nie kochaliśmy się od epizodu ze spankin-giem kilka tygodni temu. I chociaż z reguły nie cierpię forsownych ćwiczeń, zwłaszcza pływania w chlorowanych krytych basenach, muszę przyznać, że dają one poczucie błęgiego odprężenia, które sprzyja zbliżeniu. A świadomość, że Jakki i Lionel będą to robić w pokoju obok jak króliki, może podzielać jak afrodyzjak. Chociaż oczywiście nigdy się do tego nie przyznam, całkiem się cieszę na ten weekendzik.

16

Głuchota po południu

Gladeworld. Przedziwne zjawisko. Miejsce o cechach zwykle uważanych za negatywne, takich jak izolacja i sztucznie wywoływany ból, które jak na obrazie fotograficznym w osobliwy sposób nabierają pozytywnego charakteru, o czym świadczą zadowolone miny gości. Dobroczynny obóz koncentracyjny. Łagodne więzienie. Radosne piekło. Zajmuje powierzchnię dwóch, trzech kilometrów kwadratowych, z wysokim ogrodzeniem z siatki zwieńczonej drutem kolczastym i jedną bramą jak w wojskowym punkcie kontrolnym, gdzie szlaban wędruje do góry za każdym razem, gdy internowani nadjeżdżają samochodami i wpuszcza się ich po sprawdzeniu dokumentów przez ochroniarzy w uniformach. Na terenie ośrodka kilka tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci mieszka w parterowych domkach, dużo mniejszych niż te, z których przyjechali, zmyślnie rozstawionych wśród drzew, żeby stworzyć złudzenie prywatności. Noszą coś w rodzaju więziennych strojów: dresy, szorty, sportowe buty, a podczas deszczu nieprzemakalne skafandry

z kapturem. Całe dni spędzają na mozolnym wspinaniu się i schodzeniu, w jedną i drugą stronę, pieszo i na rowerach, asfaltowymi szosami i ścieżkami łączącymi domki z różnymi punktami zbornymi: na przykład ze sklepem, gdzie robi się zakupy, tak jak w domu, tylko z mniejszymi wygodami, ponieważ produkty są gorszej jakości, a ceny wyższe, trzeba też dźwigać ciężkie torby z zakupami do domku, ponieważ samochody zostawia się na parkingu; albo z dużą halą sportową,

267

gdzie za dodatkową opłatą, wcale niemałą, można uprawiać w sztucznym świetle i w sztucznym powietrzu różne sporty (tenis, badminton, squash, racquetball, bilard, snooker, tenis stołowy itd., itd.), na oczach bandy innych internowanych, rzucających krytyczne spojrzenia w oczekiwaniu, aż skończy się twój czas, a zaczniesz ich; oraz z największą atrakcją ośrodka: tropikalnym aquaparkiem, olbrzymią plastikową kopułą geodezyjną kryjącą pod sobą w podgrzewanym, wilgotnym powietrzu kompleks basenów i urządzeń o przeróżnych rozmiarach i kształtach: labiryntowe tunele i kanały z potężnymi, napędzanymi pompami prądami, wysokimi zjeżdżalniami, spiralnymi rurowymi rękawami i górskimi strumieniami z włókna szklanego, które zaczynają się na samym szczycie konstrukcji pod gołym niebem i opadają z coraz większą siłą i prędkością, najpierw na zewnątrz, a potem wewnątrz kopuły, żeby wpaść stromo do głębokiego basenu na dole. Chociaż teoretycznie przeznaczone jest do pływania, projekt tego miejsca uniemożliwia zrobienie więcej niż kilku ruchów w każdym kierunku. Główny basen ma taki kształt, że trudno określić, który wymiar jest długością, a który szerokością, ludzie pływają zatem we wszystkich kierunkach i ciągle na siebie wpadają, a od czasu do czasu niewidzialna maszyna wytwarza dużą falę, w której w ogóle nie mogą pływać, unoszą się jedynie na powierzchni jak rozbitkowie po wypadku samolotowym czekający w morzu na ratunek, tyle że piszczą z radości, nie ze strachu.

Wystarczyłoby zmienić ścieżkę dźwiękową, zastąpić śmiech i żarty okrzykami i piskami przerażenia, założyć na obiektyw czerwony filtr, nadając całej scenie ognistą poświatę, a można by pomyśleć, że znajdujemy się we współczesnej wersji Piekieła Dantego lub otchłani piekielnych ukazanych przez średniowiecznych malarzy. Te tłumy na wpół nagich ludzi miotanych przez wzburzone fale lub spadających z zatrważającą prędko-

268

t »

ścią półprzezroczystymi spiralnymi tubami, fikających koziołki w sztucznych strumieniach, krztuszących się wodą, oślepionych pianą, kręcących się w wirach, ściąganych z powrotem przez przeciwny prąd, splątanych z kończynami innych, posiniaczonych i poobijanych od zderzeń ze ściankami z włókien sztucznych, żeby trafić w końcu do bulgoczącej wody na dole, w nieodparty sposób kojarzą się z tamtymi starymi wyobrażeniami potępionych, skazanych na ciągle powtarzanie swojej kary. Gdy tylko bowiem lądują na końcu strumienia lub zostają wypluci przez spiralne tuby i wydostają się z wody, przemoczeni i oszołomieni, goście Gladeworld posłusznie wspinają się po schodkach meandrujących między sztucznymi głazami i ustawiają się w długich kolejkach na górnych poziomach zjeżdżalni albo dają nura do parującego otwartego basenu, który prowadzi do strumienia, żeby raz jeszcze przeżyć ten sam strach i ból.

Desmond przedstawił tę analogię Fred, Jakki i Lionelowi na koniec ich pierwszego wspólnego dnia. Był sylwestrowy wieczór i postanowili sami przyrzucić sobie kolację w swojej „willi”, jak dość szumnie nazwano domek wypoczynkowy z dwiema sypialniami, ponieważ jedyny lokal na terenie Gladeworld, który wyglądał choć trochę obiecująco, był całkowicie zarezerwowany, tak jak pewnie każda restauracja w okolicy, „jeśli w ogóle ochroniarze przy bramie by nas wypuścili na kilka godzin”, zauważył Desmond, kiedy omawiali plany kolacyjne.

- Oczywiście, że by nas wypuścili - zapewniła Jakki, której wycucie ironii nie było zbyt dobrze rozwinięte.

- Nie zwracaj na niego uwagi - poradziła Winifred. - On już tak ma.

Pomimo tej rady Jakki zareagowała z takim samym przywiązaniem do dosłowności na jego metaforyczny opis tropikalnego aquaparku.

- Strach i ból? - powtórzyła, marszcząc brwi. - Nie wiem, o co ci chodzi. Widać przecież, jak dobrze się wszyscy bawią.

269

- To tylko żart, skarbie - rzekł Lionel. - Desmond żartuje. Wiecie - ciągnął dalej - że ten ośrodek ma dziewięćdziesięcio-pięcioprocentowe obłożenie przez cały rok? Dziewięćdziesiąt pięć procent. Czymś przyciągają tu tych wszystkich ludzi.

- Uważam, że to cudowne miejsce dla całych rodzin - oświadczyła Fred. - Zamierzam je polecić Marcii i Peterowi. Jestem pewna, że dzieciaki byłyby zachwycone.

- Oczywiście trzeba lubić aktywny wypoczynek, żeby maksymalnie wykorzystać pobyt w takim miejscu - stwierdziła Jakki.

Razem z Lionelem biegali przed śniadaniem, a przed obiadem jeździli po lesie na wypożyczonych rowerach; Desmond i Winifred zaproponowali, że zrobią zakupy na kolację, i dwu-kilometrowy spacer z domku do sklepu i z powrotem, z obciążeniem w postaci wypchanych plastikowych siatek, był wystarczająco forsownym ćwiczeniem, przynajmniej jeśli chodzi

o Desmonda. Popołudnie przeznaczone było na relaks w aqua-parku. Uważał, że nigdy w życiu nie był w mniej relaksującym miejscu, począwszy od szatni, labiryntu kabin z oślizgłą podłogą, każda z dwójgami drzwi, jednymi na basen i drugimi do wejścia/wyjścia, które zamykały się i otwierały jednocześnie dzięki prostemu mechanizmowi (rozpracowanie go zajęło mu dwadzieścia minut) i z szafkami, które po wrzuceniu monety jednofuntowej pozwalały na przekręcenie i wyjęcia kluczyka z gumowym paskiem zapinanym na przegubie dłoni lub kostce. Powróciwszy do szatni sporo wcześniej niż jego towarzysze, nie mógł odczytać numeru z gumowego paska, jako że zostawił w szafce aparat słuchowy i okulary, a kiedy prosił przechodzących ludzi, żeby mu go odczytali, nie słyszał odpowiedzi, więc w końcu podał kluczyk małemu dziecku, które zaprowadziło go jak bezradnego imbecyla do właściwej szafki

1 otworzyło mu ją.

Pomiędzy tymi upokorzeniami ograniczył swe czynności

270

pod kopułą do powolnego zataczania w wodzie kół, po kilka ruchów ramion w jednej serii, w głównym basenie i w ogrzewanym basenie pod gołym niebem na samej górze, trzymając się z dala od jazu prowadzącego do sztucznych strumieni górskich. Tak czy inaczej, nawet umiarkowana dawka wysiłku i ruchu w wodzie wywołała w jego członkach przyjemne wewnętrzne ciepło, pewnego rodzaju zmysłowe znużenie; i teraz, po dobrej kolacji - coq au vin przygotowanym przez Winifred i pieczonych jabłkach nadziewanych figami przyrządzonych przez Jakki - a zwłaszcza po obfitej ilości wypitego przezeń wina pomerol, którego dwie butelki przezornie zabrał z domu, poczuł się wystarczająco odprężony, by zapomnieć o sprawach irytujących i frustrujących go w ciągu dnia, i pozwolił myślom leniwie krążyć wokół erotycznych perspektyw nadchodzącej nocy.

Jedna z dwóch sypialni miała podwójne łóżko, a druga dwa pojedyncze. Jakki i Lionel, którzy znaleźli się w domku wcześniej, zajęli tę pierwszą.

- Nie macie nic przeciwko? - zapytała Jakki, po czym dodała z filuternym uśmiechem: - Zawsze możecie zsunąć łóżka.

- Nie wiem, czy będzie nam się chciało - odpowiedziała Winifred, co nie wróżyło zbyt dobrze.

Te słowa padły wszakże minionego wieczoru po podróży samochodem z nużącymi przestojami na zapchanej autostradzie i wysiłku związanym z wyładowaniem bagaży, odprowadzeniem aut na parking i przejściem z powrotem do domku, który wydawał się położony najdalej od parkingu, jak to tylko możliwe w obrębie ośrodka. Oboje z Winifred byli zmęczeni, wcześniej położyli się spać i mocno zasnęli pod kołdrami w oddzielnych łóżkach. Dziś wieczorem jednak, pomyślał, Winifred może będzie miała ochotę na seks. Endorfiny uwolnione przez aktywność fizyczną załały także jej układ nerwowy, na pewno więc i ona doświadcza tego przelotnego, lecz przy-

271

jemnego poczucia błogości, wydawało mu się ponadto, że kiedy ich spojrzenia spotykały się chwilami nad stołem przy kolacji, jej oczy błyszczały kusząco, a uśmiech promieniał prawdziwym ciepłem.

Niefortunnie się zatem złożyło, że była to akurat sylwestrowa noc, toteż kiedy po sprzątnięciu ze stołu i umieszczeniu brudnych naczyń w zmywarce (urządzeniu r co podkreśliła Jakki - będącym luksusem dostępnym jedynie w domkach

0 najwyższym standardzie, podobnie jak jacuzzi w łazienkach

1 prywatna sauna) oraz po wypiciu bezkofeinowej kawy lub herbatki ziołowej Desmond oświadczył z ukradkowym puszczaniem oka do Winifred, że czuje się przyjemnie zmęczony i jest gotów się położyć, Jakki i Lionel zaprotestowali, twierdząc, że to wykluczone i że wszyscy muszą poczekać i przywitać Nowy

Rok. Niefortunne było również to, że Lionel przywiózł ze sobą butelkę whisky, „byśmy mogli - jak to żartobliwie ujął - raczyć się nią do upojenia”.

Propozycja Desmond'a spotkała się z kategorycznym odrzuceniem przez Lionela i Jakki o wpół do jedenastej - Winifred poparła ich powodowana, jak podejrzewał, bardziej uprzejmością niż entuzjazmem - i do północy nie było co robić prócz prowadzenia zdawkowej rozmowy i popijania whisky. Winifred nie lubi whisky, a spożycie jej przez Jakki było symboliczne, toteż mężczyźni wspólnie zdążyli opróżnić jakieś dwie trzecie butelki, zanim Lionel włączył telewizor. Ekran wypełniła zalana światłem tarcza Big Bena ze wskazówkami na za siedem dwunasta i kamera śledziła ruch wskazówki minutowej, z przebitkami na hałaśliwie wyczekujące tłumy na Trafalgar Square i inne place w całym kraju, aż w końcu zagrzmiały znajome niskie dźwięki. Tłum na ulicach odliczał głośno „raz... dwa... trzy...” razem z kurantem, a gdy wybiła północ, eksplodował wrzaskami, radosnymi okrzykami i uściskami z przypadkowymi osobami. Nad Tamizą rozbułyły sztuczne ognie.

272

Wszyscy czworo podnieśli się z miejsc, panowie nieco chwiejnie, i złożyli sobie w parach życzenia na Nowy Rok. Pocałunek Lionela i Jakki był długi i namiętny, a gdy Desmond spróbował czegoś podobnego z Winifred, ona szybko go zakończyła i odwróciła twarz.

- Przepraszam cię, kochanie, ale wiesz, że nie znoszę smrodu whisky.
- W takim razie chodź do łóżka, a pocałuję cię w inne wargi - szepnął jej do ucha, sprawiając, że spłoszyła i odepchnęła go.

Lionel i Jakki wreszcie się odessali od siebie i przekazali sobie noworoczne pozdrowienia z Winifred i Desmondem. Lionel cmoknął Winifred z szacunkiem w policzek, Jakki natomiast pocałowała Desmond'a w usta, wciskając mu język między zęby, a potem odchyliła się i roześmiała z jego zaskoczonej miny.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Des! - zawołała - Teraz możesz się już położyć.

Gdy tylko znaleźli się w sypialni, próbował rozebrać Winifred, zaczynając od suwaka z tyłu sukienki, lecz ona pokręciła głową.

- Przestań, bo zepsujesz.
- O co chodzi? - zapytał. - Nie masz ochoty?
- Nie, nie mam - odparła, wychodząc z sukienki i mówiąc cichym, lecz stanowczym głosem, który ledwo słyszał: - A nawet gdybym miała, nic by to nie dało, bo za dużo wypieś.
- Moglibyśmy zacząć od pieszczot i zobaczyć, jak się sprawy rozwiną - nie dawał za wygraną, przytulając się do niej od tyłu i kładąc dłonie na jej piersiach.

Odsunęła jego ręce i odwróciła się do niego.

- Dlaczego powiedziałeś tamto przy Jakki i Lionelu? - zapytała ze złością.

- Jakie tamto?

- O wargach.

273

- Przecież nie słyszeli.

- Musieliby być głusi... co najmniej tak jak ty.

- Aha. No cóż, nie sądzę, by przeżyli szok. Przed chwilą Jakki pocałowała mnie z języczkiem.

Winifred przyglądała mu się, jak gdyby powątpiewała w jego słowa.

- Naprawdę? W takim razie najwyraźniej też za dużo wypija.

W dalszym ciągu przygotowywała się do pójścia spać, widział jednak, że ta informacja trochę ją dotknęła, zasiała maleńkie ziarno urazy, co mogło zadziałać na jego korzyść. Kiedy zaoferował, że zsunie pojedyncze łóżka, nie okazała entuzjazmu, ale też nie wyraziła sprzeciwu i udała się do łazienki, kiedy on wykonywał tę operację - i dobrze, bo okazało się, że sprawa nie jest wcale taka prosta. Łóżka z nóżkami na kółkach miały lekką konstrukcję i kiedy nieco zbyt mocno pchnął jedno z nich, zaczęło się toczyć po pokoju jak kula bilardowa, drugie zaś podejrzewał w pewnym momencie o celowe podcięcie mu nóg, w końcu jednak udało mu się ustawić jedno obok drugiego - pośrodku pokoju, gdzie co prawda wyglądały nieco dziwnie, bardziej jak katafalk niż podwójne łóżko, ale ponieważ stolik nocny między nimi został przykręcony na stałe do ściany, nie było innego wyjścia. Przykrył złączone łóżka kołdrami, żeby wyglądały bardziej zachęcająco, zarzucił czerwoną koszulkę polo na lampkę nocną, chcąc stworzyć romantyczną poświatę, i zgasił wszystkie inne światła. Z łazienki dolatywały go odgłosy wody pod prysznicem, co było pomyślnym znakiem. Rozebrał się i położył na łóżku w samych majtkach, czekając, aż Winifred skończy ablucje, żeby mógł wskoczyć na chwilę do łazienki i szybko umyć intymne części ciała. Wpatrywał się w sufit w nastroju radosnego oczekiwania na rychłe zbliżenie i zapadł w mocny sen.

274

Obudził się z zeszywniałym karkiem, pulsującym bólem głowy i suchością w ustach, zmarznięty od leżenia na kołdrze, a nie pod nią, wstał i w ciemności podreptał po omacku do łazienki. Skrzywił się, kiedy zapalił światło, które odbijało się od białych płytek, ale dostrzegł dzięki niemu na zegarku, że Nowy Rok trwa od czterech godzin i piętnastu minut. Opróżnił pęcherz, nie spuścił jednak wody, żeby nie obudzić Winifred. Pozwolił, by pasmo światła uciekło przez drzwi łazienki, i zobaczył w nim, że przysunęła łóżko z powrotem do wezgłowia, które tak jak stolik nocny przytwierdzone było do ściany. Jego łóżko wciąż stało porzucone na środku pokoju, z poduszką na podłodze, co niewątpliwie przyczyniło się do sztywności jego karku. W łazience nie znalazł żadnego kubka ani szklanki, a ból w szyi powstrzymywał go przed schyleniem się i przekrzywieniem głowy, żeby napić się prosto z kranu. Sama woda zresztą nie byłaby w stanie ugasić tak palącego pragnienia; w lodówce stał karton soku pomarańczowego, który mógł załatwić sprawę. Na paluszkach opuścił sypialnię, zamykając ostrożnie za sobą drzwi, i przeszedł do salonu z aneksem kuchennym. Po drodze minął drzwi sypialni Jakki i Lionela. Zdał sobie sprawę, że zasnął z

aparatem w uszach i w porannym otumanieniu nie pomyślał jeszcze o jego wyjęciu, kiedy usłyszał przez cienkie drzwi stłumione, nie pozostawiające wszak żadnych wątpliwości odgłosy. Czwarta piętnaście, a oni ciągle to robią! Co za wytrzymałość. Co za niezaspokojona żądza. Jego seksualne niepowodzenia zostały w ten sposób ostatecznie przypieczętowane. Chytkiem oddalił się do swojej sypialni, rezygnując z wyprawy do lodówki po sok w obawie, że kochankowie mogą go usłyszeć i zacząć podejrzewać o voyeurizm czy jak tam mógłby się nazywać jego słuchowy odpowiednik. Udał się do łazienki, wyjął aparat i połknął cztery kapsułki Nurofenu, popijając je wodą ze złączonych dłoni. Nie próbował manewrować łóżkiem, żeby dosunąć je do ściany, tylko od razu wsu-

275

nął się pod kołdrę i ściskając poduszkę jak koło ratunkowe pod głową, znowu zasnął.

Kiedy się obudził, był w sypialni sam. Włożył szlafrok, a do uszu aparat słuchowy, po czym udał się do salonu. Jakki z Lionelem jedli śniadanie ubrani w coś, co mogło być bielizną nocną albo strojem sportowym, trudno powiedzieć.

- Dzień dobry, Des - rzuciła Jakki. - Dobrze spałeś?
- Nieźle - odparł. - Gdzie Fred? - Zdjął go potworny lęk, że wyjechała z Gladeworld, zabrała samochód i wróciła do domu, skazując go na upokarzający powrót na Rectory Road z Jakki i Lionelem.
- Poszła się przejechać na rowerze - wyjaśniła Jakki. - Pożyczyłam jej rower.

Usiadł przy stole, nalał sobie szklankę soku pomarańczowego i wypił wszystko duszkiem.

- Tego ci było trzeba - skomentował niepotrzebnie Lionel. Poranne światło lśniące na jego łysinie raziło Desmonda w oczy.
- Obawiam się, że wczoraj za dużo wypiliście, chłopaki - powiedziała Jakki, nalewając mu filiżankę kawy. - Lionel zasnął, kiedy ja myłam zęby, a potem miał czelność molestować mnie nad ranem.
- Jakki! - zaprotestował słabo Lionel.

-No przecież to prawda... a Winifred mówi, żeś narobił niezłego zamieszania z łózkami, Des, zanim ci się urwał film.

- Naprawdę? Nie pamiętam zbyt dobrze - odpowiedział. Pił łapczywie kawę. Sytuacja nie była tak tragiczna, jak mu się wydawało. Żona go nie zostawiła, a Lionel ostatecznie nie uskutečnił czterogodzinny erotyczny maratonu.
- Pomyśleliśmy, że dziś rano wybierzemy się do spa - powiedziała Jakki.

276

- Dobry sposób na pozbycie się kaca - dodał Lionel.
- Picie wody z basenu? - zażartował.
- Po co mielibyśmy to robić? - zaniepokoiła się Jakki.
- On znowu robi sobie jaja - wyjaśnił Lionel. - To naprawdę fajne miejsce, Des. Sauny, łaźnie parowe, basen z podgrzewaną wodą pod gołym niebem... Drogo, ale warto.
- Mamy tutaj własną saunę - zauważył - za darmo.

Była to niewielka drewniana konstrukcja na tarasie na tyłach domku, gdzie mogły się zmieścić najwyżej dwie osoby: wczoraj ustawili ją, żeby wysuszyć sobie kostiumy kąpielowe i ręczniki. Na zewnątrz znajdował się prymitywny natrysk w formie drewnianego kubła wypełnionego zimną wodą, zawieszony na belce i poruszany sznurem.

- Ta? To jest nic - prychnął Lionel. - W ośrodku mają trzy rodzaje sauny i cztery łaźnie z różnymi motywami. Rzymska, japońska, indyjska...
- Niektórym podobają się takie klimaty... - skwitował.
- Można też zamówić sobie różnego rodzaju masaże i zabiegi kosmetyczne - dopowiedziała Jakki, nie zauważywszy żadnej aluzji.

W tym momencie zjawiała się Winifred, z zaróżowionymi policzkami i promieniejąca zadowoleniem z siebie.

- Było cudownie - zakomunikowała. - Całe lata nie jeździłam na rowerze. Zapomniałam, jakie to fajne, jeśli człowiek nie musi rywalizować z samochodami i ciężarówkami.
- Którędy jechałaś? - zapytał. Tak naprawdę, wcale go to nie interesowało, ale w ten sposób mógł skłonić ją do rozmowy z nim.
- Och... wokół jeziora, przez las... Było jak w bajce. Mało ludzi.
- Gdybym się obudził, pojechałbym z tobą - oznajmił.
- No tak, ale spałeś dosyć mocno - odparła sucho. - Aha, i mijałam ośrodek spa - dodała, odwracając się do Jakki.

277

- Zastanawialiśmy się, czy nie spędzić tam dzisiaj przedpołudnia - powiedziała Jakki.
- Super - ucieszyła się Winifred.

Kiedy znaleźli się znów sam na sam w sypialni i gdy przywracali w niej jako taki porządek, przeprosił ją za fiasko minionej nocy.

- Za dużo pijesz, Desmond - powiedziała. Owo „Desmond” było wyznacznikiem jej niezadowolenia. Nawet zjadliwie ironiczne „kochanie” było lepsze niż „Desmond” „
- To przez Lionela, wyciągnął tę butelkę whisky.
- Nie musiałeś pić. Zresztą nie chodzi tylko o zeszłą noc,
- 0 większość nocy. Uzależniasz się.
- Bzdura.
- Wcale nie.
- Dobra. Udowodnię ci - powiedział. - Dzisiaj nie wypiję ani kropli.

Spojrzała na niego taksującym wzrokiem.

- Wiesz, że dzisiaj jemy kolację w soi-disant francuskiej restauracji?
- Tak.
- I nie napijesz się nawet wina? -Nie.
- Nawet jeśli jedzenie będzie takie sobie?
- Nawet jeśli będzie koszmarnie. Czego jestem całkiem pewien.

Roześmiała się.

- Cóż, jeśli dotrzymasz słowa, kochanie, będę zdumiona...
- 1 zachwycona.

Był zadowolony ze swojej strategii. Zobowiązanie do abstynencji zrobiło na Winifred korzystne wrażenie i wprawiło ją w łaskawy nastrój. Zresztą nie zaszkodzi mu dzień bez alko-

278

holu, wręcz przeciwnie, doskonale mu zrobi. Ponadto, gdyby udało mu się dotrzymać obietnicy - a był zdeterminowany - byłby w najlepszej możliwie formie, żeby odebrać nagrodę w postaci stosunku płciowego, z którego nic nie wyszło zeszłej nocy.

Pobyt w spa tylko utwierdził go w tych planach, upłynął bowiem nadzwyczaj przyjemnie, choć chwilami ocierał się o absurd. Był to duży, dość pretensjonalny ośrodek zatrudniający panie w białych fartuchach o nieskazitelnych fryzurach i paznokciach, architektonicznie eklektyczny (grecka świątynia skrzyżowana z Tadź Mahal), o wewnętrznych ścianach przyozdobionych wiarygodną podróbką marmuru i podłogach pokrytych antypoślizgowymi płytkami ceramicznymi. W części centralnej znajdowały się fontanny, brodziki oraz repliki klasycznych rzeźb: stamtąd przechodziło się do różnych tematycznych saun i łaźni.

Wypróbowali „rzymskie laconium”, „saunę tyrolską”, „turecki hamman” oraz „indyjską łaźnię kwiatową”. Medytowali w „wodnej sali medytacyjnej”, a owinięci w dostarczone im fro-towe płaszcze kąpielowe stąpali boso po kamieniach w „ogrodzie zen”. Oczyszczali i zamykali pory spoconych ciał pod prysznicami, które ostrzeliwały ich strumieniami lodowatej wody pod wszelkimi kątami, mając do wyboru całą gamę możliwości, łącznie z tropikalną burzą ze sztucznymi błyskawicami i piorunami lub mgłą o miętowym zapachu. Później wylegiwali się leniwie w ciepłym basenie pod gołym niebem, który od czasu do czasu zamieniał się w gigantyczne jacuzzi, terapeutycznie bombardując mięśnie mocnymi bąbelkami. W przerwach między tymi doznaniem odpoczywali w fotelach i sączyli wodę, czytali lub po prostu się odprężali. Powiedzieli mu, że z głośników płynie muzyka, łagodna i nienatarczywa, on jednak oczywiście jej nie słyszał. Reszta poszła na różne masaże, reiki dla Winifred, shiatsu dla Jakki i szwedzki dla Lionela, on natomiast z przyjemnością pozostał w strefie re-

279

laksu z powieścią, którą przyniósł sobie do czytania. Znalazł przytulny kącik z pewnego rodzaju otomaną pokrytą sztucznym futrem - w takim miejscu mógł się rozsiąść Tamerlan albo Czyngis-chan po jakimś militarnym zwycięstwie.

Spędzili tam kilka godzin, w miejscowym bufecie pożarli z wilczym apetytem lunch, a potem poszli zagrać w kręgle, „grę prostą i powtarzalną, gdzie połowę przyjemności - zapamiętał słowa jakiegoś pisarza - czerpie się z oglądania, jak maszyna ustawia kręgle i zwraca kulę”. Ani on, ani Winifred nigdy przedtem nie grali w kręgle, lecz spisali się niezłe, u Winifred ujawnił się wręcz prawdziwy talent i zdobyła najwięcej punktów. Potem, o czwartej po południu, wrócili do domku na herbatę i odpoczynek przed wyjściem do najlepszej restauracji Gladeworld, którą Desmond nazywał teraz Soi Disant. Wszystko szło znakomicie, kiedy jedną niebaczoną uwagą nadał rozmowie i wydarzeniom niefortunny kierunek.

- Samo spa jest super - powiedział, kiedy omawiali jego zalety - ale oczywiście przymus noszenia kostiumów kąpielowych to jakaś bzdura. W saunie albo w łaźni trzeba być zupełnie nagim, żeby w pełni wykorzystać jej dobroczynne działanie.
- Masz rację, Des - poparł go Lionel. - Zapocone kąpielówki nie są zbyt przyjemne.
- Ale wtedy musieliby oddzielić kobiety od mężczyzn -wtrąciła Jakki - co nie byłoby fajne dla takich par jak my.
- Byłem kiedyś w publicznej saunie w Niemczech, gdzie wszyscy chodzili nago, kobiety i mężczyźni razem - powiedział Desmond - i nikomu z tego powodu nie spadł włos z głowy.
- A włos łonowy? - zażartował Lionel.
- Czy to kolejny z twoich żartów, Des? - zapytała podejrzliwie Jakki.
- Nie, mówię poważnie - odparł. - Byłem w Bremie z wykładami z ramienia British Council. - Ucieszył się, że ma oka-

280

zję przypomnieć towarzystwu, że kiedyś był często podróżującym wyrafinowanym obywatelem tego świata.

- Na tarasie mamy własną saunę - przypomniał Lionel.
- Co sugerujesz, Lie? - zapytała Jakki, dając mu figlarnego klapsa. - Żebyśmy wszyscy paradowali tam nago?
- Po zmroku nikt cię nie zobaczy - rzekł Lionel. - Po kolacji moglibyśmy spróbować. Nie wszyscy razem, po dwoje naraz.
- Kiepski pomysł - odparł Desmond. - Od razu po posiłku nie powinno się wchodzić do sauny.
- Jest już prawie ciemno - zauważył Lionel. - Mamy trochę czasu przed wyjściem.
- Dzięki, ale dosyć mam gorącego powietrza i zimnej wody jak na jeden dzień - oznajmiła Winifred. - Ja się na to nie piszę.
- Ja też nie - dołączyła do niej Jakki w geście kobiecej solidarności. - Ale wy, chłopcy, możecie, jeśli macie ochotę.
- Co powiesz, Des? - zapytał Lionel.

Wyszedłby na mięczaka, gdyby odmówił po tym, jak zrobił z siebie takiego znawcę saun.

- W porządku - odpowiedział.
- Jesteś pewien, że to dobry pomysł, kochanie? - zwróciła się do niego Winifred. - Możesz się przeziębic. - W tym „kochanie” pobrzmiwała stalowa nuta, której udał, że nie słyszy.
- To niemożliwe, jeśli później weźmie się zimny prysznic - odparł beztrąsko.

Jakki wcześniej włączyła saunę, żeby wysuszyć kostiumy kąpielowe, a Desmond podkręcił termostat przed wizytą w sypialni, gdzie się rozebrał i owinął ręcznikiem kąpielowym. Kiedy wyszedł, Lionel czekał już na niego w podobnym stroju przed oszklonymi drzwiami na taras. Winifred, która w aneksie kuchennym zmywała naczynia po herbacie, rzuciła mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Mam nadzieję, że nie będziecie tego żałować - powiedziała.
- Nie będziemy siedzieć długo - zapewnił ją. Na zewnątrz

281

było ciemno, w salonie zaś paliło się światło. - Zaciągnij za nami zasłony, w przeciwnym razie całe Gladeworld będzie nas widziało pod natryskiem - Lionel poprosił Jakki. - I bez podglądania - dodał.

- Akurat będzie nam się chciało - rzekła Jakki. Podeszła do drzwi na taras, gdy wyszli. - Brr, zimno się robi. Nie chciałabym być w waszej skórze - rzuciła, zatrzasnąwszy przesuwane drzwi, i zaciągnęła za nimi

zasłony.

W powietrzu wyczuwało się już tchnienie mrozu. Szybko wszedł z Lionelem do sauny, która nie była większa od budki wartownika, i usiedli obok siebie na złożonych ręcznikach na wyższej ławce. Sauna była słabo oświetlona małą żarówką w rogu, nie tak słabo jednak, żeby nie dostrzegł, jak dobrze obdarzony przez naturę jest Lionel. Siedział z dłońmi na rozsuniętych kolanach, ze zwiotczałym organem wiszącym jak gumowa pałka między udami, i zaczął mówić, coś na temat oprogramowania komputerowego w księgowości.

- Obawiam się, że słabo cię słyszę, Lionel - powiedział. -Nie wziąłem aparatu.

Lionel kiwnął głową na znak, że rozumie. Pot tworzył strumyczki spływające mu z twarzy i znikające w gęstwinie włosów na torsie.

- Prawdziwa sauna, dużo bardziej gorąca niż w spa - krzyknął Desmondowi do ucha.

Desmond, który też się obficie pocił, zaczął się zastanawiać, czy nie podkręcił termostatu za bardzo. Po jakichś dziesięciu minutach Lionel dał znak, że ma już dość, i wyszedł na dwór, wpuszczając do sauny powiew zimnego powietrza. Nastąpiła pauza około dziesięciu sekund, po czym Desmond nawet bez swojego aparatu usłyszał plusk wody spadającej na deski tarasu, a następnie, jakieś dwie sekundy później, ryk Lionela, który odzyskał oddech na tyle, by zarejestrować szok. Desmond odczekał kilka minut na napełnienie kubła i też wyszedł.

282

—

Lionel zdążył wrócić do domku i zaciągnąć za sobą zasłony. Okolicę zalewało zimne światło księżycy. Z jego prawej strony ciągnął się porośnięty trawą wał, za którym znajdował się strumień i staw, skąd rano przybywały na szaber kaczkę i inne ptaki wodne, drepcząc śmiało po tarasie; na drugim końcu stawu widać było ciemną masę drzew i krzewów. Nic tam teraz się nie ruszało, a sąsiednie domki były przed nim zasłonięte. Doznawał dziwnego uczucia, kiedy tak stał nagi i zupełnie sam na zimnie, na mokrych deskach, bezpośrednio pod kubłem z wodą, i ścisnął gruby konopny sznur w jednym ręku, wiedząc, że energiczne pociągnięcie spuści na jego bezbronne ciało kilkadziesiąt litrów lodowatej wody. Nie do końca to samo, co naciśnięcie chromowanego przycisku pod ultranowoczesnym prysznicem w spa, lecz coś dużo bardziej egzystencjalnego i przewrotnego. Jak popełnienie samobójstwa. Ten sznur i przypominająca szubienicę belka, na której zawieszono kubel, wspólnie sprawiały, że akt ten przywodził na myśl wymierzoną samemu sobie śmierć przez powieszenie. Całe jego ciało zdawało się krzyżeć: Nie! Im dłużej się jednak wahał, tym trudniejsze stawało się działanie. Już czuł, jak zamiera wewnętrzny ogień rozpalony w ciele przez saunę. Jeśli nie teraz, nie zrobi tego nigdy, będzie musiał wrócić jak niepyszny do domku, wciąż lepki od potu, przy wtórze szyderczych okrzyków reszty towarzystwa. Teraz. Teraz! Raz, dwa, trzy... JUŻ!

Początkowo szokiem była dla niego nie tylko temperatura, ale i ciężar masy wody, jak gdyby na jego głowie roztrzaskał się mały lodowiec, odbierając mu zdolność widzenia i utrzymania równowagi; potem

spowiło go zimno, jak gdyby wpadł przez dziurę w arktycznym lodzie, wciągnął je do płuc, zatrzymał w sobie i nie potrafił wyrzucić go z siebie krzykiem przez (jak się zdawało) całe minuty; później, gdy wróciła zdolność oddychania, sapnął, wrzasnął, przeklął, przeskoczył parę razy z nogi

283

na nogę, chwycił ręcznik i próbował na próżno zakutać się w jego fałdy. Ktoś odsunął zastonę w salonie, światło zaalało taras i za szybą ukazała się roześmiana twarz Jakki. Poprosił błagalnie, żeby mu otworzyła, i ledwo przystaniając ręcznikiem intymne części, wpadł do salonu, potykając się o nadproże.

- Mój Boże! - zawołał. - To było okrutne.

Jakki coś do niego powiedziała. Lionel, który zamienił ręcznik na płaszcz kąpielowy i trzymał szklanekę, drugą ręką podniósł butelkę whisky, w której zostało jeszcze kilka bursztynowych centymetrów na dnie, i powiedział coś, co przypuszczalnie było propozycją napicia się.

- Nie, dziękuję, dzisiaj pasuję z alkoholem - oznajmił. Winifred, która czytała książkę, podniosła wzrok i coś powiedziała. - Pójdę po aparat - poinformował ich. Udał się do sypialni, żeby założyć aparat i przy okazji przebrać się w koszulę i spodnie. Cieszył się, że Winifred była przy tym, kiedy odrzucił poczęstunek. Nie musiał pić: po całym jego ciele zaczynało rozchodzić się promieniujące ciepło.

Wrócił do salonu. Jakki coś powiedziała. Lionel coś powiedział. Winifred coś powiedziała. Patrzył na nich w osłupieniu.

- Baterie chyba mi wysiadły - stwierdził. - Przepraszam was na chwilę. - Wrócił do sypialni. Dziwił się, że obydwie baterie znowu przestały działać jednocześnie... może kupić kiepską partię. Wsunął nowe baterie do słuchawek i wrócił do salonu. Winifred coś powiedziała. Lionel coś powiedział. Jakki coś powiedziała. Wciąż ich nie słyszał. Chwyciło go śmiertelne przerażenie. Jest głuchy. Naprawdę głuchy. Zupełnie głuchy. Trauma wywołana masą zimnej wody, która zaalała nagle jego rozgrzaną głowę, musiała w jakiś katastrofalny sposób wpłynąć na komórki rzęsate albo na połączony z nimi fragment kory mózgowej, przerywając wszelką komunikację. Oczami wyobraźni ujrział część swego mózgu pogrążającą się w ciemności niczym jakaś komnata albo tunel, gdzie nagle gasną wszyst-

284

kie światła - na zawsze. Zauważył, że jego niepokój odbija się w zatroskanych, pytających minach pozostałych. Winifred powiedziała coś, co zdołał odczytać z ruchu warg:

- Co się dzieje?

- Ogłuchłem - powiedział. - Tym razem już na amen. Nie słyszę zupełnie nic z tego, co mówicie. To chyba przez ten natrysk.

Powiedziała coś jeszcze, co odczytał z ruchu warg:

- Ostrzegałam cię.

Dopiero po czterech godzinach mógł odetchnąć z ulgą - czterech godzinach paniki i niepokoju, jakich miał nadzieję już nigdy nie zaznać, gorączkowego majstrowania przy aparacie, czyszczenia go, wypróbowywania kolejnych baterii, a wszystko na próżno, bo nie był w stanie usłyszeć rad ani komentarzy żony i przyjaciół, dopóki nie spisali ich albo nie ograniczyli się do najprostszych zdań. Jakki zaproponowała, żeby udać się do kliniki medycznej Gladeworld, na co odpowiedział kostycznie, że nie podejrzewa, by mieli na miejscu specjalistę otolaryngologa. Jakki odparła, że chciała tylko pomóc. Lionel zadzwonił do recepcji i powiedzieli mu, że klinika będzie otwarta rano, ale przyjmować ma tylko pielęgniarka. Przypuszczali, że w Nowy Rok trudno będzie sprowadzić lekarza, który mógłby obejrzeć Desmonda, zasugerowali więc wizytę w izbie przyjęć szpitala w małym przemysłowym miasteczku odległym o trzydzieści kilometrów. Winifred powiedziała, a raczej napisała, że nie widzi sensu, ale zawiezie go tam, jeśli uważa, że mu to pomoże, co też zrobiła, milcząc z kamienną twarzą, i krążyła przez jakiś czas pustymi ulicami, nim znaleźli szpital, a potem spędziła z nim dwie i pół godziny w poczekalni pełnej przesiadujących tam cały dzień ludzi z różnymi obrażeniami albo niedomagającymi z powodu narkotyków lub alkoholu, aż

285

HHHHHHHHNHHHMHHHMHHHi

HHHHMNHBH

w końcu przyjął ich zmęczony młody lekarz, zajrzał mu do uszu wziernikiem, wypisał receptę, podał mu ją i coś powiedział. Desmond spojrzął na Winifred, szukając u niej pomocy. Zapisała w notesie: „Powiedział: Apteka może jest jeszcze czynna, a jeśli nie, wystarczy trochę ciepłej oliwy”.

Wbił wzrok w receptę.

- Co to? - zapytał lekarza.

Lekarz napisał coś na kartce i przysunął ją do niego po blacie biurka. Odczytał: „Coś, co wkłada się niemowlętom do uszu na zapalenie ucha. Wysoka temperatura w saunie roztopiła w uszach woskowinę, która pod wpływem nagłego strumienia zimnej wody stwardniała i idealnie je zatkała”.

Kiedy o dziesiątej trzydzieści dostali się z powrotem do domku, Jakki i Lionel poinformowali ich, że posiłek w Soi Disant był zaskakująco dobry.

17

3 stycznia. Kiedy wczoraj wróciliśmy z Gladeworld, na automatycznej sekretarce nagranych było mnóstwo urywanych, niezrozumiałych wiadomości od taty. Najwyraźniej nie docierało do niego, że zwraca się do maszyny, a może zapomniał, jak to się robi, i za każdym razem zaczynał mówić przed zakończeniem mojego komunikatu, toteż pierwsze zdania nie nagrały się w ogóle, a ja słyszałem tylko

fragment wypowiedzi, zanim tata z irytacją uzmysławiał sobie, że nikt go nie słucha, i odkładał słuchawkę. „... nie wiem, co z nimi zrobić... Halo?... jesteś tam?... halo?... [pik]... nie licząc mamy, słyszę, jak chodzi na górze, to chyba ona... Halo?... Słyszysz mnie?... [pik] ... więc co się stało z tamtym domem?... Wiesz coś?... Znowu przerwało?... [pik] ... z tymi wszystkimi listami w sprawie podatku... wiesz, o czym mówię... słuchasz mnie?... Nie. Boże Wszechmogący, [pik]”.

Zadzwoniłem do niego.

- Halo, tato, wróciliśmy.
- A gdzie byliście?
- W Gladeworld, takim ośrodku.
- To jakiś kolejny dom starców?

Roześmiałem się.

- Nie, coś w rodzaju ośrodka wczasowego... Pojechaliśmy z przyjaciółmi. Mówiłem ci, że jedziemy.
- Cały tydzień próbowałem się do ciebie dodzwonić. Chyba coś jest nie tak z twoim telefonem. Ciągłe mnie rozłączało.

287

- Włączyła się automatyczna sekretarka, tato. Trzeba zostawić wiadomość po sygnale.
- Ach... Dobra, dostałem masę listów od tego faceta, jak on tam się nazywa, Moynihan, Mogadon, coś w tym rodzaju.
- W sprawie podatku?
- Tak. Ze Szkocji, no wiesz, tam z lewej strony, gdzie są te wszystkie wyspy.
- Z Cumbernauld. Niedaleko Glasgow. Tam ma swoją siedzibę twój urząd podatkowy.
- Zgadza się. Ciągłe mi przysyłają listy.
- Jak sprawdzisz, to się przekonasz, że są stare, tato. Chodzi o zwrot podatku. Już się tym zajmę. Za kilka tygodni powinieneś dostać pieniądze.
- Naprawdę? Ile?
- Dokładnie nie wiem. Kilkaset funtów.
- Ja cię kręcę! Dawno nie miałem tak dobrej wiadomości. Dziękuję, synu.
- Co z nimi zrobisz?

- Schowam pod podłogą. Nie chcę, żeby dowiedzieli się o nich ci ze skarbówki.
- Tato, te pieniądze są od nich. To zwrot podatku. Nie jest już opodatkowany.
- O, to jeszcze lepiej.

Zakończył rozmowę w dobrym nastroju, ale około pół godziny później znów zadzwonił.

- Chcę cię o coś zapytać - powiedział. - Co się stało z tamtym domem?
- Z jakim domem, tato?
- Z domem w Brickley.
- Jesteś w nim, tato, jesteś w Brickley.
- Tak? Na pewno?
- Mieszkasz na Lime Avenue w Brickley Obok mieszkają Barkerowie.

288

i

- Prawda - powiedział po przerwie. - Widziałem ją dziś rano w ogrodzie przez ogrodzenie. Więc co się stało z tamtym domem?
- Jak on wygląda? - zapytałem.
- Połączony z pozostałymi domami na ulicy. Ma kolorowe okienko w drzwiach wejściowych.
- Mówisz o domu w Dulwich, gdzie się wychowywałeś, tato.

Pamiętałem to okienko z czasów wizyt u dziadków, kiedy

jeszcze byłem dzieckiem, dwie wąskie szybki z czerwonego i zielonego szkła i plamy koloru padające na podłogowe płytki w holu, kiedy przeświecało przez nie popołudniowe słońce.

- Ach tak? Kiedy tam pojedę?
- Nie pojedziesz. Teraz należy do kogo innego, jeśli nie został wyburzony.
- Ach... Bardzo tutaj cicho. Nie licząc jej kroków na piętrze. Chociaż nigdy jej nie widzę. Dlaczego?
- Mówisz o mamie?
- Nie, moja mama nie żyje. Umarła wiele lat temu, w Dulwich.
- Tak, zgadza się - powiedziałem.

- Wszystko ci się miesza, synu - podsumował.

Zadzwoiłem do lekarza taty, doktora Simmondsa, i powiedziałem mu, że się martwię o ojca. Jest człowiekiem oszczędnym w słowach, a te nieliczne zwykle bywają zniechęcające, jest jednak sumienny i kompetentny, no i opiekuje się tatą od ćwierć wieku. Powiedział, że jak najszybciej odwiedzi go w domu i oddzwoni do mnie.

4 stycznia. Dzisiaj zadzwonił doktor Simmonds.

- Pański ojciec cierpi na drobne zaburzenia - poinformował mnie. - Zapiszę go na badania psychiatryczne, ale to trochę potrwa.

289

- Może mieszkać sam?
- Nie bardzo - rzekł Simmonds.
- Chciałem go przenieść do domu opieki gdzieś w okolicy - wyjaśniłem. - Ale on nie chce o tym słyszeć.
- Tak, cóż, instynkt dobrze mu podpowiada - skomentował ku mojemu zaskoczeniu Simmonds.
- To było bardzo porządne miejsce.
- Nie wątpię. Ale starzy ludzie wytwarzają sobie w umyśle mapę swojego domu, która im podpowiada, co mają robić i kiedy. Wystarczy przenieść ich w obce miejsce i zupełnie się gubią.
- A co będzie, jak mu się pogorszy?
- W końcu będzie musiał trafić do domu opieki. W razie konieczności będę go musiał umieścić w szpitalu psychiatrycznym.
- Boże! - Przed oczami stanęła mi scena, jak z domu wyprowadzają ojca mężczyźni w białych kitlach, a pani Barker przygląda się temu wszystkiemu z progu i macha do oddalającej się karetki.
- Nie musi do tego dojść - rzekł Simmonds. - Jego sytuacja poprawiłaby się, gdyby miał jakąś pomoc w domu. Opieka społeczna może kogoś przysłać.
- On nikogo nie wpuści. Nikogo obcego. Boi się, że ukradną mu pieniądze, które pochował w domu.

Doktor Simmonds zachichotał oschle.

- Ma też oczywiście problem z prostatą. Umówiłem go na wizytę w przychodni - dodał.

Jak się można było spodziewać, niedługo potem miałem telefon od taty.

- Był u mnie dzisiaj stary Simmonds - poinformował mnie.
- Miło z jego strony - powiedziałem.
- Nie wzywałem go. O co mu chodzi?
- O nic. Jest twoim lekarzem. Sprawdza tylko, czy wszystko u ciebie w porządku.

290

- Podejrzewam, że chce mnie wysłać do szpitala na operację.
- Nie sądzę, tato.
- Umówił mnie na wizytę na poniedziałek. Pewnie nie pójdę.
- Musisz, to tylko rutynowe badanie.
- No, on też tak mówił. Ale już ja wiem, co on knuje, on i jego kolesie ze szpitala. Chcą na mnie eksperymentować.

Spędziłem kilka minut, usiłując przekonać tatę, że doktor Simmonds nie ma żadnego motywu, zawodowego ani finansowego, by podstępem zmuszać i tak już przeciążoną służbę zdrowia do przeprowadzania na nim operacji, a po zakończeniu mojej wypowiedzi zapytał:

- Wierzysz mu, tak?
- Wierzę, tato.
- Więc nie ma dla mnie nadziei na tym świecie - jęknął żałośliwie. - Harry Bates jest zupełnie sam.

Powiedziałem mu, żeby się nie wygłupiał, po czym zaproponowałem, że przyjadę do Londynu i będę mu towarzyszył podczas wyprawy do lekarza. Zareagował ostro.

- Myślisz, że co to ja jestem... dziecko? Potrafię sam pójść do lekarza.
- W takim razie udowodnij to - podpuszczałem go. - Idź do lekarza.
- Zobaczą, jak się będę w poniedziałek czuł - odparł niechętnie. - No, a co tam u ciebie?
- W porządku.
- Jakoś nie słyhać, żebyś był specjalnie szczęśliwy - podsumował.

Nie, szczęśliwy nie jestem. Z zaburzonym psychicznie tatą i obrażoną małżonką nie mam ku temu powodów. Fred jest wciąż na mnie wkurzona za zepsucie naszego pobytu w Gladeworld, który opisałem w formie opowiadania, żeby spróbować uwol-

291

nić się od poczucia upokorzenia i wstydu związanego z tym doświadczeniem. Myślę, że nie odzywałaby się do mnie, gdyby nie to, że kiedy się jednak odzywa, ja nie słyszę połowy z tego, co do mnie mówi. Nie mogła się doczekać powrotu do Decor, gdzie zaczęła się wyprzedaż. Wychodzi z domu wcześniej rano, wraca późnym wieczorem, przyrządza symboliczną kolację albo ja ją przygotowuję z gotowych schłodzonych dań od Marksa i Spencera; wygłasza monolog o tym, co się wydarzyło w sklepie, powtarzając słowo w słowo, co zrzędliva klientka powiedziała Jakki, co Jakki powiedziała zrzędlivej klientce i co ona sama powiedziała zrzędlivej klientce, żeby ją uspokoić, i co powiedziała później przyjaciółce, żeby i ją uspokoić, a wszystko po to, żeby nie musieć prowadzić ze mną normalnej rozmowy, po czym bierze kąpiel i wcześniej się kładzie spać. Przy kolacji wypijam za dużo wina, zasypiam przed telewizorem, budzę się zbyt ożywiony, żeby się kłaść, przychodzę więc tutaj, żeby napisać o swoich ostatnich bolączkach. Świąteczne ozdoby, których nie wolno zdjąć i sprzątnąć aż do Trzech Króli, stanowią kontrastujące tło dla mego przygnębienia, kiedy snuję się po domu w ciągu dnia, a pogoda i wiadomości robią, co w ich mocy, żeby jeszcze bardziej mnie zdołować. Zacinające deszcze zniechęcają do wychodzenia z domu, chociaż temperatury są wyjątkowo wysokie jak na pierwszy tydzień stycznia, potwierdzając po raz kolejny działanie globalnego ocieplenia. Do tego Saddam Husajn został powieszony, a zrobiono to w taki sposób, że jeden z największych w historii tyranów sprawiał wrażenie człowieka pełnego godności, odważnego i prześladowanego. Nie, nie jestem szczęśliwy.

Przypomniałem sobie ciekawą obserwację na temat kolokacji angielskiego słowa happy w książce z lingwistyki korpusowej, którą recenzowałem wiele lat temu, i po krótkich poszuki-

292

waniach odnalazłem ją. W niewielkim korpusie 1,5 miliona słów najczęściej pojawiającymi się leksykalnymi kolokatami słowa happy w trzech słowach pojawiających się przed i po nim były life i make. Nic dziwnego: wszyscy pragniemy szczęśliwego życia, wszyscy lubimy rzeczy, które nas uszczęśliwiają. Pozostałe najbardziej powszechne kolokaty to: entirely, marriage, days, looked, memories, perfectly, sad, spent, felt, father, feel, home. Uderza mnie to, ile wśród nich jest słów kluczowych dla moich osobistych poszukiwań szczęścia lub dla jego braku, zwłaszcza rzeczowniki: małżeństwo, wspomnienia, ojciec, dom. Spośród czasowników feel rzecz jasna najczęściej łączy się z przymiotnikiem happy, licząc feel i felt jako jedno. Jak łatwo przewidzieć, jedynym przymiotnikiem wśród tych słów, nie licząc samego happy, jest jego przeciwieństwo - sad. Zaskoczyło mnie, że najpowszechniejszymi przysłówkami określającymi happy w tym korpusie były entirely i perfectly, a nie te bardziej umiarkowane, powiedzmy, fairly i reasonably. Czy my kiedykolwiek jesteśmy szczęśliwi w pełni, całkowicie? Jeśli tak, to nie na długo. Najciekawszym słowem są „dni”. Nie dzień, lecz „dni”. Larkin ma cudowny wiersz pod tytułem Dni, w którym również pojawia się słowo „szczęśliwy”.

Po co są dni?

Dni to miejsce, gdzie mieszkamy.

Przychodzą i budzą nas

Raz po raz, nieustannie.

Dni są, by w nich być szczęśliwym:

Gdzie indziej możemy zamieszkać?

Nie pojawia się w tym wierszu znajoma, nostalgiczna fraza „szczęśliwe dni”, zostaje jednak w sposób nieuchronny przywołana; rozbrzmiewa w naszych głowach, kiedy czytamy wiersz, i przypomina nam o przemijalności i złudności szczęścia. Dni, w których mieszkamy, zawsze rozczarowują, bo nie są tak szczę-

293

śliwą jak kiedyś albo takie, jakie nam się fałszywie wydawały w starych, dobrych czasach - „to były piękne dni”. Ale gdzie indziej możemy zamieszkać?

Ach, odpowiedź na to pytanie Sprowadza kapłana, sprowadza lekarza, W swoich długich płaszczach
Biegną poprzez pola*.

Przypis do powyższego: przyszło mi do głowy, że w analizie kolokacji słowa happy być może pominięto partykuły przeczące, sprawdziłem więc w małym korpusie, który mam na CD tutaj w domu i oczywiście entirely happy często poprzedza partykuła not lub jakieś inne słowo o znaczeniu negatywnym, na przykład never. Natomiast perfectly zwykle nie jest określone. Co więcej, rozkład jest niemal równy: not entirely happy występuje prawie tak często jak perfectly happy, natomiast entirely happy jest równie rzadkie jak not perfectly happy. Ciekawe dlaczego. Lingwistyka korpusowa zawsze podrzuca tego typu zagadki. Kilka lat temu sprawdziłem słowo deaf w największym dostępnym korpusie języka angielskiego, mówionego i pisanego, składającym się z około pięćdziesięciu milionów słów, i najbardziej powszechną kolokacją, jakieś dziesięć procent ogólnej liczby, było wyrażenie fall on deaf ears** (traktując fall jako hasło reprezentujące wszystkie formy tego czasownika). Nie dziwi, że największym wkładem słowa „głuchy” w rozwój angielskiego dyskursu jest wystąpienie w idiomatycznym wyrażeniu oznaczającym tępe niezrozumienie lub uparte uprzedzenie; zastanawia użycie czasownika fali***, zważywszy, że ludzkie ucho jest usytuowane w taki sposób, by odbierać fale

* Wiersz Dni Larkina w przekładzie Jerzego Jarniewicza.

** Fall on deaf ears - idiom oznaczający „nie wysłuchać, zignorować (czyjaś prośbę, radę)”.

*** Fali (ang.) - spadać.

294

dźwiękowe z boku, nie z góry. Ta zagadka nie dotyczy tylko angielskiego. Szybkie przejrzanie słowników

wykazało, że w niemieckim funkcjonuje idiom auf taube Ohren fallen, we francuskim tomber dans l'oreille d'un sourd, a we włoskim cadere sugli orecchi sordi. Temat na kolejny artykuł, który nie został nigdy napisany.

5 stycznia. Niespodziewanie zadzwonił do mnie dzisiaj Simon Greensmith, znajomy z British Council, a nie miałem z nim kontaktu od wielu już lat. Poznaliśmy się w Madrycie, gdzie był niższym rangą pracownikiem British Council: oprowadził mnie po mieście i zabrał do najlepszych tapas barów, kiedy przyjechałem do Hiszpanii na wykłady. Później przez krótki czas pracował w dziale wykładów specjalistycznych British Council w Londynie i przyczynił się do wysłania mnie jeszcze do kilku innych krajów, za co byłem mu wdzięczny. Teraz zajmuje wysokie stanowisko w BC w Warszawie i stamtąd właśnie zadzwonił. Po noworocznych życzeniach i kilku grzecznościowych pytaniach o to, jak się mam i jak spędziłem święta, przeszedł do sedna sprawy.

- Mamy tutaj mały kryzys, Desmond. Liczę na to, że nas poratujesz. - Wyjaśnił, że pewien lingwista z Lancaster, który miał przyjechać do Polski pod koniec stycznia i wygłosić cykl wykładów o analizie dyskursu dla studentów i kadry profesorskiej uniwersyteckich wydziałów anglistycznych, kilka dni temu miał paskudny wypadek na nartach w Haute-Savoie i na sześć następnych tygodni pozostanie na wyciągu w tamtejszym szpitalu. Simon chciał wiedzieć, czy mógłbym wskoczyć na jego miejsce. - Wiem, że dzwonię w ostatniej chwili - powiedział - ale to twoja działka i jestem pewien, że masz gotowych mnóstwo wykładów, które mógłbyś wykorzystać. To tylko dziesięć dni i trzy miasta, Warszawa, Łódź i Kraków. A tak à pro-

295

pos, Kraków jest cudny, Europejskie Miasto Kultury i tak dalej...

- Nigdy jeszcze nie byłem w Polsce - powiedziałem.
- No to tym bardziej powinienes przyjechać. Bardzo ciekawy kraj. Filologia angielska cieszy się ogromną popularnością, możesz być pewien, że widownia ci dopisze. A poza tym super byłoby znowu się zobaczyć.
- Problem polega na tym, Simon, że ja już się tym nie zajmuję. Mam zbyt słaby słuch. ✓
- Wiem, że masz z tym problem, ale jakoś sobie poradzimy.
- Jest dużo gorzej niż podczas naszego ostatniego spotkania - uprzedziłem go. - Oczywiście mogę wygłosić wykład, ale pytań już nie usłyszę.
- Osoba prowadząca spotkanie będzie ci je powtarzała.
- Ale to będzie Polak mówiący z mocnym akcentem i nie będę go rozumiał. Samogłoski będą zniekształcone, a spółgłoski niesłyszalne - przewidywałem. - Polski to głównie spółgłoski, prawda? Polak cierpiący na głuchotę w zakresie wysokich częstotliwości musi przeżywać piekło.

Simon zachichotał.

- Rzeczywiście to piekielnie trudny język - powiedział. -Ale słuchaj, po wykładach zrobimy przerwę i poprosimy słuchaczy, żeby spisali pytania na kartkach i je tobie podali.

Bardzo nalegał i w końcu ustąpiłem. Prawda jest taka, że chciałem dać się przekonać. Chciałem pojechać do Polski -a właściwie gdziekolwiek, żeby tylko oderwać się od monotonii życia męskiej gospodyni domowej, przygnębiających problemów związanych z cierpiącym na zaburzenia ojcem oraz niebezpiecznego zainteresowania natrętnej, pozbawionej skrupułów fanki-doktorantki; gdziekolwiek, gdzie znów będą mnie szanować, słuchać, zabawiać i gdzie będą się mną zajmować z atencją należną zagranicznemu wykładowcy. Niczym niepełnosprawny kowboj nudzący się na przymusowej emeryturze

296

skwapliwie skorzystałem z szansy, by raz jeszcze dosiąść konia i ruszyć na ostatni spęd bydła. Słuchając Simona, zobaczyłem oczami wyobraźni jego uśmiechniętą twarz przed lotniskiem z szoferem w ciemnym garniturze obok niego, gotowym ponieść moją walizkę do czekającej już limuzyny British Council; zobaczyłem siebie, jak sączę koktajl i przyjmuję komplementy na przyjęciu po wykładzie, jak zajadam wystawny obiad w eleganckiej, wyłożonej drewnianą boazerią restauracji z białymi obrusami i przysłoniętymi abażurami lampami, i jak jakaś urocza asystentka mówiąca nienaganną angielszczyzną oprowadza mnie po jakimś zabytkowym kościele lub zamku...

- Cudownie! - zawołał, kiedy powiedziałem, że się zgadzam. - Natychmiast skontaktuję się z Londynem. Prześlą ci umowę i bilety na samolot. Jeszcze dzisiaj podeślę ci mailem program wyjazdu, a w przyszłym tygodniu naradzimy się, jakie wykłady mógłbyś wygłosić. Oczywiście wszędzie mogą być te same.

Przypuszczam, że powinienem był się skonsultować z Fred przed podjęciem ostatecznej decyzji, ale Simonowi się spieszyło. Było piątkowe popołudnie i zależało mu na tym, żeby zorganizować zastępstwo za kontuzjowanego wykładowcę, zanim zamkną biura w Londynie i Warszawie. Sam też wybierał się na narty na weekend. („Biegi narciarskie - powiedział -całkiem bezpieczne".) Nie mogłem znieść myśli o tym, że jeśli będę się wahać, ktoś inny skorzysta z tej okazji; i bez wątplenia podświadomie nie chciałem dać Fred szansy wyperswadowania mi tego pomysłu.

Kiedy wróciła i oznajmiłem jej, że jadę do Polski, wysunęła te wszystkie argumenty, które ja oddaliłem od siebie, żeby tylko się zgodzić. Przypomniała mi o frustracji i wyczerpaniu, na które się skarżyłem po powrocie z ostatnich podróży zagranicznych, wywołanych głównie tym, że nie rozumiałem, co do mnie mówiono, nie tylko po wykładach, kiedy zadawa-

297

no mi pytania, ale i podczas wszelkich spotkań towarzyskich; wskazała też, że jest to niefortunna pora na wyprawę tego typu - w styczniu w Polsce będzie bardzo zimno, co utrudni podróżowanie po tym kraju. Wykłady w trzech miastach w niewiele ponad tydzień zapowiadały napięty harmonogram wizyty. Pewnie złapię przeziębienie i/lub rozstroję sobie żołądek, za dużo jedząc i pijąc, co niemal zawsze mi się przytrafiało podczas takich wypraw w przeszłości, kiedy byłem młodszy, sprawniejszy i lepiej radziłem

sobie z drobniejszymi niedyspozycjami. Krótko mówiąc, według niej był to zły pomysł.

- Cóż, teraz nie mogę się wycofać - rzekłem.
- Oczywiście, że możesz. Wystarczy jeden telefon.

Stwierdziłem, że jest za późno: z Simonem mogłem się

skontaktować dopiero w poniedziałek, a wycofując się w tym momencie, czułbym, że poważnie go zawiodłem.

- W takim razie niepotrzebnie tylko strzępię sobie język -skwitowała, wzruszając ramionami. - Tylko uprzedź swojego ojca, nie chcę odpowiadać na jego szalone telefony, jak ciebie tu nie będzie.

Powiedziałem, że przed wyjazdem odwiedzę go w Londynie i poproszę doktora Simmondsa, żeby do niego zaglądał podczas mojego pobytu w Polsce.

6 stycznia. E-mail od Alex z załącznikiem „wstępnej wersji”, jak to ujęła, rozdziału pod tytułem „Nieobecność «samobójstwa» i samobójstwo jako nieobecność”, z moim cytatem Borgesa jako mottem i kilkoma stronicami tekstu powtarzającego z grubsza moje spontaniczne uwagi wypowiedziane w samochodzie w drugi dzień świąt. Zapytywała, czy zmierza w dobrym kierunku, i dodała: „Proszę bardzo, możesz się odnieść do tych wstępnych propozycji i dodać, co Ci tylko przyjdzie do głowy” - jej najbardziej bezczelna jak dotąd próba nakłonienia

298

no mi pytania, ale i podczas wszelkich spotkań towarzyskich; wskazała też, że jest to niefortunna pora na wyprawę tego typu - w styczniu w Polsce będzie bardzo zimno, co utrudni podróżowanie po tym kraju. Wykłady w trzech miastach w niewiele ponad tydzień zapowiadały napięty harmonogram wizyty. Pewnie złapię przeziębienie i/lub rozstroję sobie żołądek, za dużo jedząc i pijąc, co niemal zawsze mi się przytrafiało podczas takich wypraw w przeszłości, kiedy byłem młodszy, sprawniejszy i lepiej radziłem sobie z drobniejszymi niedyspozycjami. Krótko mówiąc, według niej był to zły pomysł.

- Cóż, teraz nie mogę się wycofać - rzekłem.
- Oczywiście, że możesz. Wystarczy jeden telefon.

Stwierdziłem, że jest za późno: z Simonem mogłem się

skontaktować dopiero w poniedziałek, a wycofując się w tym momencie, czułbym, że poważnie go zawiodłem.

- W takim razie niepotrzebnie tylko strzępię sobie język -skwitowała, wzruszając ramionami. - Tylko uprzedź swojego ojca, nie chcę odpowiadać na jego szalone telefony, jak ciebie tu nie będzie.

Powiedziałem, że przed wyjazdem odwiedzę go w Londynie i poproszę doktora Simmondsa, żeby do niego zaglądał podczas mojego pobytu w Polsce.

6 stycznia. E-mail od Alex z załącznikiem „wstępnej wersji”, jak to ujęła, rozdziału pod tytułem „Nieobecność «samobójstwa» i samobójstwo jako nieobecność”, z moim cytatem Borgesa jako mottem i kilkoma stronicami tekstu powtarzającego z grubsza moje spontaniczne uwagi wypowiedziane w samochodzie w drugi dzień świąt. Zapytywała, czy zmierza w dobrym kierunku, i dodała: „Proszę bardzo, możesz się odnieść do tych wstępnych propozycji i dodać, co Ci tylko przyjdzie do głowy” - jej najbardziej bezczelna jak dotąd próba nakłonienia

298

mnie, bym napisał ten doktorat za nią. Z pewną satysfakcją poinformowałem ją, że zaproszono mnie niespodziewanie na wykłady do Polski i przez następne dwa tygodnie będę zajęty przygotowaniem do nich. Spodziewałem się odpowiedzi w urażonym tonie, lecz odpisała łagodnie: „Nie szkodzi, to może poczekać. Niewykluczone, że sama też będę zajęta przygotowaniem - ubiegam się o możliwość poprowadzenia zajęć w tym semestrze. Doktor Rimmer jest na urlopie zdrowotnym i zatrudniają doktora, żeby przejął jej grupy. Gratulacje z okazji zaproszenia. Baw się dobrze”. Jestem zaskoczony, że uważa za możliwe zatrudnienie jej na anglistyce, decyzja taka musiałaby bowiem zdobyć aprobatę Butterwortha.

7 stycznia. Jak zwykle w niedzielny wieczór przeprowadziłem kilka rozmów telefonicznych. Tata zupełnie już nie wie, co ma myśleć o zwrocie podatku, bonach oszczędnościowych i obligacjach premiowych - wszystkie dokładnie mu się pomieszały w głowie, podobnie jak wiadomości z geografii Wielkiej Brytanii.

- Ten list, który wysłałeś do tego faceta na północy, dałeś mi odbitkę... wiesz, co mam na myśli? - [miał na myśli kserokopię] - o tym konkursie, no, to nie jest właściwie konkurs, ale wiesz, o co mi chodzi, kupuje się je na pocztę, pieniądze pomnażają się w ciągu pięciu lat... Nie pisał ostatnio, nie wiem, dostanę coś czy nie... ci tam na północy, w Blackpool, to banda cholernych złodziei, zaraz, nie w Blackpool, chodzi mi o tę wyspę u zachodnich wybrzeży Szkocji, Isle of Sheppey czy Isle of Scilly, albo Isle of Man... dzisiaj wieczorem znowu przejrzę papiery, zobaczę, czy uda mi się je odszukać...

- Nie robiłbym tego, tato - poradziłem. - Poczekaaj z tym do mojej wizyty. - Żeby zmienić temat, zapytałem go, co jadł na obiad.

299

- Bardzo dobrego ptaka - odpowiedział.

- Masz na myśli kurczaka?

- To mógł być bardzo mały kurczak - odparł. - Kupiłem go wczoraj na targu. Wystarczy wskazać i ci go podają.

- Jak go przyrządziłeś? - zapytałem.

- Wrzuciłem do piecyka i wyjąłem, kiedy wyglądał na upieczonego. Zjadłem go z ziemniakami, połową pomidora i... jak to się nazywa? Zielone.

- Kapusta?
- Nie, nie kapusta, to jest jak kapusta, ale tego się nie gotuje.
- Sałata?
- Nie, nie sałata... ma twardą skórkę jak krokodyl...
- Ogórek?
- O, właśnie, ogórek, pokroiłem go i wiesz, doprawiłem trochę pieprzem i solą...

Przypomniałem mu, że ma jutro wizytę u doktora Sim-monds'a, a wtedy w jego głosie natychmiast pojawiło się przygnębienie.

- Myślę, że chce mnie zatrzymać w szpitalu na operację -powiedział.
- Nieprawda, tato - zaprzeczyłem. - Chodzi tylko o rutynowe badania.
- Czyli co?
- Prawdopodobnie pobiorą próbkę krwi.
- A więc strzykawka, tak? Nie znoszę strzykawek.
- ...i próbkę moczu.
- O, z tym nie będzie problemu, dostarczam je co pięć minut.

Wziąłem za dobry znak to, że wciąż potrafi żartować.

Zatelefonowałem do Anne. Czuje się dobrze, nie licząc dolegliwości kręgosłupa. Powiedziałem jej, że wybieram się do Polski, lecz wracam długo przed planowanymi narodzinami malucha.

300

- Rozumiem, że zamierzasz mi pomóc przy porodzie, tato? - zażartowała.
- Nie, to zostawiam Jimowi - odparłem. - Ale chciałbym być w pobliżu.

Co do wyjazdu, wsparła mnie w moich planach.

- Dobrze ci zrobi taka odmiana. Mam wrażenie, że ostatnio popadasz w pewną rutynę.
- To się nazywa emerytyna - powiedziałem.

Jęknęła.

- Zawsze lubiłeś układać beznadziejne kalambury. I zachęcałeś nas, byśmy robili to samo... pamiętam, że doprowadzało to mamę do szału.

- W ten sposób - wyjaśniłem - chciałem wyostrzyć waszą wrażliwość na język.
- Teraz mógłbyś zarabiać na życie układaniem żartów do świątecznych tub z niespodzianką.
- Dzięki Bogu mamy z tym spokój na kolejny rok - rzekłem.

Razem z Fred przez całe popołudnie zdejmowaliśmy bożonarodzeniowe ozdoby, wkładaliśmy je do kartonowych pudeł przechowywanych na strychu, wynieśliśmy tysiądcą choinkę przez drzwi balkonowe do ogrodu i zebraliśmy odkurzaczem igły w salonie.

Zatelefonowałem do Richarda i choć ten jeden raz udało mi się połączyć z nim, a nie z jego automatyczną sekretarką. Powiedziałem mu o podróży do Polski.

- Ty chyba tam byłeś - przypomniałem sobie.
- Tak. Kilka lat temu pojechałem na konferencję do Krakowa. Bardzo piękne miasto, prawie niezniszczone podczas drugiej wojny światowej, chyba jedyne takie miasto w Polsce. Cudowne kościoły z każdej epoki, romańskie, gotyckie, barokowe... żywa antologia architektury. - Richard jest kulturalnym naukowcem i zna się na architekturze dużo lepiej niż ja. -No i całkiem niedaleko jest oczywiście Auschwitz - dodał.

301

à -

- Naprawdę? - zdziwiłem się. - Nie wiedziałem.
- Tak. Powinieneś tam pojechać.
- No, nie wiem, czy znajdę czas...
- Nie możesz tego przegapić - powiedział. - Każdy powinien tam pojechać, jeśli tylko ma okazję.

Opowiedziałem mu o tacie i wspominałem, że gdyby akurat był w Londynie i miał trochę wolnego czasu, byłoby miło, gdyby zajrzał na Lime Avenue, szczególnie podczas mojego wyjazdu. Powiedział, bez większego entuzjazmu, że się postara.

- Tylko koniecznie najpierw do niego zadzwoń - poradziłem - bo może cię nie poznać. Może nawet nie otworzyć ci drzwi.

Wolałbym, żeby Richard nie wspominał o Auschwitz. Jego słowa rzuciły jakiś cień na moje plany wyjazdowe. Oczywiście czytałem o tym. Wiem o szklanych gablotach pełnych butów i włosów, o komorach gazowych, piecach... ale nie jestem pewien, czy chcę je oglądać. Wydaje mi się, że jest coś niewłaściwego w tworzeniu muzeum, atrakcji turystycznej, z miejsca, gdzie dokonywano tak niewyobrażalnych potworności. Przeczytałem wystarczająco dużo o Holokauście - książki Primo Leviego, inne wspomnienia, historie Trzeciej Rzeszy - by wyrobić sobie opinię, że systematyczna, bezwzględna eksterminacja milionów Żydów przez hitlerowców była aktem bezprzykładnego okrucieństwa. Nie wiem,

co pożytecznego może komuś przynieść wizyta w tego rodzaju historycznym miejscu, z bramkami, przewodnikami i wycieczkami autokarowymi, w jakie przypuszczalnie zmieniło się teraz Auschwitz. Ale może przemawia przede mną tylko lenistwo i tchórzostwo. W „powinieneś” Richarda kryła się sugestia, że to pewnego rodzaju zobowiązanie, moralny obowiązek: „Powinieneś tam pojechać. Każdy powinien tam pojechać, jeśli tylko ma okazję”. To niemal na pewno ostatnia okazja, jaka mi się zdarzy w życiu, więc chyba będę musiał pojechać, choćby po to, żeby

302

po powrocie móc spojrzeć synowi w oczy. Przejrzałem program pobytu przesłany mi przez Simona i zdaje się, że ostatniego dnia w Krakowie będę miał wolne popołudnie, nie tak jednak wyobrażałem sobie atrakcje tego wyjazdu, kiedy się nań godziłem.

8 stycznia. Rano przeglądałem notatki do wykładów i zajęć ze studentami, porządkując materiały, które mogę wykorzystać podczas pobytu w Polsce, i dość dużą przyjemność sprawiło mi skoncentrowanie się znowu na konkretnym intelektualnym zadaniu, kiedy oderwał mnie od niego telefon Colina Butterwortha. „Byłbym bardzo zobowiązany, gdybyśmy mogli się dzisiaj zobaczyć”, powiedział. Sprawił wrażenie spiętego i zdenerwowanego. Zakomunikowałem mu, że jestem dość zajęty, i wyjaśniłem dlaczego (całkiem mnie ucieszyła ta możliwość poinformowania go, że nie jestem jeszcze tak do końca akademickim dinozaurem), powiedział jednak, że sprawa jest pilna. Był gotów przyjechać do mnie do domu, gdyby mi to odpowiadało, o każdej porze, chociaż im wcześniej, tym lepiej. Zapytałem, czy chodzi o Alex, i przyznał, że owszem, ale wolałby nie rozwijać tematu przez telefon. Zaprosiłem go więc do siebie po południu, po czternastej.

Zjawił się punktualnie o czternastej. Nigdy nie był u nas w domu i rzucił kilka pochlebnych uwag na jego temat, kiedy prowadziłem go do gabinetu. Przyznałem, że za wystrój wnętrza odpowiada przede wszystkim Fred. Z wyraźną ulgą przyjął wiadomość, że nie ma jej w domu. Posadziłem go w fotelu, sam zaś usiadłem na krześle przy biurku, przysunąwszy je blisko niego, żeby dobrze słyszeć, co ma mi do powiedzenia. Był ubrany jak zwykle w stylu elegancko-sportowym, ale na ramionach zamskiej kurtki dostrzegłem łupież, poza tym nie ogolił się dokładnie. Oczy miał zmęczone. Wyjął paczkę

303

papierosów i zapytał, czy nie będzie mi przeszkadzało, jeśli zapali. Powiedziałem, że owszem, będzie.

- Masz całkowitą rację, paskudny nałóg. Kilka razy rzucałem, ale kiedy dochodzi stres... Frances wścieka się na mnie. - Wsunął papierosy z powrotem do kieszeni. - Podobno wciąż często się widzisz z Alex Loom. Mówi mi, że stała się już niemal przyjaciółką domu.

- Nie powiedziałbym. Była tylko na przyjęciu w drugi dzień świąt. Miała jechać do domu, o czym pewnie wiesz, ojciec wysłał jej pieniądze na bilet, ale lot odwołano z powodu mgły na Heathrow i zrezygnowała z wyjazdu.

Butterworth zrobił zdziwioną minę.

- To ci powiedziała? O ojcu? - Kiedy potwierdziłem, dodał: - Jej ojciec popełnił samobójstwo, kiedy miała trzynaście lat.

Nie byłem pewien, czy dobrze go zrozumiałem, poprosiłem więc o powtórzenie tej zadziwiającej wiadomości.

- Tak mi powiedziała... kto wie, czy to prawda? Twierdzi, że w ten sposób zainteresowała się listami samobójców. Widzisz, jej ojciec nie zostawił takowego. Czytając listy innych ludzi, Alex usiłuje poznać prawdę o tym, dlaczego się zabił. Przynajmniej tak brzmiała teoria jednego z terapeutów.

- Mnie powiedziała, że samobójstwami zainteresował ją były chłopak, który prowadził badania psychologiczne na ten temat. Ten, który napisał artykuł.

-Tak, może był jej chłopakiem, a może i nie... Ale nie o tym chciałem z tobą mówić. Na uniwersytecie powstał wakat po Hetty Rimmer, która zachorowała na zapalenie opon mózgowych i wzięła urlop zdrowotny. Alex ubiega się o tę asystenturę. Oczywiście jest wykluczone, żeby ją dostała. Nie możemy w żadnym wypadku rzucić magistrantów na pastwę Alex, zresztą jest kilku innych, lepszych kandydatów. Problem polega na tym, że ona inaczej widzi te sprawy i jest przekona-

304

na, że obsadzenie tego stanowiska leży w mojej gestii. Cóż, kiedyś może i tak było, teraz jednak są inne procedury... -Przerwał i spojrzał na mnie. - Muszę cię prosić, by ta rozmowa została między nami.

- Jasne - rzuciłem, bo moja ciekawość była już mocno rozbudzona.

- W semestrze letnim, niedługo po tym, jak zostałem jej promotorem, i zanim się zorientowałem, jak bardzo jest niezrównoważona, zrobiłem coś bardzo głupiego. Nasze stosunki nabrały... eee... niewłaściwego charakteru.

- Chcesz powiedzieć, że mieliście seks?

- Były prezydent Clinton powiedziałby „nie” - rzekł z ironicznym uśmiechem - sądzę jednak, że uczelniana komisja dyscyplinarna zajęłaby inne stanowisko. I moja żona też.

Opowiedziana przez niego historia wydawała się znajoma -oto charyzmatyczny, błyskotliwy profesor zostaje uwiedziony przez pełną uwielbienia, atrakcyjną, młodą studentkę, której związek ten daje pewne korzyści.

- Oczywiście źle postąpiłem - przyznał - ale to ona wszystko inicjowała, nie było tak, że wykorzystałem jakieś młode niewiniątko. W końcu ma już dwadzieścia siedem lat. Jest dojrzałą osobą, tak przynajmniej mi się wydawało. Wtedy też nie układało się zbyt dobrze między mną a Frances... - Automatycznym gestem wyjął z kieszeni paczkę papierosów, przypomniał sobie o moim sprzeciwie i znowu ją schował. - Po raz pierwszy posunąłem się za daleko, kiedy pod koniec konsultacji pocałowała mnie, a ja, zamiast jej tego zakazać, odwzajemniłem pocałunek. Następnym razem pocałunek był już dłuższy, do tego doszły pieszczoty i tak dalej. To było strasznie podniecające, bo kiedy przychodziła na

konsultację, oboje wiedzieliśmy, czym się skończy, pocałunkiem prawie bez słów przy drzwiach przed jej odejściem, no i wiedzieliśmy, że ryzykujemy. Pewnego dnia przyklęła, rozpięła mi rozporek

305

na, że obsadzenie tego stanowiska leży w mojej gestii. Cóż, kiedyś może i tak było, teraz jednak są inne procedury... -Przerwał i spojrzał na mnie. - Muszę cię prosić, by ta rozmowa została między nami.

- Jasne - rzuciłem, bo moja ciekawość była już mocno rozbudzona.
- W semestrze letnim, niedługo po tym, jak zostałem jej promotorem, i zanim się zorientowałem, jak bardzo jest niezrównoważona, zrobiłem coś bardzo głupiego. Nasze stosunki nabrały... eee... niewłaściwego charakteru.
- Chcesz powiedzieć, że mieliście seks?
- Były prezydent Clinton powiedziałby „nie” - rzekł z ironicznym uśmieszkiem - sądzę jednak, że uczelniana komisja dyscyplinarna zajęłaby inne stanowisko. I moja żona też.

Opowiedziana przez niego historia wydawała się znajoma -oto charyzmatyczny, błyskotliwy profesor zostaje uwiedzony przez pełną uwielbienia, atrakcyjną, młodą studentkę, której związek ten daje pewne korzyści.

- Oczywiście źle postąpiłem - przyznał - ale to ona wszystko inicjowała, nie było tak, że wykorzystałem jakieś młode niewiniątko. W końcu ma już dwadzieścia siedem lat. Jest dojrzałą osobą, tak przynajmniej mi się wydawało. Wtedy też nie układało się zbyt dobrze między mną a Frances... - Automatycznym gestem wyjął z kieszeni paczkę papierosów, przypomniał sobie o moim sprzeciwie i znowu ją schował. - Po raz pierwszy posunąłem się za daleko, kiedy pod koniec konsultacji pocałowała mnie, a ja, zamiast jej tego zakazać, odwzajemniłem pocałunek. Następnym razem pocałunek był już dłuższy, do tego doszły pieszczoty i tak dalej. To było strasznie podniecające, bo kiedy przychodziła na konsultację, oboje wiedzieliśmy, czym się skończy, pocałunkiem prawie bez słów przy drzwiach przed jej odejściem, no i wiedzieliśmy, że ryzykujemy. Pewnego dnia przyklęła, rozpięła mi rozporek

305

i zrobiła mi loda, przy niezamkniętych na klucz drzwiach, gdy na korytarzu kręcili się ludzie. Była gotowa zrobić niemal wszystko prócz pełnego stosunku. Nawet kiedy zacząłem przychodzić do jej mieszkania... mieszka w jednym z tych nowych bloków nad kanałem... nie chciała stosunku z penetracją. Lubiła spanking. Wtedy zacząłem się martwić, w co się pakuję. I mówiąc szczerze, miałem dość tego, że nigdy nie dochodzi do prawdziwego rżnięcia. Cieszyłem się, kiedy zaczęły się wakacje i pojechaliśmy - ja i Frances - na kilka miesięcy do Hiszpanii, tam, gdzie zwykle. Kiedy wróciliśmy, powiedziałem Alex, że seks musi się skończyć. Przeprosiłem, wziąłem winę na siebie, o nic jej nie oskarżałem, a mimo to nie była zadowolona. Zastanawiałem się, czy nie oddać jej innemu promotorowi, ale bałem się, że mnie wyda. Zresztą tym właśnie mi teraz grozi, jeśli nie załatwię jej tej posady na uniwersytecie.

A więc dlatego tak mu się spieszyło, żeby ze mną pogadać.

- Napisałem jej najlepsze referencje, jakie tylko mogłem, nie popełniając przy tym krzywoprzysięstwa - oświadczył. -Ale nie mogłem forsować jej kandydatury, kiedy mieliśmy rano na uczelni spotkanie w tej sprawie. Postrzegana jest jako postać dość enigmatyczna i w żaden sposób nie udowodniła swych kwalifikacji w zakresie lingwistyki. Jej kandydatura odpadła jako pierwsza. Posada zostanie zaproponowana komuś innemu, o czym wkrótce się dowie.

- Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz? - zapytałem, choć dość dobrze znałem odpowiedź.

- Miałem nadzieję, że ją przekonasz, by nie składała na mnie skargi. Wiem, że cię lubi, szanuje. Zawsze bardzo ciepło się o tobie wypowiada. Myślę, że ciebie by posłuchała.

- Rozumiem - rzekłem i zamilkłem, pogrążony w myślach.

- Mógłbyś zapytać: „Dlaczego miałbym mu pomagać?” - powiedział.

- Pytanie to przemknęło mi przez głowę - przyznałem. 306

I

- Prawie mnie nie znasz, nie jesteś mi nic winien, pewnie potępiasz to, co zrobiłem...

- Owszem - powiedziałem.

- Ale wiesz dobrze, że to może mnie zniszczyć. Nie tylko moją karierę, także moje małżeństwo, rodzinę... Frances byłaby zdruzgotana. Mam dwie nastoletnie córki, trzynaście i piętnaście lat. Pomyśl, w co zamieni się ich życie, jeśli sprawa wyjdzie na jaw.

- Naprawdę myślisz, że Alex złoży na ciebie oficjalną skargę?

- W przeciwnym razie nie opowiadałbym ci tego wszystkiego.

- Dlaczego ktoś miałby jej uwierzyć, jest przecież fantast-ką? - zapytałem.

Skrzywił się.

- Ma chusteczki z moim DNA, tak przynajmniej twierdzi. Z pewnością miała wiele okazji, żeby je zdobyć. - Chyba dostrzegł wyraz niesmaku na mojej twarzy, bo zaraz dodał: -Przepraszam, że zawracam ci głowę tą plugawą historyjką, ale byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś z nią pomówił. Jak najszybciej.

Powiedziałem, że zobaczę, co się da zrobić.

9 stycznia. Umówiłem się z Alex na popołudniowe spotkanie w Pams Pantry. Tym razem to ona czekała na mnie, siedząc przy tym samym stoliku w głębi sali, przy którym kiedyś usiadłem ja, z dłońmi zaplecionymi wokół filiżanki z kawą. Lokal był prawie pusty. Kupiłem sobie przy barze latte i dołączyłem do niej. Jej twarz wydawała się jeszcze bardziej blada niż zwykle, a blond włosy były przyklepane i bez życia. Może miała okres, bardziej jednak prawdopodobne było to, że odbijał się na niej stres związany z

niebezpieczną grą, którą prowadziła. Przeszedłem od razu do rzeczy i przedstawiłem jej w skró-

307

cie to, co o ich kontaktach opowiedział mi Butterworth, nie wchodząc w erotyczne szczegóły. Słuchała spokojnie, po czym powiedziała:

- Nie wiedziałam, że jesteście z Colinem kumplami.
- Bo nie jesteśmy.
- Ale w takich sytuacjach faceci trzymają się razem, no nie?
- Słuchaj, nie lubię Colina Butterwortha, nigdy go nie lubiłem. Wcale bym się nie przejął, gdyby się skompromitował i musiał odejść z uczelni. Uważam, że zachował się niewłaściwie wobec ciebie, nawet jeśli to ty zainicjowałeś ten romans. -Odnotowałem, że nie zaprzeczyła. - Ale jeśli złożysz oficjalną skargę, ucierpi na tym nie tylko on. Jego żona i dzieci też. Ma dwie nastoletnie córki. Możesz doprowadzić do rozpadu rodziny. .. i po co? I tak nie zdobędziesz tej posady. Dostała się komuś innemu.
- Skąd wiesz? - zapytała ostro.
- Butterworth mi powiedział.

Alex odwróciła się do ściany, jakby to do niej mówiła:

- Palant.
- Uwierz mi, nie byłby w stanie ci jej załatwić, nawet gdyby bardzo chciał. Sama widzisz, że nie ma sensu na niego donosić. Czekająby cię bardzo nieprzyjemne przesłuchania... będzie miał prawnika, którego przydzielili mu akademicki związek zawodowy, i oskarży cię o szantaż. Bo go szantażowałaś. Ty też się skompromitujesz i zostaniesz usunięta z uczelni.
- Nie ma niczego na piśmie - zakomunikowała, odwracając głowę znowu w moją stronę. - Mogę się wszystkiego wyprzeć. Jego słowo przeciwko mojemu.
- Tylko że na twoim słowie, Alex, nie można zbyt wiele polegać, prawda?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Mówiłaś Fred, że ojciec przysłał ci bilet, żebyś przyjechała na święta do domu. Butterworthowi z kolei powiedziałaś, że

308

* 7

twój ojciec popełnił samobójstwo, gdy miałaś trzynaście lat. Co jest prawdą?

Alex spuściła wzrok i zamieszała kawę, chociaż była zimna i do połowy wypita, po czym wymamrotała coś zza zasłony matowych włosów.

Pochyliłem się nad stolikiem.

- Co mówisz?
- Tata rzeczywiście się zabił - wyznała.

Powiedziałem, że jest mi przykro z tego powodu, ale nie rozumiem, dlaczego wymyśliła tę historyjkę o bilecie lotniczym. Powiedziała, że po seminarium spotkała się z kilkoma doktorantami z anglistyki i wszyscy mówili o wyjazdach do domu na święta, a kiedy zapytali ją o plany, na poczekaniu wymyśliła bajeczkę o powrocie na Boże Narodzenie do Stanów, do rodziny, nie chciała się przyznawać, że zostanie sama w swoim mieszkaniu.

- Czasem tak robię - powiedziała. - Wymyślam jakąś historyjkę, jakieś kłamstwo albo wykręcę jakiś numer, spontanicznie. Nie mogę się powstrzymać. Bo przecież nie mam nic przeciwko temu, żeby samotnie spędzić Boże Narodzenie. Nie mam rodziny. Mama umarła na raka pięć lat temu, dziadkowie nie żyją, nie licząc jednego z alzheimerem... Z siostrą jestem skłócona. Nie mam domu, do którego mogłabym wrócić w Stanach. Ale nie chciałam, żeby się nade mną litowano, żeby ktoś uważał, że jest ode mnie lepszy, dlatego wymyśliłam tę fikcję o wyjeździe do rodzinki na święta, do domu jak z okładki starego czasopisma. Pomyślałam sobie: nikt się nie dowie, że zaszyję się w swoim mieszkaniu ze stertą gotowych dań do mikrofal.

Kiedy dostała zaproszenie od Fred na nasze przyjęcie, strasznie chciała przyjść, musiała jednak nadal udawać, że wyjeżdża do Ameryki.

- Pomyślałam, że byłoby miło, gdyby tata przysłał mi pie-

309

niądze na bilet lotniczy - powiedziała. - Skoro już wymyśliłam tę bajeczkę, uznałam, że pójdę na całość. Więc napisałam

0 tym w liście do Winifred. Dzięki temu wszystko wydawało się bardziej wiarygodne. A potem przyszły święta, zobaczyłam w telewizji, że odwołują loty na Heathrow z powodu mgły,

1 pomyślałam, że mam doskonały pretekst, żeby jednak przyjść do was na przyjęcie.

- Chcesz powiedzieć, że wymyśliłaś te wszystkie historie o piekle na lotnisku po obejrzeniu wiadomości w telewizji?

- To nie było trudne - stwierdziła. - Czytałam też gazety.

- Wiesz, powinnaś lepiej spożytkować swoją inwencję twórczą - poradziłem jej. - Może spróbujesz

pisać powieści?

Uśmiechnęła się słabo.

- Może kiedyś - odparła.

Zapytałem, dlaczego inaczej wyjaśniła swoje zainteresowanie listami samobójców mnie, a inaczej Butterworthowi.

- Obydwa wyjaśnienia są na swój sposób prawdziwe, nie wykluczają się - tłumaczyła. - Pomysł przeprowadzenia badań lingwistycznych nad listami samobójców podsunął mi mój chłopak z Columbii. Ale oczywiście był też motyw psychologiczny. Nigdy nie dawało mi spokoju pytanie, dlaczego tata nie zostawił żadnego listu. Nie wiedzieliśmy, dlaczego to zrobił. Nic nie wskazywało na to, że miał depresję. Nie znaleźliśmy żadnego motywu, na przykład że zrobił coś złego i bał się zdemaskowania albo że rozpoznano u niego jakąś straszną chorobę, niczego w tym rodzaju, zupełnie nic. Po prostu pewnego wieczoru wypłynął łodzią na jezioro niedaleko naszego domu i zastrzelił się strzelbą myśliwską.

- Może to był nieszczęśliwy wypadek - zasugerowałem.

- Lufę miał w buzi - powiedziała - a palcem u nogi nacisnął spust.

Czy mówiła prawdę? Nie mam bladego pojęcia, chociaż udawałem, że jej wierzę, ponieważ byłoby dla niej czymś nie-

310

bywałe przykrym, gdybym postąpił inaczej. Ogólnie rzecz biorąc, jestem skłonny jej uwierzyć. Tego typu traumatyczne przeżycie z dzieciństwa wiele by wyjaśniało w zachowaniu Alex, nie licząc obsesji na punkcie listów samobójców: fantazjowanie, pociąg do starszych mężczyzn, przyjemność, jaką jej sprawia manipulowanie nimi i skazywanie ich na cierpienie. Tłumaczyłoby też dość bezduszny, wręcz pogardliwy ton jej uwag na temat samobójstw oraz komentarzy o poradniku internetowym - niezależnie od tego, czy był on jej dziełem. Jest oczywiste, że jako nastolatka kochała ojca, lecz jego czyn wzbudził w niej głęboki gniew, który wciąż w niej tkwi.

- Jak mógł nam zrobić coś takiego? - zapytała. - Zabić się bez słowa wyjaśnienia. Zostawić nas z pytaniem, które zawsze będziemy sobie zadawać, dlaczego to zrobił, czy w jakiś sposób, dla nas nieodgadniony, przyczyniliśmy się do tego. Musiał wiedzieć, że ta sprawa zawsze pozostanie dla nas otwarta. Zawsze.

Wydaje mi się, że psychologiczny powód zajęcia się przez nią listami samobójców ma większy związek ze złagodzeniem gniewu niż rozwiązaniem zagadki.

Kiedy wróciłem do domu, zadzwoniłem do Butterwortha i poinformowałem go, że rozmawiałem z Alex i że według moich przypuszczeń nie zdecyduje się na złożenie skargi. Mogłem wyrazić co do tego większą pewność, nie miałem jednak ochoty tak łatwo mu odpuszczać, nie chciałem, by zbyt szybko wyrwał się ze szpon lęku. Tak czy inaczej, ogromnie mu ulżyło i dziękował mi wylewnie za tę dawkę otuchy.

11 stycznia. W tak pełnym ostatnio napięć okresie mojego życia kurs czytania z ruchu warg jest azylem spokoju i niewinnej rozrywki. Dzisiaj zaczął się nowy semestr. Rozpoczęliśmy spotkanie od tematu styczniowych wyprzedaży. Beth rozdała

311

nam paski papieru, na których napisano „Udało mi się kupić.... na styczniowej wyprzedaży”, a my musieliśmy wpisać grupę rzeczownikową (choć oczywiście ona tego tak nie nazwała) i przekazać tę informację pozostałym. Ja powiedziałem, że kupiłem na wyprzedaży kilka koszul, i pożałowałem, że tego nie zrobiłem, bo przydałoby mi się parę nowych na wyjazd do Polski. Beryl powiedziała, że kupiła coś, czego nikt nie potrafił rozszyfrować z ruchu warg. Okazało się, że był to chiński dywan. Zdezorientowało nas słowo „chiński”. Gdyby to był „perski dywan”, pewnie byśmy odgadli, ale „chiński dywan” nie jest dobrze znanym wyrażeniem ani pojęciem, chociaż teraz wszystko się produkuje w Chinach, perskie dywany prawdopodobnie też.

Później tematem był sylwester, ale na szczęście nie padło pytanie, jak go spędziliśmy. Beth omówiła najpierw bez głosu, a potem na głos szkocki zwyczaj zwany First Footing, pierwszej wizyty tuż po północy w noc sylwestrową. Mężczyzna, który przekracza próg jako pierwszy, musi być wysoki i dobrze zbudowany, nie może być kulawy ani zezowaty, musi mieć ze sobą kawałek węgla, kawałek chleba i butelkę whisky, ale nie nóż, nie może mieć płaskostopia ani zrastających się brwi, nie może być ubrany na czarno i nie może nic powiedzieć, dopóki nie położy chleba na stole, nie dorzuci węgla do ognia i nie da butelki whisky głowie rodziny, dopiero wtedy życzy wszystkim „Szczęśliwego Nowego Roku” i wychodzi tylnymi drzwiami. Zdaje się, że nie musi słyszeć tego, co się do niego mówi, więc ja bym się nawet nadawał.

Mieliśmy też kwiz o zastosowaniu słów Scot, Scotch, Scottish i musieliśmy odpowiadać na pytania, porozumiewając się z partnerem za pomocą ruchu warg. Znowu pracowałem z Gladys. Odnoszę wrażenie, że stara się siadać obok mnie, bo wie, że jestem dobrze wykształcony, a ona jest bardzo ambitna - tak bardzo chce skończyć kwiz jako pierwsza, że często zapomina,

312

że ma nie używać głosu. Hasła były dość łatwe: „Jajko obtoczone w mięsie mielonym (Scotch egg)...” „Znany podróżnik (Robert Falcon Scott)...” „gra dziecięca (hopscotch*)”... Jednego nikomu nie udało się odgadnąć: „tradycyjny podatek”. Udawałem, że nie znam odpowiedzi: a scot. Słowo nie mające oczywiście nic wspólnego ze Szkocją, pochodzące ze staro-angielskiego, teraz już archaiczne, chociaż występuje jeszcze w wyrażeniu to go scot-free, wymigać się od kary tudzież od zapłacenia podatku.

Po przerwie na herbatę mieliśmy pogadankę na temat psów przewodników dla osób niedosłyszących, wygłosił ją Trevor, który posiada takiego zwierzaka. Przyprowadził go ze sobą, czarującego Jack Russell teriera wabiącego się Patch, który siedział u jego stóp i najwyraźniej rozumiał, o czym mowa w

pogadance, słyszał ją już pewnie wiele razy, skoro Trevor jeździ po kraju i spotyka się z takimi grupami jak nasza z ramienia organizacji zajmującej się tresurą tych zwierząt. Wytresowanie jednego psa kosztuje pięć tysięcy funtów, ponieważ proces ten jest bardzo długotrwały i wymaga ogromnej cierpliwości. Uczą się rozpoznawać i rozróżniać odgłos budzika właściciela, sygnał kuchenki, telefonu, czujnika dymu i alarmu pożarowego. Usłyszawszy jakiś dźwięk, po rozpoznaniu go starają się zwrócić uwagę właściciela - trącają go łapą, a potem prowadzą do źródła dźwięku. Jeśli włącza się czujnik dymu albo alarm pożarowy, trącają właściciela, a potem kładą się na ziemi, sygnalizując niebezpieczeństwo. Tego typu psy z wiadomych powodów rzadko szczekają, chociaż powiedziano Trevorowi, że Patch szczeka czasem przez sen. Trevor nosi dowód i paszport Patcha z wpisaną informacją, że zwierzę można wprowadzać do restauracji i sklepów spożywczych, chociaż Trevor twierdzi, że kilka razy nie pozwolono mu wejść. Czy pracownicy

* Hopscotch (ang.) - gra w klasy.

313

że ma nie używać głosu. Hasła były dość łatwe: „Jajko obtoczone w mięsie mielonym (Scotch egg)...” „Znany podróżnik (Robert Falcon Scott)...” „gra dziecięca (hopscotch*)”... Jednego nikomu nie udało się odgadnąć: „tradycyjny podatek”. Udawałem, że nie znam odpowiedzi: a scot. Słowo nie mające oczywiście nic wspólnego ze Szkocją, pochodzące ze staro-angielskiego, teraz już archaiczne, chociaż występuje jeszcze w wyrażeniu to go scot-free, wymigać się od kary tudzież od zapłacenia podatku.

Po przerwie na herbatę mieliśmy pogadankę na temat psów przewodników dla osób niedosłyszących, wygłosił ją Trevor, który posiada takiego zwierzaka. Przyprowadził go ze sobą, czarującego Jack Russell teriera wabiącego się Patch, który siedział u jego stóp i najwyraźniej rozumiał, o czym mowa w pogadance, słyszał ją już pewnie wiele razy, skoro Trevor jeździ po kraju i spotyka się z takimi grupami jak nasza z ramienia organizacji zajmującej się tresurą tych zwierząt. Wytresowanie jednego psa kosztuje pięć tysięcy funtów, ponieważ proces ten jest bardzo długotrwały i wymaga ogromnej cierpliwości. Uczą się rozpoznawać i rozróżniać odgłos budzika właściciela, sygnał kuchenki, telefonu, czujnika dymu i alarmu pożarowego. Usłyszawszy jakiś dźwięk, po rozpoznaniu go starają się zwrócić uwagę właściciela - trącają go łapą, a potem prowadzą do źródła dźwięku. Jeśli włącza się czujnik dymu albo alarm pożarowy, trącają właściciela, a potem kładą się na ziemi, sygnalizując niebezpieczeństwo. Tego typu psy z wiadomych powodów rzadko szczekają, chociaż powiedziano Trevorowi, że Patch szczeka czasem przez sen. Trevor nosi dowód i paszport Patcha z wpisaną informacją, że zwierzę można wprowadzać do restauracji i sklepów spożywczych, chociaż Trevor twierdzi, że kilka razy nie pozwolono mu wejść. Czy pracownicy

* Hopscotch (ang.) - gra w klasy.

313

sklepu albo restauracji nie wpuściliby psa przewodnika osoby niewidomej? Wątpię.

Trevor dał do zrozumienia, że żyje samotnie, i kiedy się nad tym zastanowić, jeśli ktoś ma małżonka lub partnera, tak naprawdę nie potrzebuje psa przewodnika. Najwyraźniej towarzystwo Patcha jest nie mniej

ważne niż jego pomoc w codziennym życiu. Przyjemnie jest pomyśleć o tym bractwie mądrych psów, oddanych treserów i wdzięcznych właścicieli, gdzie wszystkie strony biorą i dają coś wartościowego, po cichu wypełniając swą misję, dzień po dniu, rok po roku, z czego większość społeczeństwa nie zdaje sobie sprawy.

15 stycznia. W ostatnim tygodniu nie miałem czasu prowadzić dziennika - za bardzo byłem zajęty przygotowaniem do wyjazdu do Polski, który zaczyna się pojutrze. Kiedy przeglądałem swoje niepublikowane prace i wykłady, żadne nie wydawały się w pełni zadowolające w swej obecnej formie, spędziłem więc mnóstwo czasu na poprawianiu i aktualizowaniu trzech z nich.

Wczoraj nadeszła niepokojąca wiadomość od Anne. Zaczęła krwawić, zabrano ją więc do szpitala na obserwację i odpoczynek. Rozmawiałem z nią przez telefon i usłyszałem, że to tylko na wszelki wypadek. Z dzieckiem nic złego się nie dzieje, chcą jednak uniknąć wczesnego porodu. Trudno jednak w takiej sytuacji się nie martwić.

Czekałem do ostatniej chwili, żeby o moim wyjeździe powiadomić tatę - celowo, bo wiedziałem, że ta wiadomość mu się nie spodoba, a im mniej będzie miał czasu, żeby się tym zamartwiać, tym lepiej.

- Polska? Polska? Apocoty tam do diaska jedziesz? Z tego, co piszą w mojej gazecie, wszyscy Polacy strasznie chcą przyjechać tutaj. Nigdy nie słyszałem o Polsce nic dobrego.

314

Zresztą myślałem, że skończyłeś już z tym całym cyrkiem. - Wyjaśniłem mu sytuację i powiedziałem, z entuzjazmem, którego teraz tak naprawdę już nie czuję, że bardzo się cieszę na ten wyjazd. - Nie zazdroścę ci, kolego - powiedział. - Jak się tam dostaniesz.... polecisz? Mam tylko nadzieję, że nie polskim samolotem.

- Nie, lecę z British Airways - uspokoiłem go, chociaż z Krakowa wracał będę LOT-em. Wylatuję z Heathrow wcześniej rano, toteż zarezerwowałem sobie pokój w hotelu na lotnisku na poprzednią noc, a do Londynu jadę już jutro i przy okazji odwiedzę tatę. Ta wiadomość trochę go udobruchała.

18

18 lutego. Nie wpisywałem tu nic od czterech tygodni, ponieważ przez większość czasu nie miałem dostępu do mojego komputera, a kiedy wróciłem do domu, byłem albo zbyt pochłonięty różnymi sprawami, albo zbyt padnięty, żeby aktualizować ten dziennik. Podczas pobytu w Polsce robiłem odręcznie notatki, ale teraz nie mam głowy do tego, żeby spisywać moje wrażenia z wizyt w Warszawie, Łodzi i Krakowie tudzież ze spotkań z polskimi wykładowcami i ich studentami. Sprawy te wydają się błahe w świetle tego, co się wydarzyło pod sam koniec mojego wyjazdu, a następnie w Anglii,

0 czym zaraz napiszę. Jeśli chodzi o wykłady, dość powiedzieć, że zostały dobrze przyjęte, a ja całkiem nieźle sobie radziłem z moim niedosłuchem - gorzej niż podczas wykładów i spotkań było w nieformalnych sytuacjach towarzyskich, na przykład w restauracjach i na przyjęciach. Większość Polaków,

z którymi się spotykałem, mówiła dobrze po angielsku, choć czasem z kłopotliwymi akcentami, Estuary albo brooklyńskim, w zależności od tego, u kogo się uczyli. Obżerałem się mięsem, dziczyzną

1 kielbasami, wypijałem też za dużo wina, piwa i wódki. Polacy i pracownicy British Council mocno mnie eksploatowali i nim dotarłem do Krakowa, zaczynałem odczuwać zmęczenie.

Miasto jest tak piękne, jak wszyscy twierdzą, ale zajęty wykładami na Uniwersytecie Jagiellońskim i w British Council nie miałem zbyt dużo czasu na zwiedzanie. Udało mi się wszak zajrzeć do kościoła Mariackiego z jego olśniewająco pięknym

316

rzeźbionym i malowanym ołtarzem, zwiedzić Sukiennice i obejrzeć Damę z łasiczką w Muzeum Czartoryskich oraz kilka innych słynnych miejsc, wcześniej już jednak zarezerwowałem sobie jedno wolne popołudnie na wizytę w Auschwitz. I tu popełniłem pierwszy błąd, bo w styczniu obóz jest otwarty dla zwiedzających do piętnastej, o czym dowiedziałem się z mojego przewodnika poniewczasie, kiedy byłem już w drodze. Nikt w Krakowie nie uprzedził mnie o tym, kiedy poprzedniego dnia zapowiadałem, że wybieram się do Auschwitz. Albo, co bardziej prawdopodobne, ktoś mi powiedział, a ja udałem, że usłyszałem. Podczas tego wypadu byłem praktycznie zdany tylko na siebie. Mnóstwo chętnych chciało oprowadzać mnie po Krakowie, nikt jednak nie zaproponował, że będzie mi towarzyszyć w wyprawie do Auschwitz. Właściwie chyba nie ma w tym nic dziwnego; jeśli ktoś już raz tam był, prawdopodobnie nie ma ochoty wracać. Z drugiej strony zastanawiałem się, ilu spośród tych Polaków, których poznałem, tak naprawdę było tam osobiście. Kiedy informowałem ich o moim zamiarze, kiwali uprzejmie głowami i zaraz zmieniali temat. Odniosłem wrażenie, że są nieco skrępowani, mieszkając w tym przepięknym zabytkowym mieście tak blisko obozu, którego nazwa jest metonimią ludobójstwa. UNESCO wpisało ten obiekt na Listę Światowego Dziedzictwa Ludzkości, lecz Polska, chociaż wielu Polaków straciło tam życie, nie chce uznawać go za część swojego dziedzictwa.

W tamten piątek miałem wykład na uniwersytecie o dziesiątej i po kawie z częścią kadry profesorskiej wróciłem do hotelu dopiero o 11.45. Wcześniej Simon Greensmith poradził mi, żebym do Auschwitz wybrał się taksówką, bo publiczne środki transportu są powolne, a korzystanie z nich niedogodne, w recepcji zamówiłem więc taksówkę na 12.15, żeby mieć czas na zjedzenie kanapki w barze. Zdążyłem już sobie wyrobić mylne mniemanie o tym, jak blisko jest z Krakowa do

317

Auschwitz - i to był mój drugi błąd. Kiedy zapytałem o to młodą kobietę w recepcji, wydawało mi się, że powiedziała „trzydzieści minut”, ale kiedy podróż się przeciągała, uznałem, że musiałem się przesyścić - być może powiedziała „trzydzieści kilometrów”. Po kilku kilometrach podróży autostradą w kierunku lotniska, droga do Oświęcimia przechodzi w zatłoczoną jednopasmówkę. Nocą spadł śnieg i pola oraz drzewa lśniły nieskazitelną bielą, drogę natomiast pokrywała mokra breja, która spowalniała jazdę. Moja taksówka była starym czarnym fiatem z hałaśliwym silnikiem diesla i zużytymi amortyzatorami. Krępy kierowca w skórzanej kurtce kiepsko mówił po angielsku i nie przejawiał chęci doskonalenia języka drogą

konwersacji. „Daleko jeszcze?” - pytałem raz za razem, na co on wzruszał ramionami, pomrukiwał i podnosił ręce znad kierownicy w geście oznaczającym „To zależy od ruchu na drodze”. Niedaleko Oświęcimia utknęliśmy na kilka minut przed przejazdem kolejowym, gdy nadzwyczaj długi pociąg z zamkniętymi wagonami przetaczał się powoli z łoskotem -całkiem odpowiednie preludium do mej ponurej wizyty i kolejne frustrujące opóźnienie. Ostatecznie podróż trwała dobrze ponad godzinę i zorientowałem się, że mam tylko sto minut na przyswojenie sobie realiów najbardziej szokującego masowego mordy w historii świata.

Przy wejściu do obiektu znajduje się punkt informacyjny dla turystów z ekspozycjami fotograficznymi, bufetem i kinem wyświetlającym materiały filmowe z okresu funkcjonowania obozu, na ich obejrzenie nie miałem jednak czasu. Wejście jest bezpłatne, chyba że ktoś chce wynająć przewodnika, na co ja się nie zdecydowałem. Zamierzałem zwiedzić obóz w swoim tempie, które miało być niemal nieprzyzwoicie zwawe. Sławna, a raczej niesławna brama do właściwego obozu z napisem Arbeit macht frei z kutego żelaza, jest zaskakująco mała, sam obóz też jest w swej fizyczności pewnym rozczarowaniem wo-

318

bec lęku, z jakim się do niego podchodzi, nie odzwierciedla ogromu popełnionych tam zbrodni. Przypomina ponure londyńskie osiedle wybudowane w okresie międzywojennym albo koszary wojskowe - bo też pierwotnie były to koszary. Jednakowe trzykondygnacyjne bloki z cegły tworzą siatkę prostopadłych linii, z drzewami zasadzonymi wzdłuż ścieżek i dróg między nimi. Drzew się nie spodziewałem. Zwiedzających nie było zbyt wielu, ze względu na porę roku, jak sądzę, a ja, zamiast głowić się nad mapką w przewodniku, szedłem po śladach ich stóp odcisniętych w cienkiej warstwie śniegu, która pokrywała ścieżki i drogi.

Kilka bloków zamieniono w ekspozycje poświęcone różnym aspektom obozowego życia - ponure pomieszczenia mieszkalne, prycze z siennikami, skromne sanitariaty, szorstkie więzienne pasyaki - albo poszczególnym grupom etnicznym i narodowym, które tam cierpiały. Ściany obwieszono portretami więźniów sfotografowanych z typową niemiecką skrupulatnością en face i z profilu. Twarze te zapadają w pamięć: niektóre mają obojętny wyraz, na innych maluje się złość lub szaleństwo. Kilka osób nawet lekko się uśmiecha, mając być może nadzieję, że w ten sposób przypochlebią się swoim ciemiężcom. Blok 11 był blokiem karnym. Mieszczą się w nim cele tak ciasne, że można w nich tylko stać, pomieszczenia z ławami do chłosty i hakami do wieszania więźniów za związane z tyłu ręce. Tutaj skazanych na śmierć zmuszano do rozebrania się do naga, a potem wyprowadzano ich na zewnątrz i rozstrzeliwano pod ścianą. Okna sąsiedniego bloku zabito deskami, żeby nikt nie widział egzekucji. Tuż za murem granicznym obozu znajduje się krematorium, gdzie palono zwłoki i gdzie mieściła się także komora gazowa. Ktoś położył przy piecach wieniec. Był też blok o nazwie „Zagłada” z robiącymi potworne wrażenie stertami kobiecych włosów, dziecięcych ubranek i butów, które wyeksponowano za szkłem.

319

Dowiedziałem się z przewodnika, że Auschwitz składał się z dwóch obozów: tego, w którym teraz

przebywałem, gdzie urządzono obóz koncentracyjny - tutaj zmuszano więźniów do pracy ponad siły i traktowano z wielką brutalnością, nie mordowano ich jednak w sposób masowy - oraz większego obozu zwanego Auschwitz Birkenau, gdzie realizowano politykę eksterminacji. Wcześniej myślałem, że są położone obok siebie, lecz usłyszałem od mojego kierowcy, że Birkenau leży jakieś dwa, trzy kilometry dalej. Powiedział, że będzie czekał na parkingu przed punktem informacyjnym i zawiezie mnie tam. Gdy gasło światło zimowego popołudnia, przyspieszyłem kroku w obawie, że zrobi się za późno na wizytę w Birkenau. Wściekałem się na swoją głupotę i nieudolność, bo najpierw nastawiam się, trochę wbrew sobie, na tę wizytę, a potem daję sobie za mało czasu, żeby wszystko obejrzeć, przeklinałem też swój niedoskonały słuch, który na pewno spowodował ten błąd w moich kalkulacjach. Spod głównego obozu odjeżdżaliśmy kwadrans przed piętnastą i mogłem tylko mieć nadzieję, że zostanie mi na Birkenau choćby pięć minut, a jeśli nie, zdołam go obejrzeć zza ogrodzenia przed zapadnięciem zmroku. Pięć minut na Birkenau: wyrażenie to odzwierciedlało rozmiary mojej głupoty.

Kiedy tam dotarliśmy, mój zegarek wskazywał już piętnastą. Miejsce było prawie wyludnione, a na anonimowym parkingu zostało tylko kilka samochodów. Żadnego punktu informacyjnego, żadnych bramek, żadnego personelu w zasięgu wzroku, jedynie parę świateł w oknach budynku z czerwonej cegły, o kształcie znanym z filmów i fotografii i tak banalnym projekcie, że mógłby równie dobrze być wzniesiony z dziecięcych klocków: kwadratowa stróżówka z dwuspadowym dachem krytym dachówką i jednopoziomowymi skrzydłami po obu stronach, wyrastająca nad łukiem, pod którym przebiega linia kolejowa do obozu, ciągnąca się aż po horyzont, ku

320

i

nieskończoności, czyli tam, gdzie prawie wszyscy, którzy tu przybyli pociągiem, mieli bardzo szybko trafić. Łuk wypełniała żelazna krata.

- Zamknięte - rzekłem ponuro do kierowcy.
- Nie, można wejść. Ja czekać - poinformował mnie i wskazał mi wejście z boku budynku.

Chociaż Birkenau oficjalnie jest zamykany o tej samej porze co główny obóz, goście najwyraźniej mogą zostać dłużej i bez żadnego nadzoru kręcić się po obiekcie. Dołączyłem do paru osób, które wciąż tam przebywały w to zimne popołudnie. Tym, co człowieka uderza od razu, kiedy tam wchodzi, jest ogrom tego miejsca, ciągnące się na prawo od linii kolejowej aż poza zasięg wzroku rzędy baraków, po których pozostały jedynie fundamenty i ceglane kominy wyrastające ze środka każdego prostokąta jak wydłużone nagrobki. Większość baraków została zniszczona przez Niemców przed opuszczeniem obozu albo ograbiona z drewna przez Polaków po wojnie, albo padła ofiarą wiatru i warunków atmosferycznych, kilka jednak zachowano, żeby dać wyobrażenie o tym, jak wyglądało w nich życie. W tych lichych konstrukcjach, z przerwami w ścianach skleconych z desek, z klepiskiem, prymitywnymi drewnianymi pryzmami i tylko jednym małym piecem, musiało być duszno podczas letnich upałów i potwornie zimno w czasie mrozów. Zamieszkiwali je więźniowie, których uznano za zdalnych do pracy, nie były to jednak warunki pozwalające człowiekowi przeżyć dłuższy czas.

Wzdłuż torów kolejowych ciągnie się ścieżka i peron, gdzie wyładowywano transporty więźniów. Tablice informują w kilku językach, co się z nimi działo później: oddzielenie mężczyzn od kobiet i dzieci, oddzielenie przez lekarzy SS tych, którym pozwoli się jeszcze trochę pożyć, od tych, którzy natychmiast trafią do komór gazowych na końcu obozu, wierząc albo chcąc wierzyć w to, co im powiedziano - że idą się

321

wykąpać pod natryskami, co po kilku dniach w zatłoczonych bydłych wagonach z jednym kubłem za latrynę musiało być miłą perspektywą. W ciągu kilku godzin od przyjazdu byli za-gazowywani i paleni w piecach, tysiące w ciągu jednego dnia, w sumie sporo ponad milion ludzkich istnień.

Powiedziano już tyle razy, że nie ma słów oddających potworność tego, co się wydarzyło w Auschwitz i innych obozach zagłady, których ślady wycofujący się hitlerowcy wymazali skutecznie. Nie ma też odpowiednich myśli, odpowiednich reakcji emocjonalnych dostępnych zwiedzającym, którzy w swoim życiu nie doświadczyli niczego choćby w przybliżeniu porównywalnego. Czuje się oczywiście litość, smutek, złość, ale uczucia te wydają się tak drobne wobec skali cierpień związanych z tym miejscem, jak łzy wpadające do oceanu. Może i łzy przyniosłyby jakąś ulgę, ale tak jak Richard nie jestem skory do płaczu. Ostatecznie pozostaje chyba jedynie okazanie pokory wobec tego, co się wydarzyło w tym miejscu, oraz wdzięczności, że nie żyło się w tamtych czasach i nie zostało się wciągniętym w ówczesny wir zła jako ofiara ani jako oprawca. Przypadkowo - przez własną nieudolność - poznałem to miejsce rozpacz w sposób, którego na pewno nigdy nie zapomnę.

Początkowo widziałem innych zwiedzających, przeważnie w małych grupkach lub parach, jak spacerują wzdłuż torów albo między zachowanymi drewnianymi barakami, kilka osób minęło mnie, zmierzając do wyjścia. Kiedy sunąłem coraz dalej w głąb obozu, gdy gasło naturalne światło, ściemniało się i temperatura spadała do zera, widziałem ich coraz mniej, wszelkie głosy ucichły i w końcu odniosłem wrażenie, że jestem tam zupełnie sam. Zwykle w takiej sytuacji wyjąłbym aparat, żeby dać trochę odpocząć uszom; pozostawiłem jednak słuchawki na miejscu, ponieważ chciałem słyszeć tę ciszę, ciszę zakłócaną jedynie chrzęstem moich butów na zamarz-

322

wykąpać pod natryskami, co po kilku dniach w zatłoczonych bydłych wagonach z jednym kubłem za latrynę musiało być miłą perspektywą. W ciągu kilku godzin od przyjazdu byli za-gazowywani i paleni w piecach, tysiące w ciągu jednego dnia, w sumie sporo ponad milion ludzkich istnień.

Powiedziano już tyle razy, że nie ma słów oddających potworność tego, co się wydarzyło w Auschwitz i innych obozach zagłady, których ślady wycofujący się hitlerowcy wymazali skutecznie. Nie ma też odpowiednich myśli, odpowiednich reakcji emocjonalnych dostępnych zwiedzającym, którzy w swoim życiu nie doświadczyli niczego choćby w przybliżeniu porównywalnego. Czuje się oczywiście litość,

smutek, złość, ale uczucia te wydają się tak drobne wobec skali cierpień związanych z tym miejscem, jak łzy wpadające do oceanu. Może i łzy przyniosłyby jakąś ulgę, ale tak jak Richard nie jestem skory do płaczu. Ostatecznie pozostaje chyba jedynie okazanie pokory wobec tego, co się wydarzyło w tym miejscu, oraz wdzięczności, że nie żyło się w tamtych czasach i nie zostało się wciągniętym w ówczesny wir zła jako ofiara ani jako oprawca. Przypadkowo - przez własną nieudolność - poznałem to miejsce rozpacz w sposób, którego na pewno nigdy nie zapomnę.

Początkowo widziałem innych zwiedzających, przeważnie w małych grupkach lub parach, jak spacerują wzdłuż torów albo między zachowanymi drewnianymi barakami, kilka osób minęło mnie, zmierzając do wyjścia. Kiedy sunąłem coraz dalej w głąb obozu, gdy gasło naturalne światło, ściemniało się i temperatura spadała do zera, widziałem ich coraz mniej, wszelkie głosy ucichły i w końcu odniosłem wrażenie, że jestem tam zupełnie sam. Zwykle w takiej sytuacji wyjąłbym aparat, żeby dać trochę odpocząć uszom; pozostawiłem jednak słuchawki na miejscu, ponieważ chciałem słyszeć tę ciszę, ciszę zakłócaną jedynie chrzęstem moich butów na zamarz-

322

niętym śniegu, szczekaniem psa gdzieś w oddali i żałosnym gwizdem pociągu. Łukowe lampy zainstalowane w pewnych odstępach na wysokich palach oświetlały ścieżkę i rzucały niktę światło przez tory na przysypane śniegiem fundamenty najbliższych baraków. Czarne sylwety gołych kominów rysowały się na tle białych przestworzy w nienickających w oddali rzędach, aż wszelkie widoczne kształty zamazywały się w ciemności. Granice obozu były niewidoczne - wydawało się, że ciągnie się dookoła w nieskończoność. Wreszcie na końcu linii kolejowej dotarłem do pomnika ku czci ofiar Auschwitz i wznoszących się po obu jego stronach ruin komór gazowych i krematoriów, które Niemcy wysadzili w powietrze, zanim uciekli przed nadciągającą Armią Czerwoną. Te konstrukcje pozostawiono nietknięte, resztki ceglanych murów i pokruszone kawały żela-zobetonu. We wgłębieniu wśród szczątków krematoriów ktoś postawił małą świeczkę albo lampkę wotywną, taką, jakie się widuje w kościele, a może w synagodze, z czerwonym szklanym kloszem. Jej słaby migotliwy płomień był jedynym światłem w tej części obozu i jedyną oznaką życia w tej krainie śmierci. Miałem nadzieję, że będzie się palić całą noc. Stałem przez kilka minut zapatrzony w jej płomień, aż mróz zaczął mnie przenikać do szpiku kości; wtedy zawróciłem. Moja taksówka stała na parkingu samotnie, z pracującym silnikiem, żeby działało ogrzewanie. Tego dnia opuszczałem Auschwitz jako ostatni.

Przeprosiłem taksówkarza, że kazałem mu czekać. Mruknął coś i wrzucił pierwszy bieg, sprawiając, że zarzuciło nami lekko, kiedy przyspieszył. Byłem wdzięczny za jego małomówność w drodze powrotnej do Krakowa. Chciałem jeszcze raz przemyśleć wszystko, co zobaczyłem tego popołudnia, dopilnować, żeby zostało bezpiecznie zapisane w pamięci. Wieczorem by-

323

łem umówiony na kolację z przedstawicielem British Council, postanowiłem jednak zadzwonić do niego i odwołać spotkanie. To nie miało być nic uroczystego, tylko my dwaj, uprzejmy gest z jego strony, żeby zapewnić mi towarzystwo ostatniego wieczoru, ja jednak nie chciałem z nim rozmawiać o Auschwitz, w ogóle nie chciałem rozmawiać. Nagle nie mogłem się doczekać, żeby wrócić i opowiedzieć o tym Fred. Jak

dotąd zadzwoniłem do niej tylko dwa razy, z Warszawy i z Łodzi, i nie rozmawialiśmy długo. Jeśli korzystam z hotelowych telefonów, mając w uszach aparat słuchowy, rozlega się gwizd sprzężenia, a bez aparatu trudno mi usłyszeć, co Fred do mnie mówi. Powiadomiła mnie, że Anne odesłano ze szpitala do domu ze wskazówką, żeby na siebie uważała - nie ma powodów do niepokoju. Zadzwoniła do taty i wydawał się zdezorganizowany, ale wszystko u niego w porządku. Zapytał ją, kim jest Richard. „Jakiś Richard mówi, że do mnie przyjeżdża -jak myślisz, czego on chce?” Wyjaśniła mu. Ucieszyłem się, że Richard posłuchał mojej sugestii.

Przysnąłem na tylnym siedzeniu podczas podróży powrotnej: w samochodzie było ciepło, a nade mną górę wzięło zmęczenie. Obudziłem się, gdy zatrzymaliśmy się raptownie na skrzyżowaniu niedaleko centrum miasta. Zaczął się piątkowy wieczór, chodniki pełne były przechodniów, a wystawy zastawione produktami spożywczymi, laptopami i odzieżą sportową znanych marek rozbłyskiwały światłami. Auschwitz wydawał się czymś tak odległym jak Księżyc. Kiedy dojechaliśmy do mojego hotelu, zapłaciłem taksówkarzowi, obdarowując go hojnym napiwkiem, co wywołało na jego twarzy pierwszy tego dnia uśmiech. Dziewczyna w recepcji też się uśmiechała.

- Wiadomość dla pana, profesorze - powiedziała, wyciągając złożoną kartkę z jednej z przegródek. - Ja sama odebrać telefon. Gratulacje!

Rozłożyłem kartkę z wiadomością. „O 3.15 dzwoniła pani

324

Bates. Pana curka narodziła dzisiaj chłopca. Matka i dziecko czują się dobrze”.

Udałem się do swojego pokoju i zadzwoniłem do Fred, która przekazała mi wszystkie szczegóły usłyszane od Jima: dziecko urodziło się rano, cztery tygodnie przed terminem, drobne (niespełna dwa i pół kilo), lecz zdrowe, poród trwał około sześciu godzin, Anne zmęczona, ale niewyobrażalnie szczęśliwa, Jim cały czas przy niej i wniebowzięty, słowem same dobre wieści.

- A ty, jak się masz, kochanie? - zapytała Fred, kiedy wyczerpaliśmy ten temat.
- Dobrze - odparłem. - Byłem dzisiaj w Auschwitz.
- Naprawdę? - Wydawała się zaskoczona: nie poinformowałem jej o swych planach, na wypadek gdybym zmienił zdanie. - Straszne przeżycie?
- Niezapomniane. Opowiem ci, jak wrócę.
- Tak, tak, kochanie, nie teraz - zgodziła się. - Nie mąćmy sobie radości z narodzin twojego pierwszego wnuka tak ponurym tematem. A przy okazji, chcą mu dać na imię Desmond.
- Biedne dziecko - rzuciłem, chociaż w głębi duszy czułem zadowolenie.

Zadzwoniłem do przedstawiciela British Council i odwołałem kolację. Wiedział, dokąd pojechałem po południu, i wykazał zrozumienie.

- Wiele osób po wizycie tam chce przez jakiś czas побыć w samotności - powiedział.

Poinformowałem go o narodzinach dziecka Anne.

- Wspaniale! - zawołał. - To powinno pana pocieszyć.

I oczywiście tak też się stało, nie bardzo jednak wiedziałem, jak wkomponować tę radosną dla mnie nowinę w doświadczenie Auschwitz, jedno nowe życie w kontekst śmierci miliona. Uczczenie tego wydarzenia w samotności szampanem z mi-nibaru nie wydawało się czymś stosownym. Zamówiłem więc do pokoju kolację i pół butelki czerwonego bułgarskiego wina,

325

i kiedy czekałem na posiłek, spisałem notatki na temat minionego popołudnia, z których teraz korzystam, robiąc ten wpis.

Następnego dnia mój samolot odlatywał o 14.30, miałem więc przed południem trochę czasu na zakupy. Kupiłem bursztynowy naszyjnik dla Anne i staromodną srebrną broszkę dla Fred, do tego trochę śmiesznych drewnianych zabawek ze straganu na rynku dla Daniela i Leny - szczególnie spodobał mi się kroczący po pochylnej siłą własnego rozpędu wielbłąd. Zadowolony z zakupów wróciłem do hotelu i udałem się do recepcji z informacją, że wkrótce będę się wymeldowywał. Recepcjonista podał mi kartkę z wiadomością: „Proszę dzwonić do żona jak najszybciej. Pilne”.

Pierwsza myśl była niczym strzała w serce: Coś niedobrego dzieje się z dzieckiem Anne. Obawiam się, że wyszeptalem cichą modlitwę błagalną, kiedy spieszyłem po schodach do swojego pokoju, i chyba można powiedzieć, że została wysłuchana - ale nie w sposób, który uśmierzyłby mój niepokój. Nie chodziło o Anne, tylko o tatę.

- Twój ojciec jest w szpitalu, prawdopodobnie miał udar -zakomunikowała Fred, kiedy się z nią połączyłem. Nie usłyszałem wszystkiego, co powiedziała, przez ten przeklęty hotelowy aparat, ale z grubsza zrozumiałem, co się stało. Tego dnia rano na Lime Avenue przyjechał Richard, ale choć wcześniej się zapowiedział i tootał do drzwi, nikt mu nie otwierał, poszedł więc zasięgnąć języka do Barkerów, którzy nic nie wiedzieli, a potem wspiął się po furtce i przedostał do ogrodu, zajrzał do jadalni przez balkonowe okno i zobaczył tatę leżącego na podłodze przy włączonym telewizorze. Wziął z szopy ciężkie dłuto, wyważył okno, znalazł nieprzytomnego tatę i wezwał pogotowie. Według lekarza pogotowia nie był to atak serca, tylko udar mózgu. Richard zadzwonił do Fred z wiadomością, że jedzie z tatą karetką do miejscowego szpitala, a ona natychmiast zadzwoniła do mnie. Niczego więcej nie wiedzia-

326

ła. - Dzięki Bogu, że cię złapałam, kochanie. Będziesz mógł pojechać z Heathrow prosto do szpitala.

Już wcześniej pomyślałem o tym samym.

Był już wieczór, kiedy dotarłem do szpitala Tideway, ciągnąc za sobą walizę na kółkach, spocony w grubym zimowym płaszczu przy wyjątkowo ciepłej w Londynie pogodzie. W recepcji poinformowano

mnie, że niestety ze względów bezpieczeństwa nie mogą przypilnować bagażu, musiałem więc taszczyć go ze sobą na oddział geriatryczny, gdzie leżał tata. Starzy ludzie w różnych stadiach osłabienia i demencji rzucali w moją stronę niespokojne spojrzenia, gdy mijałem ich w czarnym płaszczu, z terkoczącą na wyłożonej winylowymi płytkami podłodze walizą, jak gdyby się obawiali, że jestem kimś z zakładu pogrzebowego i przyszedłem ich wymierzyć do trumny. Richard, który siedział przy tacie, powiedział, że jest na oddziale dopiero od jakiejś godziny i że musieli bardzo długo czekać w izbie przyjęć, nim zbadał go lekarz. Tata wyglądał żałośnie: twarz była posiniaczona z tej strony, którą uderzył o kredens, kiedy padał na podłogę, na czole miał opatrunek. Wyglądał na wymizerowanego, oszołomionego, a w dodatku wyjęto mu sztuczną szczękę. Do dłoni miał podłączoną kroplówkę, a wiadomość w nogach łóżka ostrzegała: „Nic doustnie”. Podobno ofiary udaru mają problemy z przełykaniem i mogą się udusić własnym językiem. Najwyraźniej rozpoznał mnie i wybełkotał kilka słów. Wydawało mi się, że słyszę „marnie”, ale to może było „koszmarnie”.

Richard opowiedział mi bardziej szczegółowo historię, którą słyszałem już z ust Fred, i dał mi do zrozumienia, że powinien wracać do Cambridge. Podziękowałem mu serdecznie za wszystko, co zrobił. Richard nigdy mi się nie jawił jako człowiek czynu, który wspinałby się po furtce i włamywał do domu, lecz poradził sobie znakomicie w tej krytycznej sytuacji.

327

Trudno stwierdzić, jak długo tata leżał na podłodze w jadalni, chociaż fakt, że telewizor był włączony, sugerowałby, że zasnął wieczorem. Fred rozmawiała z nim przez telefon ostatni raz w czwartkowy wieczór, natomiast Barkerowie nie widzieli go ani razu w piątek, mógł więc zasnąć w czwartek po telefonie Fred albo w piątek wieczorem. I mógłby przeleżeć cały kolejny dzień, gdyby nie wizyta Richarda.

- Do widzenia, dziadku - rzucił Richard i chwycił wolną rękę taty, otrzymując w odpowiedzi uściśnięcie i wybełkotane słowa, prawdopodobnie z podziękowaniami.

Zostałem przez chwilę z tatą, przypomniałem mu, że byłem w Polsce, i przekazałem nowinę o dziecku Anne, ale nie zwracał uwagi na moje słowa, nie zareagował nawet na: „Jesteś teraz pradiadkiem”. Patrzył tylko nieruchomym wzrokiem na rurkę przytwierdzoną do nadgarstka, obracając ręką w jedną i drugą stronę ze zdumieniem, jak gdyby zachodził w głowę, skąd się tam wzięła. Nie było lekarza, z którym mógłbym porozmawiać, powiedziałem więc siostrze oddziałowej, że wrócę rano. Poprosiła, żebym przyniósł tacie przybory toaletowe, szlafrok, rozpinany sweter i kapcie.

Noc spędziłem w domu na Lime Avenue. Wiedziałem, gdzie znaleźć zapasowe klucze, zakopane w puszcze pod krzakiem lawendy niedaleko frontowych drzwi na wypadek tego typu ewentualności. Dom wydawał się bardziej jeszcze niż zwykle posępny, kiedy wszedłem do środka: ponury, zimny, zatęchły. Podkręciłem centralne i włączyłem radio w pokrytej warstwą tłuszczu kuchni, chcąc złamać tę grobową ciszę, kiedy przygotowywałem sobie kolację z bekonu i puszki fasoli w sosie pomidorowym. Zadzwoiłem do Fred, żeby jej powiedzieć, jak się ma tata, a potem do Anne, do jej szpitala, żeby przekazać skróconą wersję tej samej relacji i pogratulować bezpiecznego przyjscia na świat maleństwa. Oczywiście bardzo się zmartwiła wiadomością o tacie i tym, że nie może pomóc, wyczuwa-

łem jednak, że w tym momencie najbardziej obchodzi ją tylko to, żeby nakarmić piersią swoje dziecko.

Pościeliłem łóżko w sypialni od ogrodu, którą zajmowałem jako dziecko, nastolatek i później podczas wakacji w czasie studiów. Kiedy na dobre się wyniosłem z domu, tata urządził sobie tutaj pokój poświęcony jego licznym hobby, czego dowody wciąż były wyeksponowane i przechowywane: sztalugi, obrazy olejne z wiejskimi scenkami starannie skopiowanymi z widokówek i samodzielnie skomponowane martwe natury; „antyczne” ceramiczne wazy i misy, z których kilka było wyszczerbionych lub pękniętych; sterta starych pism golfowych; książki o kaligrafii, książka Jak zarobić na giełdzie w miękkiej oprawie i fotografia taty na molo w Brighton, na której uśmiecha się szeroko i podnosi dużego strzępiela, największą rybę, jaką kiedykolwiek złowił. Nad listwą wykończeniową nad gzymsem zabudowanego kominka znajdował się pewien ślad mojej tu bytności - rodzaj malowidła ściennego z czerwono--białym herbem Charlton Athletic, drużyny piłkarskiej, której kibicowałem jako chłopak, na zielonym tle murawy boiska, wykonanego plakatówkami z ostatniego stopnia drabiny, kiedy miałem czternaście lat. Tata był do tego malowidła trochę przywiązany i nigdy nie mógł się zdobyć na przykrycie go świeżą warstwą białej emulsji, kiedy odnawiał pokój. Była to ostatnia rzecz, na którą padł mój wzrok, nim wyłączyłem lampkę nocną. Materac pojedynczego tapczanu był miękki i nierówny, lecz wcześniej ogrzałem go termoforem i byłem tak wyczerpany, że nie miałem trudności z zaśnięciem.

Następnego dnia wróciłem do szpitala z rzeczami, o które mnie poproszono. Tata siedział w fotelu obok łóżka w splotnia-ym płaszczu kąpielowym, który ktoś dla niego znalazł, wciśnięty za ruchomy stolik mocowany pod łóżkiem. Siostra oddziałowa poinformowała mnie, że unieruchomiono go w ten sposób, żeby nie wstawał, co podobno próbował robić. W nocy

też narobił trochę kłopotu, kiedy odłączył się od kroplówki i próbował uderzyć pielęgniarkę, która chciała mu ją znowu podłączyć. Wciąż wbijał wzrok w rurkę przytwierdzoną opatrunkiem do nadgarstka i obracał dłoń w jedną i drugą stronę. Chyba mnie rozpoznał, lecz z dużo większym zainteresowaniem spojrzał na zbliżający się stolik na kółkach. Pozwolono mu pić pod czymś nadzorem, przyłożyłem mu więc do ust kubek niekapek z letnią herbatą. Pociągnął łąpczywie tyk, lecz większość napoju wypłynęła mu z ust na przód szpitalnej piżamy. Mówił bardzo mało, a i to było niezrozumiałe.

Spotkałem się z doktorem Kannangarą, odpowiedzialnym za tatę geriatrą, niskim, pulchnym Azjatą w okularach bez oprawki, z okrągłą obojętną twarzą, który potwierdził diagnozę - to był udar. Powiedział, że zatrzymają tatę na oddziale przez kilka tygodni, a później zostanie przeniesiony do miejscowego domu opieki dla osób starszych. Wiązało się z tym wypełnienie pewnych formalności, co miał mi wyjaśnić pracownik opieki społecznej. Zapytałem, czy można go przewieźć karetką do prywatnego domu opieki niedaleko nas, jeśli taki znajdzie. Wyglądał na zaskoczonego, ale powiedział, że istnieje taka możliwość. Zapytałem też, czy tata odzyska mowę, i usłyszałem w odpowiedzi, że w znacznym stopniu prawdopodobnie już nie. Sparaliżowaną miał prawą stronę ciała, co wskazywało, że udar zaatakował lewą półkulę kontrolującą funkcje językowe.

Przygnębiająca była myśl, że chyba nigdy już nie odbędę z tatą normalnej rozmowy, chociaż pocieszałem się, że kiedy odwiedziłem go dwa tygodnie wcześniej, przed podróżą do Polski, był spokojniejszy i bardziej sprawny umysłowo niż zwykle i zaskoczył mnie kondycją swojej pamięci długoterminowej, która jak przebłyski słońca zza chmur oświetlała nagle kawałeczki ciemnego i niezbadanego krajobrazu. Gdy zapytałem go o najwcześniejsze wspomnienie, okazało się, że pamięta, jak ojciec niósł go na barana do sklepu tytoniowego.

330

- Poprosił o dwadzieścia Wills Gold Flake i sklepikarz zdjął je z półki i podał mu. Pamiętaj, że mój ojciec miał na imię Will, więc myślałem, że te papierosy są robione specjalnie dla niego. Śmiał się z tego? Jego brat Alf miał prawdziwie pijacki nos, no wiesz, taki z popękkanymi żyłkami, i ja nazywałem go „wujkiem z pomazanym nosem”. Z tego też się wszyscy śmiali.

Przywołał nawet jakieś historie z początków swojej kariery muzycznej, których wcześniej nigdy nie słyszałem.

- Przez jakiś czas miałem dwie fuchy wieczorami: orkiestra w 53 Club niedaleko Regent Street, który otwierali około dziewiętej, a wcześniej, w drodze na West End, grałem w szkole tańca w Elephant and Castle, nazywali to szkołą tańca, dzięki czemu prowadzili salę taneczną bez płacenia podatków. Zespół składał się z trzech muzyków, pianisty, perkusisty i mnie na saksofonie i klarncie, muzyka do tańca, w rytmie szyb-ko-szybko, wolno, mogłem grać te kawałki przez sen, czasem nawet czytałem książkę w czasie gry, miałem ją rozłożoną na pulpicie, nikt z parkietu jej nie widział... ale pieniądze były potrzebne. Oszczędzałem na ślub. Nie, wcale mi się nie spieszyło, ale twojej matce tak. Pewnego dnia zapytała: „Kiedy się pobieramy? Rodzice chcą wiedzieć”. No to podałem datę, a potem musiałem pomyśleć o tym, żeby odłożyć trochę grosza w banku. I kiedy się pobraliśmy, zrezygnowałem ze szkoły tańca. Za mało czasu miałem dla Normy. - Myśl ta najwyraźniej wprawiła go w melancholijny nastrój. - Nie miała chyba najłatwiejszego życia jako żona muzyka, który co wieczór wychodzi do pracy, a w niedziele na żydowskie wesela. Zwłaszcza kiedy pojawiłeś się ty. Ale ona nigdy się nie skarżyła.

Przypomniałem sobie, jak bardzo Maisie żałowała mojej mamy, kiedy poznała naszą rodzinę i zdała sobie sprawę, jak ograniczoną egzystencję, gdzie wszystko kręci się wokół domu, wiodła przez większość życia moja matka, skazana tylko na anegdoty, które z wielkiego świata przynosili do domu

331

mąż muzyk i syn student. „Zamieniła się w waszą niewolnicę”, mawiała Maisie i z perspektywy czasu myślę, że miała rację, było jednak za późno, żeby wspominać o tym tacie, zresztą nie chciałem burzyć miłej atmosfery tej rozmowy, najlepszej, jaką z nim odbyłem od bardzo dawna.

Jeszcze kilka dni spędziłem u taty w domu, choć było tam niewygodnie i przygnębiająco, żeby móc regularnie odwiedzać go w szpitalu. Jest to dość typowy państwowy szpital w ubogiej dzielnicy Londynu: przepełniony, wymagający remontu i nie tak czysty, jak być powinien. Lekarze i pielęgniarki sprawiają wrażenie udręczonych i zatroskanych, a pozostali personel porusza się w żółtym tempie ze stoickim spokojem. W przegrzanym powietrzu szpitalnych sal wyczuwa się strach przed gronkowcem i najnowszą

superbakterią, *C. difficile*. Szerzą się drobne kradzieże. Sweter taty z miękkiej owczej wełny, który dałem mu na Gwiazdkę, zniknął dwa dni po tym, jak go przyniosłem, jego natomiast ujrzałem w jakimś potwornym akrylowym ciuchu z dwoma brakującymi guzikami, prawdopodobnie po jakimś zmarłym pacjencie, który znaleziono mu w zastępstwie. Siostra oddziałowa przeprosiła i powiedziała, że poszuka tego swetra, choć na moim miejscu nie robiłaby sobie wielkich nadziei. Chciałem zabrać go stamtąd jak najszybciej, wróciłem więc do domu, żeby poszukać odpowiedniego domu opieki gdzieś w naszej okolicy.

Powrót na Rectory Road po kilku dniach przemieszczania się autobusem między obskurnym lokum taty i oddziałem geriatrycznym Tideway Hospital bardziej niż zwykle przypominał wkroczenie do oazy rozkosznych wygód. Fred jeszcze nie wróciła, ale dom wcale nie wydawał się pusty: witały mnie blade, odbijające światło ściany, znajome obrazy, powierzchnie, faktury i umiejętnie dobrane kolory podłóg i mebli, wy-

332

łożone wykładziną schody z mosiężnymi prętami i wypolerowaną drewnianą poręczą były jak zespół służących witających w domu pana. Rozpakowałem się, wrzuciłem stertę brudnej bielizny do kosza, wziąłem długą gorącą kąpiel w ciepłej, nieskazitelnie czystej łaźnicy i włożyłem świeże, wyprane ubranie. Kiedy wróciła Fred, przez parę minut bez słowa obejmowaliśmy się i całowaliśmy. Było dużo do omówienia, co też zrobiliśmy przy kolacji, którą już miała przygotowaną. Położyliśmy się wcześniej i kochaliśmy namiętnie. Pożądanie i długa abstynencja sprawiły, że nie miałem trudności z przeprowadzeniem aktu miłosnego do finału. Potem oboje głęboko zasnęliśmy.

Drobne urazy i wzajemne oskarżenia z okresu świąt i noworocznego wyjazdu oraz chłodne stosunki między nami do czasu mojego wyjazdu do Polski były już kwestią przeszłości. Fred moje dotychczasowe działania i plany wobec taty rozumiała i wspierała, szybko spisała listę pobliskich domów opieki z książki telefonicznej i umówiła się na obejrzenie trzech z nich. Zapowiedzieliśmy się z wizytą u Anne, która wróciła już do domu z dzidziusiem. Byłem wdzięczny Fred za jej pomoc i zrozumienie mych rodzinnych problemów, lecz do naszego pojednania przyczynił się jeszcze jeden element, chociaż wtedy ja nie w pełni zdawałem sobie z tego sprawę, natomiast Fred w ogóle. Kiedy opowiadałem jej o wizycie w Auschwitz, słuchała uważnie, drżała pod wpływem moich opisów i podziwiała mnie za to, że miałem odwagę stawić czoło tak wstrząsającemu doświadczeniu; wydawało mi się jednak, że odetchnęła z ulgą, kiedy skończyłem swą opowieść, i z zadowoleniem przyjęła zmianę tematu. Uzmystowiłem sobie, że nie jestem w stanie przekazać jej słowami wrażenia, jakie zrobiło na mnie to miejsce, zwłaszcza Birkenau.

Kiedy wróciłem do Londynu w następny poniedziałek, na dworcu kupiłem książkę o Auschwitz i „ostatecznym rozwiązaniu” - czytałem ją w trakcie podróży i w ciągu następnych

333

kilku dni, uzupełniając moją skąpą wiedzę na temat historii tego miejsca i nabierając poczucia pewnego zbliżenia do tamtejszych ofiar i ich doświadczeń. Wiele z nich, wiedząc, że nie mają szans na przetrwanie, zostawiło listy do bliskich zakopane na terenie obozu w słoikach lub menażkach z nadzieją, że któregoś dnia dokumenty te zostaną odnalezione i dostarczone adresatom, a przynajmniej przez kogoś

przeczytane. Najbardziej wzruszający spośród cytowanych w książce listów napisał do żony w listopadzie 1944 członek Sonderkommando Chaim Hermann - list ten odkopano ze sterty ludzkich popiołów przy jednym z krematoriów w Birkenau w 1945 roku. Do Sonderkommando należeli sprawni więźniowie zatrudniani przy eksterminacji, którzy wprowadzali nieświadome ofiary do komór gazowych, a później wynosili ich ciała i palili je w krematoryjnych piecach. Odmowa pracy oznaczała natychmiastową egzekucję; wykonywanie jej wiązało się z lepszymi warunkami życia, przez ograniczony czas. W pewnym sensie członkowie Sonderkommando byli najbardziej nieszczęśliwymi ze wszystkich ofiar Auschwitz. Ogromna większość ludzi, którzy stracili tam życie, nie podejrzewała istnienia komór gazowych, ci przeżywali jedynie dwie minuty przerażenia i bólu przed zgonem. Członkowie Sonderkommando żyli natomiast przez kilka miesięcy z przeświadczeniem, że wcześniej czy później oni też zostaną zgładzeni, ponieważ hitlerowcy nie mogli dopuścić do tego, by przeżyli świadkowie. Prawdopodobnie więc ich pierwszym zadaniem było pozbycie się ciał poprzedników na tej upiornej linii produkcyjnej śmierci. Chaim Hermann napisał, że Auschwitz to „po prostu piekło, ale piekło Dantego jest śmieszne w porównaniu z tym prawdziwym tutaj, a my jesteśmy jego naocznymi świadkami i nie możemy go opuścić żywi”. Napisał też, że zamierza umrzeć „spokojnie, może heroicznie (to będzie zależec od sytuacji)”, sugerując, że planuje ostatni akt oporu, chociaż nie wiadomo, czy jego plan się powiódł. Sam

334

też nie wiedział, nie mógł wiedzieć, czy jego żona kiedykolwiek otrzyma ten list, lecz pośród całego tego upiornego zła prosił ją

0 wybaczenie, bo nie dość mocno doceniał ich wspólne życie,

1 to zdanie z jego listu zrobiło na mnie największe wrażenie: „Jeśli w różnych momentach były w naszym życiu drobne nieporozumienia, widzę teraz, jak mało ceniliśmy sobie upływający czas”.

Obejrzelismy trzy prywatne domy opieki. Jedyny, gdzie zapach moczu nie mieszał się mdło z odświeżaczem powietrza i pod innymi względami wydawał się do przyjęcia, był potwornie drogi, uznałem jednak, że przewidywana długość życia taty jest chyba teraz znacznie ograniczona i że w czasie, który mu pozostał, należy mu zapewnić jak największe wygody. Dysponowali wolnym miejscem i byli gotowi zatrzymać je dla niego przez parę tygodni, kiedy jednak wróciłem do szpitala po weekendzie, wiadomości nie były dobre. Stan taty nie poprawił się w ciągu minionych kilku dni, wręcz przeciwnie. Doktor Kannangara był nieuchwytny, rozmawiałem za to z młodym lekarzem, stażystą, jak sądzę, który go zastępował, i zapytałem go, czy tata będzie wystarczająco sprawny, by w ciągu następnych dwóch tygodni odbyć karetką podróż na północ. Pokręcił sceptycznie głową. Tata miał wciąż trudności z przetykaniem i tracił wagę wskutek niedoboru pożywienia. Cały czas potrzebował kroplówki i znów próbował ją sobie niemrawo odczepić osłabioną prawą ręką, siedząc w zaklinowanym fotelu przy łóżku, kiedy się z nim witałem. Pokazałem mu folder reklamowy domu opieki i pogodnym tonem mówiłem o rychłym przeniesieniu go tam. On w tym czasie gładził błyszczący papier z kolorowymi fotografiami sypialni i oranżerii, nie potrafiłem jednak stwierdzić, ile z tego do niego dotarło, jeśli w ogóle cokolwiek. Jeszcze smutniejsze było to, że najwyraźniej nic nie rozumiał, kiedy mu opowiadałem, jak

335

cudownie było trzymać na rękach wnuka, a jego prawnuka, w zeszłą niedzielę, kiedy odwiedziłem Anne i Jima. Byłem przy tym trochę stremowany - niemowlę wydawało mi się takie maleńkie i delikatne, Anne jednak łagodnie się upierała, żeby dać mi je przytulić, a ponieważ zostało właśnie nakarmione, spoglądało na mnie błędnym wzrokiem, upojone mlekiem z piersi, aż bąbelek niestrawności ułożył jego usta w coś, co przypominało uśmiech.

- Patrz, uśmiecha się do ciebie! - zawołała Anne, a ja udałem, że wierzę w tę bajkę.
- Ma usta Maisie, jak ty - zauważyłem.
- I twój nos - dodała.
- Wydaje mi się, że moje są uszy - stwierdził Jim. - Tak samo odstają.

Przekazałem to wszystko memu obojętnemu słuchaczowi, bo lepsze było to niż siedzenie w milczeniu, zresztą z przyjemnością wspominałem tę radosną wizytę.

Tata nie tylko nie słuchał uważnie, ale też wydawał się śpiący, i kiedy napomknąłem o tym pielęgniарce, powiedziała:

- To dlatego, że się opierał, kiedy musiał rano wstać.

Żeby przenieść go z łóżka na fotel i z powrotem stosowano

pewien rodzaj pomysłowego wyciągu z płóciennym siodełkiem. Nabrałem ogromnego szacunku dla pielęgniarek z tego przeludnionego oddziału, wykonują bowiem ciężką robotę przy pacjentach o słabnących umysłach i ciałach, przy czym wielu z nich, tak jak tata, nie okazuje im ani krzty wdzięczności za opiekę.

Na oddziale nie było stałych godzin odwiedzin: gościom pozwalano przychodzić niemal o każdej porze prawdopodobnie w nadziei, że będą stymulować pacjentów i pomagać przy takich czynnościach, jak karmienie i pojenie. Przyzwyczailem się do podtykania tacie do ust kubka niekapka z rodzaju tych przeznaczonych dla niemowląt, a od czasu do czasu udawało mi się wetknąć mu do buzi łyżeczkę jogurtu; uzmysławiałem

336

sobie przy tym, że sześćdziesiąt kilka lat temu on robił to samo dla mnie (a może jednak nie, wtedy role mężczyzn i kobiet były wyraźniej rozdzielone). Pewnego przedpołudnia w tym samym tygodniu siedziałem akurat u niego, kiedy nadeszła Caroline, siostra oddziałowa, w towarzystwie afrokaraimskiej pomocy i zaczęła zaciągać zasłony wokół łóżka. Zapytałem, czy mam się usunąć. Caroline spojrzała na mnie trochę tak, jakby rzucała mi wyzwanie, i powiedziała:

- Nie, chciałabym, żeby pomógł pan Delphine umyć ojca.

Zupełnie mnie tym zaskoczyła. W duchu wzdragałem się

na tę myśl, nie umiałem jednak wymyślić żadnej wymówki, która nie zdyskredytowałaby mnie w ich oczach.

- W porządku - rzekłem. - Co mam robić?
- Delphine panu pokaże - powiedziała Caroline i zostawiła nas.

Delphine włożyła nieprzemakalny fartuch i lateksowe rękawiczki wyjęte ze szczelnie zamkniętego opakowania, po czym zerknęła na mnie powątpiewająco.

- Niech pan lepiej zdejmie tę ładną marynareczkę - zasugerowała.

Było to niezwykle doświadczenie, które w odwróceniu ról rodzica i dziecka przekraczało granicę tabu. W zasadzie asystowałem przy zmianie pieluchy osiemdziesięciodziewięcioletniemu mężczyźnie i tak się składało, że był to mój ojciec. Najpierw musieliśmy zdjąć mu piżamę i podkoszulek, trzeba go było przy tym ułożyć w pozycji siedzącej i kołysać nim z boku na bok. Jego ciało wyglądało żałośnie chudo, był jednak wysokim mężczyzną o grubych kościach i podtrzymywanie tego ciężaru nie było łatwe. Pod majtkami z tworzywa sztucznego nosił pieluchę. Delphine przykrywała mu rękami genitalia, kiedy myła mu tors, a ja go wycierałem; potem zdjęła mu majtki i papierową pieluchę. Doszło do małego wypróżnienia, ale nie cuchnęło bardzo, może ze względu na

337

sobie przy tym, że sześćdziesiąt kilka lat temu on robił to samo dla mnie (a może jednak nie, wtedy role mężczyzn i kobiet były wyraźniej rozdzielone). Pewnego przedpołudnia w tym samym tygodniu siedziałem akurat u niego, kiedy nadeszła Caroline, siostra oddziałowa, w towarzystwie afrokaraimskiej pomocy i zaczęła zaciągać zasłony wokół łóżka. Zapytałem, czy mam się usunąć. Caroline spojrzała na mnie trochę tak, jakby rzucała mi wyzwanie, i powiedziała:

- Nie, chciałabym, żeby pomógł pan Delphine umyć ojca.

Zupełnie mnie tym zaskoczyła. W duchu wzdragałem się

na tę myśl, nie umiałem jednak wymyślić żadnej wymówki, która nie zdyskredytowałaby mnie w ich oczach.

- W porządku - rzekłem. - Co mam robić?
- Delphine panu pokaże - powiedziała Caroline i zostawiła nas.

Delphine włożyła nieprzemakalny fartuch i lateksowe rękawiczki wyjęte ze szczelnie zamkniętego

opakowania, po czym zerknęła na mnie powątpiewająco.

- Niech pan lepiej zdejmie tę ładną marynareczkę - zasugerowała.

Było to niezwykle doświadczenie, które w odwróceniu ról rodzica i dziecka przekraczało granicę tabu. W zasadzie asystowałem przy zmianie pieluchy osiemdziesięciodziewięcioletniemu mężczyźnie i tak się składało, że był to mój ojciec. Najpierw musieliśmy zdjąć mu piżamę i podkoszulek, trzeba go było przy tym ułożyć w pozycji siedzącej i kołysać nim z boku na bok. Jego ciało wyglądało żałośnie chudo, był jednak wysokim mężczyzną o grubych kościach i podtrzymywanie tego ciężaru nie było łatwe. Pod majtkami z tworzywa sztucznego nosił pieluchę. Delphine przykrywała mu rącznikiem genitalia, kiedy myła mu tors, a ja go wycierałem; potem zdjęła mu majtki i papierową pieluchę. Doszło do małego wypróżnienia, ale nie cuchnęło bardzo, może ze względu na

337

, -

tak ubogą dietę. Umyła i przypudrowała intymne części jego ciała w pełen szacunku, ale i obojętny sposób, potem podłączyła mu rurkę do penisa, a na nodze umocowała pojemnik na mocz. Na koniec znów go ubraliśmy w spodnie piżamy, podkoszulek i górę. Jakąż odczułem ulgę, widząc to gołe dwunożne zwierzę* znów ubrane. Od podtrzymywania go bolało mnie ramię. W trakcie całej operacji tata biernie poddawał się naszej woli, chociaż parę razy musiałem przytrzymać mu rękę, kiedy próbował odepchnąć Delphine.

- Zazwyczaj sprawia więcej kłopotów - stwierdziła lakonicznie. - Pewnie pańska obecność pomogła.

Kiedy skończyliśmy i tata leżał wsparty na poduszkach, ściągnęła lateksowe rękawiczki i wrzuciła je do pojemnika na odpadki.

- Dziękuję za pomoc - dodała.

- Nigdy nie robiłem czegoś takiego - wyznałem. Maisie, nawet w ostatnim stadium choroby, nie była tak bezradna jak tata i do końca potrafiła dojść do łazienki, jeśli pomogłem jej ja lub pielęgniarka. - Podejrzewam, że nigdy tego nie zapomnę.

Kiedy nadeszła Caroline, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, Delphine powtórzyła jej moją uwagę.

- Teraz już pan wie, z czym my tu codziennie mamy do czynienia - powiedziała Caroline.

Początkowo sądziłem, że po prostu skorzystała z okazji, żeby zrzucić na kogoś innego żmudny rutynowy obowiązek i zająć się czymś ważniejszym, później jednak zastanawiałem się, czy celowo nie uświadamiała mi, z czym będzie się wiązać długofalowa opieka nad tatą. Kiedy wieczorem powiedziałem Fred przez telefon (znów zatrzymałem się w domu przy Lime Avenue), że pomagałem umyć tatę, powiedziała: „Nie wierzę”. Odparłem, że samemu trudno mi w to uwierzyć. Cieszyłem się, że tego doko-

* Bareforked animal - z monologu Leara (Shakespeare, Król Lear, akt III, scena 4).

338

nałem, nie zależało mi jednak specjalnie na powtórzeniu owego doświadczenia, a uczuciem dominującym była żarliwa nadzieja, bym sam nigdy nie wymagał takiej pomocy. Od nikogo.

Doktor Kannagara był w tym tygodniu nieuchwytny i ku mej irytacji nie zdążyłem na jego czwartkowy obchód. Udało mi się natomiast zobaczyć z młodym stażystą o nazwisku Wilson. Wziął mnie na stronę i zaprowadził do magazynu na końcu korytarza, po czym zaczął mówić konfidencjonalnym tonem.

Powiedział, że specjalista oceni stan zdrowia taty w poniedziałek, a następnie porozmawia ze mną.

- Prawdopodobnie zaproponuje gastrostomię - poinformował i wyjaśnił, że jest to przetoka stosowana do podawania substancji odżywczych bezpośrednio do żołądka. - Wylew u pańskiego ojca rozszerzył się, co dodatkowo ograniczyło jego umiejętność przetykania, jeśli nie dostanie więcej pożywienia, stopniowo będzie słabł coraz bardziej.

- A dzięki gastrostomii wzmocni się? - zapytałem.

- Powiedzmy, że pozostanie w stanie stabilnym. W takim, w jakim jest teraz, chyba że dostanie kolejnego poważnego udaru. - Spojrzał na mnie badawczo. - Pański ojciec dożył pięknego wieku, prawie dziewięćdziesiątki. W takich wypadkach wolimy słuchać wskazówek rodziny. Możemy utrzymać go przy życiu, lecz życia wątpliwej jakości. Albo możemy zapewnić mu jak najlepsze warunki i pozwolić, by natura zrobiła swoje. Wszystko zależy od państwa tak naprawdę.

Nie podobało mi się, że postawiono mnie przed takim wyborem. Wcale mi się to nie podobało. Kiedy wieczorem powtórzyłem tę rozmowę Fred, usłyszała napięcie w moim głosie i uznała, że potrzebuję moralnego wsparcia.

- Jutro przyjeżdżam na kilka dni do Londynu - zapowiedziała. - Jakki zajmie się sklepem. Ron jej pomoże. - Nie próbowałem jej odwozić od tego zamiaru, chociaż ostrzegłem, że dom wygląda jak chlew.

339

Nazajutrz rano wyszedłem po nią na dworzec Kings Cross i pozwoliliśmy sobie na rozrzutność w postaci kursu taksówką do szpitala. Tata nie wyglądał zbyt dobrze. Ktoś wcześniej próbował go ogolić i przypuszczam, że tata utrudniał to zadanie, miał bowiem na twarzy kilka zacięć, a place zarostu pozostały nietknięte. Najwyraźniej nie rozpoznał Fred, chociaż kiedy zaczęła do niego mówić, spojrzał na nią nagle, jak gdyby brzmienie jej głosu poruszyło w nim jakieś odległe wspomnienie. Nie byłem już pewien, czy rozpoznawał mnie. Kiedy wspólnie z Fred odgrywaliśmy role szpitalnych gości paplających z reagującym pacjentem, jego oczy z pewnego rodzaju zwierzęcym zainteresowaniem śledziły przechodzące pielęgniarki i personel pomocniczy, jak gdyby wiedział, że jest uzależniony od tych ludzi w sprawach jedzenia, picia i innych fizjologicznych potrzeb. Odniosłem wrażenie, że na ewolucyjnej skali cofnął się przed etap dzieciństwa, a w swych odruchach niepokojąco przypomina zwierzę w niewoli.

Fred była wstrząśnięta i przerażona tym, co zobaczyła. Później, kiedy wróciliśmy na Lime Avenue i

siedzieliśmy przy herbacie przed elektrycznym kominkiem w obskurnej jadalni, przedyskutowaliśmy kwestię gastrostomii. Powiedziała, że nie widzi sensu w utrzymywaniu kogoś przy życiu za pomocą tego typu inwazyjnej i sztucznej metody.

- Oczywiście lekarze muszą wyjść z propozycją takiego zabiegu, skoro jest dostępny, ale stażysta dość wyraźnie zasugerował, że natura powinna teraz zrobić swoje.
- Wtedy jednak cały ciężar odpowiedzialności spada na mnie - zauważyłem. - Muszę podjąć decyzję o tym, czy mój ojciec ma żyć czy umrzeć.
- Kochanie, wszyscy prędzej czy później umrzemy - powiedziała, a jej „kochanie” było łagodne i pełne współczucia. - Naprawdę chcesz, żeby leżał w szpitalnym łóżku, być może całe miesiące, nie mogąc nic powiedzieć, nikogo rozpoznać, wy-

340

magając opieki jak niemowlę, karmiony przez dziurę w brzuchu? Miłosierniej byłoby pozwolić mu odejść.

- Kiwałem zgodnie głową, nie wyglądałem jednak chyba na przekonanego, bo dodała: - Co byś chciał, żebym zrobiła, gdybyś był w podobnym stanie?
- O Boże, chciałbym odejść! - zawołałem. - Błagam, żadnych gastrostomii, żadnych urządzeń podtrzymujących życie.
- No proszę - powiedziała, jak gdyby przedstawiła rozstrzygający argument.
- Podejrzewam, że dlatego jest to dla mnie tak trudne - wyznałem - bo już drugi raz trzymam w rękę życie drugiej osoby. - I powiedziałem jej coś, czego nie powiedziałem jeszcze nikomu, że pomogłem umrzeć Maisie.

W ostatnie święta Bożego Narodzenia była już bardzo chora, bardzo słaba i cierpiała, chociaż dzielnie ukrywała przed dziećmi, jak jest jej ciężko. Przerzuty opanowały całe ciało i wiedziała, że nie ma szans na remisję. Kiedy wysłałem dzieciaki na narty, dostrzegła szansę, żeby bez zbędnego zamieszania zakończyć życie, które nie oferowało już nic prócz dalszych cierpień, fizycznych i emocjonalnych. Nie chciała umierać w szpitalu ani w hospicjum, pod opieką obcych osób, niezależnie od tego, jak bardzo dla niej życzliwych. „Mam dość, Des - powiedziała. - Nie wiem, jak długo jeszcze będę się trzymać. Jestem zmęczona. Czas odejść, a ty musisz mi w tym pomóc”. Myślę, że nasz lekarz rodzinny odgadł jej zamiary i po cichu zgodził się na współpracę. Jej głównym narzędziem w walce z bólem była automatyczna strzykawka na baterie - wtedy całkiem nowy wynalazek - która zapewniała ciągły dożylny wlew diamorfiny. W razie potrzeby uzupełniała ją dochodząca pielęgniarka. Maisie mogła zwiększyć dawkę sama w zależności od potrzeby, ale tylko do bezpiecznego pułapu. Stosowała też tabletki co-proksamolu, kiedy ból się nasilał. Pod koniec świąt nasz lekarz wypisał receptę na większy niż

341

zwykle zapas, „żeby pani starczyło do Nowego Roku”, i kiedy mi ją podawał, spojrzał mi prosto w oczy i rzekł: „Zbyt duża dawka w połączeniu z alkoholem może być niebezpieczna”. W ostatnią noc starego roku

pokruszyłem dwadzieścia tabletek co-proksamolu i pomogłem Maisie popić je ciepłym mlekiem zmieszonym z brandy. Zwiększyła maksymalnie dawkę z automatycznej strzykawki. Pocałowałem ją, zapaliłem przy jej łóżku świeczkę i położyłem się obok, trzymając ją za rękę, aż zapadła w głęboki sen. Potem usiadłem w fotelu i patrzyłem, jak oddycha, aż sam zasnąłem. Kiedy się obudziłem o czwartej nad ranem, świeczka się wypaliła, a Maisie już nie żyła z zupełnie spokojną twarzą i rozluźnionymi kończynami. O szóstej wezwałem lekarza. Gdy przyszedł, nie zadawał żadnych pytań i we właściwym czasie wypisał akt zgonu. Później zadzwoniłem do ośrodka narciarskiego w Austrii, żeby zawiadomić Anne i Richarda.

- Biedaku - powiedziała Fred, kiedy skończyłem swą opowieść. W czasie, gdy rozmawialiśmy, za oknami światło dnia przygasło i czerwony blask elektrycznego kominka był jedynym oświetleniem w jadalni. Podeszła do mnie, przyklękła na podłodze i ujęła moje dłonie. - Strasznie musiałeś to przeżyć. Byłeś naprawdę dzielny.

- Nie tak, jak Maisie. Czy ty zrobiłabyś dla mnie to samo?

- Nie wiem - odparła z wahaniem. - Katolikom oczywiście nie wolno... ale gdyby do tego doszło i poprosiłbyś mnie, pewnie tak. To, co zrobięś dla Maisie, było aktem miłości.

- Chciałbym w ten sposób o tym myśleć - rzekłem. -Problem polega jednak na tym, że ja życzyłem sobie jej śmierci. Chciałem, żeby cały ten koszmar się skończył... chyba prawie tak bardzo, jak ona. Musiałem się pilnować, żeby później nie okazywać ulgi, ukrywałem ją pod maską żalu. Zostało mi po tym głębokie poczucie winy, którego chyba nigdy już tak do końca się nie pozbyłem. A teraz to wszystko dzieje się od

342

nowa. Oczywiście nie chcę bezsensownie przeciągać życia taty... ale nie tylko dlatego, że byłoby to straszne dla niego. Byłoby też straszne dla mnie.

Rozmawialiśmy dłuższy czas i Fred starała się mnie przekonać, że nie mam powodów robić sobie wyrzutów w związku ze śmiercią Maisie, nie miałbym ich też, gdybym postanowił, by nie robiono tacie gastrostomii. Odwołała się do zawilej katolickiej kazuistyki o „podwójnym efekcie” - jeśli ktoś zrobi coś z dobrymi intencjami, ale ze złym efektem ubocznym, to nie jest grzech, coś w tym rodzaju. Nie byłem pewien, jak to się ma do mojego przypadku, byłem jej jednak wdzięczny za wsparcie. Ostatecznie podjęcie przeze mnie decyzji okazało się zbędne. W weekend tata nabawił się infekcji dróg oddechowych i zanim zdążyłem skonsultować się z Kannangarą, stało się oczywiste, że stan jego zdrowia szybko i nieodwracalnie się pogarsza. Tymczasem ja i Fred koczowaliśmy w domu na Lime Avenue. Żadne z nas nie miało ochoty spać w łóżku taty ani spać osobno, ściągnęliśmy więc materace z dwóch łóżek i zrobiliśmy sobie pościel na podłodze salonu, jedynego pokoju w całym domu, który nie wyglądał odpychająco. Nie próbowaliśmy się kochać, pieściliśmy się tylko i odpływaliśmy w sen w wygodnym uścisku, z moją ręką między jej ciepłymi udami. Prędzej czy później do tego, jak sądzę, ograniczy się nasze życie intymne - do czułych, delikatnych pieszczot; i można pogodzić się z tą perspektywą, jest bowiem o wiele lepsza niż zupełnie nic (jednocześnie licząc na to, że stanie się to później, nie wcześniej, rzecz

jasna).

Między wizytami w szpitalu Fred kupiła różne środki czystości i przystąpiliśmy do usuwania z kuchni warstwy tłustego brudu i kurzu z pozostałej części domu, po prostu żeby się czymś zająć; i po kilku dniach mieszkanie tam przestało być

343

przyprawiającą o mdłości torturą. Odwiedzałem tatę codziennie, czasem z Fred, czasem samotnie. W końcu postanowiła, że musi wracać do domu i odciążyć Jakki, która ostatnio właściwie sama prowadziła sklep. Pewnego dnia do szpitala przyjechał Richard i kiedy przemówił do taty, a następnie wziął go za rękę, ujrzałem ostatni przebłysk rozpoznania w jego oczach, być może wywołany mglistym wspomnieniem dnia, kiedy Richard go znalazł i towarzyszył mu w drodze do szpitala. Pod koniec tygodnia tata stanowił obraz nędzy i rozpacz. Lewy nadgarstek miał posiniaczony i zakrwawiony od ciągłego zakładania kroplówki, którą teraz podłączono mu do brzucha. Był za słaby, żeby usiedzieć w fotelu, i dopóki nie ruszyły go pielęgniarki, leżał w łóżku w tej samej pozycji, oddychając hałaśliwie z pomocą maski, która dostarczała mu do płuc nawilżony tlen. Maskę, przytrzymywaną z tyłu głowy elastyczną gumką, najwyraźniej go irytowała, bo od czasu do czasu podejmował próbę jej ściągnięcia, czasem udaną. Jeśli byłem przy nim, przytrzymywałem mu maskę przy ustach i nosie, jednocześnie chwytając go za rękę, i wtedy się uspokajał. Ale pewnego popołudnia ściągał maskę raz za razem, i dopiero kiedy się zmęczył, zamykał oczy i pozwalał, by z powrotem nałożono mu ją na twarz. Tego wieczoru po powrocie do domu odebrałem telefon od siostry oddziałowej z wiadomością, że tata szybko słabnie i lepiej by było, gdybym przyjechał. Zadzwoiłem po taksówkę i choć znalazłem się w szpitalu w niespełna pół godziny, siostra oddziałowa poinformowała mnie, że tata zmarł pięć minut po naszej rozmowie telefonicznej. Zostawiła mnie z nim, zaciągnąwszy kotarę wokół łóżka. Miał surowy, niemal szlachetny wyraz twarzy i nie żałowałem, że ominęły mnie jego ostatnie, wymuszone tchnienia. Zastanawiałem się, czy upór, z jakim po południu sprzeciwiał się nałożeniu maski, świadczył o tym, że gdzieś w zgłiszczach swej świadomości podjął decyzję, żeby zrezygnować z walki o życie, żeby odejść.

344

19

22 lutego. Tata w końcu jednak odbył długą podróż na północ, nie karetką, lecz karawanem. Dziś wieczorem jego ciało spoczywa przy naszej ulicy w kostnicy zakładu pogrzebowego B.H. Gilbert & Sons, którego pracownicy sprowadzili je ze szpitala Tideway. Miejscowy cmentarz w Brickley, gdzie poddano kremacji mamę, jest ponurym miejscem graniczącym z osiedlem domów komunalnych i linią kolejową, którą co kilka minut przejeżdżają z głośnym hurkotem pociągi. Jej pogrzeb zapisał się w mojej pamięci jako ogromnie przygnębiające wydarzenie. Trwał wtedy strajk służb miejskich, porywisty marcowy wiatr rozwiewał więc po okolicy mnóstwo śmieci i wszędzie wznosiły się sterty kwiatów gnijących w celofanowych opakowaniach. Przyszło wtedy niewiele osób i wiedziałem, że gdyby pogrzeb taty odbywał

się w Londynie, przyciągnąłby ich jeszcze mniej. Obie kuzynki ojca, które zawiadomiłem o jego śmierci, są zbyt stare i schorowane, żeby się ruszyć ze swych domów na wybrzeżu, a w Brickley nie znam nikogo, kto zechciałby przyjść, może z wyjątkiem Barkerów. Kiedy sporządziłem listę gości, składała się głównie z członków rodziny Fred oraz mojej i myśl o tym, żeby zaprosić ich po nabożeństwie do domu na Lime Avenue, nawet w jego wysprzątanym stanie, albo żeby wynająć jakąś restaurację w Brickley, dzielnicy nie słynącej z eleganckich lokali z wyszynkiem, była zniechęcająca. Postanowiliśmy więc zorganizować pogrzeb w naszym mieście, a potem zaprosić gości do nas. Ma się od-

345

być w poniedziałek, o dwunastej. Ciało zostanie poddane kremacji, a ja w odpowiednim czasie zabiorę prochy na cmentarz w Brickley, gdzie odbyła się kremacja mamy, i rozsypię je w „Ogrodzie Pamięci”, gdzie tata rozrucił prochy mamy. Nie muszę dodawać, że nie pozostawił żadnych wskazówek w sprawie własnego pogrzebu, myślę jednak, że taki by mu się spodobał.

Widziałem jego ciało raz jeszcze po śmierci, następnego dnia w szpitalnej kaplicy, teraz jednak tego żałuję. Wystawienie go musiało się odbyć z jakimś opóźnieniem, kiedy nastąpiło już stężenie pośmiertne, i najwyraźniej włożenie mu sztucznej szczęki przysporzyło im pewnych problemów, ponieważ miał otwarte usta i zęby obnażone w upiornym grymasie. Trudno mi było na niego patrzeć, usiadłem więc za jego głową i tam rozmyślałem o jego długim życiu. Poprzedni wieczór upłynął mi na przeglądaniu starych fotografii, które znalazłem w bałaganie na jego biurku, i przyjemniej było wypełnić myśli tymi pogniecionymi i postrzępionymi obrazkami w sepii oraz czerni i bieli: młody tata z saksofonem tenorowym zawieszonym na szyi pozujący z innymi członkami pięcioosobowego zespołu, z nazwą Dulwich Dixies wypisaną na bębnie perkusji; tata z mamą, młodzi i atrakcyjni, na urlopie w jakimś płaskim, piaszczystym miejscu, ubrani w stroje plażowe z lat trzydziestych; tata w ogrodzie domu na Lime Avenue z trzyletnim mną siedzącym mu na barana i mocno trzymającym go za wyciągnięte do góry ręce; fotografia portretowa taty, którego w mundurze RAF-u i furażerze można by wziąć za prawdziwego bohatera wojennego; tata i Arthur Lane w tropikalnych szortach, opaleni i szczerzący zęby do aparatu; zdjęcia taty dla agencji w różnych kostiumach i z różnymi minami zrobione z myślą o pracy w telewizji - a to komiczny cwaniaczek w czapce z daszkiem, a to poważny biznesmen w garniturze w kredowe prążki.

346

Później zgłosiłem jego zgon w urzędzie stanu cywilnego: proces ten okazał się dosyć żmudny, ponieważ pracownicy urzędu byli w amoku wywołanym instalacją nowego systemu komputerowego (zauważyłem na ekranie monitora MENU ZGONY); potem zamknąłem dom na cztery spusty i wróciłem do siebie, żeby zająć się przygotowaniami do pogrzebu. Fred namówiła swojego proboszcza, żeby celebrował mszę. Miło z jej strony - i z jego, jeśli się zważy, że tatę trudno byłoby nazwać katolikiem czy w ogóle chrześcijaninem. Wygląda jednak na to, że katolicy księża są teraz dosyć wyrozumiali w tych sprawach, pogodziwszy się, jak przypuszczam, z tym, że ich głównym zadaniem jest pocieszenie pogrążonej w żałobie rodziny, a jeśli trzeba przy tym przytknąć oko na postawę zmarłego, to trudno. Msza będzie krótka, ponieważ w krematorium pogrzeby odbywają się co pół godziny. Ksiądz Michael dał nam wolną rękę, jeśli chodzi o wypełnienie poszczególnych części nabożeństwa. Anne i Richard będą czytać. Ja powiem parę słów - mowa pogrzebowa wydaje się wyrażeniem zbyt pompatycznym - nagrałem też na kasetę kilka jego

ulubionych utworów muzyki poważnej do wykorzystania w czasie mszy. Pomyślałem, że można by odtworzyć kilka taktów The Night, the Stars and the Music, ale Fred zgłosiła veto.

W ciągu minionych tygodni, mając na głowie inne sprawy, nie zaprzątałem sobie myśli osobą Alex Loom. Dowiedziałem się od Fred, że kiedy byłem w Londynie, zostawiła kilka wiadomości na automatycznej sekretarce, wyrażając chęć rozmowy ze mną, ale zignorowałem te prośby, a kiedy wróciłem na Rectory Road, w skrzynce mailowej znalazłem od niej kilka wiadomości - pisała, że jest jej bardzo przykro z powodu choroby mojego ojca, ale musi się pilnie ze mną zobaczyć, gdy tylko będę mógł, gotowa była nawet w razie konieczności od-

347

być podróż do Londynu. Dzisiaj, kiedy wróciłem do domu po dostarczeniu do zakładu pogrzebowego kaset z muzyką, Fred powiedziała, że Alex znowu dzwoniła i że przekazała jej wiadomość o śmierci taty.

- Powiedziała, że jest jej bardzo przykro i że chciałaby przyjść na pogrzeb.

Informacja ta zaniepokoiła mnie. Jeśli przyjdzie na pogrzeb, raczej trudno będzie nie zaprosić jej później do domu.

- Mam nadzieję, że jej nie zaprosiłaś - rzekłem. - To byłoby w wysokiej mierze niestosowne. Nigdy nawet nie poznała taty... odsypiał na górze pijaństwo, kiedy się zjawiała w drugi dzień świąt.

- Nie, udawałam, że nic jeszcze nie jest ustalone. Na twoim miejscu bym ją zbyła. A przy okazji, kochanie, mógłbyś jej taktownie przypomnieć, że wciąż jest nam winna pieniądze za zasłony.

- Masz na myśli te, które kupiła w Décor? - spytałem zaskoczony. - To było dosyć dawno.

- No właśnie - przytaknęła Fred. - Wpłaciła niewielką zaliczkę, a resztę miała uregulować, kiedy Ron zawiesi jej zasłony w połowie stycznia. Wystaliśmy jej ponaglenie.

Zapytałem, ile jest winna, i Fred powiedziała, że czterysta funtów.

- Jak ci wtedy wspominałam, ma bardzo dobry gust.

Poszedłem do gabinetu, żeby wysłać maila do Alex, i znalazłem w skrzynce odbiorczej nową wiadomość od niej - przesyłała kondolencje z powodu śmierci taty i ponownie wyraziła chęć przybycia na pogrzeb. W odpowiedzi podziękowałem jej za kondolencje i poinformowałem, że pogrzeb będzie niewielką prywatną uroczystością tylko dla najbliższej rodziny. Uznałem, że wzmianka o zasłonach zakłóciłaby oficjalny i chłodny ton tej wiadomości.

348

23 lutego. Alex zadzwoniła do mnie dziś rano, kiedy Fred pojechała już do miasta. Powiedziała, że co do pogrzebu, nic nie szkodzi, rozumie, ale bardzo chciałaby się ze mną spotkać i coś omówić. Odpartem, że jestem strasznie zajęty, co nie zmieni się przez jakiś czas, mam na głowie spadek po ojcu, rozporządzenie jego majątkiem i domem. Zapytałem, o co chodzi, i usłyszałem, że wolałaby mi wszystko wyjaśnić

osobiście, u siebie w mieszkaniu. Kiedy kategorycznie odmówiłem, zaproponowała Pams Pantry, a kiedy odrzuciłem i tę propozycję, niechętnie powiedziała mi przez telefon, dlaczego próbuje się ze mną skontaktować, odkąd wróciłem z Polski.

- Nie mogę dalej pisać pracy u Colina Butterwortha -oświadczyła. - Jest to niemożliwe, z oczywistych powodów. W tej jednej sprawie oboje się zgadzamy. Zapytał mnie, czy jest ktoś na wydziale, do kogo chciałam się przenieść, na co odpowiedziałam, że nie, nie ma takiej osoby, ale bardzo bym chciała, żebyś ty został moim promotorem. Uważa, że to doskonały pomysł, i jest przekonany, że nie będzie żadnych problemów z uzyskaniem zgody uczelni. Dostaniesz jakieś wynagrodzenie, raczej niewielkie, ale zawsze coś. I nie muszę chyba dodawać, że byłabym po prostu wniebowzięta.

- Nie, Alex - powiedziałem, kiedy zakończyła tę żarliwą przemowę.

- Dlaczego? - jęknęła. - Kiedy prosiłam cię wcześniej, obawiałeś się, że Colin poczuje się urażony, ale to teraz nie wchodzi w grę.

- Zwyczajnie nie chcę.

- Ale dlaczego? - nie ustępowała.

- Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to dlatego że cię nie rozumiem, nie ufam ci i mam poważne wątpliwości, czy jesteś w stanie napisać ten doktorat. Skończy się na tym, że to ja napiszę go za ciebie.

Przez chwilę milczała.

349

- Chyba śmierć ojca wytrąciła cię z równowagi - skomentowała. - Mogę to zrozumieć. Dam ci trochę czasu na przemyślenie sprawy.

- Nie zmienię zdania - oznajmiłem i żeby zmienić temat, dodałem: - A przy okazji, dowiedziałem się od Fred, że masz u niej dług za jakieś zastony. Gdybyś mogła go spłacić, uniknęlibyśmy kłopotliwej sytuacji.

Nastąpiła kolejna z enigmatycznych telefonicznych pauz Alex.

- Tak, przepraszam. Sęk w tym, że nie śmierzę teraz groszem. Pożyczyłbyś mi?

- Mam ci pożyczyć, żebyś zapłaciła mojej żonie?

- Tak, to tylko czterysta pięćdziesiąt funtów.

- Fred mówiła o czterystu.

- A tak, racja. Pięćdziesiąt wpłaciłam w formie zaliczki, już sobie przypominam.

Teraz przyszła na mnie kolej, żeby pomilczeć i zebrać myśli. Byłem prawie pewien, że ta pomyłka była celowa i że nigdy nie spłaci tej pożyczki. Ta jej zimna bezczelność zdumiała mnie, przez chwilę kusiło mnie

jednak, żeby ją „spłacić”, że się tak wyrażę. Zaraz jednak pomyślałem, ile mogłaby nabruździć, mając podpisany przeze mnie za plecami Fred czek na czterysta funtów, a przekazanie jej brązowej koperty pełnej używanych banknotów pod stolikiem w Pams Pantry mogło być równie kompromitujące.

- Nie, Alex - powiedziałem po raz trzeci i rozłączyłem się.

Dzisiaj dostałem jeszcze maila od Butterwortha z informacją, że z powodów, które są mi znane, nie może być dłużej promotorem Alex, i że próbował bezskutecznie znaleźć kogoś na swoje miejsce. Sama zasugerowała, by zwrócić się do mnie, a nawet namawiała do tego z wielkim entuzjazmem, nieoficjalnie otrzymała już bowiem ode mnie bardzo cenne wska-

350

zówki. Napisał, że nie zna nikogo, kto bardziej by się nadawał do promowania jej pracy, i wyraził przekonanie, że nie będzie żadnych problemów z mianowaniem mnie na jej promotora z odpowiednim wynagrodzeniem. On sam, nie trzeba dodawać, byłby mi niezmiernie zobowiązany, gdybym zdecydował się go zastąpić.

Odpowiedziałem, że jest mi przykro, ale z kilku powodów, których wolałbym nie wymieniać, jest to wykluczone.

26 lutego. Pogrzeb się udał. W krematoryjnej kaplicy zebrała się całkiem spora grupka: oczywiście Anne i Jim z malutkim Desmondem oraz Richard; byłem wdzięczny, że postarało się przyjść tyle osób z rodziny Fred, nie tylko Marcia i Peter z dziećmi, którzy mieszkają niedaleko, z Londynu przyjechali jeszcze Ben, Maxine i Giles, a nawet Cecilia odbyła długą podróż z Cheltenham, co było naprawdę miłe z jej strony, biorąc pod uwagę, jak niewiele przyjemności dawało jej towarzystwo taty. Zjawiło się też kilku naszych przyjaciół i sąsiadów, których Fred nie omieszkała zaprosić, a którzy go poznali, kiedy zatrzymywał się u nas, i wspominali go z sympatią jako barwną postać. Byłem zaskoczony i wzruszony, że stawiło się tyle osób. Msza wypadła świetnie - brzmi to dosyć nonszalancko, ale pogrzeb jest w pewnym sensie formą teatralną, może odnieść sukces albo klapę, i szczerze mówiąc, korzystniej jest, jeśli przedstawienie prowadzi duchowny. Raz byłem na tak zwanym pogrzebie humanistycznym i sam nie chciałbym mieć takowego, chociaż jestem humanistą. Kiedy ksiądz Michael zapytał mnie, czy tata był ochrzczony, odpowiedziałem twierdząco, chociaż przysiąc nie mogę, przyjąłem jednak założenie, że w tamtych czasach w szanujących się robotniczych rodzinach chrzczono wszystkich, zaczęliśmy więc od języka chrześcijańskiej modlitwy. System odsłuchowy w kaplicy był chyba najlep-

351

szy, z jakiego dotąd przyszło mi korzystać, słyszałem więc każde słowo: „Łaska naszego Pana Jezusa Chrystusa, miłość Boga i dar jedności w Duchu Świętym niech będą z wami wszystkimi”. ... „W wodach chrztu Harry umarł z Chrystusem i powstał z Nim do nowego życia”... „Ufni, że Bóg pamięta zawsze o dobru, które czyniliśmy, i przebacza nam grzechy, módlmy się i prośmy Boga, by przyjął Harry ego do siebie”... Podczas pogrzebu jest coś stosownego w języku transcendencji, nawet jeśli się w nią nie wierzy. Modlitwy, na które odpowiadaliśmy „Amen”, miały chyba charakter błagalny, a raczej wstawienniczy, ale czym ostatecznie jest modlitwa, jeśli nie życzeniem -w tym przypadku życzeniem, by istniało życie

pozagrobowe, w którym zło, cierpienie, błędy i rozczarowania ziemskiej egzystencji zostaną odkupione - a życzenie to rzecz ludzka. Czy zwierzęta mają życzenia? Czy mają je komputery? Chyba nie.

Richard uderzył w bardziej pokrzepiającą, materialistyczną nutę, odczytał bowiem fragment dziennika naturalisty, niejakiego Bruce a Cummingsa, który skserowałem przed jego odjazdem do Cambridge: „Mnie wystarczy zaszczyt przynależności do wszechświata - tak wielkiego wszechświata i tak wielkiego systemu. Nawet śmierć nie odbierze mi tego zaszczytu. Nic bowiem nie zmieni faktu, że żyłem, że ja byłem sobą, nawet jeśli przez tak krótki czas. I kiedy umrę, materia, która tworzy moje ciało, będzie niezniszczalna - i wieczna, więc cokolwiek stanie się z moją «duszą», moje prochy będą wiecznie krążyły, a każdy atom mojej osoby będzie odgrywał swoją rolę - pozostaną cząstką tego wszystkiego. Kiedy umrę, można mnie ugotować, spalić, utopić, rozrzuć, ale zniszczyć mnie nie można: moje atomy będą tylko szydzić z tak ciężkiej zemsty. Śmierć może nas tylko zabić, nic więcej". Ksiądz Michael zasznurował trochę usta na te słowa, usłyszałem jednak, jak później mówił do Richarda z irlandzkim akcentem: „Przeczytał pan bardzo ciekawy tekst. Jak się nazywa ten, co to

352

napisał?" Anne mówiła czule o swych wspomnieniach związanych z dziadkiem z czasów dzieciństwa, a na zakończenie odczytała krótki wiersz spisany z Internetu:

Dokąd odchodzimy, kiedy umieramy?

Pod ziemię głęboko czy do niebios bramy?

„Nie wiem, odparł dziadek, lecz wysłuchaj mych słów:

Może zamieszkamy w krainie naszych snów".

Poezja może nie najwyższej próby, ale wyraża pewną prawdę: od jego śmierci tata kilka razy mi się przyśnił. Potem odśpiewaliśmy najmniej dogmatyczny ze wszystkich hymnów, To Be A Pilgrim, i przyszedł czas, żebym ja powiedział parę słów. Mówiłem o niezłomnym duchu taty, jego zdolności przystosowywania się do zmian i przeciwności losu oraz o determinacji, by wieść życie we własnym domu, co mu się udało niemal do samego końca. Wyjaśniłem, że na wejście do kaplicy wybrałem Walk To The Paradise Garden Deliusa, wolną część drugiej symfonii Rachmaninowa na złożenie trumny i Nimroda z wariacji Enigma Elgara na wyjście - ponieważ wszystkie były ulubionymi utworami taty i lubił ich słuchać ze swojej wieży stereofonicznej, siedząc w fotelu z chusteczką na twarzy, która chroniła go przed światłem i tym wszystkim, co mogłoby go rozproszyć. Zwyczaj przeniesiony z czasów, kiedy pracował w nocnych klubach i udawało mu się przesywać godziny dzienne z jedną poduszką na głowie i drugą pod nią.

Kiedy wróciliśmy do domu i posililiśmy się, puściłem kasetowe nagranie starej trzeszczącej płyty z piosenką The Night, the Stars and the Music taty. Chociaż było to tylko nagranie demo, nigdy nie wydane, towarzyszyła mu pełna orkiestra Arthura Roseberryego, może nawet powiększona na tę okazję. Po wydłużonym zawodzącym wstępie ze współgrającymi saksofonami, stonowanymi rogami, solo na fortepianie, a nawet kilkoma taktami czegoś, co brzmi jak mandolina, wchodzi

353

głos taty, nieprawdopodobnie wysoki, o słodkim brzmieniu, w idealnej tonacji, z nieco zbyt wyraźną artykulacją:

Noc, gwiazdy i muzyka Magia naszego spotkania Flirt, taniec i muzyka Uroda twego wejrzenia Spełniają się moje marzenia...

Coś w tym rodzaju. Niemożliwością było zrozumienie wszystkich słów z kolejnej kopii bardzo niedoskonałego oryginału, ale nie miało to tak naprawdę znaczenia. Tym, co usłyszeliśmy, niejako zza grobu, był głos, głos młodego mężczyzny, gorliwego, żywego, zdolnego wyrazić uniesienie romantycznej miłości. Kiedy nagranie dobiegło końca, dały się słyszeć westchnienia, pomruki uznania i odgłosy aplauzu, co mały Daniel natychmiast podchwycił i zaczął energicznie klaskać. Wcześniej zaskoczyło mnie nieco, że Marcia i Peter przyprowadzili jego i Lenę na pogrzeb, chociaż byłem też z tego powodu bardzo zadowolony. Dobrze się stało, bo te dzieci i niemowlę Anne na jej rękach symbolizowały początek cyklu ludzkiego życia podczas uroczystości skupionej wokół jego końca. W kaplicy bardzo ładnie się zachowywały, uważnie słuchały i najwyraźniej charakter nabożeństwa im nie przeszkadzał. Zapytałem Daniela, która część uroczystości najbardziej mu się podobała, na co odparł: „Podobało mi się, jak zjeżdżał w dół”, nawiązując do powolnego opuszczania i zniknięcia trumny, co dziecku mogło się wydawać czymś magicznym. Z zainteresowaniem zauważyłem, że Daniel zaczął używać pierwszej osoby liczby pojedynczej.

29 lutego. Około dziesiątej rano otworzyłem skrzynkę mailową i znalazłem w niej wiadomość od Alex z jednym słowem w temacie: Żegnaj.

354

Drogi Desmondzie!

Oczywiście masz całkowitą rację. Jestem postrzelona, kłamię jak z nut i nie potrafię napisać pracy doktorskiej. Moje życie jest jednym długim pasmem porażek, frustracji i szaleństw, postanowiłam więc popełnić samobójstwo. Przeczytałam zbyt wiele listów pożegnalnych, żeby próbować napisać taki, który nie będzie się wydawał jeszcze jedną, ostatnią porażką, ale może jest to pierwszy tego typu list przesłany drogą elektroniczną. Chociaż pewnie nie. Ale założę się, że nie wstajesz tak jak ja w środku nocy, żeby sprawdzić skrzynkę mailową, kiedy więc będziesz czytał tę wiadomość, mnie już nie będzie, nie będę już zakłócać Ci spokoju. Nie miej z tego powodu wyrzutów. Połknęłam pastylki i podcięłam sobie żyły i teraz nacisnę „Wyślij”, póki jeszcze mogę. Żegnaj, Desdondzie.

Alex

Spojrzałem na godzinę wysłania wiadomości: 03:21. Prawie siedem godzin temu. Pobiegłem do samochodu, nie zawracając sobie głowy aktywowaniem alarmu antywłamaniowego, i popędziłem do Wharfside Court najszybciej, jak tylko się dało. Nie miałem pojęcia, czy wiadomość jest autentyczna czy to tylko jakiś żart - czy znajdę Alex nieprzytomną, martwą, zwiniętą w zakrwawionym łóżku albo pływającą w wannie pełnej zaczerwienionej wody; czy może otworzy mi z uśmiechem, jak zwykle

elegancka i smukła w czarnej bluzce i spodniach, i powie, odrzucając do tyłu lśniące blond włosy: „Cześć. Wiedziałem, że przybiegniesz tu w podskokach”. Czy fakt użycia przez nią słowa „samobójstwo” - unikaniego, jak mi powiedziała, przez większość osób próbujących je popełnić - był wskazówką, że jej wiadomość jest głupim kawałem, czy może

355

odwrotnie, gwarancją autentyczności? Czy niepoprawiona literówka „Desdondzie” świadczy o tym, że pigułki albo utrata krwi zaczynały robić swoje, czy może jest przebiegłą sztuką mającą tylko wywołać takie wrażenie?

Błysnęła kamera policyjna, gdy mijając ją w drodze do Wharfside Court, i zastanawiałem się, czy uda mi się uniknąć punktów karnych, jeśli powołam się na nagły wypadek. Gdyby wiadomość okazała się autentyczna, może i tak; jeśli jest mistyfikacją, prawdopodobnie nie. Posłałem modlitwę błagalną, żeby to był kawał, nie tylko ze względu na Alex, ale i z myślą o sobie. Miałem już wyraźną wizję tego, co się będzie działo, jeśli Alex nie żyje: dochodzenie, przekazanie zawartości jej twardego dysku jako materiału dowodowego, odczytanie jej maili w sądzie, pytania koronera („Jakie dokładnie łączyły pana stosunki z denatką, profesorze Bates?”). „Nie miej z tego powodu wyrzutów”, napisała, ale otwarcie tego maila miało w zamierzeniu osiągnąć taki właśnie efekt: „Oczywiście masz całkowitą rację. Jestem postrzelona, kłamię jak z nut i nie potrafię napisać pracy doktorskiej”. („Do której pańskiej wypowiedzi nawiązują te słowa, profesorze Bates? Byłby pan skłonny przyznać, że mogła ona przyspieszyć decyzję panny Loom o odebraniu sobie życia?”)

Zatrzymałem się z piskiem opon na parkingu jak najbliżej wejścia do budynku, między sedanem i dużą furgonetką, i pobiegłem do windy. Najwyraźniej zacięła się na trzecim piętrze, wbiegłem więc wielkimi susami po schodach i zadyszany stanąłem pod mieszkaniem Alex. Dwaj mężczyźni w dżinsach i sportowych bluzach próbowali wynieść sofę, manewrując nią w drzwiach.

- Co tu się dzieje? - zapytałem bez tchu.

Jeden z mężczyzn powiedział coś. Uzmysłowiłem sobie, że w pośpiechu zapomniałem o aparacie słuchowym, kiedy wychodziłem z domu, i że teraz spoczywa na moim biurku, zasunięty w swoim futeraliku.

356

- Co? - zapytałem.

Mężczyzna znów coś powiedział, a kiedy zorientował się, że nie zrozumiałem, ruchem głowy wskazał wnętrze mieszkania. Oddalili się, dźwigając sofę w stronę otwartej windy, a ja wszedłem do mieszkania. W niemal pustym salonie stał dość młody mężczyzna w ciemnym garniturze i wyglądał przez okno na kanał. Odwrócił się nagle, kiedy wszedłem, i powiedział coś z uprzejmie pytającym spojrzeniem.

Na szczęście Jeremy Hall, o czym mi powiedział w dalszej części naszej rozmowy, ma niedosłyszającego ojca, jest więc przyzwyczajony do tego, żeby mówić głośno i wyraźnie. Dzięki temu i z umiarkowaną liczbą

powtórzeń był w stanie mi wyjaśnić, co się wydarzyło, gdy ja słuchałem go z przystawioną do ucha dłonią. Rano przybyli komornicy, żeby skonfiskować meble Alex, wszystkie zakupione w jednym dużym sklepie meblowym na raty, których nie spłacała. Stawili się bardzo wcześnie, chcąc ją zastać w domu, lecz drzwi były tylko zatrzaśnięte, a mieszkanie puste. Większość ubrań i innych rzeczy osobistych zniknęła, nie licząc kilku książek, sąsiad zaś doniósł, że trzy dni temu widział, jak Alex wsiada do taksówki z dwiema dużymi walizkami. Komornicy skontaktowali się z agencją nieruchomości pośredniczącą w wynajęciu mieszkania i poprosili, by przysłano kogoś, kto byłby świadkiem wyniesienia mebli i kto zabezpieczyłby mieszkanie po ich odejściu. Zadanie to powierzono Hallowi. Poinformował mnie, że Alex od trzech miesięcy zalega z płatnościami za czynsz i byli właśnie w trakcie podejmowania kroków prawnych przeciwko niej.

- Pewnie dała nogę - skonstatował flegmatycznie.

Zapytał mnie, całkiem słusznie zresztą, skąd się wzięłem

w jej mieszkaniu. Wyjaśniłem, że rano dostałem od Alex niepokojącego maila, który sugerował, że mogła zrobić sobie coś złego.

357

- Niemożliwe jednak, żeby wysiała go stąd - stwierdziłem, rozglądając się po prawie już pustym pokoju.

- Prawdopodobnie z Ameryki - rzekł. - Jest Amerykanką, prawda? Przypuszczam, że tam wróciła.

- Będziecie ją ścigać?

- Nie miałyby to sensu - odparł ze wzruszeniem ramion. - Musielibyśmy ponieść zbyt duże koszty. Jej nazwisko znajdzie się na czarnej liście i jeśli spróbuje dostać się znowu do tego kraju, będzie miała kłopoty, ale chyba nie jest aż tak głupia, żeby ryzykować.

Starszy z dwóch komorników wszedł do pokoju i zwrócił się do niego:

- No to skończyliśmy tutaj.

Hall rozejrzał się po pokoju i skinął głową w stronę okna.

- A co z zasłonami? Kawalek ładnego materiału.

- Nie ma ich na liście - powiedział komornik. - Nie należą do naszego klienta.

- Bo należą do mojej żony - wtrąciłem.

Hall roześmiał się.

- Jak to?

Kiedy mu wszystko wyjaśniłem, powiedział:

- Znam ten sklep, w centrum handlowym Rialto, tak? Towar wysokiej jakości. Może je pan zabierze?

Pomyślałem: Czemu nie? Materiał, piękny aksamitny brokat w odcieniach czerwieni i czerni, można by wykorzystać na poszewki do poduszek. Hall nie chciał żadnego dowodu ani rachunku - tylko moje nazwisko i adres - i pomógł mi wejść na parapet, żebym mógł je odpiąć.

Wkładałem zastony do bagażnika, kiedy na parking z dość dużą prędkością wjechało volvo kombi i zajęło miejsce zwolnione przez furgonetkę komorników. Z samochodu wysiadł Colin Butterworth i aż nim zarzuciło, kiedy mnie rozpoznał. Miał bladą i zmęczoną twarz, był nieogolony, chociaż miał na

358

sobie jeden ze swych eleganckich garniturów. Powiedział coś, kiedy do mnie podszedł.

- Będziesz musiał mówić głośniej - poprosiłem. - Nie mam aparatu.

- Gdzie jest Alex? Wszystko z nią w porządku? Dziś rano wróciłem z Paryża i znalazłem wiadomość, że zamierza się zabić.

- To tak jak ja.

Streściłem mu z grubsza, co się wydarzyło. O mało nie padł na ziemię, tak bardzo mu ulżyło.

- Dzięki Bogu! - zawołał. - Dzięki Bogu. - Wygrzebał z kieszeni marynarki paczkę papierosów i zapalniczkę, zapalił papierosa i wciągnął głęboko dym. - Czy to możliwe, że ta larwa na dobre zniknęła z mojego życia? - zastanawiał się na głos. - To wydaje się zbyt piękne, żeby było prawdziwe. - Nagle przyszła mu do głowy niepokojąca myśl: - A jeśli rozesłała maile do innych osób?

- Na przykład do przewodniczącego uczelnianej komisji dyscyplinarnej?

- Właśnie. - Zaciągnął się papierosem.

- Cóż, to się wkrótce okaże - stwierdziłem dość brutalnie. Rzucił mi gniewne spojrzenie, ale nic nie powiedział. Postanowiłem się zreflektować: - Tak czy inaczej, jak rozumiem, nie może wrócić, żeby złożyć przeciwko tobie zeznania, bo zostanie aresztowana za długi.

- I dobrze - odparł. - Ciekawe, co teraz zrobi? Wkręci się na kolejny uniwersytet i spieprzy życie jakiemuś innemu frajerowi...

- Może spróbuje pisać książki - zgadywałem. - Ma do tego wyobraźnię. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy któregoś dnia obaj pojawili się lekko ucharakteryzowani w jakiejś powieści uniwersyteckiej.

Zażartowałem, on jednak potraktował tę ewentualność poważnie.

359

- Jezu, mam nadzieję, że nie - powiedział.

Choć wcześniej odniosłem wrażenie, że z moją pomocą udało mu się całkiem bezboleśnie wywinąć z romansu z Alex, teraz coś zrozumiałem: Butterworth nigdy do końca nie uwolni się od lęku, że Alex może kiedyś znów się zjawić i narobić mu kłopotów.

Oczywiście podobnie jak Butterworth odczuwam ulgę z powodu usunięcia się Alex z mojego życia, natomiast moja dezaprobata wobec jego zachowania nie jest tak pełna, jak mu się wydaje. Jeśli nie skorzystałem z okazji, by z nią pofiglować, zrobiłem to nie tylko dla zasady, ale i ze strachu, a mimo to wokół moich kontaktów z nią rozsnuliem pajęczynę kłamstw, z której na szczęście udało mi się umknąć bez szwanku, z nienaruszonym zaufaniem żony. Kiedy wieczorem Fred wróci do domu, będę jej mógł opowiedzieć o dzisiejszych wypadkach bez groźby, że się skompromituję - albo że skompromituję Butterwortha, jeśli już o tym mowa, jest bowiem jak najbardziej zrozumiałe, że i on powinien być dostać od Alex list pożegnalny. Rzecz jasna Fred będzie wstrząśnięta i zdumiona zachowaniem Alex, myślę jednak, że jej charakter zaczynał już budzić w niej pewne zastrzeżenia. Będzie też rozbawiona moją zaradnością w kwestii odzyskania zasłon. Szczęściarz ze mnie.

Co do Alex, trudno powiedzieć, czy jest szalona, podła czy po trochu jedno i drugie; teraz jednak, kiedy już jej nie ma, jest mi jej trochę żal i mam nadzieję, że kiedyś tej znękaney duszy uda się odzyskać trochę spokoju.

20

7 marca. Wybrałem się na kilka dni do Londynu i po raz ostatni spałem w miękkim, wąskim, nierównym łóżku w moim dawnym pokoju, zerkając przed wyłączeniem światła na herb Charlton Athletic na ścianie, który następny właściciel na pewno zamaluje. Nie mogę wystawić domu na sprzedaż do czasu sądowego stwierdzenia nabycia spadku, co wobec braku testamentu może trochę potrwać, ale w ramach przygotowań zrobiłem już porządki. Przyjechałem samochodem, żeby zabrać kilka pamiątek: parę ładniejszych, nieuszkodzonych ceramicznych wyrobów taty i najlepsze z jego obrazów do wyboru dla Anne i Richarda. Stare ubrania włożyłem do worków na śmieci, żeby zabrali je śmieciarze, a rzeczy w dobrym stanie oddałem Armii Zbawienia. W książce telefonicznej znalazłem numer firmy zajmującej się skupem ruchomości i jej właściciel, dobrze ubrany mężczyzna z podkreślonymi do góry wąsami, które w oczekiwaniu na bogate żniwo zdawały się drzeć niczym narzędzie różdżkarza, stał się u drzwi w ciągu godziny. Jeśli mój głos osoby wykształconej błędnie mu zasugerował dom pełen wspaniałych antyków, szybko stracił wszelkie złudzenia. Przechodząc z pokoju do pokoju, cmokał z niezadowoleniem i wzdychał, a na koniec oznajmił, że w domu nie ma nic wartościowego, nie licząc rozkładanego stołu z wiśniowego drzewa w jadalni, wartego jakieś sto dwadzieścia funtów. W zamian za tę sumę i dodatkowe trzysta zaproponował, że wywiezie wszystko z domu. Przyjąłem tę propozycję bez sprzeciwu i na-

361

stępnego dnia przyjechali z furgonetką jego ludzie. Dom po ich odejździe sprawiał wrażenie nieprawdopodobnie pustego i ponurego, i gdy rozglądałem się po nim ostatni raz, przy wtórze głuchego stukotu moich kroków na gołej, zakurzonej podłodze, poczułem przyływ smutku na myśl o kruchości

naszej władzy nad życiem, łatwości, z jaką można wymazać ślady, które zostawiamy na powierzchni ziemi. Tony Harrison ujął to w kilku wersach:

Ambulans, karawan, pośmiertne porządki Z życia wyzuwają dom umiłowany. Skarbiec gromadzony przez lat dziesiątki Uznany za śmieci, tak jest traktowany.

Od czasów dzieciństwa nie był to dla mnie dom umiłowany i myślę, że dla mamy też, marzyła o czymś bardziej nowoczesnym i przestronnym, w lepszej dzielnicy, uległa jednak niechęci taty do zmian i wydatków. On natomiast kochał ten dom, naprawdę myślę, że tak było, choć trudno uwierzyć, że ktokolwiek mógł pokochać taki zbudowany byle jak, przedwojenny bliźniak. Wezwałem agenta nieruchomości, żeby zrobił wycenę i - nie do wiary - oszacował jego wartość na ćwierć miliona funtów. W dwóch miejscach znalazłem gotówkę, którą tata ukrył pod poluzowanymi deskami podłogowymi, w swojej sypialni i w komórce pod schodami: grube brązowe koperty, po około pół tysiąca funtów w starych banknotach, pewnie honoraria za koncerty, których nie wykazał w zeznaniu podatkowym. Wątpię, czy są wciąż legalnym środkiem płatniczym, będę je więc musiał zabrać do banku, narażając się niechybnie na zdziwione spojrzenia kasjera. Serce mnie boli, kiedy pomyślę, ile straciły na wartości, leżąc tam przez dziesięciolecia inflacji - może nawet dziewięćdziesiąt procent tego, ile były warte, kiedy je zarobił. Pieniądze, które dostanę po nim w spadku, oczywiście mi się przydadzą, jak to zwykle

362

z pieniędzmi bywa; część oddam Anne i Richardowi, głównie jednak odczuwam żal, że ojciec zostawił po sobie taki majątek, a za życia czerpał z niego tak niewiele przyjemności. Jestem przekonany, że był to skutek ubogiego dzieciństwa, dorastania w środowisku, gdzie nikt nie miał oszczędności, a państwo nie zapewniało ochrony bezrobotnym i tym, którym się w życiu nie powiodło: widział konsekwencje ubóstwa i strach przed nim trzymał go w ryzach do końca.

Przywiozłem ze sobą do Londynu jego prochy i wczoraj zabrałem je na cmentarz w Brickley. Odebrałem je z zakładu pogrzebowego w zwykłym metalowym pojemniku (kiedy zapytałem przez telefon, czy jest duży, rozmawiająca ze mną kobieta powiedziała: „Coś jak słoik na cukierki”, przestraszyłem się więc, że może być przezroczysty). Przekazałem ten pojemnik w krematorium i wkrótce potem dołączył do mnie mężczyzna w ciemnym garniturze, który przesyłał prochy do małej urny w kolorze metalicznego złota z dźwignią uwalniającą prochy od dołu. Była to niemal rocznica pogrzebu mamy, kolejny chłodny marcowy dzień, ale spokojniejszy i bardziej słoneczny, cmentarz zaś wydawał się dużo czystszy i mniej przygnębiający, niż zapamiętałem. Brzydkie bloki komunalne, które kiedyś kłuły w oczy znad ogrodzenia, zostały wyburzone, a ich miejsce zajęły niewielkie domy jednorodzinne w zabudowie szeregowej, chociaż pociągi elektryczne wciąż przejeżdżają ze stukotem z drugiej strony. Mój towarzysz poprowadził mnie na trawnik otoczony drzewami i krzewami róż - „bardzo tu ładnie latem, kiedy rozkwitają róże”, powiedział i zaproponował, bym rozsypał prochy, czyniąc nimi znak krzyża. Widziałem niktę ślady paru innych krzyży na trawniku, gdzie prochy zapadły się w grunt między źdźbłami trawy, ale jeszcze nie znikły całkowicie. Dwoma zamaszystymi ruchami usypałem na trawniku znak krzyża. Prochy były zaskakująco jasne, prawie białe, i ich ziarenka bardziej przypominały żwir.

363

Zastanawiałem się, czy prochy ludzkich ciał poddanych kremacji robią się takie w sposób naturalny czy też trzeba dodać coś do pieców, żeby powstały tak czyste, sterylne, łatwo wysypujące się granulki. Czy sterta prochów przy krematorium w Auschwitz, w której znaleziono list Chaima Hermanna do żony, wyglądała tak samo? Jakoś w to wątpiłem.

Wydarzenia ostatnich paru miesięcy wciąż wywołują różne echa i skojarzenia, na przykład świeca wotywna migocząca w ciemności wśród szczątków krematorium w Auschwitz i świeczka, którą zapaliłem przy łóżku Maisie, kiedy zasypiała na zawsze; szpitalna piżama i obozowe pasiaki; widok nagiego wychudzonego ciała taty na szpitalnym materacu, kiedy pomagałem go umyć, i ziarniste fotografie stert nagich ciał w obozach śmierci. Doświadczenie ostatnich tygodni było czymś w rodzaju lekcji. „O ile ślepotą jest tragiczna, głuchota pozostaje komiczna”, napisałem kiedyś w swoim dzienniku i bawiłem się fonetycznym podobieństwem angielskich słów deaf i death, głuchy i śmierć. Teraz jednak bardziej sensowne byłoby powiedzenie, że głuchota jest komiczna, a śmierć tragiczna - ostateczna, nieuchronna i zagadkowa. Jak powiedział Wittgenstein, „śmierć nie jest wydarzeniem w naszym życiu”. Nie można jej doświadczyć, można tylko patrzeć, z różnym stopniem współczucia i strachu, jak dotyka innych, ze świadomością, że kiedyś to samo przytrafi się również nam.

Pewna zagłada, ku której zdążamy i w której się zatracimy. Nie być tutaj, Nie być nigdzie, niedługo; Nie ma nic straszniejszego, prawdziwszego.

Philip Larkin, głuchy bard timor mortis.

Nie przestaję myśleć o nagłówku na ekranie komputera w urzędzie stanu cywilnego: MENU ZGONY i zastanawiam się w wolnych chwilach, co bym wybrał, gdyby Anioł Śmierci

364

wręczył mi coś takiego, jak menu w restauracji. Naturalnie coś bezbolesnego, ale nie tak nagłego, żeby nie można było tego zauważyć, żeby móc pożegnać się z życiem, niejako potrzymać je jeszcze trochę w ręku, a potem puścić; z drugiej strony coś niezbyt rozciągniętego w czasie, żeby śmierć nie stała się męcząca albo przerażająca. Coś bezbolesnego, nie pozbawiającego człowieka godności (żadnych basenów i cewników), całkowicie świadomego, z zachowaniem pełni władz umysłowych, nie za szybkiego, nie za długiego, w domu, a nie w szpitalu, a więc nie zawał, nie udar, nie nowotwór, nie wypadek lotniczy ani samochodowy - och, jakież to ma sens, nic nas nie zadowoli, prawda jest taka, że wcale nie chcemy zamawiać śmierci, w żadnym kształcie i w żadnej formie, chyba że mamy skłonności samobójcze. (Piloci samobójcy dla wszystkich.) Można by powiedzieć, że same narodziny są wyrokiem śmierci - podejrzewam, że jakiś wygadany filozof już to kiedyś powiedział - jest to jednak przewrotna i niepotrzebna myśl. Lepiej smakować życie i starać się cenić mijający czas.

8 marca. Dzisiaj po długiej przerwie wróciłem na zajęcia czytania z ruchu warg. Wcześniej napisałem do Beth, wyjaśniając jej powód mojej nieobecności, i grupa powitała mnie ze współczującymi uśmiechami, gdy zajmowałem miejsce w półkolu krzesel. Jest tutaj, w tej celi skazanych na ciszę, wiele wzajemnej życzliwości i zrozumienia. Zaczęliśmy od zagadki, zdjęcia twarzy dziewczyny z trzema podpisami: „Philip gra w piłkę nożną”. „Barbara lubi oglądać piłkę nożną”. „Sharon nie lubi piłki nożnej”. Jeśli dziewczyna ze

zdjęcia ma wypowiedzieć jedno z tych zdań, to które i jak ma na imię? Ja nie mogłem się w tym połapać, dla pozostałych zagadka była natomiast łatwa, być może już wcześniej mieli podobne ćwiczenia. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: Sharon, która chce powie-

365

W

dzieć: „Barbara lubi oglądać piłkę nożną”, ponieważ jej wargi układają się do dźwięku „b”. Później zajęliśmy się tematem ogrodów. Ogrodowe krasnale były pierwotnie wyobrazeniami ziemskich duszków i zostały po raz pierwszy sprowadzone do Wielkiej Brytanii z Niemiec w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku przez ekscentrycznego baroneta, a ich masowa produkcja rozpoczęła się tutaj dopiero w drugim dziesięcioleciu dwudziestego wieku. Kosiarkę do trawy wynalazł Edward Budding, tkacz z Gloucestershire, który wpadł na ten pomysł dzięki obserwacji maszyny do krojenia materiału w miejscowych zakładach włókienniczych, skąd wcześniej został zwolniony. Pewien angielski pastor przyciął swój trawnik w ogrodzie na kształt Wysp Brytyjskich.

Mieliśmy ćwiczenia z homofinów, które mogą prowadzić do nieporozumień, na przykład mania i bania, suknia i kłótnia, herbatnik i herbaty tyk. Dużo było przy tym śmiechu. Członkowie grupy zgłaszali się z własnymi anegdotami. Mar-jorie zapytano w kasie supermarketu, czy chciałyby „gratisową kasetę”, a gdy skwapliwie przyjęła ofertę, dostała gratisową gazetkę. Violet była skonsternowana, kiedy jej przyjaciółka zachwycała się „paschą bez czosnku”, która okazała się „pastą bez wosku”. Ja opowiedziałem swoją anegdotę o „garnku z telefonu”. Później mieliśmy krótką pogadankę o wieżach. Podobno krzywa wieża w Pizie zaczęła się odchylać od pionu, kiedy budowa sięgnęła trzeciego piętra, średnicę kolejnych pięter stopniowo więc zmniejszono, żeby skorygować tę wadę. Wieżę Eiffla wzniesiono jako tymczasową konstrukcję z okazji Wystawy Światowej w 1889 roku i wtedy powszechnie ją krytykowano. Miała być rozebrana po wystawie, mieszkańcy przywiązali się jednak do niej i ocalała między innymi dzięki temu, że umieszczono na jej szczycie nadajnik radiowy. Zawsze na zajęciach dowiaduję się czegoś nowego. SW

Podziękowania

Niedosłuch narratora i jego ojca ma swe źródło w moim doświadczeniu, lecz pozostali bohaterowie tej powieści są twórcami fikcyjnymi, podobnie jak bezimienne miasto na północy Anglii, gdzie rozgrywa się w większości akcja tej książki, oraz uniwersytet. Jedynym źródłem tematu pracy doktorskiej Alex Loom, nie licząc mojej wyobraźni, jest artykuł pióra Charlesa E. Osgooda. „Some Effects of Motivation on Style of Encoding... based on research using samples of suicide and pseudicide notes” w *Style In Language* (1960) pod redakcją Thomasa Sebeoka. Przeczytałem tę książkę ponad czterdzieści lat temu, gdy przygotowywałem się do napisania pierwszej pracy z dziedziny krytyki akademickiej, *Language of Fiction* (1966) i tam wspominam o niej w przypisie. Nie cytowałem wówczas artykułu Osgooda, który nie miał związku z moim tematem, najwyraźniej jednak uznałem, że pomysł ten można rozwinąć literacko, ponieważ pozostał na wpół pogrzebany w mojej pamięci i przy tej powieści jego czas wreszcie nadszedł. Kiedy byłem w trakcie pisania *Skazanych na ciszę*, usłyszałem przypadkiem, że powstaje praca doktorska,

w której poddaje się analizie lingwistycznej listy pożegnalne samobójców, dowiedziałem się też, że inni lingwiści zajmują się aktualnie prowadzeniem badań i publikacjami na ten sam temat. Chcąc uniknąć pomieszania mojej fikcji literackiej z rzeczywistością, celowo nie zapoznawałem się z żadną z tych prac ani

367

z ich autorami. Postać Alex oraz jej obserwacje na temat listów pożegnalnych są w całości wymyślone.

Krótkie cytaty z listów pożegnalnych w rozdziale siódmym zostały jednak zaczerpnięte ze źródła dokumentalnego, z antologii Udo Grashoffa *Let me Finis* (Headline Review, 2006). Inne publikacje, które okazały się przydatne podczas pisania tej powieści, to: *Jak działać słowami* J.L. Austina (wydanie drugie, 1962); *The Faber Book of Science* pod red. Johna Careya (do fragmentu z cytatem Brucea Fredericka Cummingsa w rozdziale dziewiętnastym); *Goya* Jean-Francois Chabruna (1965); *Introduction to Discourse Analysis* Malcolma Coultharda (1977); „Mr Akbar s nearest ear versus the Lombard Reflex" w „Forensic Linguistics" 5/1/1998; *The Quiet Ear: Deafness In Literature; an anthology* pod red. Briana Granta (1987); *Doing Pragmatics* Petera Grundyego (2000); *Words & Minds* Neila Mercera (2000); *Life of Beethoven* Thayera, wyd. poprawione pod red. Elliota Forbesa (1964); *Discourse Analysis* (1983) i *Text and Corpus Analysis* (1966) Michaela Stubbsa; *This I saw: the Life and Times of Goya* Antoniny Vallentin (1951).

Jestem niezmiernie wdzięczny Charlesowi Owenowi i Vi-jayowi Raichurze za informacje i rady dotyczące kolejno aspektów lingwistycznych i medycznych tej powieści, a także kilku innym osobom za uwagi i komentarze dotyczące tekstu w jego wstępnych wersjach: Bernardowi Bergonziem, Tonyemu Laceyowi, Julii Lodge, Alison Lurie, Geoffowi Mulliganowi, Jonnyemu Peggowi, Mikeowi Shaw, Paulowi Slovakowi i jak zawsze mojej żonie Mary. Dziękuję też wnuczce Fionie za grę słów z nazwą Marks & Spencer.

D.L.

Wrzesień 2007